

**Stefan Cieśliński**

**MOJE KORZENIE  
DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ**



*Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników  
Państwowego Instytutu Geologicznego  
Wspomnienia Nr 6*

**Warszawa 2014**

*Dotychczas wydane pozycje*  
*Stowarzyszenia Emerytowanych Pracowników*  
*Państwowego Instytutu Geologicznego*  
*Seria Wspomnienia*

- Nr 1. Janusz Uberna, 2012, Gobijska przygoda, Warszawa.  
Nr 2. Stefan Cieśliński, 2013, Sahara moich wspomnień, Warszawa.  
Nr 3. Janusz Uberna, 2013, Życie pełne podróży, Warszawa.  
Nr 4. Aleksander Jeliński, 2013, W środku Europy, Warszawa.  
Nr 5. Stefan Cieśliński, 2014, Geologia moją pasją, Warszawa.

Stefan Cieśliński

# MOJE KORZENIE DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ

*Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników  
Państwowego Instytutu Geologicznego  
Wspomnienia Nr 6*

Warszawa – 2014

Redakcja: Maciej Podemski

Projekt okładki: Stefan Cieśliński i Maciej Podemski

W książce zamieszczono zdjęcia z archiwum Stefana Cieślińskiego

ISBN 978-83-62989-59-1

© Copyright by Stefan Cieśliński, Warszawa 2014.

Druk i oprawa: ACAD, tel. 22 789-4-789

Zdjęcie na tytułowej stronie:  
Stefan Cieśliński z rodzicami, Wołomin, 1946 r.

Motto

*Człowiek wtedy umiera,  
gdy zanika o nim pamięć.  
Przeszłość jest kluczem do przyszłości*

## Wstęp

Początki historii naszej rodziny giną gdzieś w mroku czasu. Na ten temat wiemy bardzo niewiele i tylko z fragmentarycznych opowiadań rodziców i dziadków. Nikt wcześniej nie pokusił się na ich spisanie. Z odejściem starszego pokolenia powstaje luka, której się już nie da wypełnić. Szkoda, bo przeszłość jest pasjonująca. Daje odpowiedź dlaczego jest tak, a nie inaczej. Wszystko co teraz mamy, nazwisko, wykształcenie, a w dużym stopniu i dobra materialne, związane było z postępowaniem naszych rodziców, dziadków i pradziadków. Jedynie z ich postępowania możemy się dowiedzieć, czy nie popełniali błędów, za które my teraz płacimy. Jest to śmieszne, że dużo więcej wiemy o koligacjach i miłostkach Słowackiego, czy Chopina, niż o naszych antenatach. Czyżby nas to nie interesowało? Tak nie jest, lecz niestety, w większości rodzin nie ma zakorzenionych tradycji spisywania własnej historii.

Z jaką ciekawością sięgałbym teraz po stare rodzinne przekazy, których, niestety, nie ma. Jak interesujące byłoby poznanie prawdy o naszych bliźkich. O ich życiu, przygodach, przywarach i plotkach, jakie na ich temat krążyły. O tajemnicach rodzinnych, skrzętnie ukrywanych i to nie tylko przed obcymi. Te ostatnie są zwykle najciekawsze. To było powodem, że zbierane od lat wiadomości, póki jest jeszcze czas, pragnę udostępnić swoim następcom. Niech będzie to zachętą do dalszego prowadzenia kroniki naszego rodu. Prawdziwe jest powiedzenie, że człowiek umiera dopiero wtedy, gdy zanika o nim pamięć.

## Cieślińscy

Istnieje parę niezależnych rodów Cieślińskich należących do różnych herbów Są to: Junosza, Ostoja, Pomian i Rogala. Informacje na ich temat zamieszczone są w herbarzach, począwszy od wydanych przez Bartosza

Paprockiego w 1584 r. „Herbów Rycerstwa Polskiego”. Opisuje on tam Cieślińskich pieczętujących się herbem Junosza, wywodzących się z ziemi Krakowskiej i Przemyskiej. Kacper Niesiecki w „Herbarzu Polski” z 1859 r. wymienia ród Cieślińskich „Junoszków”, lokując ich w ziemi Krakowskiej, Lwowskiej i Brzeskiej. Najpełniejsze dane na ten temat zamieścił w „Herbarzu Polski” Adam Boniecki (1900). Jak są one powiązane z historią naszej rodziny, tego dokładnie nie wiadomo. Ojciec wielokrotnie wspominał, że nasz ród był szlachecki, lecz z linii zubożałej. Niewiele poza tym na ten temat wiedział. Wspominał, że pradziadkowie mieli podobno wywodzić się z plockiego i byli herbowi.

Przedstawicielem tego rodu, żyjącym w latach 1538–1541, był Mikołaj Cieśliński z Cieślina (płockie), herbu Junosza. W „Herbach rycerstwa polskiego”, znajdującym się na zamku w Kórniku, ród ten jest wymieniany w spisach rodów pieczętujących się tym herbem. Według Bonieckiego, Cieślińscy udowodnili swoje pochodzenie szlacheckie w Królestwie, w latach 1837–1838. Ponadto, ich nazwisko znajduje się w spisie szlachty Królestwa Polskiego, wydanym w 1851 roku. Również w opracowaniu T. Gajla: „Polskie rody szlacheckie i ich herby” figurują Cieślińscy następujących herbów: Junosza (1500), Ostoja (1500) i Rogala (1550).

Najstarszym z rodu, o którym zachowała się w rodzinie pamięć, był **Władysław Cieśliński** – mój pradziadek, urodzony 20 czerwca 1832 r. Pochodził z Kozienic, gdzie prowadził ogrodnictwo. W okresie Powstania Styczniowego ukrywał w swoim domu poszukiwanego przez Rosjan księdza. Jego żoną była Konstancja Cieślińska, z domu Szcześniakowska, moja prababka, urodzona 15 października 1833 r. Wywodziła się ze Świeciechowa nad Wisłą. Na jej temat, jak i jej męża, Władysława, prawie nic się w pamięci nie zachowało. Wiadomo tylko, że mieli 6-cioro dzieci: pięciu synów i jedną córkę, wśród których był Michał Cieśliński, mój dziadek, urodzony w latach 1860-tych. Z tej rodziny pochodził też działacz organizacji bojowej PPS - Stefan Okrzeja. Był on bratem ciotecznym mojego ojca. Jak dowiedziałem się od premiera Olszewskiego, on również powiązany był z Cieślińskimi i ze Stefanem Okrzeją. Wypowiadał się na ten temat na łamach prasy i w rozmowie ze mną podczas rautu w ambasadzie węgierskiej, gdzie miałem okazję go poznać.

**Michał Cieśliński**, urodzony w 1863 r.(?) Mimo, że był moim dziadkiem, to wiem na jego temat bardzo mało. Długi czas, bo około 20 lat, służył w wojsku rosyjskim. Jego jednostka stacjonowała w Symferopolu na Krymie. Następnie pracował w policji. Podczas I Wojny Światowej zatrudniony był na kolei i ewakuowany wraz z rodziną do Gatczyna pod Petersburgiem. Tam młodsze siostry ojca chodziły do szkoły. Do kraju wrócili po rewolucji. Mieszkali w Warszawie na ulicy Stalowej 36.



*Mój dziadek, Michał Cieśliński w okresie służby wojskowej  
w armii rosyjskiej. Krym, 1885*

Po wojnie odziedziczyłem po dziadku biurko. Znalazłem w nim sekretny schowek. Ukryta była tam duża suma pieniędzy, ponad 1000 rubli, niestety papierowych. Przed I Wojną Światową chętniej trzymano oszczędności w banknotach, niż w złocie. Szkoda, bo po rewolucji ruble papierowe miały jedynie wartość kolekcjonerską.

Dziadka pamiętam sprzed wojny, jak przyjeżdżał w odwiedziny do Grój-

ca. Chodził w meloniku, czym odróżniał się od otoczenia. W okresie okupacji był już nieruchliwym, mało mówiącym starcem. Miał bardzo zaawansowaną sklerozę. Mieszkał ze swoją córką, Feliksą Krystyniak, jej mężem i wnukiem, na ulicy Stalowej. Tam go spotykałem. Podczas Powstania Niemcy otoczyli całą dzielnicę i kazali wychodzić wszystkim mężczyznom w sile wieku. Grozili, że ci, co nie wyjdą, będą rozstrzelani, a dom będzie spalony. Tak Tadeusz Krystyniak ze swoim ojcem trafili do obozu koncentracyjnego, a dziadek z córką pozostali w domu. Wrócił tylko Tadeusz. Jego ojciec, Stanisław, nie przeżył obozu.

W dniu 13 stycznia 1945 r., w przeddzień oswobodzenia Warszawy, wychodząc z pracy Feliksę zabił pocisk niemiecki. Pracowała ona w dyrekcji PKP na ulicy Wileńskiej. W pierwszej chwili myślano, że wystraszona hukiem zemdląca. Niestety, odłamek trafił w serce. Zaniesiono ją do domu. Tam zastano nieżywego dziadka. Umarli w jednym czasie. Dziadek, szczęśliwie, nie dowiedział się o śmierci córki. Kto ich pochował na Bródnie, tego nie wiem. Przypuszczalnie miasto, bo żadnej rodziny w tym czasie w Warszawie nie było.

**Karolina Cieślińska**, z domu Kornacka, urodzona w 1864 r.(?), moja babcia. Pochodziła z Łaskarzewa. Osobiście nikogo z tej rodziny nie znam. W domu dziadków zabraniano mówić, że ktoś wygląda jak stara Kornacka, bo to uderzało w babcie. Od ojca i cioci Kazi wiem, że mieli szlachectwo. Dziadek Karoliny, Józwicki, brał udział w Powstaniu Styczniowym i zesłano go na Syberię. Żadne dalsze szczegóły się nie zachowały. Wiem od ojca, że jego matka jeździła w 1900 r. do Petersburga, w sprawie rodzinnych rekwizytów powojskowych. Tam dotarła do ministra Stołypina i sprawę załatwiła pomyślnie. Niestety, szczegółów nie znam. Jak mówiono, osiągnęła to, co w Królestwie było nie do załatwienia. Jak wspominał ojciec, z ministrem rozmawiała po polsku. Podobno nie znała rosyjskiego.

Babcia Karolina miała pięcioro dzieci, cztery córki i syna. Należała do osób niesłuchanie ambitnych. Wszystkie jej dzieci otrzymały wykształcenie. Córki ukończyły pensje, co w tym czasie było dużym osiągnięciem. Najstarsza, Feliksa, wyszła za mąż za Thugutta i miała z nim syna Antoniego. Inne dzieci umierały zaraz po urodzeniu. Kim był Thugutt, tego nie wiem. Jego syn Antoni, którego pamiętam z okresu okupacji, zakładał instalację elektryczną w Leszczynach. Zginął w Powstaniu Warszawskim.

Następna siostra ojca, Antosia, była żoną Krystyniaka. Będąc na wakacjach w Łaskarzewie zaraziła się od swej małej córki szkarlatyną i obie zmarły. Krystyniak owdowiał i został z małym synem, Tadeuszem.



*Wuj Stanisław Krystyniak i ojciec, F. Cieśliński, przy kopaniu ziemniaków.  
Leszczyny, 1943.*

By go wychować, ożenił się ponownie z Feliksą, siostrą swojej zmarłej żony. Zginął w obozie niemieckim. Przedostatnia z Cieślińskich, Irena, wyszła za mąż za inżyniera kolejowego, Wodiczkę. Mieli dwie córki, Irenę i Marysię. Najmłodsza zaś, Kazimiera, bardzo szybko owdowiała. Ponownie wyszła za mąż za inżyniera Wojakiewicza związanego z kolejnictwem. Przed wojną mieszkali w Czortkowie na Podolu. Mieli dwoje dzieci, Ewę i Jędrka. Wuj Wojtkiewicz był aresztowany przez Sowieców i zesłany na Sybir. Wyszedł na wolność z armią Andersa. Po wojnie przebywał w Anglii. W latach pięćdziesiątych wrócił do kraju i rozpoczął pracę przy projektowaniu Dworca Głównego w Warszawie. Zmarł nagle w biurze przy pracy.



*Siostry mojego ojca - Irena Wodiczko i Kazia Wojakiewiczowa.  
Leszczyny, 1943*

**Franciszek Cieśliński**, mój ojciec, urodził się w 1889 r. w Konstancyńówce koło Symferopola na Krymie. /Foto. 12,14, 20, 21.23,28./ Niestety, bliższej daty nie znam. Jego ojciec, a mój dziadek - Michał Cieśliński, służył wiele lat w wojsku rosyjskim i tam na Krymie stacjonował. Pamiętam z rodzinnych opowiadań, że było tam jeszcze masę śladów z lat 1853-1856. Pamiętek po tak zwanej „Wojnie Krymskiej”, wielkiej przegranej Rosji. Wojnie, która była wielką nadzieją Polaków. Chrzestnym mojego ojca został kolega dziadka z wojska, Rosjanin, „Rotny Kamandir”, Zabłockij.

Ojciec starsze dzieciństwo spędzał w Warszawie. Na wakacje, jak wspominał, jeździł do Łaskarzewa. Opowiadał kiedyś o jakiś kłopotach z żandarmem, który usiłował go wylegitymować i złapać w pociągu. Chodził do IV gimnazjum rosyjskiego na Pradze. Szkoła ta mieściła się w gmachu

obecnego Liceum im. Króla Władysława IV, do którego i ja chodziłem. W 1905 r. brał udział w strajkach szkolnych, domagających się wprowadzenia do nauki języka polskiego. Represje, jakie potem nastąpiły, spowodowały czasowe usunięcie wielu młodych ludzi, w tym i ojca, ze szkoły.



*Mój ojciec, Franciszek Cieśliński. Rypin, 1930*

Z opowiadań ojca zachowały się jedynie drobne epizody z jego życia. Wspominał o śmierci swojej babci. Na stypie zgromadziła się duża ilość rodziny i przyjaciół. Zrobiło się dość wesoło. Ktoś siadł do fortepianu i zaczął grać. Ku oburzeniu starszych, młodzi wzięli się za tańce. Dopiero interwencja rodziców przywołała młodzież do porządku. Ojciec często wracał do dziecięcej, pieszej pielgrzymki do Częstochowy. Było to dla niego wielkie przeżycie, które zapamiętał do swojej starości. Wspominał o budującym

się w tym czasie kościele w Odrzywole i zbieranych na budowę ofiarach.

Chciał studiować weterynarię, na którą w domu nie wyrażono zgody. Pod naciskiem matki, która syna ofiarowała kościołowi, skończył seminarium duchowne. Po wyświęceniu został wikarym w Łaskarzewie, a następnie krótko proboszczem w Garwolinie. Gospodarstwo prowadziła mu owdowiała siostra Feliksa. Narzucone mu kapłaństwo nie było jego powołaniem. Nie dla takich, jak on, było czytanie wkoło brewiarza, odmawianie różańca, zakaz chodzenia do teatrów i kin, zmuszanie seminarzystów do wychodzenia poza seminarium w parach, oraz narzucona cenzura kościelna. Był za bardzo ciekawy świata, by się w wiedzy ograniczać. Nie widział też sensu w celibacie. W związku z tym, wbrew woli matki, zrzucił sutannę. Wywołało to reakcję i zerwanie stosunków rodzinnych. Jak mówił, był to ważny krok w jego życiu, którego nigdy nie żałował. Sprawa ta okryta była dla nas wielką tajemnicą. Na ten temat nigdy się nie mówiło. Dowiedziałem się dopiero o tym, gdy byłem już prawie dorosły.

Po odejściu z kościoła rozpoczął pracę w administracji państwowej, gdzie doszedł do eksponowanych stanowisk - starosty i następnie dyrektora departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Dużo się w tym czasie uczył i kontynuował studia prawne i administracyjne. Matka, Karolina, będąca apodyktyczną bigotką, miała o to straszne pretensje. Właściwie do końca życia tego kroku mu nie wybaczyła. Stosunki matki i syna zostały na lata zerwane. Dopiero pod koniec jej życia nastąpiła pewna poprawa. Ja babci Karoliny nie pamiętam. Nie przyjeżdżała do nas, ani myśmy tam nie jeździli. Podobno raz mnie tylko widziała, a ja się od niej domagałem „Baba daj ciuciu”. Umarła na raka w 1932 r. mając 68 lat. Pochowana została na Bródnie.

Rodzice pobrali się w 1919 r. Ze względu na to, że nie mogli wziąć ślubu katolickiego, wzięli ślub ewangelicki w Żyrardowie. W rodzinnych archiwach zachował się odpis tego dokumentu. Na protestantyzm jednak nie przeszli. Przez wiele lat ojciec starał się o oficjalną dyspensę kościelną, którą uzyskał dopiero za pontyfikatu Jana XXIII. Miał już wtedy prawie 80 lat. Pozwoliło mu to na starość wziąć ślub katolicki i przyjmować zabronione wcześniej sakramenty. Dopiął tego, czego przez wiele lat na skutek średniowiecznych przepisów zabraniano.

Rodzice po ślubie przenieśli się do Poznania. Tam ojciec pracował w

UNRRA. W Poznaniu urodził się Tadeusz. W 1921 r. został komisarzem obozu dla internowanych oficerów ukraińskich z oddziałów Semena Petlury. Obóz mieścił się w Szczypiornie koło Kalisza. Następnie ojciec z rodziną przeniósł się do Płocka, gdzie się urodziłem. Pracował tam w instytucjach samorządowych, związanych ze sprawami inwalidzkimi. W Płocku organizował „Przytulisko” dla weteranów Powstania Styczniowego. Tam też rozpoczął pracę w starostwie. Stopniowo awansując, przechodził na coraz to wyższe stanowiska w Rypinie, Sochaczewie i Grójcu. W tej ostatniej miejscowości był wicestarostą, a potem starostą. Z ojca przyjaciół pamiętam wojewodę warszawskiego, Stefana Łopatto. Przyjaźń z nim spowodowała, że ja noszę imię Stefan. Od 1938 r. pracował w Warszawie, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, departament MOB - mobilizacja. Podlegał bezpośrednio ministrowi Sławoj Składkowskiemu. Dla ojca był to wielki awans i przeskok z powiatu na wysokie stanowisko ministerialne.



*Rodzina Cieślińskich. Ojciec i Mama Wanda, stoi Tadeusz, siedzi Stefan.  
Sochaczew, 1933*

Do przyjaciół rodziny Cieślińskich, z którymi do końca byliśmy w bardzo bliskich kontaktach, należeli Henkowie. Ojciec się śmiał, że nasze pokrewieństwo oparte było nie na więzach krwi, a na siedzeniu naszych babek pod jednym piecem. Henkowie byli niemieckimi kolonistami. Była to duża rodzina. Jedyny syn był chemikiem i pracował w fabryce sztucznego jedwabiu w Chodakowie pod Sochaczewem. Siostry - Lodzia Henke, Tosia Klatczyńska, Aniela Szańkowska oraz Dona, zapomniałem jej nazwiska, bywały często w naszym domu i były traktowane, jak najbliższa rodzina. Donę znaliśmy najslabiej. Wiele lat po wojnie przebywała za granicą, w Afryce.

Podczas wojny ojciec był z ministerstwem ewakuowany na wschód, skąd przez zieloną granicę przedostał się do Generalnej Guberni. Całą okupację mieszkał w Leszczynach, gdzie dawał nam lekcje i pomagał w gospodarstwie. Po wojnie przez krótki czas pracował w Miejskiej Radzie Narodowej w Garwolinie, a następnie w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, w Warszawie. Stamtąd, w 1955 r. przeszedł na emeryturę. Władze wykreśliły mu z emerytury 10 lat za pracę, jak to nazywali, w aparacie ucisku. Przez pewien czas pracował jeszcze na 0,5 etatu w Domu Prasy. Był człowiekiem światłym, o dużym poczuciu humoru. Dusza każdego towarzysza. Dom w Wołominie, gdzie mieszkał, był zwykle pełen gości. Uwielbiał felietony Wiecha, które głośno czytał. Narzekał tylko, że ma słabą wolę i nie potrafi oduczyć się palenia. Wiedział, że nikotyna mu szkodzi. Na starość był bardzo szczupły. Zmarł w 1971 r. mając 82 lata, na zapalenie płuc. Pochowany został na warszawskim Bródnie.

Ojciec był świetnym narratorem. Pamiętam, jak interesował się historią zakonnika Damazego Macocha z Częstochowy. Jego romans z Heleną Krzyżanowską, morderstwem bratanka i utopieniem zwłok w Zawadach koło Radomska. Sprawą tą żyło całe jego pokolenie. Na nas, słuchających, robiło to wielkie wrażenie. Jak taki człowiek, w dodatku zakonnik, nie bał się Boga? Tak byłem tym przejęty, że odszukałem grób Macocha w Piotrkowie Trybunalskim. Zadziwiło mnie, że jest tak pielęgnowany. Gdyby nie napis „Ksiądz Damazy Macoch - największy grzesznik i największy pokutnik”, nikt by się nie domyślił, że to o niego chodzi.

Poglądy polityczne Ojca zawsze wiązały się z lewicą. Był zdecydowanym socjalistą, zbliżonym do obozu Józefa Piłsudskiego. Nie krył swojej niechęci do prawicy, a szczególnie do endecji. Nie podobały mu się i szcze-

gólnie potępiał wybryki antysemityczne. Zawsze mówił: „Jesteśmy państwem wielonarodowym. Przez okres zaborów nie dawano nam żyć, to my teraz bądźmy dla nich inni”. Tak widział ten ruch, zwany endecją, czyli Narodową Demokrację.

Z opowiadań ojca, które zachowały się w mojej pamięci, to sprawy ukraińskie. Zetknął się z nimi po Pierwszej Wojnie Światowej, w okresie, gdy był komisarzem w obozie internowanych w Szczypiornie. Opowiadał, jak po niepowodzeniach na froncie południowo-wschodnim, Semen Petlura, którego ojciec znał osobiście, zawarł porozumienie z J. Piłsudskim, by wspólnie walczyć przeciw bolszewikom. Niestety ten związek trwał dość krótko.

Po podpisaniu pokoju ryskiego w 1920 r. i po próbach samodzielnego prowadzenia walk, armia ukraińska została rozbita i zmuszona do schronienia się na terytorium Polski, gdzie została internowana. Korpus oficerski, liczący około 24 tysięcy oficerów i podoficerów, umieszczono w Szczypiornie koło Kalisza, w dawnym obozie internowania legionistów. Nad tym obozem nadzór komisaryczny miał mój ojciec. W sekretariacie zatrudniona była również moja matka. Według relacji ojca, po zawarciu pokoju ryskiego losem tych oficerów ukraińskich interesowały się władze radzieckie. Próbowano namówić internowanych do powrotu do ZSRR.

Ojciec szczególnie dobrze zapamiętał, jak pod koniec 1921 roku kierownictwo obozu w Szczypiornie otrzymało powiadomienie z Warszawy. Przyjeżdżała misja sowiecka w sprawie rozmów z internowanymi, która będzie starała się nakłonić ich do powrotu do ZSRR. Po zapoznaniu się z treścią pisma, strona ukraińska kategorycznie odmówiła jakichkolwiek kontaktów z Sowietami. Polskie kierownictwo miało kłopoty z przekonaniem Ukraińców o konieczności takich rozmów. Głównym argumentem, który wpłynął na zmianę stanowiska było, że propaganda bolszewicka zarzuci stronie polskiej celowe niedopuszczenie do rozmów, złe traktowanie internowanych i uniemożliwienie im powrotu do ojczyzny. W wyniku nacisków kierownictwo ukraińskie w końcu wyraziło zgodę na rozmowy.

W umówionym czasie, do obozu w Szczypiornie przybyła z Warszawy oczekiwana delegacja wraz z polską grupą oficerów łącznikowych. Oczekiwali na nią na placu apelowym stojący w szeregach oficerowie ukraińscy. Po przywitaniu z kierownictwem obozu misja sowiecka stanęła przed fron-

tem oczekujących wojskowych. Nastąpiło coś, co wszystkich zaskoczyło. O czym nie było poinformowane polskie kierownictwo obozu. Internowani mieli własną orkiestrę wojskową. Po wkroczeniu misji sowieckiej przed front stojących oddziałów, ukraińska orkiestra bez zapowiedzi odegrała „Jeszcze Polska nie zginęła” oraz hymn ukraiński. Wywołało to konsternację. Była to odpowiedź na propozycję niechcianych rozmów.

Po tym niezbyt udanym wstępie poproszono do stojących na dworze stolów, za którymi usiedli przedstawiciele obydwóch stron. Do siedzących delegacji proszono pojedynczo internowanych. Każdemu z nich zadawano pytanie, czy chce wracać do ZSRR? Większość odwracała się tyłem do misji sowieckiej, a przodem do Polaków i odpowiadała, że nie wraca. Jak podał ojciec, na około 24 tysięcy internowanych, do powrotu zgłosiło jedynie około 80 osób. Tę nieliczną grupę do wyjazdu skłaniał lęk o pozostawione na Ukrainie rodziny. Przytłaczająca większość deklarowała chęć pozostania w Polsce.

Internowani, którzy zgłosili powrót do ZSRR, umówili się z pozostałymi, że zaraz napiszą, jak zostali przyjęci przez Sowietów i o warunkach życia na Ukrainie. Uzgodniono sposoby przekazania pełnych informacji, by cenzura nie zatrzymała negatywnych opinii. Po ich wyjeździe na wiadomość nie czekano długo. Wszyscy znajomi otrzymali od kolegów już z granicy jednobrzmiące wiadomości, że serdecznie ich powitano, kwiatami i orkiestrą. Napisana była też zachęta, by jak najszybciej wracali. Niestety, były to jedynie wiadomości. Nikt się już więcej nie odezwał. W związku z tym nie było dalszych chętnych do powrotu. Przypominało to sprawę katyńską. Tam też przed śmiercią pozwolono krótko napisać kartkę pocztową i wysłać depeszę.

Oboz w Szczypiornie uległ likwidacji. Byli internowani znaleźli pracę w Polsce. Część oficerów przeszła do służby w armii polskiej, służąc jako oficerowie kontraktowi, a część wyjechała za granicę. Sam Semen Petlura wyjechał do Francji, gdzie został przez agentów sowieckich zamordowany. Na ten temat wiedziałem dużo od mego ojca, który miał służbowe kontakty z kierownikami innych obozów. Słyszałem, że nawet część jeńców bolszewickich nie chciała wracać do ZSRR po zakończeniu wojny. Jak rozpoczęła się dyskusja w prasie rosyjskiej o mordowaniu przez Polaków jeńców, mająca usprawiedliwiać Katyń, nie wytrzymałem i napisałem w tej sprawie

artykuł, drukowany w gazecie Ład, pod tytułem „Polacy nie mordowali”, z dnia 25 listopada 1990 r.

**Wanda Cieślińska**, z domu Mejer, moja mama. Urodzona w 1896 r. w Leszczynach. Datę swoich urodzin trzymała w wielkiej tajemnicy. Zawsze twierdziła, że starych nie szanują. Dlatego nie ma co się wiekiem chwalić. Z życia mamy, szczególnie z okresu jej młodości, wiem bardzo mało.



*Moja mama, Wanda Cieślińska z domu Mejer - 1916*

Pensję kończyła w Warszawie. W Garwolinie rozpoczęła pracę, najpierw jako nauczycielka, a potem w starostwie. Tam poznała ojca. Była dobrą i czułą żoną oraz idealną matką. Nie pamiętam, by rodzice choć raz z sobą się kłócili. Zawsze była przy ojcu służąc mu radą i pomocą. Było to idealne małżeństwo. Po wojnie bardzo chciała pracować, gdyż w domu się nie przelewało.

O ile pamiętam, z końcem lat czterdziestych, lub na początku lat pięćdziesiątych, pani Jadwiga Hemplowa (teściowa Zosi Kamińskiej) dostała koncesję na prowadzenie kiosku z gazetami. Zaproponowała mamie, by ta, jako zmianowa, pracowała z nią razem. Bardzo mamę to ucieszyło. Dostała nareszcie upragnioną pracę. Rano, skoro świt, jeździła z Wołomina do Warszawy. Jej szefowa przychodziła znacznie później na drugą zmianę. Pani Jadwiga miała bardzo posuniętą sklerozę. Potrafiła wydawać reszty niezgodnie z zakupami. Jak mama wspominała, były przypadki, że ktoś kupował zapalki za 50 gr. Pani Jadwiga, nie pamiętając ile otrzymywała pieniędzy, potrafiła wypłacić reszty z 10 złotych, albo wydawać towar bez pieniędzy. Były też przypadki, że u niej brano i z utargu pieniądze. W takich warunkach wymarzona praca nie mogła trwać zbyt długo. Mama nie tylko, że nie zarabiała, a musiała dokładać. Jak mówiła, to tylko w jednym miesiącu nie dołożyła do tego wymarzonego interesu. Ojciec był przeciwny mamy pracy i ucieszył się z takiego zakończenia. Uważał, że w jej wieku na taką pracę z rannymi dojazdami do Warszawy, to nie czas. Podśmiewał się, że tak się dała naiwnie wrobić.

Po śmierci męża mieszkała nadal w Wołominie. Odwiedzała nas często w Warszawie, a w niedziele przyjmowała wizyty u siebie. Należała do osób szalenie gościnnych. Była łącznikiem rodziny i przyjaciół. Dzięki niej utrzymywały się żywe związki i to nie tylko z najbliższymi. Bardzo dużo pisała listów i czekała na odpowiedzi, które prawie codziennie przychodziły. Niestety, po jej śmierci wszystko, co dawniej łączyła, zaczęło się rozluźniać. Bardzo przeżywała każdy mój dłuższy wyjazd za granicę. Odpisywała obszernie na moje listy. Te, które pisałem do Ani, przepisywała, by mieć je u siebie. Bardzo przeżywała Tadeusza nieudane małżeństwa i nie lubiła tam jeździć. Zmarła na serce w Otmuchowie mając 85 lat.

**Tadeusz Cieśliński**, mój brat, urodzony w 1921 r. w Poznaniu, był 7 lat ode mnie starszy. Nie należał do postaci sztandarowych, z których należało brać przykład. Odkąd go pamiętam, rodzice mieli z nim stałe kłopoty. Wszystko ruszał. Wyjadał ze spiżarni słodkości, które Mama chciała mieć zawsze w domu. Szafę miała na klatce schodowej zamykaną na klucz. To nie pomogło; dorobił wytrych. Jak mu coś smakowało, nie patrzył, co to jest. Wypił ojca lekarstwo na spanie, bo słodkie. W domu strach, czy to mu nie zaszkodzi? Wizyta u lekarza, a on nawet nie był po tym śpiący. Były też

zatargi z Żydami; wybijał im okna z procy. Raz rowerem najechał Żydówkę niosącą szklane nakrycia. Rodzice musieli za potłuczone rzeczy płacić.

Najwięcej kłopotów było ze szkołą. Uczył się nieźle, ale był dla nauczycieli trudny. Jak mógł, tak kombinował. W harcerstwie zdawał egzamin na 3 pióra. Zamiast siedzieć w lesie, to po kryjomu poszedł do kina, a spał w mieszkaniu. Sprawność oszustwem dostał. Jak się to wydało, był z tego cały skandal. Na ćwiczeniach z PW (Przysposobienie Wojskowe) odmówił nauczycielowi wykonania poleceń. Gdy dostał rozkaz, to rzucił karabin na ziemię i poszedł do domu. Tego szkoła nie mogła tolerować. Poproszono ojca o zabranie syna. Rodzice umieścili go w gimnazjum w Łowiczu. Tam też musiał ojciec jeździć, gdyż były skargi. Szczegółów już nie pamiętam.

Podczas wojny rodzice utrzymywali go w Warszawie, gdzie się uczył, lecz szło to bardzo niemrawo. Obciążało to skromny budżet domu. Mama musiała zarobkowo pracować. Razem z siostrami robiła na sprzedaż paszety i ciasta. Największą słabością Tadeusza były kobiety. Już przed wojną przystawiał się z wzajemnością do dużo starszej Elizy Bolenbach (bony - nauczycielki niemieckiego).

Jego największą miłością była Lilka Szymorowska, córka właścicieli majątku w Goździku pod Garwolinem. Podobnie, jak Tadeusz, uczyła się w Warszawie. Lubiła się bawić. Tadeusz, chcąc się przypodobać, chodził z nią po kawiarniach, które uwielbiała. Nie było go jednak na to stać. By mieć pieniądze, nie dojadał. Sprzedawał przesyłane z domu paczki żywnościowe. Próbował nawet reperacji butów, choć o szewstwie nie miał najmniejszego pojęcia. Na drzwiach przez pewien czas miał przybity szyld „Tania reperacja butów”. Przez głódzenie wpadł w gruźlicę i trzeba było go intensywnie leczyć. Dostawał trudno dostępne lekarstwo Pass. Gdy Lilka z nim zerwała, strasznie to przeżywał. Baliśmy się, by nie zrobił jakiegos głupstwa.

Po Lilce przyszły inne miłości. Wśród nich była Zosia Mikulska z Unina, a potem Zosia Zadróżna. Następnie bardzo piękna Bokówna z Trąbek; zapomniałem już jej imienia. W Warszawie związał się z koleżanką z konspiracji, Basią Bielewicz. Tak, jak szybko nawiązywał miłości, tak i je szybko zrywał. Podczas okupacji skończył konspiracyjną podchorążówkę. Chodził do szkoły kolejowej, która była przykrywką liceum i tam zdał tajną maturę. Następnie rozpoczął również tajne studia medyczne. W Powstaniu Warszawskim nie brał udziału. Jak mówił, nie zdążył z Bernerowa, gdzie wtedy

mieszkał, na wyznaczone miejsce koncentracji. Jego oddział z Placu Unii Lubelskiej atakował gmach Gestapo w Alei Szucha. Te spóźnienie pewno uratowało mu życie, bo prawie nikt z jego kolegów nie przeżył.

Po wojnie zerwał z Basią Bilewicz, którą bardzo lubiliśmy. Podczas bytności w Michałowicach na Śląsku poznał Marysię Michalik z Mysłowic. Była ładną i wartościową dziewczyną. Zaręczył się, co przyjęliśmy z dużą radością. Szkoda, że z jego powodu nic z tego nie wyszło. Medycynę po wojnie studiował w Łodzi. Warszawa mu nie odpowiadała, bo była pod kontrolą rodziców. Tam zetknął się z opiekunką dzieci, Łodzią Porhyniuk. Zaczął wspominać o małżeństwie. Rodzice nie chcieli wyrazić na ten związek zgody do czasu zakończeniu studiów. Był bowiem całkowicie na ich utrzymaniu. Bali się dodatkowych kosztów.

Mimo braku zgody ożenił się z nią nie powiadamiając nikogo nawet z najbliższej rodziny. Dokument ślubu podrzucił rodzicom podczas odwiedzin w domu. Łodzianka przypadła nam do gustu. Była dobrą żoną. Niestety, związek ten, również nie z jej winy, trwał krótko. Studia Tadeusza strasznie długo się przeciągały. Z przerwą wywołaną Powstaniem trwały prawie 11 lat. Po ich zakończeniu Tadeusz nie chciał zostać w dużym mieście. Wybrał Otmuchów, ładną miejscowość na Dolnym Śląsku, z którą się związał do końca życia.

W Otmuchowie otrzymał ładne paropokojowe mieszkanie w wolno stojącym domu z ogródkiem. Tam rozpoczął swoją pracę zawodową. Zatrudniony został jako lekarz kolejowy – kierownik przychodni. Ze światem medycznym Otmuchowa nie nawiązał przyjaźni. W latach sześćdziesiątych Tadeusz miał kłopoty z prokuratorem. W jego sprawie jeździliśmy do Grodkowa z Januszem Kamińskim. Chodziło o jakieś nieformalności. Dokładnie już tego nie pamiętam. Sprawę tę udało się załagodzić, lecz nastąpiło wiele krytycznych uwag na temat jego działalności. Była to dla Tadeusza przykra nauka, że nie wszystko mu wolno. Uważał, że jako lekarz, w Otmuchowie jest kimś wyjątkowym i może robić co chce. To był dla niego duży wstrząs. Później już podobnych spraw nie miał. Z prawem miał jednak dalej kontakty, lecz wiązały się one z rozwodami. Ja osobiście miałem do niego dodatkowe pretensje, że z lenistwa nie zrobił żadnej medycznej specjalizacji i na tym bardzo tracił, a o sobie jako specjalście miał bardzo wygórowane mniemanie.

Małżeństwo z Lodzią rozpadło się na początku 1957 r. Jeszcze przed rozwodem Lodzia wyprowadziła się do Jeleniej Góry. Rodzice chcieli ją u siebie zatrzymać, lecz odmówiła. Uważała, że to komplikowało by związki Tadeusza z rodzicami. Utrzymywaliśmy z nią do końca przyjazne kontakty. Choć nie mieli dzieci, za radą naszego ojca wystąpiła do sądu o alimenty i sprawę wygrała. Tadeusz następnie związał się z Niną Siulim. Po 10 latach, znowu z winy Tadeusza, rozstali się. Nina zrobiła karierę. Wyszła za mąż za naszego kuzyna i z nim wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie wiele lat mieszkali.

Nieszczęściem mojego brata było związanie się z Ireną, o 20 lat młodszą rozwódką. Związek z nią zaciążył na całym jego życiu. Zakończył się, jak było do przewidzenia, rozwodem. Jego hobby, oprócz kobiet, stały się wycieczki zagraniczne. W ciągu roku jeździł co najmniej na dwie. Tadeusz nie miał przyjaciół wśród kolegów lekarzy. Prawie wszystkie jego kontakty były koniunkturalne. Z rodziną utrzymywał związki tylko z rodzicami, a także z Marysią Gawarecką i Wodiczkamki, które cenił jeszcze z okresu okupacji.

Tadeusz był wysokim przystojnym szatynem, lecz pod koniec życia zaczął siwieć. Włosy miał do końca dość silne. Niepotrzebne zaczął je na czarno farbować. W zestawieniu z jego jasną cerą, bardzo rzucało się to w oczy. Mnie też do tego namawiał. Nie dałem się jednak na to nabrać. Uważałem, że farbować mogą się tylko kobiety. Na ten temat często z nim dyskutowałem i tu też nie mogłem znaleźć wspólnego języka.

Do bliskich przyjaźni ostatnich lat należała Antonina Kędra, zwana przez niego Tosią. Przez parę lat z nią się wszędzie afiszował. Następną i ostatnią sympatią była Józefa Janusz. Ta bardzo się nim zajmowała. Razem z nim przyjeżdżała do nas i do Koszalina. Pod koniec życia Tadeusz zaczął chorować. Próbował leczyć się sam. Okazało się, że miał wadę serca. Załatwiłem my specjalistę w Warszawie. Parę miesięcy później, podczas prześwietlenia, stwierdzono dodatkowo w woreczku duży kamień. Nie chciał zdecydować się na operację. Polecono mu więc ostrą dietę. Stołował się w tym czasie u Józefy, która wprowadziła odpowiednią dla niego dietę. Musiała jednak na pewien czas wyjechać do syna. Irena, z którą był po rozwodzie, próbowała go w tym czasie na nowo do siebie ściągnąć. Nie stworzyła mu jednak należytej opieki. Tadeusz był głodny i zjadł kupioną w sklepie kon-

serwę rybną. To spowodowało ostry atak woreczka i zapalenie otrzewnej. Przewieziono go do szpitala w Nysie. Zrobiono operację, lecz serce nie wytrzymało. Zmarł 9 lutego 2001 r., w wieku 79 lat.

Na pogrzeb pojechaliśmy samochodem. Z nami byli Kamińscy (brat cioteczny z żoną). Drugi brat, Janusz Kamiński, przyjechał z Unią spod Środy. Z Koszalina przyjechała Marysia, Marian Gawarecki i Kasia, ich córka, z mężem. Czyli z naszej strony było 10 osób. Pogrzeb był bardzo duży, pełen kościół ludzi. Prawie 50 lat tu mieszkał i leczył. Dla pacjentów był dobrym i lubianym przez nich lekarzem. Ja i rodzina z mojej strony zatrzymaliśmy się na zamku w Otmuchowie. W przeddzień wpadliśmy na moment do Andrejków, do znajomej dentystki, niegdyś zaprzyjaźnionej z Tadeuszem. Złożyliśmy też wizytę Józefie. Irenę widzieliśmy tylko na pogrzebie i to z daleka

## Mejerowie

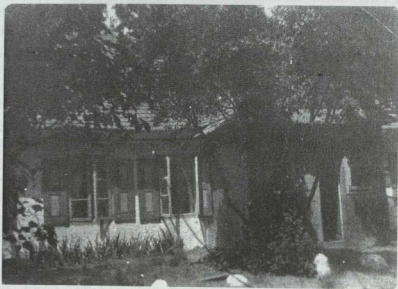
W „Polskiej Encyklopedii Szlacheckiej” znajdują się dane dotyczące rodu Mejerów w Polsce. Ród ten z XVII wieku, pochodzący z Niemiec, w starszych dokumentach pisał się Meyer. Następnie został spolszczony na Mejer, pieczętujący się własnym herbem „Mejer z Wolda”. Według danych historycznych, pierwszy przedstawiciel tego rodu w Polsce otrzymał w 1643 r. nobilitację za zasługi wojenne. Ponadto, Adam Mejer był w 1778 r. koniuszym kowieńskim, a Karol Mejer w 1788 r. sędzią ziemskim.

Najbardziej znanym przedstawicielem tego rodu był jezuita, ksiądz Józef Mejer, określany polskim Jakobinem ze względu na swoje poglądy i działania. Był politykiem, publicystą i działaczem Kuźnicy Kołłątajowskiej. Należał razem z Kołłątajem i Kilińskim do głównych konspiracyjnych organizatorów przygotowujących Insurekcję Kościuszkowską. Brał udział w walkach w Warszawie w 1794 r. Po upadku Powstania przebywał na emigracji w Paryżu. Pod koniec życia wrócił do kraju. Zajmował się antykwarstwem i zamieszkał w Krakowie, gdzie w 1825 r. zmarł.

W zapiskach historycznych nazwisko Mejer nie należy do rzadkich. Leon Mejer był w 1807 r. kapitanem w Wojsku Polskim. Jan Mejer odbył kampanie przeciwko Prusom i Austrii, a w 1812 r. brał udział w wyprawie moskiewskiej. Za walki z koalicją antynapoleońską otrzymał w 1813 r. order *Virtuti Militari*. Józef Mejer w 1831 r. był lekarzem wojskowym i brał

udział w Powstaniu Listopadowym. Natomiast major WP, Andrzej Mejer, w 1843 r. otrzymał pisemne potwierdzenie szlachectwa (Spis Szlachty Królestwa Polskiego, 1851). Mój pradziadek, Jan Mejer, właściciel Leszczyn, zginął w Powstaniu Styczniowym pod Różą. Ród Mejerów łączy, oprócz nazwiska, pochodzenie polsko-niemieckie i własny, rzadki herb „Mejer z Wolda”, którym się pieczętowano.

Z tego co wiemy, ród Mejerów wywodził się z Norymbergii. Za panowania Augusta II Mocnego wyemigrował do Polski. Niemieccy przodkowie Mejerów specjalizowali się w ważeniu piwa. Razem z nimi przyjechali z Niemiec zaprzyjaźnieni i skoligaceni Colowie. Ci również zajmowali się piwowarstwem. Colowie polonizując się zmienili nazwisko na Celińscy. Zakupili w początkach XIX w. majątek ziemski Sulbiny, a Mejerowie - Leszczyny. Przyjaźń tych dwóch rodów przetrwała do ostatnich lat. Informację tę otrzymałem od Basi Jaworskiej- Lazarewicz, a ta od swojej matki, właścicielki Sulbin, z domu Celińskiej.



*Dom w Leszczynach, lato 1943*

**Władysław Mejer** – mój dziadek, a ojciec mojej mamy. Urodzony w 1855 r., to jest, w roku śmierci Mickiewicza. Był rolnikiem, właścicielem majątku Leszczyny pod Garwolinem.



*Dziadkowie, Władysław i Helena Mejer. Zdjęcie z 1890*

Dziadka pamiętam jako wysokiego, bardzo przystojnego mężczyznę. Miał gęste ciemne włosy, lekko szpakowate tylko na skroniach, mimo swoich zaawansowanych lat. Nosił duże wąsy. Dwór w Leszczynach, w którym mieszkali dziadkowie, był bardzo stary. Składał się z 6 pokoi, dużej kuchni i spiżarni. Posiadał 2 ganki. Był to typowy polski dwór szlachecki, modrzewiowy, na zewnątrz tynkowany i kryty gontem. Jak każdy w tym czasie przyzwoity stary dwór, nie posiadał wewnątrz sanitariatów, tylko ubikacje na dworze. Nikt nie wiedział, kiedy ten dwór był zbudowany. W połowie XIX wieku był już stary i trzeba było go remontować. Przepuszczalnie jego początki sięgały pierwszej połowy XVIII w., a może były i starsze.

Leszczyny po Insurekcji Kościuszkowskiej miały zostać zarekwirowane

jednemu z uczestników tych zdarzeń. Razem z Miętmem i Głoskowem przekazane zostały za zasługi jakiemuś Słowikowskiemu. Kto to był? Obecnie nie wiadomo. Od tych ostatnich właścicieli Leszczyny zostały zakupione przez Mejerów. Na kupno była wzięta pożyczka rządowa, która została spłacona na parę lat przed II Wojną Światową. Dziadek wspominał (co usłyszał od swojej matki), że dawnym właścicielom miały umierać nowo narodzone dzieci. W celach wotywnych, postawili oni krzyż w ogrodzie. Od tej pory dzieci zaczęły się chować dobrze. Do końca wojny ten stary spróchniały, wielokrotnie poprawiany krzyż, jeszcze stał. Po naszym wyjeździe z Leszczyn nikt go już nie remontował. Wkrótce nawet ślad po nim nie został.

Dziadek Mejer często wracał do wspomnień, a miał co wspominać! Kiedyś, na początku lat czterdziestych, w mroźny styczniowy późny wieczór, podczas śnieżnej zamieci, kiedy wiatr gwizdał i szarpał okiennicami, przerwał układanie ulubionego pasjansa, poprawił naftową lampę, zamyślił się i powiedział: „Tak było w 1863 roku. Do dworu przyjechali nocą powstańcy. Paru z nich weszło do mieszkania. Długo na osobności rozmawiali z ojcem. Inni czekali w zabudowaniach gospodarczych chroniąc się przed zimnem. Wkoło domu i w ogrodzie rozstawione były konne warty. Parę kilometrów stąd, w pobliskim Garwolinie, stacjonowały jednostki kozackie. Ojciec wyruszył do Powstania, by walczyć. Pamiętam, jak uzbrojony w dubeltówkę siadał na konia. Wspominał płaczącą matkę, która podała mnie w ramiona ojca. Ten mocno mnie uściśkał i ucałował. Było to nasze ostatnie pożegnanie. Poczem oddał mnie w ręce szlochającej wciąż matki. Widziałem, jak kawalkada jeźdźców ginęła w ciemności nocy i w śnieżnej zamieci. Już nigdy z wojennej tułaczki pradziadek nie wrócił i ślad po nim zaginął.”

Opowieść ta bardzo podziałała na moją dziecięcą wyobraźnię. Zacząłem się wypytywać Jak mógł zginąć? Kto był przy jego śmierci? Nie dostałem odpowiedzi, bowiem nikt w domu nic nie wiedział. To opowiadanie wpłynęło na to, że okresem tym zacząłem się specjalnie interesować. Z tego, co teraz wiem, walczył on w oddziale pułkownika Walentego Lewandowskiego i zginął pod Różą na Podlasiu, w pobliżu Siedlec. Po krwawej bitwie oddział ten został rozbity, a większość powstańców zginęła. Przez wiele lat po tym strasznym okresie nie wolno było nikomu na ten temat nic mówić. Za udział w Powstaniu były represje i rekwizycje majątków. Oficjalnie przygotowana była wersja choroby płuc, na którą ojciec dziadka pojechał

się leczyć do wód za granicę. Dziadek wspominał, że kwaterujący w Leszczynach oficerowie rosyjscy brali go na kolana i wypytywali się o ojca. Mejerów w tym okresie brano za niemieckich kolonistów i nie podejrzewano o udział w polskim Powstaniu.

W Leszczynach gospodarowała prababcia. Nie znam nawet jej imienia. Następnie, po prababci przejął gospodarkę dziadek. Pochowana została na cmentarzu w Garwolinie, lecz jej grobu nie udało mi się odnaleźć. Wiem z opowiadań mamy, że była pochowana koło starej cmentarnej kaplicy.

Dziadek był na praktyce rolnej w lubelskim, w którymś majątku Platerów. Podobno hrabina Platerowa była bardzo skąpa. Jak opowiadał, to śmiał się, że sama z dróg zbierała kamienie. Miały one uszkadzać koła wozów.

Dziadek miał starszą siostrę. Na imię miała Aleksandra. Na płycie nagrobnej w Garwolinie błędnie podano jest jej imię, Józefa. Dla nas była babcią Dobrowską zarządzającą domem.



*Dziadkowie, córki z zięciami, babcia Dobrowska. Piotrowscy z mamą cioci Jasi. Dzieci - Tadeusz, Jurek, Zosia i Stefan. Leszczyny. Zdjęcie z lat około 1932 r.*

Od Mamy wiem, że zakochała się w naczelniku stacji kolejowej w Pila-  
wie. Niestety, prababcia sprzeciwiła się temu związkowi, gdyż nie była to  
właściwa partia. Została wydana za ziemianina Dobrowolskiego, właściciela  
majątku pod Górą Kalwarią. Małżeństwo to nie było udane. On był alkoholi-  
kiem, utracuszem i szybko zmarł. Nie mieli dzieci. Babcia Dobrowolska  
po jego śmierci nic nie odziedziczyła. Nie wyszła powtórnie za mąż. Wróci-  
ła do Leszczyn, gdzie pomagała w prowadzeniu gospodarstwa. Pamiętam ją,  
jako chorowitą, zasuszoną, malutką staruszkę. W 1938 r. umarła na raka.  
Mama była przy jej śmierci. Opowiadała, że poprosiła o podanie krzyża.  
Całując go spokojnie zasnęła.

Przypominam sobie, jak dziadek stemplował jakieś pisma swoją lakową  
herbową pieczętką. W herbarzach jest wzmianka, że ród Mejerów posługuje  
się własnym herbem. Pieczętkę tę mam w swoich zbiorach. U dziadków  
były dwie pieczętki. Szkoda, że wziąłem tylko jedną. Pamiętam, że do swo-  
jego wyjazdu z Leszczyn chodził na co dzień w staromodnej bekieszy z  
szamerunkiem. Identycznie, jak Artur Grottger malował powstańców stycz-  
niowych.



*Dziadkowie, córki, syn Janek z żoną Jasią i znajomi córek. Leszczyny. Zdję-  
cie z lat około 1918 r.*

Dziadek należał do ludzi nadzwyczaj gościnnych. W związku z tym, przez dom w Leszczynach przewijało się masę osób. I to nie tylko krewnych, zaprzyjaźnionych, ale i całkiem obcych. Zwykle po przyjeżdżających gości były wysyłane na stację konie. (Foto. 21). Hurkot żelaznych kół po bruku informował z daleka, że oczekiwani już jadą. Dziadek po staropolsku oczekiwał i witał gości stojąc w progu ganku. Szeroko rozstawiał ramiona, by każdego serdecznie uściskać.



*Leszczyny. Wyjazd bryczką do Garwolina. Jadą: F. Cieśliński, babcia Kamilla Zarudzka i ciocia Zofia Bartoszewicz. Powozi fornal Stasiek Moch.*

Był bardzo ciekawy ludzi i świata. Wieczorami zawsze zasypiał z książką, gdyż czytał bardzo dużo. Przy stole dziadek miał swoje stałe miejsce, którego nikomu nie odstępował. Przed każdym wspólnym posiłkiem zwykle życzył „smacznego”. Potrafił ciekawie mówić o różnych historiach swego długiego życia. Opowiadał, jak w okresie swojej młodości wracał bryczką z wizyty w Goździku. Była piękna, letnia, księżycowa noc. Na pustkowiu, między wioskami Unin i Leszczyny stał przydrożny samotny krzyż. Koń szedł stępą, na koźle siedział drzemiący woźnica. Gdy zbliżyli się do krzyża, zauważyli klęczącą pod nim kobietę. Wyglądała niesamowicie: ubrana była na białą, jak do ślubu. Postać ta wstała i zaczęła iść w ich kierunku.

Ogarnął ich nagle strach, koń również się wystraszył. Ruszyli galopem. Po przejechaniu kilkuset metrów stanęli. Dwóch dorosłych silnych chłopów przestraszyło się białej kobiety. Może potrzebowała pomocy? Zawrócili, lecz pod krzyżem nikogo już nie było. Dziadek nie potrafił tego wytłumaczyć. Nie wie też, dlaczego się wystraszyli.

Opowiadał również, jak kiedyś wracał późną porą sam przez las. Była wtedy również jasna, księżycowa noc. Gościńiec, którym szedł, wychodził na leśną polankę, oświetloną blaskiem księżyca. Z bocznej ścieżki wyszedł wysoki barczysty chłop z siekierą w ręku. Stanął i czekał. Dziadek nie wiedział, jakie ten człowiek ma zamiary. Wyglądało to jednak groźnie. Był uzbrojony w siekierę, a dziadek nie miał z sobą nic. Oprócz nich nie było nikogo. Postanowił iść śmiało na chłopą. Zdjął z siebie kożuch i zarzucił na plecy, by mieć wolne ręce i w razie czego móc się nimi bronić. Prawą rękę wsadził do pustej kieszeni. Udawał, że ma tam broń. Chłop bacznie mu się przyglądał. Gdy był już bardzo blisko, nagle chłop zdjął czapkę i powiedział: „pochwalony”. Dziadek odetchnął, lecz był pewny, że ten nieznajomy pierwotnie miał inne zamiary. Sądził, że w ostatniej chwili musiał się przestraszyć.

Wspominał, jak żyrował weksle jakiemuś ziemianinowi, Gościmskiemu. Był jego znajomym i nie wypadało odmówić. Niestety, musiał do końca życia za niego spłacać dług. Gościmski był na tyle bezczelny, że kiedyś zapytał się, ile ma jeszcze do spłacenia? Dziadek opowiadał o napadach bandyckich i zainstalowanych w Leszczynach dzwonek alarmowych. Raz wiatr spowodował ich zwarcie. Służba ściągnęła policję. Okazało się, że to nie napad, a awaria dzwonek. Mówił o wojnie z Bolszewikami. Jak w Leszczynach umieszczono rannego sowieckiego pułkownika. Gdy nastąpił nagły odwrót, rannego zabrano z sobą, mimo zaleceń lekarskich.

Dziadek do końca był sprawny fizycznie. Wstawał o 5 rano, a kładł się spać z kurami. Zwykle o 20-tej był już z książką w łóżku. Gdy zapominał jakiegoś nazwiska, wtedy mówił: „Jak mu tam? Niech będzie Bubek”. Pamiętam jego porzekadła. Jedno z nich to: „Dobra kasza z mlekiem bywa, gdy się wody nie doliwa. Gdy się wodą zabomboli, to od kaszy brzucho boli”, lub „Starzec, jak przeżyje marzec, będzie zdrow. Baba, jak zachoruje w maju, pacierz mów”. Nieszczęściem było, że musiał opuścić swoje ukochane Leszczyny. Starych drzew się nie przesadza. W Kaliszu zamieszkał u

córki, zmarł w 1946 r. w nocy na serce, nie chorując przedtem. Właśnie czytał „Łuk Tryumfalny” Remarque’a. Włożył w książkę zakładkę, a rano już nie żył.

**Helena Mejer**, z domu Zobczyńska, moja babcia. Pochodziła ze Zwierzyńca Lubelskiego. Ojciec jej pracował w ordynacji Zamojskich. Więcej nic nie wiem.



*Helena Mejer, z domu Zobczyńska, około 1900 r.*

Gdzie ją dziadek poznał, tego również się już nie dowiemy. Być może, że przez związki z Platerami. Gdy ją zobaczył, była smarkulą, na którą, jak wspominał, nie zwracał najmniejszej uwagi. Nie sądził, że będzie jego żoną. Dziadek Mejer był bardzo przystojny i z dobrej herbowej rodziny, lecz nie należał do zbyt zamożnych. Był jednak partią, a to się wtedy liczyło. Odległość Leszczyn od Zwierzyńca wynosi ponad 160 km. Na tamte czasy, to było bardzo daleko. W drugiej połowie XIX w. do Lublina można było dojechać już pociągami. Dalej do Zwierzyńca zostawał tylko transport konny. Januszowi Kamińskiemu opowiadał, że jeżdżąc w odwiedziny do narzeczonej korzystał z rozstajnych koni. Czyli wcześniej jechała służba i po drodze zmieniała zaprzęgi. Było to na pewno bardzo kłopotliwe. Nie ma jednak złej drogi, do swej niebogi.

Babcia Helena miała brata Edmunda. Był on malarzem, absolwentem

Akademii Krakowskiej z okresu „Młodej Polski” i kolegą ze studiów krakowskich słynnego rzeźbiarza, Xawerego Dunikowskiego. Z nim utrzymywał do końca kontakty. Dzięki temu i ja mogłem go poznać. Po wojnie dziadek Edmund mieszkał w Morągu. Parę razy z nim się spotkałem. Dużo jego obrazów jest w posiadaniu naszej rodziny. Ja niestety, nie mam żadnego. Raz z wizytą przyjechał do Wołomina, lecz zapomniał naszego nazwiska. Pamiętał tylko panieńskie mojej matki, to jest Wandy Mejer. W jaki sposób do nas trafił, tego nie wiadomo.

Siostrą Heleny Mejerowej była Kamila. Nosiła po mężu nazwisko Zarudzka. (Foto. 21). Jeden z protoplastów tego rodu był w okresie buntu Chmielnickiego atamanem kozackim. Walczył pod dowództwem pułkownika Strusia, broniąc Kreml w wojnie o tron carów. Był jednym z polskich dowódców i jego nazwisko przeszło do historii. Okres jego działalności powiązany był też z Iwanem Susaninem, przedstawionym w operze Glinki „Życie za cara”. Mąż babci Zarudzkiej pracował również w Ordynacji. Mieli dwoje dzieci, Bogdana i Zofię. Bogdan, zginął w Powstaniu Warszawskim. Żona jego miała na imię Tunia, a syn, Andrzej. Obecnie nie mam z nim kontaktu. Córka babci Zarudzkiej - Zofia, została wydana za Wiącka, który również pracował w Ordynacji. Był on dużo starszy od swojej, wtedy młodej i przystojnej, żony. Po ślubie szybko zmarł. Na zdjęciach widziałem, że miał długie sterczące na boki wąsy. Wiem od swojej mamy, że nikt się jej w sprawie zamążpójścia nie pytał. Najważniejsze, że podobał się babci Kamili.

Ciocia Zosia była wyjątkowo przystojną kobietą i miała jedną córkę, Hankę. Wychodziła ona parę razy za mąż i z związku z tym nosiła różne nazwiska. Pierwszym jej mężem był Szepietowski, syn bogatego ogrodnika, „Króla cebuli”, a ostatnim Szymczak. Między nimi było jeszcze paru innych. Z Hanką byłem zaprzyjaźniony i uczestniczyłem w jej ostatnim ślubie i pogrzebie. Babcia Kamila i ciocia Zosia Wiąckowa po wojnie zamieszkały w Wołominie, dobrze je więc znałem. Babcia pod koniec życia miała wypadek, spadła do piwnicy, miała połamaną miednicę i nie mogła chodzić. Po śmierci pochowane zostały na cmentarzu w Kobylce. Wiem też, że siostra Wiącka była działaczką społeczną i podobno w okresie okupacji zrobiła dużo dobrego dla Zwierzyńca. Niestety szczegółów nie znam. Jej nazwisko w Zwierzyńcu jest tam do dzisiaj znane.



*Dziadkowie i córki. Z boku stoją, Ciocia Wiąckowa z Hanką i znajomi.  
Leszczyny. Zdjęcie z lat około 1926*

Babcię, Helenę Mejerową, prawie nie pamiętam. Chorowała na raka i zmarła w 1935 r. Jak przez mgłę przypominam sobie moment, kiedy przywiozła ją karetka ze szpitala do Leszczyn. Mnie interesował w tym czasie tylko samochód, który ją przywiózł. Była już w bardzo złym stanie. Wiem z opowiadań, że należała do bardzo interesujących kobiet. Miała duże poczucie humoru i wielki talent muzyczny. W Leszczynach często urządzano spotkania młodzieży z tańcami, na których grała na fortepianie. Nic dziwnego, były bowiem tam trzy córki na wydaniu. Dom i ogród były jej zasługą. Dwór w Leszczynach tonął w zieleni. W ogrodzie rosły wspaniałe wiąz, kasztany, bzy i ozdobne krzewy. Były klomby z kwiatami i gracowane alejki, przy których stały ławeczki. Szczególnie imponujący był stary stojący obok domu, kilkusetletni wiąz. Miał on parometrową średnicę. Ten nazywany przez nas ogród był właściwie uroczym parkiem.

Za domem mieściły się czworaki, gdzie mieszkała służba. W Leszczynach pracowało na stałe siedem osób: Stary Szczepan, Szczepanek, Stasiak

Moch, Marysia Moch, Mętryba, jego żona Michalina i służąca Stasia. Przepaść między służbą dworską, a ziemiaństwem była ogromna. Tak było wtedy wszędzie. Pracownicy dworscy, to wszystko analfabeci. Tylko jeden z nich, stary Szczepan, trochę czytał. Nauczono go niegdyś w wojsku rosyjskim, gdy przebywał na froncie japońskim w 1905 r. Wielodzietni formale gnieździł się z rodzinami w pojedynczych izbach. Stały tam tylko po dwa łóżka. Na każdym z nich sypiało po wiele osób. Pamiętam, że siadając do jedzenia, jedli zwykle z jednej miski. Siedząc wkoło, każdy na zmianę, w kolejności, sięgał łyżką po jedzenie.

Wszystkie dzieci Mejerów otrzymały staranne wykształcenie. Córki - Wanda, Marychna i Zosia, skończyły pensje w Warszawie. Zosia rozpoczęła studia na uniwersytecie, których nie skończyła. Dziadek jeździł do nich co tydzień z wałówką i kontrolował postępy nauki. Przed przywitaniem każda z nich musiała najpierw pokazać dzienniczek ze stopniami.



*Brat mojej mamy, Jan Mejer. Zdjęcie z 1923 r.*

Syn Janek, nadzieja Mejerów, rozpoczął studia medyczne. Nie wytrzymał prosektorium. Przeniósł się wtedy na leśnictwo. Przed zakończeniem

nauki ożenił się z Janiną Kamińską, córką fabrykanta luksusowego obuwia w Warszawie. Po zakończeniu studiów przyjechał z dyplomem do Leszczyn. Wielka była to radość dla rodziców. Pierwszy syn z wyższym wykształceniem. Zaproszono gości na tę uroczystość. Po ich odejściu, gdy wszyscy szli spać, nagle usłyszano łoskot w pokoju Janka. Leżał na ziemi martwy. Przybyły lekarz określił, że to serce. Sekcja nie była robiona. Mógł to być również wylew; tego się już nie sprawdzi. Żona wujka Janka Mejera, po śmierci męża wyszła za mąż za Antoniego Piotrowskiego, Wujka Tolka. Był to bardzo interesujący człowiek. Był oficer gwardii cesarskiej (Gwardii Preobrażeńskie) pełniący służbę w Pałacu w Petersburgu. Był inżynierem geodetą. Wuj po wojnie zmarł na raka w Warszawie. Moja żona, Ania, była przy jego śmierci.



*Zdjęcie rodzinne pod więzem. Córki, zięciowie i dzieci. W mundurze rotmistrz Henryk Bartoszewicz. Leszczyny. Zdjęcie z 1932 r.*

Dla Mejerów była to klęska. Nie miał już kto objąć Leszczyn. Córki wyszły za mąż. Ciocia Marychna za adwokata, Wacława Kamińskiego z Kalisza. Ciocia Zosia za rotmistrza, Henryka Bartoszewicza. Podczas wojny dostał się on do sowieckiej niewoli. Przewieziony do obozu w Starobielsku, został zamordowany w Charkowie. Moja mama poślubiła nie rolnika, a urzędnika. Postanowiono, że dopóki żyją dziadkowie, Leszczyny będą utrzymywane. Po ich śmierci ma nastąpić parcelacja. Babcia Helcia była zdruzgotana śmiercią syna. Jak założyła żałobę, to nie wyszła z niej do końca życia. Stale już chodziła w czerni. Przestała grać na fortepianie. Dom, który wcześniej był pełen radości, stał się inny i smutny. Ożywał jedynie w okresie wakacji, gdy zjeżdżały córki z wnukami. Takie Leszczyny zostały w mojej pamięci.

Dom dziadków był pełen tajemnic. Szczególnie salon z dużymi portretami. Na ścianach bijące stare zegary. Stały piękne stylowe lampy na naftę. Elektryczności w tym czasie w Leszczynach nie było. Barometr, który mnie zawsze zadziwiał (skąd on wie, jaka będzie pogoda?). Mam go i do dzisiaj sprawnie działa. Był on stałym przedmiotem zainteresowania dziadka, szczególnie w okresie prowadzenia prac polowych.



*Dostaliśmy się do skrzyń ze starymi ubraniami. Świetna zabawa. Zosia, ja i Janusz, oraz dzieci pani Stasi Tobiasz. Leszczyny. Sierpień 1939 r.*

W małym pokoiku w czworakach znajdowała się wielka skrzynia ze starymi ubraniami. Były tam suknie balowe i gorsety z fiszbinami. Krynoliny i „tiurniury”. Były meloniki, cylindry, wachlarze, okulary na ozdobnych rączkach. Lubiliśmy się w te stare stroje przebierać. Na strychu znajdowałem bardzo dużo starych książek i gazet. Były listy pisane po francusku z podpisem Marii Antoniny. Gazety, jeśli były sprzed pierwszej wojny światowej, to znaczy nie takie stare. Z braku innej literatury, często czytałem powieści z końca XVIII i początków XIX w. Żałuję teraz, że niewiele z tych ciekawych rzeczy z Leszczyn zabrałem.

Po naszym wyprowadzeniu się z Leszczyn dom uległ rozbiórce i większość zostawionych tam staroci uległo zniszczeniu. Wśród starych książek, jedna z nich bardzo mnie zaintrygowała. Był to gruby tom na czerpanym papierze w języku francuskim, pod tytułem „Fortification” z 8 roku, Teraz wiem, że to data po wielkiej rewolucji francuskiej, czyli rok wydania 1781. Na moje pytanie „Skąd się to u nas wzięło?” Dziadek odpowiedział, że podczas przemarszu Wielkiej Armii Napoleona na Moskwę, w Leszczynach kwaterowali oficerowie francuscy i oni ją zostawili. To wiedział od swego ojca.

## Górecy

Ród mojej żony. Nazwisko rodowe Góreckich historycznie było szeroko w Polsce rozprzestrzenione i pieczętowało się szeregiem różnych herbów. Z sieradzkiego pochodzili Górecy herbu Dołęga, których przodkowie wielce zasłużyli się za Zygmunta III w wojnie o Smoleńsk. Z tego też regionu wywodzą się Górecy herbu Poraj. Z poznańskiego pochodzi linia pieczętująca się herbem Drya, Szeliga, Wieruszowa i Sokoła. W sandomierskim natomiast zamieszkiwał ród Góreckich Jastrzębców, a na Śląsku znani byli Górecy herbu Kornic. Z herbarzy wynika, że Górecy w Polsce wydali wielu znakomitych i sławnych ludzi.

Jak te rody powiązane były z rodziną ojca mojej żony, tego dokładnie nie wiadomo. Nie zachowały się żadne dokumenty, ani rodzinne przekazy dotyczące historii. Najprawdopodobniej jednak, rodzina ta związana była z herbem Wieruszowa, o czym kiedyś wspomniał senior rodziny, Stanisław Górecki.



*Ojciec Ani, Stanisław Górecki w Armii Niemieckiej. Front Zachodni.  
Okolo 1916 r.*

## **Dzieciństwo**

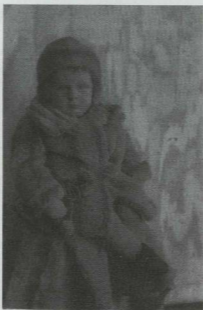
Urodziłem się 28 stycznia 1928 r. w Płocku. Nic z tego pierwszego okresu mego życia nie pamiętam. Wiem, że w Płocku bardzo chorowałem. Miałem straszną biegunkę, którą lekarze nie potrafili opanować. Dopiero porada znajomego lekarza, „Mariawity”, przyniosła poprawę. Gdy w rozmowie dowiedział się od mego ojca, że mama nie ma pokarmu i karmiony jestem mlekiem krowim, polecił wziąć mamkę. To przyniosło natychmiastową poprawę. Rodzice przeprowadzili się w 1930 r. do Rypina. Płock i dom mojego urodzenia zobaczyłem dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy kupiłem samochód. Podczas niedzielnej wycieczki pojechaliśmy tam z rodzicami. Był to drewniany, parterowy budynek obok starej kamienicy, gdzie oj-

ciec pracował. Mieścił się tam dom inwalidów i „Przytulisko” dla powstańców styczniowych. Ojciec był organizatorem i pierwszym kierownikiem tej placówki. W Płocku ojciec zaczął pracować w starostwie, skąd służbowo został przeniesiony do Rypina.



*Moje pierwsze zdjęcie. Płock, 1928 r.*

Z tej ostatniej miejscowości w pamięci zostały tylko niepowiązane strzępy wspomnień. Brat bijący się z jakimś chłopakiem. Jazda na sankach w parku i lepienie bałwana. Silny wiatr, który jak mi się zdawało, poruszał drewniany sufit. Wizyta u Hasi córki, fotografki Jędrzejewskiej, z którą mama się przyjaźniła. Pamiętam też, jak szedłem z rodzicami ulicą i było bardzo dużo ludzi. Szła pielgrzymka do Częstochowy i przechodziła obok orkiestra, na którą tak się zapatrzyłem, że zgubiłem rodziców. Musieli mnie szukać. Również pamiętam, że ojciec gdzieś jechał służbowo w zimie. Samochód pod oblodzoną górką nie mógł podjechać i musiał zawrócić. Były to pierwsze moje wspomnienia z rozpoczynającego się życia. Parę lat temu, wracając z Koszalina, Tadeusz pokazał mi niewielki parterowy drewniany dom, stojący obok parku, w którym przed wielu laty mieszkaliśmy. Sam bym tam nie trafił.



*Moje zdjęcie z Rypina, 1931 r.*

W 1932 r. rodzice przeprowadzili się do Sochaczewa. Było to przeniesienie służbowe i awans w starostwie. Zamieszkaliśmy w dużej, trzypiętrowej, nowej kamienicy naprzeciwko szpitala. Dom ten już nie istnieje. Został zniszczony podczas walk w 1939 r., Mimo, że był to na warunki ówczesne nowoczesny budynek, nie było w mieszkaniach sanitariatów. Z okresu tego też niewiele jeszcze pamiętam. Jak przez mgłę przypominają mi się wyjazdy do Chodakowa przez Trojanów, gdzie mieszkali zaprzyjaźnieni z rodzicami Henkowie. W Trojanowie miałem jakieś kłopoty żołądkowe tak, że trzeba było urządzać pranie.

Pamiętam też służącą, z którą chodziłem na spacer. Raz zabrała mnie do szpitalnej kostnicy. Wzięła na rękę, bym dobrze widział. Leżała tam młoda samobójczyni i mała dziewczynka ubrana po krakowsku. W okresie tym ojciec z ramienia starostwa kupował dworek w Żelazowej Woli na przyszłe muzeum Chopina. Byłem tam z rodzicami parę razy. Nie był on wtedy ciekawy. Wkoło nie było parku tak, jak dzisiaj. Sam dom był stary i odrapany.

Stał tam już pomnik ku czci kompozytora. Ojciec robił zdjęcia aparatem ze statywem, które do dzisiaj się zachowały.



*Leszczyny, kąpiel w Wildze. Pani Stasia Tobiasz z dziećmi. Ja, Janusz i Marysia stoimy obok. Sierpień 1939 r.*

Wakacje zawsze spędzaliśmy u dziadków w Leszczynach koło Garwolina. Warunki dla dzieci były tam idealne. Była woda do kąpeli w pobliskich stawach i w rzece Wildze. Duży ogród, a właściwie park z drzewami owocowymi, krzakami porzeczek i agrestu. Piękne wiązy, kasztany, bzy i różne ozdobne krzewy. Gracowane alejki z ławeczkami, masa kwiatów. W starym dworze o dwóch gankach było sześć pokoi i wielka kuchnia. Dodatkowe cztery pokoje do naszej dyspozycji w czworakach. W Leszczynach zamieszkiwali: dziadek Władysław, jego żona, babcia Helcia i siostra dziadka, babcia Dobrowolska. Była też liczna służba. Zarządzającą domem po śmierci babci była pani Wodzyńska. Jedna, lub okresowo dwie służące w kuchni. Fornale: Stasiek Moch, Marysia, jego żona, nie bardzo normalny Szczepa-

nek i stary Szczepan, jego ojciec. Drugą rodziną był Mętryba z Michaliną, oraz ich dzieci.

Do Leszczyn na wakacje zjeżdżała się cała młodzież. Tadeusz, Jurek, Zosia, Janusz, Marysia i ja. Przyjeżdżała pani Stasia Tobiasz z córkami. Była ona opiekunką dzieci Kamińskich, a jej mąż był lokajem wuja Wacka. Była też Niemka, Eliza Bolenbach, zaangażowana do nauki języków obcych. Przyjeżdżały również rodziny zaprzyjaźnionych osób. Było więc bardzo wesoło. Zaraz po przyjeździe zabierano nam buty. Uważało się wtedy, że chodzenie boso jest zdrowe. Było co tam robić. Do Garwolina jeździliśmy, w zależności od pogody, bryczką, wolantem, lub powozem. Były psy, koty i masa innych zwierząt. Lubiliśmy wieczorne pojenie krów i koni, kiedy całe stada zaganiane były do rzeki. Jeździło się wtedy na oklep. Moim ulubionym koniem była klacz Bibdzia. Na młodą klacz Baškę bałem się wsiadać. Z krów pamiętam tylko jedną i to dlatego, że bodła. Nazywała się Bajgiel. Każda z nich miała swoje imię. Czas, niestety, już je z pamięci wymazał.

W stawach łapaliśmy siecią karpie, a w Wildze kielbie na wędki. W upalne dni chodziliśmy się kąpać nad rzekę. Obraz Leszczyn łączy się w mojej pamięci też z dźwiękiem klepanych kos w okresie żniw, radością, słońcem i kwiatami. W imieniny dziadka, na Władysława, zrywaliśmy kwiaty, z których robiliśmy bukiety dla solenizanta. Kwiaty były też naszywane na płócienną przeciwsłoneczną zasłonę werandy. Uczyliśmy się wierszyków imieninowych i bardzo przeżywaliśmy ich deklamację przed dziadkiem. Tam, wśród najbliższych, spędzaliśmy najszcześniejsze chwile naszego życia.

W pamięci zachowały mi się letnie burze. Były to przykre momenty, których się bardzo bałem. Szczególnie jedną z nich dobrze pamiętam. Zbliżała się czarna chmura, z oddali grzmiało i błyskało się. Zagoniono, jak zwykle, bydło z pastwisk. Zamknięto okna. Starsi patrzyli z niepokojem w niebo, w którą stronę przesuwają się czarne groźne chmury. Słychać było głośne ostrzeżenia, czy wszystko jest pozamykane. Skupiliśmy się w jednym pokoju, dziadka. Babcia zapaliła gromnicę i postawiła ją w oknie. Zaczął wiać straszny wiatr i lał deszcz. Błyskało i grzmiało. Ja siedziałem u mamy na kolanach. Panie głośno odmawiały różaniec. Nagle straszny błysk i huk. Szum w uszach. Widać poruszające się usta, lecz nic nie słyszeć. To piorun

uderzył w antenę. Szczęście, że uziemioną. Przeszedł przez nasz pokój, a w miejscu uderzenia wybił w ścianie dziurę wielkości pięści. Dopiero po pewnym czasie odzyskaliśmy słuch. Było to dla nas wielkie przeżycie.

Następnym etapem był Grójec. Rodzice przeprowadzili się tam gdzieś na początku 1934 r. Każdą przeprowadzkę ojciec bardzo przeżywał. Wiązało się to jednak z awansem. Objął tam stanowisko wicestarosty. W pierwszym okresie starostą był bardzo sympatyczny pan Pawłowski. Miał on dwie córki; jedną w moim wieku. Często przychodziłem do nich się bawić. Zamieszkaliśmy na ulicy Piłsudskiego, na drugim piętrze, w trzypiętrowej kamienicy. Mieszkanie było ładne, miało trzy pokoje. Było skanalizowane, posiadało ubikację, lecz nie było łazienki. Za domem był duży ogród, gdzie zwykle się bawiłem. Przed domem, od tyłu, była duża żelazna kręcona studnia, z której trzeba było nosić wodę. Podczas I Wojny Światowej mieścił się tu szpital.

Naprzeciwko nas mieszkał komisarz ziemski, Jan Kaczyński. Był on oficerem legionowym. Z ich całą rodziną byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Mieli dwie córki: Danusię i Jagodę. Jedna była w wieku Tadeusza, a młodsza trochę starsza ode mnie. Na naszych rodziców mówiliśmy ciociu i wujku. Tam podczas jakiejś rozmowy starszych usłyszałem, że dom, w którym mieszkamy, jest konstrukcyjnie źle wyliczony i w razie większego huraganu może się zawalić. Każda wietrzna pogoda napawała mnie strachem. Była to plotka, o czym może świadczyć fakt, że do dzisiaj dom ten stoi. Dozorcą był Kowalski. Stale miano do niego pretensje, że podobno miał długie ręce. Jak o coś go oskarżano, to ja szedłem się pytać: „Pan nie ukradł, tylko wziął?” Następnie wymieniałem przedmiot, który zaginął.

Z rodzicami bardzo przeżywałem wojnę włosko-abisyńską. Do Hajle Selasje napisałem list z poparciem. Obiecywałem, że jak uda mi się kupić karabin, to mu pošlę i niech wypędzi Włochów. Oddałem list ojcu, by go wysłał do Abisynii. Po latach znalazłem go w ojca papierach. W domu dużo się również mówiło o wojnie w Hiszpanii. Naturalnie, za rodzicami sympatyzowałem z generałem Franko walczącym z bezbożnymi komunistami.

Pamiętam z tego okresu antysemityczne rozruchy w Grójcu. Pikiety pod sklepami. Żydzi przychodzili do naszego domu i prosili o opiekę policji. Endecy bardzo im utrudniali życie. Ojciec nigdy nie był antysemitą i bardzo im współczuł. Nie darzył sympatią zarówno prawicy, jak i komunistów. Z

przekonania był socjalistą i pilsudczykiem. Pojechaliśmy kiedyś na zaproszenie do jakiegoś majątku pod Grójcem. Był on własnością organizacji syjonistycznej. Przygotowywano tam młodzież żydowską do zawodu rolnika i wyjazdu do Palestyny. Pokazywano nam wtedy wiele nowości z dziedziny rolnictwa. Ojciec był zachwycony organizacją tej rolniczej szkoły – kibucu. Byliśmy tam również na obiedzie.

Grójec był bardzo zażydzony. Na wielu ulicach słyszało się tylko jidysz. Żydzi w tym czasie różnili się zwykle od nas strojami. Na głowach nosili okrągłe czarne czapki z małym daszkiem, tak zwane krymki i czarne cienkie płaszcze – fartuchy, chałaty. Większość starszych Żydów nosiła też duże czarne brody. Mama straszyla mnie Żydami, bym daleko nie odchodził od domu. Mieli oni porywać dzieci na mace, gdyż, jak głosiły plotki, krew chrześcijańskich dzieci była do tych ceremonii koniecznie potrzebna. To powodowało, że Żydów się bałem. Raz jakiś chłopak żydowski wyrwał mi świecę z ręki, gdy wracałem z nią ze sklepu. To jeszcze potwierdziło moje obawy.

Pamiętam, jak ojciec opowiadał o swojej oficjalnej wizycie w Górze Kalwarii u Cadyka, Abrahama Mordehaja Altera, z dynastii Hur. Był on słynny na całą Europę. Staruszek Cadyk niewiele mówił, tylko słuchał. Zrobił na ojcu duże wrażenie swoim wyglądem. Przypominał świętego męża, pełnego dostojeństwa. Wyjechał przed samą wojną do Palestyny, gdzie zaraz zmarł. Ojciec dostał od niego w prezencie dwie butelki wina produkcji palestyńskiej. Zaraz znaleźli się Żydzi chętni do ich odkupienia. Dać, ani sprzedać ich nie mógł. Mama też pić tego wina nie chciała, bo żydowskich produktów się brzydziła. I tu była niekonsekwencja, bo w sklepach żydowskich często się kupowało, czy jadało od nich otrzymywane mace. Bardzo szybko butelki te z naszego domu zginęły. Dla Żydów była to świętość. W jaki sposób je wykradziono, tego nie wiemy. Może przekupili służącą. Prawie całe rzemiosło i drobny handel był w ich rękach. Nawet dewocjonalia katolickie były też w dużej mierze przez Żydów wykonywane. Prof. Pożaryski widział w Częstochowie warsztat, w którym Żydzi w krymkach i chałatach malowali na sprzedaż obrazy matki Boskiej. Pokazywał to mu prof. Stefan Zbigniew Różycki.

Pamiętką po ojcu jest szkoła im. Piotra Skargi w Grójcu. Był inicjatorem tej budowy. Wysyłał pisma do różnych znanych i zamożnych ludzi o finan-

sowe wsparcie tej inicjatywy. Cała nasza rodzina wkładała do kopert przygotowane do wysyłki druki. Byłem zdziwiony, dlaczego komitet budowy szkoły imienia księdza Skargi zwracał się w tej sprawie również do bogatych Żydów. Dostałem od ojca odpowiedź. Dla nich to jest zaszczyt, że się osobiście w takiej sprawie zwracamy. Pokazał odpowiedzi od wielu żydowskich firm, deklarujących finansowe poparcie.

Od 1 klasy należałem do Zuchów. Następnie zostałem harcerzem. Pierwsza sprawność, jaką otrzymałem, był to "Wskazidroga". Z jaką dumą nazywałem ją na mój mundurek. W 4 klasie otrzymałem krzyż harcerski i stopień młodzika. Było to moje pierwsze odznaczenie. Z harcerstwa pamiętam zbiórki i wycieczki za miasto. Szczególnie utkwił mi zlot w Warce. Nasze plecaki jechały na wozie, a my wędrowaliśmy 30 kilometrów piechotą. Wieczorem, już po ciemku, potłukłem się w ciemnej ubikacji. Zaczęłem płakać, zatelefonowano do rodziców i ojciec po mnie samochodem przyjechał. Następne zloty w lesie koło Głuchowa były już bardziej udane. Pamiętam śpiewane przy ogniskach pieśni harcerskie i noclegi w namiotach. Dla dzieci było to wielkie przeżycie. Z jaką dumą chodziłem w pierwszej czwórce i cieszyłem się, że wyznaczono mnie do noszenia proporczyka naszego zastępu.

Ojciec bardzo mi imponował. Miał służbowy amerykański samochód, Buick, którym nas często gdzieś zabierał. Kierowcą był Pucek. Parę razy jeździłem z ojcem na tak zwane chrzciny prezydenckie. O ile pamiętam, to każdy 6 syn w rodzinie miał być trzymany przez prezydenta. W zastępstwie czynił to starosta. Musiał jeździć na te uroczystości z prezentem w postaci pewnej przyznanej dla noworodka kwoty pieniężnej. O ile pamiętam, 50 złotych. To była wtedy duża suma. Na tych imprezach był zwykle entuzjastycznie przez ludzi witany. W każde państwowe święto - 3 maja, czy 11 listopada, były oficjalne uroczystości. Przed ojcem defilowały szkoły, zarówno polskie, jak i żydowskie. Maszerowali Strzelcy i barwnie ubrani Sokoli. Grała orkiestra, a ojciec z mównicy na rynku przemawiał. Byłem z tego bardzo dumny.

W maju 1935 r. zmarł Józef Piłsudski. Żałoba nie tylko w kraju, ale i w naszym domu. Mama płakała, a ojciec był bardzo smutny. Pojechaliśmy samochodem do Warki, oddać hołd zmarłemu. Widziałem przewożenie zwłok z Warszawy do Krakowa. Staliśmy na peronie, gdy przejechał pociąg. W

otwartym wagonie - lorze, stała laweta armatnia, na której spoczywała trumna z ciałem Marszałka. Było już ciemno, wagon cały oświetlony, z wartą 4 żołnierzy z karabinami, trzymających straż. Długo staliśmy w skupieniu patrząc na znikające światła jadącego pogrzebowego składu. Wiedzieliśmy, że pewna epoka właśnie się zakończyła. Po pogrzebie mama z płaczem pytała się, co teraz będzie? Ojciec z przekonaniem odpowiedział: "Nie martw się, wszystko dobrze. Marszałek zostawił godnych następców". Powszechnie panowała opinia, że „Dziadek” nie zostawi nas bez opieki. Nadal będzie kierował losem państwa, lecz nie bezpośrednio, a przez wybranych wcześniej ludzi. Taka była w niego silna wiara.

Z okresu tego pamiętam niektórych przyjaciół ojca. Pracownika starostwa, Dziuzińskiego. Jego żona, podobno żydowskiego pochodzenia, była straszną Herod Babą. Mówiono, że po pracy uciekał on do gołębi, które hodował. Jak skarżył się ojcu, tam podobno miał jedynie spokój. Jego syn był moim szkolnym kolegą. Również pamiętam pana Pokrzywnickiego. Był strasznie chudy, chorował na gruźlicę. Niedługo później zmarł na tę wtedy straszną chorobę. Byłem wraz z rodzicami na jego pogrzebie. Po jego wizytach w naszym domu, naczynia, które używał, były zawsze parzone gorącą wodą. Raz zostawił niedopity alkohol w kieliszku i ja to wypilem. Mama strasznie krzyczała i dostałem solidne lanie. Obawiano się, że mogę być zagrożony suchotami, jak wtedy powszechnie się mówiło.

Następstwem było zabrano mnie na przebadanie do Warszawy. Doktor mówił coś o jakiś moich zagrożeniach chorobowych. Czego nie bardzo zrozumiałem. Po tej diagnozie mama zaczęła płakać. Ja się natomiast bardzo ucieszyłem. Jak się tak martwi, to teraz nie odmówi mi kupna kolejki nakręcanej, o której od dawna marzyłem. Nawet z zagrożenia chorobą usiłowałem wyciągnąć jakieś pozytywy. Był to przywilej wieku.

Nie pamiętam, kiedy to było, rodzice razem pojechali do Warszawy. W domu w Grójcu zostałem z Tadeuszem i służącą. Przed wyjazdem mama mówiła, by do mieszkania nikogo nie wpuszczać. Po ich wyjeździe przyjechała do nas pani Tosia Kładczyńska, daleka krewna i przyjaciółka rodziców. Wiedziałem, kto to jest. Mimo tego nie wpuściłem jej do mieszkania. Rozmawiałem przez drzwi zamknięte na łańcuch. Zdjąłem łańcuch jedynie wtedy, jak podawała dla nas dużą paczkę pomarańczy i trzeba było drzwi więcej uchylić. Po wzięciu paczki łańcuch założyłem od nowa. Wysyłałem

Panią Tosię do Kaczyńskich, których nie znała. Po powrocie rodziców była o to straszna awantura. Ja byłem jeszcze mały i głupi, lecz Tadeusz, który zaglądał i służąca, dorosła osoba, zachowali się skandalicznie. Było mi potem bardzo wstyd, jak następny raz przyjechała do Grójca.

W 1937 r. rodzice wraz z nami byli zaproszeni na obiad do pałacu Walickich w Małej Wsi pod Grójcem. Rodzina Walickich spokrewniona była z wieloma znakomitymi rodami. W pałacu tym wielokrotnie gościł król Stanisław August Poniatowski. Ostatnimi właścicielami pałacu byli hrabia Tadeusz Morawski, herbu Nałęcz, wraz z żoną, pochodzącą z Lubomirskich. Jak przypominam sobie hrabięgo - wyróżniał się potężną tuszą i nie wymawiał z francuska r. Do ojca zaś zwracał się „panie Starostwo”. Pałac stojący do dzisiaj, należy do pięknych, XVIII-wiecznych, neoklasycystycznych, magnackich budowli Położony w pięknym parku wyglądał imponująco. Pamiętam na ścianach wiszące obrazy, broń i zbroje. Masa służby; to robiło wrażenie. Tadeusz wskoczył na plecy boyowi w uniformie, gdy ten się nachylił. Była o to znowu awantura w domu.

Niespodziewanie w tym samym czasie pod pałac podjechały samochody. Przyjechał prezydent Mościcki i marszałek Rydz Śmigły. Byli oni zaprzyjaźnieni z właścicielem pałacu. Była wtedy zima. Saniami pojechaliśmy na przejażdżkę do lasu. Zaimponowały mi konie z janczarami, które tak pięknie dzwoniły. Potem był obiad. Siedzieliśmy wszyscy przy jednym stole. Twarze marszałka i prezydenta były mi dobrze znane. Chodziłem już do szkoły i w każdej klasie wisiały ich portrety. Do dzisiaj mam w oczach rozświetlaną twarz marszałka i lekko uśmiechniętą Mościckiego. Byłem bardzo dumny, że na przywitanie i pożegnanie podali mi rękę.

W dzieciństwie miałem często nerwicowy lęk przed śmiercią. Wieczorami przed zaśnięciem często pytałem rodziców, czy przypadkiem w nocy nie umrę. Ich słowa mnie uspokajały i wtedy spokojnie mogłem zasnąć. Postanowiłem, że w przyszłości będę się tak modlił, że Bóg nie pozwoli mi umrzeć. Od kiedy zacznę te prośby, odkładałem na później, bo to strasznie nudne.

Od ojca do zabawy dostałem prawdziwy karabin. Był to włoski, krótki, kawaleryjski karabinek z magazynów znajdujących się w starostwie. Była tam składowana broń, jaka została z okresu wojny, odebrana ludności. Wojsko jej nie chciało i miała być przeznaczona do likwidacji. Karabin ten mia-

łem aż do samego wyjazdu z Grójca. Był on przedmiotem mojej dumy i zazdrości kolegów. Marzeniem wielu było tylko potrzymanie go w rękach. Znalazłem z okresu wojny jakiś pocisk niepasujący do tego typu broni. Na siłę wprowadziłem go do lufy. Były potem kłopoty z jego usunięciem. Wujek Kaczyński, były wojskowy, z trudnością wyciorem go wybił. Ojciec zagroził, że jeszcze jeden taki numer, a karabin mi odbierze.

Raz z bratem poszliśmy do Krobowa. Tam był duży staw, na brzegu którego leżała łódź. Bez pozwolenia zaczęliśmy nią pływać. Właścicielka zaczęła na nas krzyczeć. Ze strachu wskoczyłem do wody i mokry wróciłem do domu. Była za to duża bura. Raz strzelając z procy wybiłem okno w publicznej ubikacji znajdującej się na podwórku. Był w niej akurat nasz dozorca. Uciekając przez dziurę w płocie podarłem nowe palto i bałem się wrócić do domu. U kolegi sam go zszyłem. Nie wypadło to najlepiej. Mama zaraz to dojrzała i były kłopoty. Pocięczałem się, że przez życie bez przygód i przykrości się nie przejdzie.

W tym też czasie nasza sąsiadka z dołu, wdowa po lekarzu Dobrowolskim, zaczęła mnie uczyć gry na fortepianie. Z początku to mi się podobało, lecz na krótko. Moja mama chciała zrobić ze mnie wirtuoza, lecz się to jej nie udało. Było wtedy w modzie, że w domach inteligenckich dzieci uczono grać na fortepianie, lub skrzypcach. Naukę muzyki uważałem za tortury. Pani Dobrowolska mieszkała ze swoją zaprzyjaźnioną służącą Felą. Była mocno leciwą. Lubilem tam chodzić, lecz nie grać. Opowiadała kiedyś o urlopie spędzonym z mężem w Ojcowie. Mówiąc jak było tam pięknie, to się popłakała. Było mi jej bardzo żal. Po latach, wracając z terenu, wpadłem ją odwiedzić. Tym zrobiłem jej dużą przyjemność.

Bardzo lubiłem chodzić do kina. Ojciec ze względu na stanowisko miał dwa wolne bilety i stałe zarezerwowane miejsca z napisem, dla kogo są przeznaczone. Ja chodziłem często po parę razy na ten sam film. Szczególnie wrażenie zrobił na mnie „Kapitan Blood”. Jednego wieczora poszedłem na „Frankensteina”. Tak mnie przeraził, że bałem się wracać sam do domu. Z płaczem poszedłem do właściciela kina. Ten kazał mnie odprowadzić bileterowi. W nocy zrywałem się i krzyczałem. Nie dawałem zgasić światła. Od tej pory rodzice zaczęli kontrolować, na jakie filmy chodzę. Po wojnie byłem na „Frankensteinie” w Iluzjonie. Tylko się uśmiełem ze swojej naiwności i nie znalazłem nic do strachu. Jak filmy mogą się zestarzeć?

W 1936 r. spędzałem z rodzicami wakacje w Rabce Zaryte. Pojechalśmy też do Zakopanego, na Kasprowy Wierch i samochodem do Morskiego Oka. Ojciec nie lubił wysokości i na Kasprowy nie pojechał. Czekał na nas w Kuźnicach. Wracając, zwiedzaliśmy Kraków. W 1937 r. byliśmy na wakacjach nad morzem. Mieszkaliśmy w Jastarni i statkiem płynęliśmy na Hel. Były to dla mnie niezapomniane chwile i pierwsza turystyka.

Pod koniec 1937 r. do powiatu przyjechał premier Sławoj Składkowski. Mój ojciec wizytację tę bardzo przeżywał. Towarzyszył premierowi cały czas podczas jego pobytu. Jak się żegnali na granicach powiatu, to Sławoj powiedział: „Na pewno się pan bardzo cieszy, że to nareszcie koniec mojej wizyty”. Dodał na zakończenie: „Na pewno wkrótce się zobaczymy”. Z tego, co zobaczył w starostwie, był bardzo zadowolony. Wizytacja ta zaowocowała. Wkrótce ojciec dostał propozycję przejścia do Warszawy. Został służbowo przeniesiony do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tam po rozmowie z ministrem usłyszał wiele komplementów dotyczących pracy i stwierdzenie, że to nie koniec kariery. Był to wielki awans, przejście z powiatu do ministerstwa.

Ojciec znowu bardzo przeżywał przejście na nowe miejsce i wiążące się z tym zmiany. Pamiętam, jak zawsze w takich sprawach z mamą się wspólnie naradzali. Od połowy 1938 r. urzędował już w Warszawie. Najpierw był tam na delegacji służbowej. Z podsłuchanych rozmów wiedziałem, że rozpoczął prace w MOB. Wtedy mi to nic nie mówiło. Dopiero później dowiedziałem się, że chodziło o mobilizację. Sprawy, którymi się zajmował, były ściśle tajne. W związku z zaostrażającą się sytuacją polityczną w domu nie prowadziło się żadnych rozmów na ten temat. Ministerstwo mieściło się w pałacu Zamojskich, na styku ulic Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia. Pamiętam, że z okna gabinetu ojca widać było pomnik Kopernika.

Ja miałem zakończyć szkołę w Grójcu, by do 6 klasy przejść już do nowej szkoły w Warszawie. Ojciec rozglądał się za odpowiednim mieszkaniem w stolicy. Były różne przymiarki. Jedną z nich to w „domu bez kantów” na Krakowskim Przedmieściu. Pokazywał nam też na Pradze jakiś nowy budynek, koło ulicy Ratuszowej. Czynsz tam miał być znacznie niższy, niż na Krakowskim. Gdzie będziemy mieszkali, miała zdecydować dopiero mama. Tymczasem pakowaliśmy się i zmieniliśmy mieszkanie w Grójcu na mniejsze. Chodziło głównie o to, bym skończył szkołę i by prze-

chować rzeczy. Od sierpnia miała się rozpocząć przeprowadzka do Warszawy.

Prezydent Starzyński zaczął przebudowywać i unowocześniać Warszawę. Podczas robót odkryto fundamenty barbakanu. Ojca to bardzo zainteresowało. Pojechaliśmy zobaczyć to, o czym szeroko pisała prasa. Wyglądało kiepsko, tylko ledwie widoczny zarys fundamentów. Rekonstrukcja barbakanu została zrobiona dopiero po wojnie. Jak wyglądał, wzięto z odcisku pieczęci. Nic innego się nie zachowało. Wtedy na Starym Mieście największe wrażenie na mnie robiła wisząca w sieni u Fukiera kopia starej fregaty. O takiej marzyłem.

Z kolegów pozostały tylko nazwiska: Zbicia, Parola i Ciasia. Z tym ostatnim spotkałem się po 50 latach na wczasach w Karpaczu. Zgadaliśmy się przy posiłku. Było to dla nas zaskoczenie i radość. Słyszał, że mieliśmy zginąć podczas wojny. Do szkoły podstawowej zacząłem uczęszczać w 1935 r. w Grójcu. Była to szkoła im J. Piłsudskiego. Mieszkałem prawie naprzeciw szkoły. Jak słyszałem dzwonek, wtedy wychodziłem z domu. Niewiele z tego okresu zostało w pamięci. Wychowawcą naszej klasy był pan Adamski. Dobrze pamiętam śmierć szkolnej koleżanki, Małgosi Bruszewskiej, i jej pogrzeb. Była to pierwsza taka uroczystość, w której uczestniczyłem.

Po uzyskaniu promocji do klasy 6 pojechałem pierwszy raz bez rodziców, lecz pod opieką służącej, do Zalesia. Zaprosiła mnie tam ciocia Kaczyńska. Zakończyli właśnie budowę domu położonego w lesie. Była tam Danusia i Jagoda, były też rowery. Tam nauczyłem się na nich jeździć, z czego byłem bardzo dumny. Po paru dniach odebrał mnie ojciec i zawiózł do Leszczyn. Jak co roku spędzaliśmy tam wakacje na łonie przyrody, w towarzystwie rodziny i rówieśników.

Pamiętam, jak w latach trzydziestych rodzice kupili pierwsze lampowe radio. Przedtem mieliśmy tylko kryształkowy aparat na słuchawki. Ojciec lubił wieczorami łąpać różne zagraniczne stacje. Ten nowoczesny wtedy aparat był 3 lampowy, firmy Telefunken. Nie miałem prawa sam się nim bawić, bo pewno bym go popsuł. Lecz bardzo się nim interesowałem. Mieliśmy wtedy z nowych wynalazków jeszcze patefon, który trzeba było ciągle nakręcać i zmieniać igły. System ten bardzo zdzierał płyty, które po pewnym czasie stawały się trudne do słuchania. Lecz był to już wielki technicz-

ny postęp. Zaczynało się dopiero wtedy mówić, że w Ameryce są już takie aparaty przekazujące nie tylko głos, ale i obraz, w co trudno było nam uwierzyć. Ojciec już wtedy nam mówił, że i u nas są takie próby, czego dowodem jest maszt antenowy na największym budynku Warszawy, jakim był „drapacz chmur, Prudencjal”.

Sytuacja polityczna coraz bardziej się komplikowała. Ojciec prosił mamę, byśmy zostali na wsi, dopóki się sytuacja nie wyjaśni. Miał nadzieję, że Hitler tylko blefował. O panującej wojennej atmosferze świadczył list napisany do mamy na parę dni przed wybuchem wojny. List ten oddaje panującą sytuację ostatnich dni pokoju. Był to koniec mojego beztróskiego, szczęśliwego dzieciństwa. List zachował się i jest przechowywany w rodzinnych pamiętkach.

#### **List ojca w przeddzień wybuchu wojny (piątek 25.VIII.1939 r.)**

Kochana Wandeczko!

Martwiłem się tutaj o Ciebie i wszystkich w Leszczynach, czy zbyt nie przejmujecie się obecnym stanem nastrojów wojennych, ale z kartki, którą dziś otrzymałem od Ciebie wnoszę, że normalna pogoda ducha panuje w Leszczynach. I to mnie uspakaja, bo może się to wszystko zmienić, ale tu w Warszawie przeżywamy zupełnie nastroje wojenne; stale przemarsze wojska i przewóz taborów, gdyż jak się domyślam, zostało powołanych sporo rezerwistów. Może i tam od Was z bliskich też kogoś powołali.

Obecnie pociągi tak są przeładowane, że ludzie jadą w okropnych warunkach – stan ten spowodował przejazd rezerwistów do swoich pułków. Aczkolwiek w tej chwili atmosfera jest mocno zagęszczona i szkoły nie rozpoczną się w zapowiedzianym czasie. Ty kochana masz jedno wielkie zmartwienie: „mieszkanie”. Wiele osób z Warszawy chce wyjechać na prowincję, by uniknąć „przyjemności” wielkich miast w ewentualnej wojnie, a Ty w tej chwili chciałabyś sprowadzić się do Warszawy. Pomyśl Kochana, że pomysł Twój w tej chwili jest nie na miejscu. Tym bardziej, że i moja sytuacja w Warszawie, jak byłaby wojna, mogłaby się zmienić i mogliby przydzielić mnie do czego innego. Musimy Kochana, nieco poczekać, na pewno niedługo wszystko się wyklaruje i będzie dobrze. Stefuś przecież też do szkoły zaraz nie pójdzie, gdyż lekcje są odłożone na czas nieograniczony.

ny, prawdopodobnie o tym słyszeliście?

Geniek Wodiczko postanowił sprowadzić Irenę z dziećmi z Wołynia, ale ich nie chce trzymać w Warszawie. Prosi więc Ciebie, czy w Leszczynach (wsi), czy w pobliżu, nie mógłby wynająć jakiegoś mieszkania, żeby rodzinę w nim ulokować. A może w Zawadach-dworze? Postaraj się dowiedzieć ze wszystkich stron i napisz mi o tym w następnym liście. Gdyby wybuchła, co nie daj Boże, wojna, to się o mnie nie martw, gdyż w zupełności dam sobie radę. W Leszczynach zaś rozumiem, że będziecie mieli spokojnie i wygodnie. Należy tylko na noc okna zamykać, a Tadiusi i Jurek winni już być mężczyznami i dbać o bezpieczeństwo domu i rodziny.

Dziś w Ministerstwie brali zamówienia na maski gazowe. Aczkolwiek uważam, że na wsi jest pod tym względem zupełnie bezpiecznie, to jednak zamówiłem 3 dla Ciebie i chłopców, gdyż nie chcę niczego zaniedbać. Ponieważ nie wiadomo, kiedy te maski będą, przesyłam Ci, Kochana, broszurkę o sposobach prowizorycznej obrony indywidualnej, gdzie na stronie 20-iej jest mowa o tamponikach, które można sporządzić w domu. Żeby niczego nie zaniedbać zajmijcie się tym w Leszczynach, żeby każdy na wypadek miał zabezpieczenie. Może się to okazać za przedczesne, albo zbędne, lecz lepiej być ostrożnym. O przyjeździe moim do Leszczyn nie ma mowy, gdyż pracujemy codziennie do późna. Wczoraj pracowaliśmy cały dzień i noc, tyle jest roboty.

Z Wydziału Powiatowego należności mi nie przysłali i nie wiem, co robić. Sądzę, że nie mają tam wiele pieniędzy, gdyż każdy dziś łapie, a nic nie daje. Wobec możliwości już chłódów i deszczu, Błagam Cię Kochana ubieraj się ciepło. Nie załuj ubrania dla siebie i dzieci. Jeśli jest chłodno, lub deszcz pada, to zażyj proszek „Motopiryny”, by zabezpieczyć się przed zaziębieniem. Bardzo się cieszę, że w Leszczynach jest Pani Terlecka, bo jest wam przyjemniej i weselej. Bądź łaskawa pozdrowić ją ode mnie. Na pewno w Garwolinie zabrakło cukru i soli, a nawet słoniny. Tego samego brakuje i w Warszawie. Są to aktualne trudności, gdyż zostały wykupione produkty masowo w jednym dniu, a dowóz szwankował z powodu przejazdu rezerwistów. Powiedz Tadiusiowi, że jako najstarszy winien być opiekunem domu i mądrym maturzystą. Stefana odżywiaj, by miał siły do pracy. Całuję Ciebie i synów miliony razy. Ucałowania dla wszystkich.

Franek

## Wojna

W sierpniu 1939 r. sytuacja była coraz bardziej napięta. Powszechnie mówiło się o wojnie. Propaganda była taka, że specjalnie jej się nie baliśmy. Wierzyliśmy w potęgę naszej armii i w doskonałe dowództwo. Nic nie oddamy, nawet guzika. Przeciwnie, zajmiemy Berlin. Anglia i Francja jest z nami. To co może nam zagrażać? Mimo tych optymistycznych prognoz zaczęto reklamować maski gazowe. Każda rodzina miała być w nie zaopatrzona. Namawiano, by na szyby naklejać paski papieru. Miało to zabezpieczać przed ich pękaniem od wstrząsów w razie nalotów bombowych.

W sierpniu w Leszczynach pojawiło się wojsko. Zaczęło kwaterować tu i w sąsiednich wioskach. W Garwolinie przezbrajano był 1 pułk Strzelców Konnych na wojska zmotoryzowane. Do Leszczyn i sąsiednich miejscowości ewakuowało się z Grudziądza Centrum Wyszkozenia Kawalerii. Tu miało być dalej od ewentualnej linii frontu.

Wszędzie widać było pełno wojska i ćwiczące oddziały. W naszym ogrodzie, wzdłuż parkanów, stały przywiązane kawaleryjskie konie. W każdym wolnym pomieszczeniu kwaterowali żołnierze, albo urządzone były prowizoryczne magazyny. Rano i wieczorem słyszało się sygnały na trąbkach. My, dzieci, byliśmy tym zachwyceni. Coś nareszcie dzieje się ciekawego.

W Leszczynach, jak w większości wtedy polskich wsi, nie było jeszcze prądu elektrycznego. Wieczorami mieszkania oświetlane były lampami naftowymi. Lampowe aparaty radiowe nie miały tu zastosowania. Można było je używać, jeśli się kupiło specjalne szeregowo powiązane baterie, które były ciężkie i drogie. Szybko się też wyładowywały i w związku z tym były niepraktyczne. W tym czasie pojawiły się reklamy aparatów kryształkowych na słuchawki i na głośnik. Były produkcji jakiejś firmy poznańskiej i były szeroko reklamowane. Miała to być rewelacja dla miejscowości pozbawionej prądu, a takich w Polsce było większość. W Poznaniu, blisko radiostacji, to zdawało egzamin. W Leszczynach, daleko od źródeł nadawania, mimo bardzo długiej poczwórnej anteny, głośnik prawie milczał. Na słuchawki natomiast bardzo dobrze to działało i można było też łapać stacje zagraniczne, nawet w dzień. Z tego radia na razie czerpaliśmy nasze informacje. Oj-

ciec pisał do mamy, by nie zwracała uwagę na początek roku szkolnego. Nie ruszała się z Leszczyn do momentu, kiedy się skomplikowana sytuacja polityczna nie rozwiąże.

Mobilizacja; wszędzie pojawiły się wielkie ogłoszenia wzywające rezerwistów do stawienia się w wyznaczonych punktach. Pojawiły się plakaty przedstawiające żołnierza polskiego przebijającego bagnetem osadzonym na karabinie rękę ze swastyką i inne podobne. Masowo widziało się młodych ludzi z podręcznym bagażem, udających się na stację kolejową w Garwolinie. Część z nich, już pod wpływem alkoholu, wyśpiewywała piosenki wojaskowe i wygrażała Niemcom. Pokażą, co zrobią, jak dojdą do Berlina. Duch w narodzie był wspaniały.

Przestrzegano jedynie przed szpiegami i dywersantami. Wszędzie zaczęto się ich dopatrywać. Kto się zapytał o drogę, był już podejrzany. Powiadano o tym wojskowych, którzy zaraz lecieli i sprawdzali dokumenty. Jadąc w sierpniu pociągami do Warszawy, pamiętam, jak jechali zmobilizowani rezerwiści, których mowy nie rozumiałem. Na pytanie, kim są? Odpowiedzieli, że z rejonu tarnopolskiego i są Rusinami. Czyli pochodzili z polskich Kresów. Tak przed wojną określano Ukraińców. Wszyscy mający polskie obywatelstwo, bez względu na narodowość, mieli obowiązek służyć w polskiej armii. Powoływani do wojska byli Ukraińcy, Żydzi, czy koloniści niemieccy. Polska w tym czasie była krajem wielonarodowym.

W piątek 1 września, nastąpił dzień, którego wszyscy tak się bali. Rano jak zwykle, nikt radia nie słuchał. Była piękna pogoda, słonecznie i ciepło. Widzieliśmy jednak, że coś się dzieje. Wojsko w stanie alarmu. Na niebie pojawiły się liczne samoloty lecące wysoko i o innym, niż zwykle, dźwięku. Uważaliśmy, że są to nasze Łosie. Około 10 rano wojskowi dopiero nam powiedzieli - wybuchła wojna. Zaczynamy słuchać radia, mamy już potwierdzenie. Słychać muzykę wojskową, Audycje przerywane zaszyfrowanymi wiadomościami typu - nadchodzi i jakieś liczby.

Tego samego dnia mieszkająca z nami bona do nauki niemieckiego, Eliza Bolenbach, słuchała wieczorem przez radio przemówienia Hitlera w Reichstagu. Jak zakończył, zdjęła słuchawki i z wypiekami na twarzy streściła treść wystąpienia. Na zakończenie w euforii powtórzyła słowa Hitlera, że „Naród niemiecki, to Hitler, a Hitler, to naród niemiecki”. Była tym bardzo przejęta i zemocjonowana. Po wkroczeniu Niemców podpisała volkslistę.

Wyjechała do Kalisza i tam zajęła mieszkanie wujostwa Kamińskich. W pierwszym okresie była dla nas użyteczna i bardzo nam pomogła w kontaktach z władzami okupacyjnymi.

Sytuacja zmieniała się na niekorzyść. Zaczęło obowiązywać zaciemnianie mieszkań. Wypowiedzenie Niemcom wojny przez Anglię i Francję na razie przyjęte zostało entuzjastycznie i na pewien czas podniosło ducha. Niestety, nie na długo. W dniach 8 - 9 września na Garwolin spadły pierwsze bomby. Miasto złożone w dużej części z drewnianych domów płonęło. Nocami wkoło widać było łuny pożarów. Paliły się Maciejowice i inne miejscowości. Z frontów nadchodziły też złe wieści. Ze strachem przyjęty został, podpisany w sierpniu tuż przed samym konfliktem, pakt Ribbentrop - Mołotow. Ta działalność naszych sąsiadów zaczęła wyglądać groźnie.

Ojciec dał znać, że razem z ministerstwem ewakuuje się na wschód. Jak się wojna zakończy, to zaraz wróci. Nie wie, czy będzie mógł pisać. Mamy się o niego nie martwić, siedzieć w Leszczynach i uważać na siebie. Na drogach pojawiła się masa ludzi. Samochodami, pieszo, wozami i na rowerach, całe kolumny szły na Lublin. Wyruszyli z Warszawy na apel pułkownika Umiastowskiego. Z daleka od frontów miano z nich tworzyć nowe jednostki wojskowe. Każdy, kto nie dostał powołania, tak widział swoją powinność w stosunku do zagrożonego kraju. Drogi ewakuacji były bardzo niebezpieczne. Stale nadlatywały samoloty ostrzeliwujące z karabinów maszynowych wszystko, co się ruszało. Było bardzo dużo zabitych, których chowano w rowach. Gdy po działaniach wojennych jechałem do Warszawy, widziałem na poboczach pełno krzyży. Stopniowo, zwłoki tam spoczywające były ekshumowane i przenoszone na cmentarze.

Z uciekinierów, jak wtedy ich nazywano, stale ktoś wpadał do Leszczyn. Pamiętam krewnych wujka Wacka, chyba Forajtów. Zatrzymał się też u nas słynny rzeźbiarz Xawery Dunikowski ze swoim siostrzeńcem. Starali się dotrzeć do Lublina. Przed wojną Dunikowski zajeżdżał do Leszczyn. Był on kolegą ze studiów dziadka Zobczyńskiego, z krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Zaczęli się pojawiać pierwsi żołnierze, zmęczeni, z bronią, lub bez broni. Opowiadający, że ich jednostki zostały rozbite. O atakach czołgów i lotnictwa, przed czym byli bezbronni. Szukali swoich wycofujących się pułków, które nie wiadomo, gdzie się znajdują. Pojawiali się i tacy, którzy mówili,

że wszystko jest stracone. Widzieli jedno wyjście, iść do domu. Siali defetyzm. Dziadek spytał jednego z żandarmów, który się u nas zatrzymał: „Dlaczego się ich nie wyłapuje?” Ten odpowiedział: „A co z nimi zrobić? Mogę zamknąć gdzieś w piwnicy i będę musiał sam pilnować.” Wiadomości zasłyszane z radia mówiły o ciężkich bojach i bohaterskiej obronie Westerplatte, walkach pod Kutnem i innych miejscowościach. Nazwy te z początku nic nam nie mówiły.

Bojąc się nalotów, wykopany był schron w ogrodzie. Wąski, głęboki rów na 2 metry i załamany pod kątem 90°. Położone były na nim deski przysypane ziemią. Jak nadlatywały samoloty, to myśmy się tam chowali. Blisko domu w polu była kępa krzaków i kamieni zebranych z pól. Tam ustawiony był ciężki karabin maszynowy, który ostrzeliwał nisko lecące samoloty. Niestety bez skutku. Chodziłem tam patrzeć i rozmawiać z żołnierzami. Któregoś dnia na motocyklu przyjechał mój ojciec chrzestny, to jest wujek Henio Bartoszewicz. Jego jednostka, o ile pamiętam, to 4 pułk Strzelców Konnych, przed wojną stacjonujący w Płocku, wycofywał się na wschód i znajdował się blisko Garwolina. Dlatego wpadł do Leszczyn zobaczyć, co się tu dzieje i pożegnać. Był chyba z godzinę. On i kierowca zjedli coś na drogę i pojechali. Więcej żywego już go nie widzieliśmy. Dostał się do niewoli sowieckiej. Napisał parę listów z obozu w Starobielsku, a ciało po latach znaleziono w Charkowie.

Lotnictwo coraz bardziej dawało się we znaki. Pogoda, cały czas wspinała, była bardzo korzystna dla Niemców. Nawet niebo było po stronie najeźdźców. Nadlatujące samoloty miały świetną widoczność i strzelały z karabinów maszynowych do wszystkiego, co mogli zaobserwować. Naszego lotnictwa nie było widać, zostało zniszczone w pierwszych dniach wojny. Przebywanie w domu otoczonego kołmi i różnego typu pojazdami, wydało się niebezpieczne. Zaczęliśmy od rana chodzić nad rzekę Wilgę, by tam się ukryć pod obrastającymi brzegi drzewami. Zjawił się tam jakiś nie-normalny, pewno zszokowany nalotami człowiek. Przestrzegał, by głośno nie rozmawiać, bo lotnicy mają specjalne aparaty podsłuchowe i zaraz nas zbombardują. Pod drzewami też nie należy się ukrywać, bo te są specjalnie obserwowane. Następnie poszedł na środek łąki, położył się i obsypał trawą. Wyglądało to komicznie, lecz ze strachu ludzie zaczęli wariować. Pojawili się też kryminaliści, niektórzy w więziennych ubraniach, i prosili o jedzenie.

W związku z posuwaniem się frontu zostali wypuszczeni na wolność. Baliśmy się ich. Wiedzieli, że mogą być zupełnie bezkarni, lecz zachowywali się poprawnie.

Któregoś dnia alarm. Dano znać, że w bliskiej okolicy są już Niemcy. Zawezwano ochotników, by to sprawdzili. Zgłosiło się paru. Patrzyłem, jak siadali na konie obładowani granatami, bronią i amunicją. Po paru godzinach wrócili. Wiadomość okazała się nieprawdziwa. Podobno dywersanci z V kolumny rozsiewali takie wieści, by siać zamęt. Jeden z wojskowych koni na naszym podwórku, uwiązany był blisko studni z żurawiem. Przestraszył się strzelających samolotów. Zadem uderzył w drewnianą cembrowinę, rozbił ją i wpadł do środka. Nie było możliwości wyciągnięcia go z wody przy ciągłych ostrzeliwaniach z powietrza. Bardzo przeżywałem, gdy został zastrzelony w studni, a ta zasypana. Była ona przeznaczona do pojenia zwierząt. Dobrze, że mieliśmy jeszcze jedną studnię, bo byłibyśmy bez wody.

Nagle jednej nocy kwaterujące wojsko opuściło Leszczyny. Niepotrzebny w tych warunkach wojenny sprzęt został zakopany w pobliskim lesie. Ktoś musiał to podpatrzeć, bo już następnego dnia ukryte skrzynie zostały przez miejscową ludność wydobyte. Między innymi, były tam instrumenty muzyczne. Opuszczone przez wojsko zostały też koszary w Garwolinie. Ludność zaczęła szukać pozostawionych tam rzeczy. Ktoś z Leszczyn przyniósł oprawne w ramki fotografie prezydentów Narutowicza i Wojciechowskiego. Proszono nas, by powiedzieć, czyje są to portrety.

Któregoś dnia zjawili się u nas 3 oficerów. Jeden z nich, to major Szwili, Gruzin służący w Polskiej armii jako oficer kontraktowy. Był kolegą pułkowym wujka Henia. Przywieźli z sobą broń myśliwską, którą schowali w pozyciu stodoły. Mnie pokazali, gdzie ją ukryli. Na dodatek, dali mi jeszcze 3 pistolety Walter, kalibru 7,65, z amunicją do schowania. Powiedzieli, jak będzie potrzebna, mam ją wtedy oddać. Nie powiedzieli jednak komu. Sami przebrali się w cywilne ubrania. Było to dla mnie bardzo przykre. Chcieli dostać się do Warszawy, bo coś na ten temat mówili. Komunikacji wtedy nie było już żadnej. W każdej chwili spodziewaliśmy się Niemców. W mundurach i z bronią trudno byłoby im się przedostać. Ja zakopałem pistolety w skrzynce po amunicji za dziadka stodołą.

Z radia wiedzieliśmy, że jest źle. Padło Westerplatte. Bronił się Hel. Ciężkie walki pod Kutnem i Mławą. Oprócz tych przykrych wiadomości

pojawiały się niesamowite plotki, z których można było tylko się śmiać. O zatrucaniu przez dywersantów studni i rozrzuconych przez samoloty trujących cukierkach. Z Niecieplina przyjechał jakiś człowiek na rowerze. Słyszał, że podobno w Leszczynach znajdują się wojska japońskie mające nieść pomoc naszej armii. Ile trzeba było mieć fantazji, by taką bzdurę wymyślić.

Większych oddziałów wojsk w ciągu dnia już się nie widziało. Co pewien czas pojawiały się natomiast wozy taborowe, na których więzieni byli ranni żołnierze. Wypytywano się o szpitale i lazarety wojskowe. Parę takich wozów stało na drodze koło naszego domu. Szukali szpitala, lekarzy i jakiejś medycznej pomocy. Przykro było patrzeć na młodych ludzi w polskich mundurach, pokrwawionych, obandażowanych i cierpiących. Dla nich wojna się już zakończyła. Jeśli nie znajdą fachowej pomocy, to wielu z nich zakończy życie. Jak mówiono, po różnych potyczkach rannych ładowano na wozy. Żołnierzy taborowych nie informowano, gdzie mają jechać. Stąd więzieni błakali się po różnych drogach, starając się odjechać jak najdalej od ciągle zmieniającego się i rwącego frontu. W tym czasie nikt nie wiedział, gdzie są Niemcy i gdzie znajdują się wojskowe punkty medyczne. W nocy z 14 na 15 września, przez Garwolin i Leszczyny przechodził na wschód 26 pułk ułanów. Po ich przejściu, na rzece Wildze w Leszczynach zerwano most. W tym czasie od Lublina zbliżały się patrole niemieckiej dywizji pancerniej KAMPF.

Rano 16 września przyjechało na podwórze kilkunastu kawalerzystów. Mówili, że Niemcy są w pobliżu. Całą noc jechali. Muszą teraz dać koniom odpocząć i są też bardzo głodni. Wieczorem wyjadą dalej. Ich cel, to Warszawa. Poruszać się teraz można tylko nocą. By się ukryć, konie wprowadzili do stodoły i obory. Zaraz położyli się na słomie i śpią. W kuchni służba szykuje jedzenie. Nagle zaczyna się ostrzał artyleryjski. Schowaliśmy się do wykopanego w ogrodzie schronu. Co chwila słychać dalekie huki wystrzałów, świst lejących pocisków i bliskie wybuchy. Nie wiemy, co i kogo ostrzeliwują. Jeden z nich, pocisk dużego kalibru, spadł zaraz za dziadka stodołą, gdzie schowani byli żołnierze. Szczęście, że nie wybuchł. Parę dni później został znaleziony i zakopany. Leży tam do dzisiaj.

Z kierunku Unina, z lasu, dochodzą strzały i wybuchy, przypuszczalnie granatów. Jak się później okazało, bronił się tam jakiś polski oddział zaskoczony w lesie. Doszło do starcia. Po obu stronach padli zabici i ranni. Trupy

zostały zaraz pochowane przez Niemców, a na mogiłach postawiono krzyże brzozone, na których powieszono były hełmy zabitych. Grobów polskich, o ile pamiętam, było chyba 12 i 6 niemieckich. Po hełmach można było poznać, z jakich formacji pochodzili. Hełmy były typu francuskiego, jakie używała polska kawaleria. Chodziłem tam parę razy z Zadróżnym. Po zakończeniu działań wojennych Niemcy zaraz zabrali swoich zabitych. Polaków przeniesiono dopiero pod koniec lat czterdziestych na któryś z cmentarzy wojennych. Podczas tego artyleryjskiego ostrzału zginęło więcej ludzi. Piotr Mikulski znalazł zwłoki młodego człowieka w lesie, które pochował przy krzyżu na początku Unina.

Tymczasem na drodze od Nowych Leszczyń pojawili się Niemcy. Jechali na motocyklach. Musieli zauważyć osiodłanego konia w pobliżu stodoły. Podjechali na podwórkę sprawdzić. Zauważyli więcej koni i wojskowych. Zaczęli krzyczeć Hände Hoch. Ze stodoły z podniesionymi rękoma zaczęli wychodzić żołnierze. Broń i pasy kazano położyć im na ziemi. Za moment pozwolono im opuścić ręce. Zaczęto ich o coś pytać. Zaraz podeszła do nich Eliza Bolenbach, by tłumaczyć. Powiedziała, że są głodni i jedzenie jest już przygotowane. Pozwolono podać i sami poczęstowani zjedli po talerzu mlecznej zupy. Zaczęli częstować jeńców papierosami i następnie zabrali ich do Garwolina. W kościele zaczęto grupować i przetrzymywać jeńców.

Niemcy chcieli zabrać Tadeusza, gdyż był on już w wieku poborowym i uważano go za wojskowego. Eliza jednak go wybroniła. Musiał się teraz nie pokazywać na dworze. Całe to przykre dla nas zdarzenie widzieliśmy dokładnie. Działo się to wszystko na naszych oczach. W domu wszyscy płakali. Broń odebrana żołnierzom została na podwórku. Nikt jej nie zabrał. Jak się ściemniło, wiele sztuk pochowałem w różnych miejscach, a część utopiłem w stawach. W stodole znalazłem rusznicę przeciwpancerną; ją też schowałem. Była to najnowsza i bardzo skuteczna polska broń, okryta wielką tajemnicą. Zaczęto ją dopiero wprowadzać do uzbrojenia w dniu wybuchu wojny. W domu zrobiono mi straszną awanturę, że broń mogła być policzona i co teraz będzie. Wiedziałem, że jest to niemożliwe.

Następnego dnia po raz pierwszy zamiast serii z karabinów maszynowych z samolotu zaczęły spadać ulotki. Po polsku informowano, że wojska niemieckie zajęły niezniszczony klasztor Jasnogórski w Częstochowie. Informowano, że roztoczono nad nim opiekę. Zamieszczono było tam zdjęcie

niemieckich oficerów na tle ołtarza i odsłoniętego obrazu. Widocznie bano się, by plotki o profanacji sanktuarium nie wywoływały dodatkowego oporu ludności. Pomysłodawcy musieli znać kłopoty, jakie mieli Szwedzi, którzy targnęli się na Częstochowę w XVII w.

Wieczorem przyjechała niemiecka kolumna motocyklowa i stanęła na drodze wzdłuż ogrodu. Eliza poszła rozmawiać z żołnierzami. Ja z ciekawości też z nią poszedłem. Byłem w zielonym mundurze harcerskim. Pytano się, co to za mundur. Odpowiedziała, że to takie Hitler Jugend. Jeden z motocyklistów powiedział Elizie, że właściwie jest już po wojnie. Zakomunikował, że dzisiaj to znaczy 17 września, Rosjanie przekroczyli granice Polski na wschodzie. Wszelki opór Polaków w takim układzie jest wykluczony. Zaraz polecałem do domu z tą straszną wiadomością. Nikt nie uwierzył. Uważano, skąd prosty żołnierz może mieć takie świeże wiadomości. Była to jednak prawda.

W dniu tym mieliśmy jeszcze przykre zdarzenie. Spaliśmy w pokojach mieszczących się w czworakach. Było już ciemno, ja leżałem w łóżku. Mama dopiero szykowała się do spania. Otwarte były drzwi do drugiego pokoju, gdzie nocowały ciocia Zosia i Marysia. Nagle usłyszeliśmy warkot przejeżdżającego samochodu; mógł to być tylko niemiecki. Za chwilę, nie pamiętam, ktoś zawołał: „Niemcy puścili gazy trujące. Chcą nas wytruć”. Rzeczywiście, poczuliśmy mocny zapach podobny do migdałów. Gaz oparty na cyjanku, pomyślałem. Panika, co robić, nie mamy masek gazowych. Ja przerażony schowałem głowę pod poduszkę. Stamtąd wołałem, gdzie są tamponiki, które miały zabezpieczać przed gazami. Za chwilę wszystko się wyjaśniło. To nie gazy. Tylko ciocia Zosi krem do twarzy, którym się właśnie smarowała. Skończyło się to na strachu. Byliśmy wszyscy, nie wyłączając dzieci, roztrzęsieni toczącą się wkoło nas wojną i jej rezultatem.

Następnego dnia koło południa przyjechali niemieccy motocykliści. Byli w nieprzemakalnych szarych płaszczach i hełmach, na których znajdowały się motocyklowe okulary. Weszli do mieszkania i zaczęli je oglądać. Następnie powiadomiono nas, że zajmują 3 pokoje na jedną noc. W drzwi założono przywieszone ze sobą zamki. Poinformowano, że od zmroku nie będzie można wychodzić na dwór. Ochrona będzie strzelać bez ostrzeżenia. Rozstawiono warty. W niedługim czasie podjechały samochody. Jeden z nich z flagą przy błotniku. Wskazywało to, że jest do dyspozycji oficera

wysokiej rangi. Z samochodu wysiadł szczupły, starszy, siwy oficer w monoklu. Był w bryczesach z czerwonymi lampasami. Na szyi żelazny krzyż i złote epolety. Wkoło niego młodzi oficerowie, przypuszczalnie adiutanci. Widać było, że jest to ktoś, najprawdopodobniej generał.



*General niemiecki Werner von Fritsch, który kwaterował w naszym domu w Leszczynach, w dniach 18/19 września 1939 r. Zginął parę dni później w bitwie o Warszawę.*

Po wprowadzeniu się do zajętych pokoi zapukano do naszych drzwi. Generał i jeszcze 2 oficerów przyszli przeprosić za kłopot, jaki robią w związku z zajęciem mieszkania. Generał powiedział: „Proszę nas zrozumieć, jest

wojna". Następnie zwrócił się z pytaniem, czy czegoś nie potrzebujemy? Zaproponował cukier i konserwy. Podziękowaliśmy - wszystko mamy. Starsi oficerowie, była to jednak klasa.

Długo zastanawialiśmy się, kto to mógł być. Nie pasował do żadnego z wyższych dowódców niemieckich, których znaleźliśmy z fotografii. W tym czasie jednym z głównodowodzących wojsk niemieckich podczas kampanii wrześniowej był znacznie młodszy generał Blaskowic. Po konsultacjach z historykami zajmującymi się „kampanią wrześniową” i po ponownym przejrzeniu zdjęć byliśmy już pewni. To był generał Werner von Fritsch. Jeden z głównych organizatorów Wehrmachtu.

W wyniku intryg oskarżony o homoseksualizm, co okazało się nieprawdą, Hitler zdjął go ze stanowiska głównodowodzącego Wehrmachtem. W wojnie z Polską na własne życzenie dowodził pułkiem artylerii, której był honorowym dowódcą. Zginął 22 września podczas oblężenia Warszawy. Podobno został trafiony przez snajpera na szosie łączącej Żąbki z Markami. Krążyły pogłoski, że celowo został zastrzelony, bo nie był wygodny dla Hitlera. W gazecie widziałem też zdjęcia z uroczystości pogrzebowych w kościele w Skrudzie koło Mińska Mazowieckiego. Trumna generała była obsypana kwiatami. Kościół wypełniali tylko wojskowi. Ciało generała zostało zabrane do Niemiec. W miejscu, gdzie został zabity, wystawiony był pomnik, zburzony przez wkraczających w 1944 r. Rosjan. Ulica, przy której się to stało, Niemcy nazwali generalską. Oficjalnie zmieniono ją dopiero po wojnie.

W wojnie z Polską w 1939 r. zginęło 3 niemieckich generałów. Oprócz generała Wernera von Fritscha, w walkach o Narol koło Tomaszowa Lubelskiego zginął generał Fish. Nie zorientowany, że miejscowość jest jeszcze w rękach polskich, wjechał samochodem do miasta. Przy próbie zatrzymania, został zastrzelony. Następnym generałem poległym w Polsce był generał Fritz von Roettig. Zabity na Krzyżówce Gielniowskiej koło Rozwad, przy szosie Końskie - Drzewica. Ciało przywieziono do Końskich, gdzie w ramach represji Niemcy urządzili pogrom mieszkańców. Ja kwaterowałem dłuży czas w Rozwadach i ludzie mi o tym opowiadali.

Wieczorem w Leszczynach ochrona generała zrobiła w mieszkaniu pobieżną rewizję, Sprawdziła, kto aktualnie tu przebywa i czy nie ma broni. Eliza tłumaczyła, że żadnej broni nie ma i nie było. Rano zdjęto posterunki i

„goście” odjechali w stronę broniącej się Warszawy. Następnego dnia mama, wyciągając z komody bieliznę dla dziadka, znalazła leżący tam wielki rewolwer „Colt”. Dziadek zapomniał, gdzie go schował. Zaraz polecono, bym go w stawach utopił. Zrobiłem to, lecz wrzuciłem przy samym brzegu. Jeszcze tego samego wieczoru wyciągnąłem rewolwer grabiami z wody i ukryłem w stodole. Z tego rewolweru dziadek usiłował podczas ostatnich przedwojennych wakacji zastrzelić wściekłego psa, który wpadł do naszych psów i zaczął się z nimi gryźć. Rewolwer bębnowy coś nie wystrzelił, a budził grozę już samym wyglądem. Psa zatłukli drągami ludzie ze wsi, którzy go gonili.

Gdzieś po 20 września wieczorem pod nasz dom podjechały 2 wozy. Proszą o nocleg; chcą zatrzymać się tylko na parę godzin i rano jechać dalej do Warszawy. Byli to ziemianin Wołoszynowski ze swoją siostrą, panią Płaskowicką, i jego gajowy z rodziną. Pan Wołoszynowski był właścicielem majątku ziemskiego Znamirówka na Podolu. Siostra jego, Płaskowicka, dystygowana starsza pani, była wdową. Powodem ucieczki na zachód były wystąpienia ukraińskie skierowane przeciw Polakom na wschodzie. Pokazywali ulotki zrzucane przez sowieckie samoloty, wzywające Ukraińców do rozprawiania się z Polakami. Nie czekali więc na reakcję wrogiej ludności, zaprzęgli konie i skierowali się na zachód.

Wołoszynowskiego i jego siostrę zatrzymaliśmy w Leszczynach. Dla gajowego nie było już tu miejsca; znalazł zakwaterowanie na wsi. Od nas dowiedzieli się, że dalej jechać już nie można. Warszawa jest oblężona i trwają tam walki. Chcieli zatrzymać się na jedną noc, a musieli zostać na lata. Nie było już gdzie jechać. Zamieszkali w pokoju w czworakach. Nie mieli żadnych środków finansowych i byli całkowicie na dziadka utrzymaniu. Z gajowym kontakt się urwał. Podpisał on volkslistę i wyjechał z rodziną do Rzeszy. Ja miałem pretensje do pana Wołoszynowskiego o kota. On miał uraz na punkcie tych miłych zwierząt. Raz przy stole kot wskoczył na jego kolana. Zerwał się z krzykiem i o mało nie wyrzucił stołu. Bardzo mi się nie podobało, że kopnął bez zdania racji mojego ulubionego zwierzaka.

Wołoszynowski i jego siostra byli kijowianami, ludźmi dużej kultury. Z nimi bardzo żyliśmy się. Pani Płaskowicka uczyła Marysię i mnie gry na fortepianie, a ponadto uczyła ją francuskiego. Już nie pamiętam, lecz chyba w 1942 r. zmarła na raka i pochowana została na cmentarzu w Garwolinie,

w dębowej trumnie, którą wyprosił płaczem jej brat od producenta. Grób jej już nie istnieje; próbowałem go odszukać. Pan Wołoszynowski był starym kawalerem, z charakterystyczną siwą niewielką bródką, taką, jaką nosili wyżsi carscy oficerowie. W 1944 r. w obawie przed zbliżającymi się wojskami bolszewickimi, mimo odradzania, uciekł do Warszawy. Tam zginął w Powstaniu. Strach był silniejszy niż rozsądek. Do ukochanego Znamirówka by i tak nie wrócił.

Nocami od strony północnej słychać było huk armat. To jeszcze Warszawa się broniła. Gdy nastąpiła cisza, wiedzieliśmy: to już koniec. Jeszcze przez pewien czas spotykało się żołnierzy w mundurach, lecz bez pasów i odznaczeń, wracających do swoich domów. W tym czasie nie było innej komunikacji, jak własne nogi. Widywało się jeszcze bezańskie kawaleryjskie konie szwędające się po polach. Były one stopniowo wylapywane przez okoliczną ludność. Drogami poruszały się jednostki niemieckie. Wiedzieliśmy, że stosunkowo blisko od nas na wschód, stacjonują już wojska sowieckie. Chodziły plotki, że granica będzie na Wiśle. To my byśmy się znaleźli w strefie ich okupacji. Z niepokojem czekaliśmy na dalszy rozwój wypadków. Z dwójga zlego Niemcy wydawali się lepsi.

Sowieckie wojska bardzo pomogły Niemcom w szybszym pokonaniu polskiej armii. Na wschodzie kraju przygotowane były dalsze linie obronne i zgromadzone potrzebne zaopatrzenie. Atakujące wojska niemieckie zaczęły stopniowo wytracać impet. Oddalały się od swoich punktów zaopatrzeniowych. To pozwalało na przegrupowania i dawało jakąś nadzieję na stabilizację czynnej obrony, która pozwalałaby wytrwać do oczekiwanej interwencji aliantów. Zerwanie paktu o nieagresji i niespodziewany atak wojsk bolszewickich były wielkim zaskoczeniem. Walczące z Niemcami polskie jednostki były całkowicie zdezorientowane. Nie wiedziały, czy wkraczający Rosjanie idą nam w pomoc, czy są wrogami. Rozkaz naczelnego dowództwa, w pierwszym okresie sowieckiej inwazji zabraniał w stosunku do wojsk sowieckich przeprowadzanie zaczepnych operacji. Jak się zorientowano co do intencji Sowietów, było już za późno. O tym już we wrześniu opowiadali nam wojskowi, którzy wycofywali się przed wojskami rosyjskimi i dostali się w strefę działań niemieckich.

Przykładem tego są Momoty koło Batorza, gdzie oddziały polskie z grupy pułkownika Zielenieckiego, wycofujące się w walkach, zostały zabloko-

wane przez Niemców i współdziałających z nimi Sowieców. Walczące tam oddziały zostały otoczone, zepchnięte w lasy i zmuszone do kapitulacji. Miejsce powyższe jest do dzisiaj sanktuarium polskiej tragedii 1939 roku. Jest pomnikiem nie tylko bohaterskiego dowódcy, lecz pokazującym perfidię naszych sąsiadów.

Już przed wojną wiedzieliśmy, że największymi wrogami Hitlera i Niemiec są Stalin i Bolszewicy. Podczas niemieckiej inwazji na Czechosłowację Rosjanie grozili Niemcom interwencją. Domagali się, by Polska przepuściła przez swój teren sowiecką armię. Na to Polacy nie wyrazili zgody. Wiedzano, że gdzie komuniści wejdą, to nie będzie można się ich pozbyć i będą usiłowali przejąć siłą władzę. Podczas tych politycznych negocjacji szykował się nowy rozbiór Polski, którym był „pakt Mołotow – Ribbentrop”. Rozmowy z Francją i Anglią, co do zbrojnej i natychmiastowej pomocy, to był jeden wielki blef. Nikt u nas nie przypuszczał, że ci śmiertelni wrogowie, wystąpią razem przeciwko naszemu krajowi

Zaczęły się rekwizycje siana i owsa dla koni. W Garwolinie, w koszarach, kwaterowała niemiecka kawaleria. Któregoś dnia przyjechał młody podoficer i wziął od nas paszę. Dał za to pokwitowania, z którymi nie wiadomo było, co robić. W rok później pojawił się on znowu, lecz po cywilnemu. Jak powiedział, zdezerterował z wojska, bo nie chciał jechać na front francuski. Gdzieś w tej okolicy się ukrywał. Osoba jego była jakaś dziwna. Sądziłyśmy, że może mieć powiązania z jakimś wywiadem. Z akcentem zaczął mówić po polsku. Baliśmy się kontaktów z nim; nie chcieliśmy odpowiadać za ukrywanie zbiega. Po pewnym czasie zniknął, może został złapany.

Na początku października znowu coś się dzieje. Widać ruchy wojska szybko przemieszczającego się na południowy wschód. Znowu słychać w nocy dudnienie artylerii. Wiadomości, poza plotkami, nie mamy żadnych. Ludzie się pocieszają, że może to nareszcie oczekiwana interwencja sojuszników. Niestety, to broniły się jeszcze oddziały dowodzone przez generała Kleeberga pod Kockiem. Po okrążeniu przez przeważające siły i z braku amunicji, w dniu 4 października musiały, niestety, skapitulować.

Mimo całkowitej klęski militarnej wierzyliśmy, że na wiosnę wszystko się pomyślnie zakończy. Nareszcie ruszy Anglia i Francja. Opowiadano, że alianci dysponują jakąś nową bronią opartą na ciekłym tlenie, który wszyst-

ko zamraża i nie ma na to obrony. Były to wszystko plotki, które jednak podnosiły na duchu. Kiedyś po fali złych wiadomości mama powiedziała: „Sądziłam, że wasze pokolenie nie zazna, tak jak my, goryczy niewoli. Wierzę jednak, że Bóg tak pokieruje naszym losem, że znów będziemy wolni”. Tak silna była w tym czasie wiara i nie tylko w aliantów, lecz i w Boską interwencję. Nikt wtedy nie przypuszczał, że nadchodzi wieloletni, straszny czas okupacji.

Z okresu tego, oprócz ważnych wydarzeń, zachowały się w mojej pamięci jedynie jakieś drobne wspomnienia, które po latach trudno połączyć w jedną całość. Zapamiętałem na przykład, że Jurek Kamiński zdobył gdzieś porzucone przez wojsko mapy, tak zwane sztabówki, potocznie „setki” - 1:100 000. Miał je zakopane w skrzynce po amunicji. Tadeusz zaczął mu ich zazdrościć. Dał mi pieniądze, bym niektóre arkusze odkupił. Sam tego nie robił, bo się w tym czasie na Jurka gniewał. Interesowały go mapy Mazur. Nad nimi przesiadywał, rysując na planach jezior trasy, którymi jak sądził, będzie jeździł własną żaglówką po wojnie. Było to dla mnie śmieszne i w tym czasie zupełnie nierealne.

W domu rodziców wyrastaliśmy w kulcie Józefa Piłsudskiego i w heroizmie powstań narodowych. Rozegrana na naszych oczach klęska naszej armii w 1939 r. była tragiczna nie tylko dla dorosłych, ale i dla nas dzieci. Widziałem łzy w oczach moich bliskich i sam płakałem. Wierzyłem, że jak będę starszy, to włączę się do walki, która musi zakończyć się sukcesem. Podobnego zdania był i Janusz, mój brat cioteczny, z którym razem robiliśmy plany naszej przyszłej wojskowej działalności. W tym czasie, obaj byliśmy małoletni. Ja miałem 12 lat, a Janusz tylko 10. By się z nas nie śmiało, mogliśmy tylko z sobą na ten temat mówić. Ja jednak od zaraz chciałem być potrzebny, ale jak? Uważałem, że wstępem do mojego działania musi być gromadzenie sprzętu wojskowego i broni. Wtedy tylko to mogłem robić. Wiedziałem, że broń jest podstawą, bez której się nic nie osiągnie. Na początku zdobyliśmy 2 wojskowe plecaki, w które schowaliśmy parę kawałów chleba, który niestety szybko wysechł i jakieś jedzenie, które szybko się psuło. To miało być naszym zaopatrzeniem w bojach, jakie będziemy toczyć już na przyszłą wiosnę.

Następnie ja zacząłem systematycznie zbierać wszystko, co zostało porzucone przez wojska i chować. Dużo broni, głównie karabiny, potopiłem w

stawach. W pierwszym rzędzie chciałem, by nie dostały się w ręce Niemiec. Ze stawów można było wydobyć i po konserwacji używać. Tak utopiłem wiele karabinów, od starych francuskich z pierwszej wojny światowej, bo i takie były na wyposażeniu, po ostatnie mauzery. Topiłem i zakopywałem całe skrzynki amunicji. W tym czasie inna broń, poza palną, mnie nie interesowała. Po krzakach leżało tego całe masy. W polskich hełmach często chłopci dawali kurom jeść. Rurki z lanc, używane były do różnych celów, a między innymi do aparatury wytwarzającej bimber. Ze stali szabel i bagnetów robiono noże. W strzechach zabudowań dziadka, gdzie kwaterowało wojsko, znalazłem wiele pochowanej broni. Musieli ją pochować kwaterujący po stodołach żołnierze na wiadomość o klęsce naszej armii. Nie ruszałem jej, tylko starałem się konserwować. Przy mnie żołnierz, na wiadomość o kapitulacji, odpiął bagnet z pasem i rzucił go w krzaki. Bagnet ten zabrałem do domu i mam go do dzisiaj. Jest pamiątką tego tragicznego czasu.

## Okupacja

Jak tylko zamilkły strzały, władzę od wojsk przyjmowała niemiecka administracja. Kierowała ona całym rozbudowanym aparatem represyjno-policyjnym. Wprowadzono godzinę policyjną, obowiązującą od zmroku, do 6 rano. Później parokrotnie przesuwano ją na późniejsze godziny. Nie została ona cofnięta do końca wojny. Pierwszym zarządzeniem nowych władz było natychmiastowe odebranie całej posiadanej broni, a w tym i myśliwskiej. Dostarczenie do wyznaczonych punktów wszystkich aparatów telefonicznych, aparatów radiowych, motocykli i samochodów. W dalszej kolejności zarządzenie to w Garwolinie objęło także rowery i narty. W okresie ostrych zim zabierano także ciepłe kożuchy na potrzeby armii. Za niedostawienie się do powyższych zarządzeń przewidziana była właściwie tylko jedna sankcja - kara śmierci. Szaflowano nią na każdym kroku. Nielegalny ubój z własnej hodowli podlegał również tej samej karze. Szczególnie bezwzględnie karano za pomoc Żydom. Tu nie było pobłażania. Przy najbardziej błahych sprawach szczęście miał ten, kogo nie zastrzelono zaraz, a zabrano do obozu koncentracyjnego. Wielokrotnie stosowano odpowiedzialność zbiorową. Brano zakładników i ich publicznie rozstrzeliwano. Tak rozstrzelano z Leszczyn sołtysa Saganka, z Nowych Leszczyn Nowka i paru

innych. Wyraźnie chodziło o zastraszenie społeczeństwa. W plakatach rozwieszanych w wielu miejscach podawane były nazwiska rozstrzelanych. Taki plakat posiadam w swoich zbiorach.

W dniu 5. października 1939 roku, już w tydzień po kapitulacji stolicy, Niemcy urządzili w Warszawie defiladę zwycięstwa. Paradę w Alejach Ujazdowskich odbierał sam Hitler. Przed nim maszerowały przez ponad trzy godziny wojska niemieckie biorące udział w walkach o stolicę. Stamtąd Hitler pojechał zobaczyć Belweder, a następnie przejechał Alejami Ujazdowskimi i Nowym Światem na plac Piłsudskiego. W rejonie dzisiejszego ronda de Gaulle'a przed kapitulacją stolicy podłożony był przez saperów potężny ładunek wybuchowy, przygotowany do przeprowadzenia zamachu na Hitlera. Wiedzano, że tamtędy będzie musiał przejeżdżać. Dlaczego nie został odpalony?

Po latach, dowódca powołanej w dniu 27 września 1939 r. Służby Zwycięstwa Polski, generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski, opowiadał Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu, że oficer, który miał zdecydować o odpaleniu ładunków, nie wydał tego rozkazu. Nie był pewny, czy limuzyna „Führera” była w korowodzie przejeżdżających szybko aut. O tej próbie zamachu dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie. Szkoda, że się nie udało. Wojna by się szybko zakończyła i bez takich strasznych ofiar. Po ustaniu działań wojennych póki Wehrmacht rządził, Niemcy ustawili warty honorowe przy grobie Marszałka J. Piłsudskiego w Krakowie (mam zdjęcie w okupacyjnej gazecie). Podobno warty stały również przy grobie nieznanego żołnierza w Warszawie. Obejmująca we władanie administracja hitlerowska zaraz zniósła te objawy szacunku dla pokonanego przeciwnika. Przyjazd Hitlera do Warszawy nie był tajemnicą. Nawet w Leszczynach to wiedzieliśmy. W tym czasie ograniczono ruch na mieście. Wiele ulic w centrum zostało zamknięte, a mieszkańcy byli wysiedlani z tras przejazdu. Nie wolno było pokazywać się w oknach, pod groźbą zastrzelenia.

W związku z zarządzeniami władz dziadek musiał oddać nawet kryształkowe radio. Ono też podlegało rekwizycji. Drugi dziadek pistolet, mimo moich protestów, został utopiony w Żółtym Stawie. Mieliśmy też kłopot, z którego nie wiadomo było jak wybrnąć. W związku z wojną, znajomi cioci Zosi (rodziny oficerskie) przysłali do Leszczyn na przechowanie swoje najcenniejsze rzeczy, w tym 5 aparatów radiowych. Sądzono, że na wsi będą

bezpieczne. Bez zgody właścicieli oddać ich nie mogliśmy. Ktoś wpadł na pomysł, by zbić lampy. Byłby to dowód, że się z nich nie korzysta. Tak też zostało zrobione. Okazało się jednak, że nie jest to żadne zabezpieczenie przed karą. Trzeba było się tych trefnych rzeczy pozbyć. Zostały rozbite, drewno ze skrzynek spalone, a części metalowe utopione w stawach.

Za zgodą władz wznowiono działalność magistratu i sądów zajmujących się sprawami karno-cywilnymi, głównie drobnymi kradzieżami. W starostwie na nowo zatrudniono polskich urzędników niższego rzędu. Powołano Polską Policję „Granatową”, Straż Ogniową i Pocztę. Każdy z tych „polskich urzędów” miał nad sobą nadzór niemiecki. Nowe władze pozajmowały w mieście wszystkie większe budynki. Park przy kościele w Garwolinie na początku został zamknięty dla mieszkańców, tylko „Nur für Deutsche”. Przez pewien czas przy wejściu wisiała tablica z napisem. „Dla Polaków, Żydów i psów wstęp wzbroniony”. Dziwne mogło się wydawać, że robiono wszystko, by nie zjednać, a zrazić do siebie ludność. Żydom nakazano na rękawach nosić białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida. Nie mieli prawa chodzić chodnikami, tylko jezdnią. Używano ich do różnych prac. Musieli chodzić w zwartych kolumnach, a często kazano im śpiewać. Zapamiętałem jedną z tych poniżających piosenek.

Marszałek Śmigły Rydz, nie nauczył nas nic,

A Hitler złoty, nauczył nas roboty.

Na początku grudnia 1939 r. zacząłem chodzić w Garwolinie do otwartej za zgodą Niemców szkoły powszechnej. Kończyłem szóstą klasę. Do wojny w Grójcu miałem ukończonych tylko 5 klas. Później władze Generalnej Guberni zezwoliły na otwarcie tylko niższych i średnich szkół zawodowych. Miały szkolić wykwalifikowanych robotników potrzebnych dla przemysłu zbrojeniowego Trzeciej Rzeszy. Wyższych szkół dla polskiej młodzieży nie przewidywano.

Na początku mogliśmy czerpać wiadomości z wydawanej w języku polskim gazety, tak zwanej „gadzinówki”. Był to Nowy Kurier Warszawski, potocznie zwany też „czerwonakiem”. Tak nazywany ze względu na kolor czołówki. Na rynku w Garwolinie zainstalowany był głośnik, określany mianem „szczekaczka”. W określonych godzinach podawane były tam wiadomości w języku polskim i zarządzenia władz. Oficjalnie to było wszystko. Główne informacje, nieoficjalnie przekazywane były z ust do ust. Nie zaw-

sze były one prawdziwe, lecz przeważnie podnosiły na duchu. Po pewnym czasie zaczęła ukazywać się tajna prasa, oparta na nasłuchu radiowym. Podawała ona już dane sprawdzone.

Przychodzące oficjalne wiadomości były tragiczne. Nasze pokonane państwo podzielone zostało na 2 części. Wschodnią, okupowaną przez Rosję i zachodnią, przez Niemcy. Rosjanie część, którą zajęli, włączyli do sąsiadujących z nimi republik i rozpoczęli wywózkę ludności polskiej do różnych oddalonych rejonów tego ogromnego kraju. Oficerów, jeńców wojennych, rozstrzelano w Katyniu, Charkowie, Miednoje i innych miejscowościach. O tym fakcie dowiedzieliśmy się dopiero w 1943 roku. Niemcy zajęłą zachodnią część Polski włączyli do Rzeszy. Z reszty utworzyli małe kadłubowe Generalne Gubernatorstwo, gdzie Polacy nie mieli żadnych praw. Na jego czele postawiono polakożercę Hansa Franka. Między Rzeszą, a tym nowym sztucznym tworem, wyznaczono zamkniętą i pilnowaną granicę – na wzór getta. Z terenów włączonych do Rzeszy zaczęto wysiedlać ludność polską do Generalnej Guberni, nie patrząc na straszne warunki, jakie się im tam tworzy. Również wypowiedzi polityków nie wróżyły nic dobrego. Przykładem była oficjalna, szeroko komentowana, wypowiedź ministra spraw zagranicznych Rosji, Wiaczesława Mołotowa, który mówił: „Polska, bękart Wersalu, na zawsze została wykreślona z mapy Europy”. Podobnie wypowiedzi się i politycy niemieccy. Powiązania Rosji Stalina z Hitlerem, Pakt Ribbentrop-Mołotow, świadczyły o beznadziejności naszego położenia.

Najwięcej niepokoju budził brak wiadomości od naszych bliskich. Czy przeżyli wojnę? Gdzie jest ojciec? Gdzie rotmistrz Bartoszewicz i zmobilizowany wujek, Wacek Kamiński? Ktoś dał znać, że pod Sochaczewem, na świeżym wojskowym cmentarzu, widniał tabliczkę z nazwiskiem Waclaw Kamiński. Ciocia Marychna w płacz. Chce tam jechać, lecz na razie nie ma jak. Wiadomość okazała się nieprawdziwa. Po pewnym czasie, jak wznowiła działalność poczta, przyszedł list od wuja. Był w niewoli niemieckiej i do końca wojny siedział w Oflagu Woldenberg.

Następne wiadomości były z Rosji. Wujek Henio dostał się do niewoli sowieckiej i jest w obozie w Starobielsku. Przyszło od niego parę listów i depesza. Potem nastąpiła przerwa. Odkryte w 1943 r. groby w Katyniu źle wróżyły o jego losie. Przyszedł też list od ojca. Pisał, że był ewakuowany do Łucka, a teraz mieszka w Kiwercach. Czeka na otworzenie granicy i

wtedy zaraz przyjedzie. Mamy o niego się nie martwić. Najważniejsze, wszyscy żyją. Następny kłopot - nasze mieszkanie w Grójcu nie istnieje. Straciliśmy wszystko. Z mieszkania cioci Zosi w Płocku też nic nie zostało. W Kaliszu przyłączonym do Rzeszy, mieszkanie po Kamińskich i wszystkie ich rzeczy przejęła Eliza Bolenbach. Posiadaliśmy tylko to, co było wzięte na wakacje. Najważniejsze, że żyjemy. W Leszczynach mamy zapewnione jedzenie i jest dach nad głową. To najważniejsze.

Wszyscy jesteśmy żądni wiadomości. Nadzieją napawa powstanie rządu Sikorskiego. Cieszą nas kłopoty Rosji w wojnie z małą Finlandią. To pokazuje, że siłę armii nie stanowi jej ilość. Wystarczy genialny dowódca. Przykładem był fiński generał Mannerheim, który pokazał, że nawet przy tak wielkiej dysproporcji sił można z wojny wyjść prawie niepokonany. Sceptycy dowodzili, że to nie geniusz wodza w wojnie z Sowietami, a podstęp Stalina. Większość raczej wierzy w to pierwsze. Ja uważałem, że Stalin by tak swoich dowódców i wojsk nie kompromitował. Na wiosnę wszystko się rozstrzygnie, jak mocarstwa zachodnie ruszą. Mówiło się: „Czym słońcecko wyżej, tym Sikorski bliżej”.

Tyle osób przewijało się przez Leszczyny i wszyscy politykowali, nawet my, dzieci. Nie pamiętam już, kto to był. Każdą najgorszą wiadomość potrafił tak skomentować, jak by to był największy sukces. Tym dodawał wszystkim ducha.

Z wielką radością przyjęliśmy wiadomość, że podziemie polskie działa i zastrzeliło znanego przed wojną aktora, Igo Syma, który zadeklarował się jako volksdeutsch. Został dyrektorem niemieckich teatrów warszawskich i brał udział w antypolskim filmie „Heimkehr”. Wiadomość ta była tak samo ważna, jak późniejsze zastrzelenie szefa Pawiaka, znanego sadysty Bürkla, czy kata Warszawy, generała Franza Kutschere.

Nie pamiętam, czy w tym czasie była jeszcze z nami Eliza Bolenbach. Po wkroczeniu Niemców zadeklarowała volkslistę i wyjechała do Reichu. Chwaliła się, że jej brat uciekł z Polski do Niemiec przed wybuchem wojny i wstał tam na ochotnika do armii. Chciał walczyć z Polską, w której rodzina jego od pokoleń mieszkała. Zaczęliśmy się jej bać. Do jej wyjazdu staraliśmy się nic przy niej nie mówić. Na początku okupacji wyjechała też do swojej rodziny w poznańskie pani Wodzińska, prowadząca dziadkowi gospodarstwo.

Pod koniec listopada, lub na początku grudnia 1939 r., do Leszczyn przyjechał cioteczny brat mamy, Tadeusz Pawłowski. Zaskoczył nas wyglądem. Był w pełnym polskim oficerskim mundurze, łącznie z pasem i koalicijką. Na kołnierzu miał tylko naszyte znaki straży pożarnej. Na naramiennikach stopień majora. Pawłowski wypytywał się o osoby z naszej rodziny i jak przeżyły wojnę. Mówił o czekającej nas walce z okupantem i o potrzebie gromadzenia broni. Powiedziałem, że mamy 3 schowane pistolety. Prosił, bym mu je oddał. W nocy wyciołem od karabinu i szpadłem usiłowaliśmy znaleźć ukrytą skrzynkę. Nie było to proste. Ziemia była już zmarznięta. W końcu się udało. Broń była w doskonałym stanie. Zabrał ją z sobą do Warszawy. Dopiero potem dowiedziałem się, że Pawłowski chciał koniecznie widzieć się z ojcem. Niestety nie wrócił on jeszcze z wojennej tułaczki. Najprawdopodobniej chciał go wciągnąć do prac konspiracyjnych.

Major Tadeusz Pawłowski w czasie obrony Warszawy dostał rozkaz przejścia z wojska do zawodowej straży pożarnej. Chroniło go to przed pójściem do niewoli. Jak się potem dowiedziałem, był on w bezpośredniej dyspozycji generała Karaszewicz-Tokarzewskiego. Pracował nad organizacją struktur Służby Zwycięstwa Polski, z których następnie wyłonił się Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), a następnie Armia Krajowa (AK).

Tadeusz Pawłowski należał do ludzi wyjątkowo sympatycznych. Był wielkim optymistą. Przypominam sobie, jak z Leszczyn wywoził gęś, w związku z trudnościami aprowizacyjnymi. Ta się z jego rąk wyrwała i uderzyła mamę w twarz. Zaczął się głośno śmiać, że Wanda jest przez gęś kopana. W rozmowie roztaczał przed nami wizję szybkiego zwycięstwa. Niemieckie militarne sukcesy miały być początkiem ich końca. Mówił, że tu w Polsce musi powstać potężna organizacja na wzór POW (Polska Organizacja Wojskowa). Wszyscy musimy się w nią włączyć. Organizacja ta powinna się uzbroid i czekać na stosowną chwilę.

Opowiadał, jak w Warszawie zatrzymał go na ulicy patrol wojskowy i chciał rewidować. Miał on przy sobie jakieś materiały, które nie powinny dostać się w ręce niemieckie. Jak zwykle, był w mundurze z naszywkami majora. Dowodzący niemieckim patrolem miał stopień podoficerski. Pawłowski, świetnie znający język niemiecki, nie pozwolił się zrewidować. Powiedział, że to może zrobić tylko oficer równy stopniem. Niemcy zgłupieli. Oświadczył, że poczeka w najbliższej kawiarni na oficera. W międzyczasie

ukrył trefne materiały. Po pewnym czasie patrol wrócił i go przeproszono.

Nie zawsze mu się jednak udawało. W grudniu został aresztowany. Znalezione przy nim dowody winy. Osadzono go na Pawiaku i przy przesłuchaniach torturowano. Organizujące się podziemie próbowało zorganizować mu ucieczkę. Ta udała by się, gdyby nie dorożkarz. Złapał go i oddał w ręce Niemców. Za ten czyn został przez organizację zlikwidowany. Gestapo wiedziało, że jest osobą znaczącą, lecz nie mogli z niego wyciągnąć. Biciem złamano mu szczękę i nogę. W uzasadnieniu wyroku skazującego, przesłanego do żony, było zapisane, że ucieczką udowodnił swoją winę. Na początku 1940 roku został stracony w Palmirach. Grób jego po wojnie odnalazłem. Jest on pod opieką „Żoliborskiej Straży Pożarnej”.

Niemcy już od samego początku okupacji zachowywali się bardzo brutalnie. Złe wiadomości spadały na nas, jak grom z jasnego nieba. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia 1939 r. dowiedzieliśmy się o aresztowaniu profesorów wyższych uczelni, zaproszonych na rozmowy w Krakowie. Wprost z tego zebrania, na które mieli oficjalne zaproszenie Generalnego Gubernatora, Hansa Franka, zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego w Dachau, z którego wielu nie wróciło. Następnym wstrząsem była wiadomość o rozstrzelaniu niewinnych 107 zakładników w Wawrze. To był dopiero początek tego, co nastąpiło dalej. Straszną wiadomością było rozstrzelanie bez żadnych podstaw lwowskich profesorów. Niemcy potrafili bez powodu zatrzymywać na ulicach przechodniów. Rewidowano i żądano dokumentów. Gdy te nie były związane z jakimiś firmami niemieckimi, to często je darto. Kto nie potrafił się wytłumaczyć, co tu robi, mógł być na miejscu zastrzelony, lub wywieziony do obozu koncentracyjnego. Ja kiedyś zagapiłem się na ulicy i o mało nie wpadłem na żandarma; zostałem za to brutalnie kopnięty.

Przed świętami Bożego Narodzenia dostaliśmy list od ojca. Był już w Warszawie. Po paru dniach przyjechał do Leszczyn. Opowiadał o ewakuacji z ministerstwem do Łucka. Gdy już było wiadomo, że wojna jest przegrana, dostali pieniężne odprawy i zostali rozpuszczeni. Ministerstwo przestało istnieć. Każdy mógł robić, co uważał za stosowne. W Łucku trudno było o kwatery, dlatego wyniósł się do pobliskich Kiwerc. Chciał wracać, lecz granica między strefą niemiecką i sowiecką została zamknięta i nikogo nie przepuszczano. Obiecywano jej otwarcie, by przepuścić tych, którzy się tu

znaleźli w wyniku działań wojennych. Obietnice te do końca nie zostały zrealizowane. Czekał więc niecierpliwie, gdyż bał się przekraczać ją nielegalnie. Ojciec był typowym legalistą.

Jednego razu na ulicy zatrzymał go patrol sowiecki. Zaprowadzono na NKWD. Ojciec udawał nieznaną rosyjskiego, choć kończył rosyjskie szkoły. Zawezwano tłumacza Żyda. Gdy ten zobaczył ojca legitymację, cicho powiedział: „Jest źle. Jak się dowiedzą, kim pan był, aresztują i wywiozą.” Obiecał pomóc. Tak tłumaczył oficerowi NKWD dokument, że ojca wypuścili. Na odchodne tłumacz radził, by zdjął okulary i nie chodził porządnie ubrany. Ma bowiem wygląd burżuja, co potwierdzają również jego ręce. Tak się ojciec przestraszył, że natychmiast zdecydowany był uciekać ze strefy zajętej przez wojska sowieckie.

Opowiadał, jak szukał przewodnika, który przeprowadzi go przez zieloną granicę. Jak skontaktowano go z innymi, chcącymi wydostać się z raju sowieckiego do Generalnej Guberni. Grupa chętnych zbierała się parę dni. Sypiali w pobliżu granicy u jakiegoś ukraińskiego chłopca. W ostatnią noc do ich gospodarza przyszedł pijany jakiś jego krewny. Jak się dowiedział, że u niego nocują Lachy, zaczęła się awantura i chciał ich mordować. Wykrzykiwał „Lachy rezaty”. Ojciec, jak i jego współtowarzysze, szykowali się do obrony. Mieli do tego tylko drewnianą ławę, a napastnik uzbrojony był w siekiere. W końcu gospodarz stopniowo uspokoił kuzyna. Skończyło się więc tylko na strachu. Te zajście ojciec jednak bardzo przeżył.

Za złoty zegarek przeprowadzono go w nocy przez Bug koło Uściługa (na wschód od Hrubieszowa). Szli całą grupą w ciszy po jakiś łąkach, krzakach i mokradłach. Przechodzili w bród rzekę Bug. Gdy zapalały się reflektory straży, musieli leżeć bez ruchu i pilnować, by nie zgubić przewodnika. Nie wiedzieli gdzie są. Na koniec ulotnił się przewodnik, a oni wpadli wprost w objęcia straży niemieckich. Psy ich wywahały. Wszyscy bardzo się ucieszyli, że to już nie Sowieci. Po sprawdzeniu dokumentów, oraz list z nazwiskami osób poszukiwanych, dostali gorącą herbatę i zostali wypuszczeni. Na przewóz rzeczy do stacji kolejowej podstawiono im podwoły.

Ojciec został w Leszczynach. Uczył nas, dzieci, i pomagał w gospodarstwie. Dbał o porządek, usuwając gromadzone śmiecie i wszelkie nieczystości. Musiało to być dla niego straszne. Z osoby znaczącej, mając zaledwie 50 lat, został bezrobotnym na utrzymaniu teścia. Bardzo przeżywał początk-

kowe niepowodzenia aliantów, jak i terror władz okupacyjnych. Żył ciągle nerwami i bardzo wychudł. Wiele rzeczy musieliśmy przed nim ukrywać, by się nie denerwował. Wieczorami zwykle długo się modlił. Nasze panie również codziennie odmawiały różaniec. Latem robiły to spacerując po ogrodzie.

Przeżywaliśmy upadek Francji i militarne postępy wojsk niemieckich w Europie. Sytuacja w początkach lat czterdziestych była dla nas straszna. Mogło się wydawać, że wszystko jest już stracone. Przyszłość rysowała się źle. Życie jednak trzeba było, mając jedynie wiarę na lepsze. Próbowaliśmy dostosowywać się do istniejących warunków. Starsza młodzież: Tadeusz, Jurek i Zosia, pojechali uczyć się do Warszawy. Kamińscy zamieszkali u zaprzyjaźnionych Nartowskich, a Tadeusza przyjęli spokrewnieni Wodicz-kowie. W Garwolinie nie było odpowiednich szkół. Tam pod przykrywką różnych zawodowych uczelni, przerabiano programy ogólnokształcące i wyższe. Tadeusz po zakończeniu kolejowej szkoły zawodowej, zaczął chodzić na wykłady tajnej Akademii Medycznej. Młodszy, to znaczy Marysia, Janusz i ja, zostaliśmy w Leszczynach. Uczył nas początkowo w domu mój ojciec, który był typowym humanistą. Stąd mieliśmy kłopoty w starszych klasach z matematyką. Potem program gimnazjalny przerabialiśmy na tajnych kompletach w Garwolinie. Tam też dominowali humaniści. Używane książki do nauki można było po znajomości nielegalnie kupić.

W Leszczynach warunki życia, szczególnie w zimie, były bardzo ciężkie. Dokuczało zimno. Paliło się właściwie w 2 pomieszczeniach: w dziadka pokoju i stołowym. Połączone to było jednym piecem. W innych pokojach przepalano tylko wieczorami. Uważano, że do spania nie musi być ciepło. Węgiel był trudno dostępny i bardzo drogi. Pochodził jedynie z kradzieży. Do palenia używano się głównie drewna ze ścinanych naszych drzew. Było ono świeże i kalorycznie słabo wydajne. Zimą w domu ubrani byliśmy bardzo grubo. Kładąc się do łóżka brało się zwykle na rozgrzewkę butelkę z gorącą wodą. Kołdry i koce przykrywało się jeszcze dodatkowo zimowymi paltami. Podczas mrozów temperatury w pomieszczeniach były często bliskie 0, lub nawet ujemne.

Zimy w tym czasie były śnieżne i mroźne. Wieczorami słychać było suche trzaski drzew pękających na mrozie. Przy chodzeniu śnieg głośno skrzypiał. To był najlepszy dowód, że mrozy były duże. W ogrodzie kaszta-

ny, bzy i inne rośliny często były pokryte szadzią; wyglądały przepięknie. Do Garwolina w tym czasie jeździło się saniami. Uroku tym kuligom dodawał dźwięk dzwonek zakładanych na końskie szyje - tak zwanych janczarów. W lecie Leszczyny były wyjątkowo uroczne. Jedynym mankamentem wtedy były bardzo dokuczliwe muchy, na które nie było sposobu. Gdyby nie zamykane okiennice, to od świtu spać by przez muchy nie było można. Dokuczwały również nie do wytępienia pchły.

Dużym problemem było światło. Jedna lampa naftowa wisiała zawsze w naszej dużej kuchni. Dawała tyle światła, że ledwie widziało się kontury ludzkie, a pracowało prawie po omacku. W pokoju jadalnym stała jedna lub dwie naftówki. Tam, przy jednym dużym stole skupiało się całe rodzinne nasze życie. W centralnej części stołu dziadek miał swoje stałe miejsce i fotel, na którym siedział. Każdy z nas miał również wyznaczone miejsca, których musiał się trzymać. Wieczorami dziadek zwykle stawiał pasjansa, a młodzież odrabiała lekcje. Panie szydełkowały, cerowały, lub łątały znoszone, stare i drące się rzeczy. O nowych ubraniach lub bieliźnie nie było nawet mowy. Ceny nowych rzeczy były nie na nasze kieszenie. Przy stole skupialiśmy się jak najbliższej stojących, ładnych, lecz mało wydajnych naftowych lamp. Dużo się wtedy rozmawiało. Inne pokoje były ciemne i zimne. Można było tam tylko spać pod grubym przykryciem, a nie siedzieć. Gospodarstwo prowadziła nam kucharka, Stanisława Klimek, która miała przy sobie córkę Halinkę, która się z nami razem wychowywała. Jak po latach ją spotkałem, to Leszczyny wspominała z wielkim sentymentem. Twierdziła, że po naszym odejściu tak dobrze już nie miała.

Zwykle do stołu siadało nas około 12 osób. To znaczy dziadek, nasze mamy, młodzież i Wołoszynowski z siostrą. Zwykle w Leszczynach przebywali też goście. Tu można się było trochę oderwać od przykrej rzeczywistości. Porozmawiać i najeść się do syta kaszy, kartofli i mleka. Wspólne wieczory były zwykle bardzo przyjemne. Była to prawdziwa rodzinna więź. Dalej wychodzić z domu nie można było - godzina policyjna. Najwcześniej kładł się spać dziadek. Zimą koło 7 godziny i on też wstawał przed piątą rano. Przed zaśnięciem czytał książki pożyczone od Mikulskiego. Ostatnią książką, której nie zdążył przeczytać przed śmiercią, był „Łuk Tryumfalny” Remarque’a. Gdy był już w łóżku, korzystał z małej naftowej lampki. Mimo poważnego wieku wszystkim się interesował, a szczególnie polityką.

Podczas tych wspólnych wieczorów można było się wiele dowiedzieć z przeżyć i zdarzeń dawnych, minionych lat i z historii naszej rodziny. Dziadek opowiadał o swojej młodości i sprawach, z jakimi się zetknął podczas swego długiego życia. Szczególnie interesowały nas opowiadania o zjawiskach paranormalnych, czyli o duchach. To najchętniej słuchaliśmy. Tajemniczości i uroku dodawał stary dwór, w którym się to działo. Ciemne pomieszczenia, stare meble i rodzinne portrety, to tworzyło nastrój. Przypominało to wszystko mickiewiczowskie romantyczne historie. W opowieściach dziadek wracał też do czasów Powstania Styczniowego, które pamiętał z dzieciństwa.

Lampy naftowe zostały z czasem zamienione na karbidowe. Dawały one więcej światła, lecz było z nimi dużo kłopotu. Czyszczenie, ciągła regulacja i smród. Był to jednak krok do przodu w stosunku do nafty. Może się to dziwnym wydawać, lecz w tak trudnym czasie zaczęto nam zakładać światła elektryczne. Instalacje zakładał siostrzeniec mojego ojca, syn ciotki Felci Trejgut. Niestety, przewody użyte do tego celu były zbyt cienkie. W okresie szczytu przy dużym obciążeniu tak spadało napięcie, że dawało bardzo mało światła. Śmieliśmy się, że tyle, co palony papieros. Trzeba było niezależnie dodatkowo dawać i inne oświetlenia naftowe, karbidowe, lub świece. Lampami zwykle zajmował się mój ojciec.

Kontakt ze starszą młodzieżą właściwie się urwał, jak wyjechała do Warszawy, by tam się uczyć. Między nami, młodymi, często dochodziło do różnych nieporozumień. Dokuczaliśmy Marysi, czego bardzo żałuję, lecz co z głupkami było robić. Ja i Janusz walki stacaliśmy z Marysią głównie o fotel dziadka: kto będzie na nim siedział. Trzeba było w odpowiednim czasie go zająć, jak tylko dziadek wstawał od stołu. Słowne zaklepywanie nie odnosiło skutku. Były to dziecięce głupoty. Nieraz na tym, lub równie blahym tle, dochodziło do awantur, a nawet i bijatyk. Marysia wtedy szła na skargę do mamy, lub dziadka. Co miała innego robić? Włączała się wtedy ciocia Zosia, a na końcu dziadek. Wymyślał i groził laską. Baliśmy się, bo chłopakom potrafił po siedzeniu przywalić. Potrafił też krzyżeć, jak mu coś przeszkadzało. Słynne było powiedzenie dziadka: „idź z Bogiem”, a potem dodawał „do diabła !”.

Tadeusz nie był specjalnie przez nas, młodzież, lubiany. Nie włączał się w nasze sprawy i traktował nas jak smarkaczy. W 1939 roku miał już 17 lat,

czyli był już prawie dorosły. Uważaliśmy go za mało komunikatywnego dziwaka. Był potwornym pedantem; wszystkie jego rzeczy musiały być poukładane pod linijkę. Potrafił wielokrotnie liczyć guziki w koszuli, którą nosił. Mama bez skutku z tym walczyła mówiąc, że się naraża tym na śmieszność. Nas to też strasznie dziwiło i było przedmiotem żartów. Jego poukładanych rzeczy nie wolno było nikomu ruszyć. Natomiast sam lubił w cudzych rzeczach grzebać. Nie miał specjalnych zainteresowań. Był babcierzem, stale miał jakieś nowe sympatie, do których latał. W niedzielę, jak chodziliśmy do kościoła, to Tadeusz potrafił się urywać i znikać u swoich aktualnych wybranek. Bardzo to się nam nie podobało. Ja dziwiłem się, że uciekając z kościoła nie boi się kary Bożej. Słyszał przecież, co na kazaniach na ten temat głosili z ambon księża. Jego dodatnią stroną było, że nie był awanturnikiem. Miał jednak ciągle pretensje; na kogoś się gniewał i z kimś nie rozmawiał. Nigdy nie było wiadomo, co zrobi. Nikogo się nie raził i często popełniał duże błędy, które się na nim mściły.



*W naszym ogrodzie. Na drzewie siedzi Stefan, pod drzewem stoi Jurek Kamiński. Leszczyny, 1943 r.*

Jurek Kamiński natomiast uważany był za typ dobrze ułożonego młodego człowieka. Należał do spokojnych. Przez domowników był przyrównywany do dżentelmena, taki z natury Anglik. Starsi dawali nam go za przykład. Włączał się do naszych różnych zabaw, grał z nami w piłkę i potrafił robić nam kawały. Mamy zdjęcie, jak z Jurkiem wieszamy na drzewie Marysię. Częstoował nas „śmietaną”, która była wapnem i zanosił się ze śmiechu z oszukanych. On był też inicjatorem walki na baterijki z radia. Były ciężkie i dobrze się nimi rzucało. Taka uderzyła i rozbiła mi nos. Dobrze, że nie dostałem w oko, bo byłbym ślepy.

Pamiętam też jedno zadurzenie odbiegające od normy. O co wtedy chodziło, czas wszystko zamazał. Doszło do wielkiej awantury między cicią Marychną a Jurkiem. Ciozia zawezwała na pomoc dziadka i krzyczała, że nikt jej tak nie naubliżał w życiu, jak własne dzieci. W pokoju było ciemno, późna jesień. Podczas tej awantury Jurek tak pchnął interweniującego dziadka, że ten się wywrócił. Następnie w złości wyleciał z domu i zniknął na dworze w ciemnościach. Nie wracał, a tu godzina policyjna. Rozpoczęły się poszukiwania, które nie dały rezultatu. Ciozia Marychna histeryzowała, gdzie mógł pójść. Znalazł się dopiero następnego dnia; nocował nad stawami w stogu słomy. Był tak obrażony, że zgodził się wrócić do domu dopiero, jak ciozia z dziadkiem po niego poszli i sprawę załagodzili. Miał zdecydowany charakter.

Janusz z początku był również bardzo spokojny i usłuchany. Od samego dzieciństwa interesował się głównie rolnictwem. Chętnie i z własnej inicjatywy włączał się w różne gospodarcze prace. Był ulubieńcem dziadka. Szczególnie lubił grabić na grabiarce i prace z końmi. Czego ja nie lubiłem. Często dziadek stawał go nam za przykład. Mnie praca rolna bardzo nudziła i poza pasieniem bydła, starałem się z niej wymigiwać. Przy pasieniu krów mogłem czytać i to mi odpowiadało. Pasjonowałem się wtedy książkami Ossendowskiego, Marczyńskiego i innych podobnych autorów, które wypożyczałem od Mikulskiego z Kolonii Unin.

Janusz potrafił robić też i przykre dla domu kawały. Gdzieś na początku lat czterdziestych, gdy miał zaledwie trzynaście lat, nagle zaginął. Przez parę dni był bez skutku poszukiwany. W domu rozpacz. Okazało się, że on i jego kolega ze wsi, nie opowiadając nikomu, pojechali na rowerach do Warszawy (około 70 km.). W tym czasie jeszcze wolno korzystać było z rowe-

rów. Obaj miasta nie znali, lecz trafili po adresie na Wspólną, do Nartowskich, gdzie w tym czasie przebywała Zosia i Jurek. Zanim drogą pocztową powiadomiono Leszczyny o powyższym fakcie, minęło parę dni poszukiwań i wielkich zmartwień. Jego też nieprzemysłanym, nieuzgodnionym z najbliższymi i wbrew rozkazowi dowództwa AK, posunięciem było wstąpienie do wojska na ochotnika. Co zakończyło się wieloletnim więzieniem.



*Nad stawami dziadka; Z. Kamińska i I. Pągowska. Wakacje w Leszczynach, 1943 r.*

Zosia, była od nas trochę starszą. Nie włączała się w nasze dziecinne, głupie zabawy. Odkąd ją pamiętamy, była już nie dzieckiem, a panienką. Traktowała nas z pobłażaniem i z nami się nie bawiła. Mamy zachowane zdjęcia, na których Zosia w Leszczynach przebrała się za damę w stare suk-

nie po naszych prababciach. Tu, w Leszczynach, miała już stałego adoratora - Wacka Kędziore, którego bardzo lubiliśmy. Mimo, że był od nas starszy, często do nas przychodził i z nami grywał w piłkę.

Miejscem ciekawostek był też strych w Leszczynach. Tam na poddaszu znajdowała się cała rupieciarnia złożona ze starych i nieużywanych rzeczy. Były tam ozdobne lampy naftowe, samowary, różna, które używaliśmy w zabawie za miecze. Najciekawsze były jednak stare książki i gazety sprzed lat. Wiele z nich były bardzo starych. Miały nawet po kilkaset lat. Zdziwiły mnie książki w języku francuskim o tematyce militarnej. Gdy się pytałem dziadka, skąd tu się wzięły, bowiem w naszej rodzinie nie było wojskowych, dziadek odpowiedział, to co usłyszał od swoich rodziców. Zostawili to francuscy żołnierze, którzy tu kwaterowali, jak z Napoleonem szli w 1812 roku na Moskwę.

Do tych staroci należały też dziadków pieczęcie herbowe i stare bekerowskie zegary, które przy opuszczaniu Leszczyn zaginęły. W tym czasie starocie nie były w modzie, więc się nikt tym nie przejmował. Podczas ostatniego pobytu przed rozebraniem dworu, zabrałem jeszcze stary barometr dziadka. Na nim parę razy dziennie sprawdzał pogodę tak potrzebną rolnictwu. Ten wiekowy, próżniowy barometr, mający już ponad 100 lat, do dzisiaj bezbłędnie pokazuje wszystkie zmiany i kaprysy pogody. Umieli dawniej wykonywać naprawdę dobre rzeczy i jest on obecnie ozdobą mojego mieszkania.

Starsza młodzież zwykle do Leszczyn przyjeżdżała na święta. Tu się mogła odżywić. Do Warszawy ze wsi wysyłano paczki z jedzeniem. Mimo kartek żywnościowych, to było mało. Tadeusz w swojej głupocie otrzymywane paczki sprzedawał. W tym czasie potrzebował pieniądze na swoją wielką miłość, Lilkę Szymorowską. Te niedożywienia zakończyło się gruźlicą, z którą musiał walczyć. Z przyjazdami związane były też i śmieszne historie. Na Boże Narodzenie wracała do Leszczyn cała młodzież ucząca się w Warszawie. Jechał z nimi kolega szkolny, Olek Poszytek z Leszczyn. W pociągu był tłok i część podróżnych jechała na stopniach. Olek stał koło jakiejś dziewczyny, której chciał zaimponować. Gdy pociąg zwolnił pochwalił się, że może w biegu wyskoczyć i wskoczyć do wagonu. Świeżo poznana znajoma powiedziała: „To proszę pokazać”. Pokazał, lecz pociąg przyspieszył i Olek nie zdołał wskoczyć. Od Celestynowa musiał wracać

piechotę, a to wynosiło około 40 kilometrów.

Pamiętam, że raz czekałem na kogoś przy drodze do Nowych Leszczyn. Denerwowałem się, że nie przychodził. Miał mi za coś zwrócić pieniądze. Teraz już nie pamiętam, o co chodziło, lecz o kupno jakiejś broni. Zależało mi na tajemnicy. Przyszła Marysia w nowym palcie i stoi koło mnie. Chciałem się jej pozbyć, a Marysia nie odchodzi. Doszło do kłótni i bijatyki. Marysia pchnięta upadła w błoto. Była to mokra wczesna wiosna. Oświadczyła, że będzie leżała do tej pory, aż to w domu zobaczą. Dziadek się z tobą rozprawi. Mijają minuty, a Marysia leży w błocie. Wystraszyłem się nie na żarty. Nowe palto, bez strasznej awantury to się nie obejdzie. Co robić? Schowałem się w krzakach i podglądałem, a Marysia wciąż leży. Jak to nie pomogło, to polecałem do domu powiedzieć cioci, że Marysia się sama położyła w błoto, a mnie oskarża. Jak to ciocia usłyszała, natychmiast wybiegła zobaczyć, co się dzieje. W tym czasie ktoś ze znajomych szedł do Nowych Leszczyn. Marysia wstała, by z nim porozmawiać. Jak zakończyła rozmowę, na nowo zaczęła się kłaść na drodze w błoto. Akurat w tym czasie przybiegła ciocia i to zobaczyła. Ja wyszedłem z tego obronną ręką.

Były wypadki wylewania zawartości nocnego naczynia zaraz przed drzwiami wejściowymi domu, lub przez luźnik w pokojach. Szczególnie widać to było na świeżym śniegu i trzeba było iść i sprzątać. Zaczynało się wtedy dochodzenie, kto był tego sprawcą. Między innymi patrzono, którą ręką ten ktoś wylewał. To wyraźnie wskazywałoby winnego. Marysia była leworęczną. Oskarżony jednak zwykle się nie przyznawał. W Leszczynach, jak w każdym wówczas przyzwoitym starym dworze, nie było w mieszkaniu sanitariatów. Na zewnątrz były dwie „sławojki”: jedna w ogrodzie dla nas i druga w podwórku dla służby. W związku z tym zimą i nocą były z wychodzeniem na dwór pewne kłopoty. Wtedy korzystało się z nocników. To było powodem częstych nieporozumień z moim ojcem, dbającym o czystość i porządek.

W wielu domach na wsiach nie było ubikacji. Za potrzebą chodziło się za stodołę, lub w pobliście krzaki. Spotkałem się z tym jeszcze po wojnie, w województwie kieleckim, gdy kwaterowałem w Słupi Nadwiślańskiej. Za toaletę służył tam jar zarośnięty krzakami. Przed wojną minister Sławoj Składkowski usiłował propagować w gospodarstwach potrzebę budowy ubikacji, w ramach podnoszenia kultury wsi. Rolnicy dbający o wygląd

swoich gospodarstw i higienę byli nagradzani. Śmiano się, że krzyże zasługi dawano za budowę wychodków. Stąd utarła się nazwa drewnianych przydomowych ubikacji – „sławojki”. Określenie te pochodziło od imienia inicjatora tej akcji

W tych ciężkich czasach jedno, co było pozytywne, to to, że mieliśmy dobre kontakty, nie tylko rodzinne, lecz i z sąsiadami. I to zarówno ze wsi Leszczyny, jak i z Garwolina. Utrzymywaliśmy stosunki z pobliskim ziemiaństwem, które wiązały przyjaźnią jeszcze naszych dziadków i rodziców. Do dzisiaj pamiętam sąsiedzkie spotkania i wizyty, gdy goście zjeżdżali się do Leszczyn powozami, podobnie, jak to pokazane było w filmie „Noce i dnie”. Były to, niestety, już tylko reminiscencje XIX w. Jeszcze wtedy nie przypuszczaliśmy, że jest to koniec całej epoki polskiego ziemiaństwa, którą wykreśliła na zawsze wojna. W miarę czasu kontakty i przyjaźnie stawały się coraz rzadsze. Starsze pokolenie odchodziło. Z zaprzyjaźnionego byłego ziemiaństwa po reformie rolnej zachowały się do dzisiaj w pamięci tylko nieliczne nazwiska i nazwy majątków, gdzie mieliśmy znajomych i przyjaciół. Były to niegdyś znane garwolińskie rody, do których należeli: J. Łazarzewicz z Sulbin, ze starszą panią Matecką, Celińscy z Rębkowa, Malinowscy z Zawad, Szymorowscy z Goździka, Talmowie z Głóskowa i Migdałscy z Łętowa. Resztę nazwisk i miejscowości wymazał mi z pamięci czas.

Większość wiadomości, jakie do nas dochodziły, było tragicznych. Szczególnie w latach 1939 - 1942 nic nie wskazywało na klęskę Niemiec. W pierwszych latach okupacji narastał strach, co z nami będzie. Patrzyliśmy na eksterminację Żydów, zamykanie ich w gettach, a potem wywożenie do obozów śmierci. Nie wróżyło to i dla nas nic dobrego. Wiedzieliśmy, dzisiaj oni, jutro my. Tragicznie wyglądało rozpoczęte niemieckie osadnictwo Zamojczyzny, z której usuwano ludność polską. Na ich miejsce osadzano kolonistów niemieckich, głównie z Rumunii i innych terenów, aktualnie opanowywanych przez Niemców. Odbieranie do zniewolenia dzieci rodzicom. Nazwanie Zamościa Himmlerstadt; to miał być dopiero początek.

Młodych i silnych, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, wywożono na roboty do Niemiec. Musiano zastępować roczniki służące w wojsku. O starszych i chorych nie dbano, a często wprost przeznaczano do likwidacji w Oświęcimiu, lub w innych obozach. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w razie zwycięstwa Niemiec my również będziemy do likwidacji, lub wywózki na daleki

wschód. Stosunek władz okupacyjnych do Polaków nie pozwalał mieć żadnej nadziei. Nasza stolica, Warszawa, miała być zmniejszona do niedużego prowincjonalnego miasta. Ograniczenia były coraz większe. Nie mogliśmy mieć radia. Od 1943 roku w powiecie garwolińskim zabroniono korzystania z rowerów. Zarządzenie władz brzmiało: „Każdy nieumundurowany, jadący na rowerze, zostanie bez ostrzeżenia zastrzelony”. W Garwolinie wyłączono również wszystkie prywatne telefony należące do Polaków.

Już nie pamiętam, w którym to było roku. Koło nas przejeżdżał niemiecki agronom - Kreislandwirt Hanneman. Zobaczył stado naszych krów wracających z pastwiska. Zatrzymał się i spytał: „Do kogo należą?” Posłał po dziadka. Gdy przyszedł, zaczął się wypytywać, kim jest? Gdy usłyszał nazwisko Mejer, powiedział, to nazwisko niemieckie, dlaczego nie jest volksdeutchem? Gdy dziadek oświadczył, że jest Polakiem, wybrał dwie najładniejsze krowy ze stada. Spisał ich numery z kołczyków w uszach i następnego dnia polecił je oddać w ramach dodatkowego kontyngentu. Była to specjalna szykana, bo dziadek ze wszystkich obowiązkowych świadczeń musiał się i tak wywiązywać. Za nieoddanie kontyngentu był w tym czasie obóz, lub śmierć.

Administracja niemiecka i siły policyjne w Garwolinie przedstawiały się następująco:

Dr Hans Klein, 1939 – 1941, (Kreishauptmann (starosta).

Dr Karl Ludwig Freudenthal, 1941 – 1944, Kreishauptmann  
(starosta)- zginął w zamachu.

Policja polska (granatowa) - stan od 120 - 150 osób.

Policja kryminalna KRIPO - 20 osób, w tym tylko 3 Niemców.

Żandarmeria - pluton.

Gestapo - 2 osoby.

Sonderdienst (Czarni), około 20 ludzi. Dowódca Lorentz.

Policja – SCHUPO, 90 ludzi. Dowódca Oberleutnant Strobel.

Hilfspolizei (policja pomocnicza) - 95 ludzi ( Ochrona obiektów).

Żandarmeria polowa - 9 ludzi.

Bahnschutze (ochrona kolei) -11 ludzi.

Własowcy - około 150 osób.

SS – kompania.

Wehrmacht (Pferdelazaret) - 125 żołnierzy i 300 koni.

W lesie koło Miętnego, w tak zwanych „Lisich Jamach”, Niemcy urządzili miejsce kaźni. Do wyzwolenia rozstrzelali tam około 4 tysięcy osób. (*Wiadomość z publikacji o Garwolinie.*) Teraz stoi tam pomnik.

Wieś musiała oddawać Niemcom kontyngenty zboża, kartofli, mleka i mięsa. Płacono za to pieniędzmi drukowanymi na potrzeby okupanta i nie mającymi większej wartości. Ponadto przydzielano wódki i papierosów. Wódka wchodziła do planów rozpijania ludności polskiej. Szczególnie kontrolowany był ubój zwierząt. Zakładano kolczyki w uszy świń i krów. Jeśli się nielegalnie sprzedawało, czy zabiło na własny użytek, za to groziła kara śmierci. Znalaziono na to radę. Kolczyk z numerem przekładało się na nową młodą sztukę. Tak oszukiwało się niemieckie władze. Najważniejsze, by zgadzała się ilość. Dostawy mleka były osobno sprawdzane. Wyznaczony był od tego specjalny kontroler mleczny (Milchkontroler). Zajmował się tym przysłany przez władzę Tkaczuk. Raz na miesiąc przyjeżdżał do Leszczyn i robił pomiary z 3 udoi. Sprawdzał też zawartość tłuszczu w mleku i u nas nocował. Po spisaniu protokołów jechał do następnych wyznaczonych majątków i dużych gospodarstw rolnych.

Tkaczuka z początku baliśmy się, czy nie jest na usługach policji niemieckiej. Po pewnym czasie polubiliśmy go i dawaliśmy nawet do czytania nielegalną prasę. Była z nim kiedyś śmieszna historia. Ciocia Zosia była bardzo gościnna. Przyjechała akurat z Warszawy, jak Tkaczuk po załatwieniu swoich spraw szykował się do wyjazdu. Zaczęła go zatrzymywać na obiad. On się spieszył, bo też był gdzieś proszony. Uległ w końcu namowom i został. Liczył, że to będzie jakieś specjalne przyjęcie. Tymczasem okazało się, że na obiad była tylko mleczna zupa i kasza jaglana ze słoniną. Po takich serdecznych zaproszeniach pewno sobie obiecywał wyzerkę i tu się zawiódł.

Dzięki Leszczynom nie byliśmy głodni, Kartofli, mleka i kaszy było pod dostatkiem. Chleb często był wypiekany w domu. Pamiętam wielkie bochenki na liściach łopianu. Zapamiętałem też dobre gorące podplomyki. Chleb po wypieku musiał parę dni odleżeć ze względów praktycznych. Świeży zaraz byłby zjedzony, a tak, jak był już twardy, starczał na parę dni. Masło było też robione w domu. Produkcja masła była przyjemna, bo związana z podjadaniem śmietany z drewnianej maselniczki i piciem świeżej

maślanki. W kuchni, na tak zwanym „stryju” (słup podtrzymujący belkę stropową), wisiał worek służący do odfiltrowania serwatki z odciąganego kwaśnego mleka. Serwatkę tę lubiłem popijać. Powstały w ten sposób twaróg był jednym z nielicznych przysmaków używanych do smarowania chleba..

Parę razy do roku odbywało się też świniobicie. Było to święto obżarstwa. Dziadek wynajmował wtedy rzeźnika, Dąbrowskiego. Świnia była z własnego chowu. Trzeba było uważać, by się o tym Niemcy nie dowiedzieli. Lodówek wtedy nie było, słoninę i inne wyroby trzymało się w piwnicy. Kartofle, czy też kasze, kraszone były skwarkami. Przy mieleniu maszynką mięsa często i ja musiałem pracować. Szczególnie lubiłem mieć wątróbki przeznaczone na pasztety, bo mogłem, jak panie nie widziały, trochę je podjadać.



*Dziadek Mejer dogląda mlócenia zboża, Leszczyny, 1943 r.*

Dziadek w swojej gospodarce miał różne rolnicze maszyny, jak młockarnie, wialnie, śrutowniki. Część z nich napędzana była kieratem ciągnionym przez 4 konie. Do ich poganiania byliśmy zatrudniani z Januszem. Jak były

pilne roboty polowe, wszyscy musieli pomagać. Wieś często jeszcze w tym czasie młóciła cepami.



*Ojciec pomaga w pracach rolnych. Leszczyny, żniwa 1943 r.*

Nasza służba była prawie samowystarczalna. Na własny użytek robiła nawet, na prymitywnych drewnianych tkackich maszynach, lniane płótno, z którego szyte były koszule, ręczniki i inne potrzebne, a trudno dostępne rzeczy. Na wsi leczona była też pakułami lnianymi róża. Nasze panie też to potrafiły. Róża w tym czasie była straszną śmiertelną chorobą, nie było bowiem antybiotyków. Skuteczność tych podobnych do zabobonów praktyk wypraktykowałem na sobie.

Pamiętam jedno ze zdarzeń, które bardzo przeżyłem. Jechałem na oklep na ulubionym koniu, nazwanym przez nas Bibdzia. Było to nad stawami, teren nierówny. W galopie nagle koń upadł i złamał nogę. Poleciałem po dziadka. Nie było rady, konia trzeba było kosą zarżnąć. To było dla mnie straszne. Panie zdecydowały, że tyle mięsa nie można zmarnować. Lodówek wtedy nie było i musieliśmy ten psujący się towar szybko zjadać. Mięsnymi daniami, w tajemnicy, częstowaliśmy odwiedzających gości. Gdyby wiedzieli, że to jest konina, nikt na wsi by tego nie ruszył.

Gazetki, z których czerpaliśmy wiadomości, przynosił raz w tygodniu Piotr Mikulski, gospodarz z Kolonii Unin. Zostawał wtedy zwykle na kola-

cji. Ojciec przy stole głośno je czytał. Był to zwykle biuletyn Informacyjny. My wszyscy w skupieniu słuchaliśmy. Pierwszą wiadomością podnoszącą na duchu było zatopienie niemieckiego krążownika Graf von Spee. Władze okupacyjne wprowadziły na początku lat czterdziestych czas letni. Dziadek nie zgodził się na przestawienie naszych ściennych zegarów. Zegarki osobiste miały więc latem inny czas. Jak pytano się o godzinę, należało odpowiedzieć, na którym zegarze?

Przed atakiem na Rosję w Leszczynach znowu kwaterowały wojska, lecz teraz niemieckie. Stała tam jakaś jednostka motocyklowa. Chodziłem tam z ciekawością oglądać interesujące mnie pojazdy i gadać z żołnierzami. Jednego z nich bardzo polubiłem. Miał zawsze dla mnie czas i mogłem, kiedy chciałem, siedzieć na jego motocyklu. Mówił, że ma syna w moim wieku. Koło 22 czerwca opuszczali Leszczyny. Poleciałem się z nim pożegnać. Miałem srebrny łańcuszek z krzyżykiem. Zaczął mu się przyglądać. Zdjąłem go i powiesiłem na jego szyi. Serdecznie mnie wycalował. Żołnierze byli zwykle sympatyczni, nie tak, jak służby policyjne. Być może, że mój krzyżyk spoczywa gdzieś w bezimiennnej niemieckiej mogile wojskowej na bezkresach Rosji. Kwaterujący w koszarach w Garwolinie żołnierze niemieccy często chodzili po wsiach i kupowali jajka i kury. Żołnierzy tych nazywaliśmy „jajczarzami”. Tych nie trzeba było się bać. Zwykle kupowaną żywność wysyłano do swoich domów w Niemczech, gdyż tam też obowiązywały nie zawsze wystarczające kartki żywnościowe.

Zaraz po ataku na Rosję okupacyjne władze zażądały dostarczenie konnych furmanek do dyspozycji wojska. Informowano, że ten szarwark będzie trwał nawet do paru tygodni. Chodziło o przerzucanie różnych zmagazynowanych towarów do stref zajmowanych przez szybko przesuujące się niemieckie wojska. O ile pamiętam, dziadek na tą przymusową akcję wysłał z wozem i końmi fornala - starego Szczepana. Ten ze względu na swój wiek wrócił już po paru dniach. Inni ze wsi, dopiero po paru tygodniach. Ci młodszy, co byli dłużej, przyjechali w dostarczonych im wojskowych niemieckich mundurach.

Kolegów rówieśników w tym czasie miałem dość dużo. Przyjaźniłem się z sąsiadami i nie tylko z Leszczyn. Miałem zaprzyjaźnionych w Garwolinie. Do nich należał Jacek Augustowicz, syn lekarza. Tadeusz Zimny, z którym chodziłem na komplety. Często zachodziłem do Mikulskich na Kolonie

Unin. Była tam bardzo duża biblioteka, z której często korzystałem. Najbardziej imponowała mi rodzina Zadróżnych, których gospodarstwo graniczyło z ziemią dziadka. Było tam 4 synów i córka. Najzdolniejszy był Henryk. Przed wojną zbudował samolot - awionetkę - którą nazwał „Nadzieja”. Nie zdążył na nim latać. Zniszczyły go wkraczające oddziały niemieckie. Henryk podczas wojny wykonywał dla podziemia wszelkie prace rusznikarskie. Normalnie zajmował się dekarstwem. Była to złota rączka; wszystko potrafił zrobić, lub zreperować. Dla mnie zrobił kajak, który nazwał „Wiher”. Na pytanie ciekawych, dlaczego nazwany jest z błędem odpowiadałem, że to jest kajak specjalny. Cóż mogłem innego odpowiedzieć. Wcześniej po stawach pływałem w drewnianej dzieży, używanej do wyrobu ciasta na chleb. Budziła ona większą sensację.

Latem w Leszczynach robiło się przyjemnie. Starsze rodzeństwo ściągało na wakacje z Warszawy na wieś. Przyjeżdżała również nie tylko rodzina, lecz i ich przyjaciele i znajomi. Było wtedy bardzo tłocznie i wesoło. Do Garwolina i po gości na stację jeździło się bryczką lub powozem. Zapomniało się o okupacji. Próbowano się w tym czasie nawet bawić w teatr. Pamiętam, jak w salonie w Leszczynach wystawiona została sztuka jakiegoś domorosłego twórcy, pod nazwą „Oczy króla”. Treść banalna. Stary król oślepl, a jego młoda żona flirtuje. Znalazł się jednak lekarz, który w tajemnicy przywrócił królowi wzrok. Gdy ten zobaczył, jak żona jest niewierną, postanowił na nowo oślepnąć. Zażył specjalny eliksir, który przez pomyłkę wzięła również królowa. Sądziła, że jest to eliksir młodości i też oślepl. Gdy zaczęła rozpaczać, król z patosem powiedział: „teraz będziesz mi wierna”.

W sztuce tej grali: Jurek - starego króla, Zosia - królową. Adoratorem królowej był Wacek Kędziora (sąsiad ze wsi). W tym spektaklu uczestniczyły i inne osoby. Ja grałem rolę pazia. W przebraniu, z poduszką na głowie, wkroczyłem na scenę. Miałem tylko powiedzieć, król idzie. Niestety, to mi nie wyszło. Zaciąłem się i przy wycofywaniu się do tyłu, przewróciłem makietę ściany zrobionej z papieru. Ta spadła na królową siedzącą na tronie. Głowa jej przebiła papierową ścianę i przeszła na drugą stronę. Próbowaliśmy zasunąć kurtynę, zrobioną z koców. Niestety sznurek się zerwał i wszystko spadło na ziemię. Tak z tragedii powstała komedia. Zamiast oplakiwać los nieszczęsnego króla, lały się łzy ze śmiechu. Była to niestety moja

wina. O występach w teatrze więcej już nie marzyłem.

Okres letni, a szczególnie żniwa i sianokosy, kojarzyły się zwykle z klepaniem kos. Charakterystyczny głos młotków roznosił się po całej okolicy. Tak żniwiarze od wieków ostrzyli kosy. Obecnie ten charakterystyczny dźwięk prac polowych nie jest już znany. Zastąpił go mniej przyjemny warkot traktorów. Nasz fornal, Stasik Moch, przy młóceniu zboża dostał się w tryby kieratu. Miał złamaną nogę, założony gips i musiał leżeć. Przez cały czas rekonwalescencji przychodził do niego mój ojciec i na głos czytał Trylogię Sienkiewicza. Zbierała się tam zawsze grupa słuchających. Ci prości ludzie mówili, że nie mogą się doczekać przyjscia ojca, by słuchać dalszych losów bohaterów tej powieści. To była praca organiczna, o jaką walczyli pozytywiści. Dawało to ojcu w tych ciężkich czasach dużą satysfakcję. Nikt z naszej służby, poza jednym starym Szczepanem, nie potrafił czytać. To byli pełni analfabeci, jakich w tych czasach było bardzo dużo. Wszyscy słuchali z dużym zainteresowaniem. Ojciec miał duży talent narracyjny. Nawet my młodzi wpadaliśmy tam do Mocha, by posłuchać, choć powieść tę już znaliśmy.

Przyjemne chwile nie trwały długo. Napływające wiadomości ściągały nas na ziemię. Ciągłe się słyszało: tu kogoś aresztowali, tam rozstrzelali. W Garwolinie łapani na roboty do Niemiec i tak w kółko. Każdy warkot samochodu, a szczególnie nocą, to strach. Czy przypadkiem do nas nie jadą? Jeśli się zatrzyma, trzeba uciekać, ale jak i dokąd? Ten lęk zakodowany w psychice pozostawał u mnie przez parę lat, nawet już po wojnie. Każde urzędowe pismo też budziło niepokój. Czy trzeba płacić dodatkowe narzucone podatki, kontrybucje, czy wezwanie na roboty do Niemiec? Biedni byli listonosze; na nich często wylewano całą złość za dostarczane złe wiadomości. Te ciągłe represje rozbudzały straszną nienawiść do okupantów. Pamiętam, że jechałem naszą bryczką na pocztę. Zatrzymałem się blisko budynku zajętego przez SCHUPO. Musiano wtedy prowadzić okrutne śledztwa, bo dochodziły stamtąd nieludzkie krzyki, wprost wycia bitych i torturowanych ludzi. Wtedy sobie przyrzekłem, że się będę w przyszłości mścił. Nigdy jednak do tego nie doszło. Widząc jeńców, czy przesiedlanych Niemców, było mi ich serdecznie żal.

W tym czasie nie można było być uczciwym. Każdy musiał mieć jakieś dokumenty stwierdzające gdzie pracuje. Przeważnie były to dane fikcyjne.

Jeśli praca nie była związana z przemysłem zbrojeniowym, to nie dawała żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Każdy patrol mógł bez powodu każdego zatrzymać na ulicy i nie wypuścić. Ja, by się uchronić, w dokumentach miałem obniżony wiek o 2 lata. Wstawiona była tam data urodzenia 1930 r. Chodziło o zabezpieczenie przed wysłaniem na roboty do Niemiec. Miałem też fikcyjne zaświadczenie, że pracuję u stolarza, który robił trumny.

Nasze panie, by nie obciążać dziadka finansowo, bo i tak nie było z czego brać, zaczęły zarabiać wypiekając na sprzedaż pasztety i ciasta. Wstawiane one były do sklepów. Działalność ta była nielegalna i jak prawie wszystko, wiązała się z ryzykiem. Roznoszeniem zajmowała się nasza młodzież. Raz złapał mnie z takim transportem granatowy policjant. Spisał protokół i w nocy przyszedł po łapówkę. Ojciec musiał z nim pertraktować, co do ceny za milczenie, a że był legalistą, każda taka czynność była dla niego wielką przykrością. Bardzo to przeżywał.

Od pewnego czasu miałem kłopoty z wymową. Kłopoty mieli też Janusz i Jurek Kamińscy. Niektóre osoby sugerowały, że to jest zaraźliwe. Pewno było to na tle nerwowym. Zacząłem się zacinać. Pierwsze objawy miałem w dzieciństwie, jak spadłem z krzesła na głowę. Objawy te stopniowo narastały. Każde wystąpienie wywoływało stresi. Kiedyś opowiadałem coś panu Wołoszynowskiemu bardzo się jękając. To spowodowało, że poprosił mamę o rozmowę na osobności. Od mamy usłyszałem, o co mu chodziło. Sugerował, by mnie leczyć, gdyż to nie jest normalne. Co w tym czasie można było robić? W Garwolinie na pewno nic. Czy w Warszawie byli tacy specjaliści logopedzi, tego nikt nie wiedział.

Uwaga pana Wołoszynowskiego bardzo mnie zabolala. Postanowiłem sam się leczyć. Zacząłem wolno mówić. Jak się zacinałem, to nie próbowałem siłą tego forsować. Następnie, czytałem wolno i głośno. Zlikwidowałem ruchy głową w momencie zacięć. Bardzo szybko zauważyłem poprawę. To mnie zdołingowało do większego wysiłku. Stwierdziłem wtedy, że jak coś się bardzo chce, to można wszystko osiągnąć. Wadę tę szybko pokonałem i to bez pomocy lekarzy.

Ciocia Marychna trafiła na łapankę. Została zatrzymana na ulicy i wywieziona do więzienia na Pawiaku. Nie było żadnych podstaw jej aresztowania. Nigdzie nie należała i nic nie robiła, co byłoby niezgodne z prawem Generalnej Guberni. Służby policyjne często dla zastraszenia społeczeństwa

przeprowadzały na ulicach takie łapanki. Potem, jak nie wiadano, co z aresztantami zrobić, wywożono ich na Majdanek, lub do Oświęcimia. W takich sprawach, gdy nie było udowodnionej winy, można się było starać o zwolnienie, naturalnie za odpowiednią sumę pieniędzy. Byli pośrednicy, którzy w porozumieniu z niemiecką służbą więzienną i policją podejmowali się sprawy te załatwić. Ten niecny proceder przynosił duże zyski. Sprawę zwolnienia ciotki Marychny załatwił pan Feliks Natowski. Po wpłaceniu żądanych pieniędzy, ciocia Marychna została w okresie około 2 tygodni wypuszczona na wolność.

Ze zgrozą patrzyliśmy na eksterminację Żydów. Na ich nieludzkie prześladowania. Zamykanie w gettach, na głód, jaki w nich panował i na końcu wywóz do obozów śmierci. U nas pracowała służąca Żydówka z Parysowa. Wszyscy bardzo ją lubili. Była młoda, przystojna i miła. Niemcy ogłosili, że Żydom nie wolno opuszczać getta. Karani śmiercią będą wszyscy, którzy im pomagają, lub przetrzymują. Dotyczy to nie tylko ich samych, ale i ich rodzin. W domu zdecydowano, że ryzyko jest zbyt duże. Trzeba było ją odwieść do Parysowa. Bardzo to przeżyliśmy. Pamiętam jak wyjeżdżała, to się popłakałem. Dostała na odjezdne dużo zboża i jedzenia. Nikt nie przypuszczał wtedy, że jej powrót do Parysowa równa się wyrokowi śmierci. Sądziiliśmy, że wojna niedługo się zakończy i w gettach nikt nie będzie musiał mieszkać. Zostawić ją w Leszczynach nie można było. Były zatargi ze służbą. Mogli by to wykorzystać, a to byłby koniec naszej rodziny.

Widzieliśmy, jak przez Garwolin przechodziły transporty kolejowe i samochodowe wiozące Żydów w kierunku Lublina. Potem dowiedzieliśmy się, że to na Majdanek. Myśleliśmy, że to jest zwykły obóz pracy. O obozach śmierci wtedy jeszcze się nie mówiło. Widziało się ich twarze w zakratowanych drutem kolczastym oknach. Widać było beznadziejność i rozpacz. Jak wtedy w naszych warunkach można było im pomóc? Zanim getta zostały zlikwidowane, spotykało się dzieci żydowskie zębrzące o jedzenie. Mówiły one, że ich bliscy umierają z głodu. Naturalnie nie przechodziło się koło tego obojętnie. Zawsze dostawali coś do jedzenia i na wynos. Było to jednak ryzyko. Za najmniejszą pomoc, choćby danie suchej skórki chleba, groziła śmierć. Niemcy bezwzględnie to egzekwowali. Pieniądzy ci biedacy nie potrzebowali; nie byli w stanie sami nic kupić.

Były wypadki, których sam byłem świadkiem. Chłop z pobliskiej wsi

Oziemkówka, uzbrojony w gruby kij, prowadził złapanego kilkunastoletniego Żyda do Garwolina. Szedł, by go oddać w ręce niemieckiej policji. Nie wiem, czy spodziewał się nagrody. Chłopak ten wychudzony, w obdartym ubraniu, płakał. Ja, będąc w jego wieku, nie mogłem mu nic pomóc. Gdybym próbował interweniować, to i mnie by tam razem zaprowadził. Niemcy zaraz na ulicy go zastrzelili. Słyszałem, że jeszcze tej samej nocy podziemie za ten niecny czyn wykonało na nim wyrok śmierci. Poniósł zasłużoną karę, z czego się wszyscy cieszyli. Szmalcownicy i denuncjatorzy musieli swoją haniebną działalność bardzo ukrywać. Podziemie karało ich za to śmiercią. Innych kar w tym czasie nie było.

Drugi wypadek, którego sam nie widziałem, lecz opowiadał mi naoczny świadek. Młoda dziewczyna, Żydówka, została zatrzymana przez jakiegoś chłopca. Na przedmieściach Garwolina oddał ją w ręce granatowego policjanta. Ten zadzwonił na żandarmerię. Inaczej nie mógł zrobić. Ci kazali, by ją przyprowadził na rynek. Tam miano ją odebrać. Policjant polecił, by sama tam poszła. Liczył, że po drodze ucieknie. Zrezygnowana i przerażona poszła, jak jej kazano. Na rynku koło apteki została przez żandarma zastrzelona. Ja pół godziny potem byłem w tej aptece. Roztrzęsiony Ptaszyński (aptekarz) pokazał mi miejsce, gdzie się to stało. Ciała już nie było, lecz na bruku widać było krew i kawałki mózgu.

Podczas mojego pobytu w Warszawie odwiedzałem na ulicy Rakowieckiej rodzinę Krelów ukrywającą Żydówkę. Była to rodzina prawnicza z Kalisza, przyjaciele wujostwa Kamińskich. Na ich prośbę parę razy robiłem im zakupy, co w tym czasie było dla nich problemem. Pan Krel i ich 16-letnia córka wojny nie przeżyli; zostali przez Niemców zamordowani.

Przez pewien czas, już po likwidacji gett, nocami przychodziły jeszcze parosobowe grupy Żydów proszących o jedzenie. Jak, dostali, to zaraz odchodzili, lecz gdzie, tego nie wiemy. Lasy nie były tu tak duże, by można było się w nich bezpiecznie ukrywać. Były zresztą penetrowane przez specjalne oddziały do walki z partyzantami. Opowiadano, że w lesie unińskim grupa Żydów została wymordowana i to nie przez Niemców. Wśród chłopów spotykało się i tu ludzi, których było na to stać. Za cenę jakiś wymagowanych korzyści potrafili zabijać. Tu chrześcijaństwo im nie przeszkadzało. Taka działalność spotykała się z potępieniem i reakcją władz podziemnych, a kara była odpowiednia do zbrodni. Patrzyliśmy na to, co się

działo, ze współczuciem i przerażeniem. Co można było jednak robić przy tak drakońskich represjach, dotyczących nie tylko pojedynczych osób, ale i całych ich rodzin?

W kwietniu 1943 r. wybuchło powstanie w getcie warszawskim. Z Garwolina widać były dymy pożarów. Bardzo współczuliśmy tym biednym ludziom. Cieszyło nas tylko, że się zdecydowali walczyć przy tak beznadziejnym położeniu. Nasi kuzyni Pawłowscy, służący w zawodowej straży pożarnej, opowiadali o walkach tam toczonych. Niemcy, na terenie getta używali strażaków do gaszenia pożarów, które mogły być groźne i wyrwać się spod kontroli. Widywali grupy bojowców, wśród których były i kobiety. Informowali ich o lokalizacji stanowisk niemieckich. Dostarczano im wodę, z czym Żydzi mieli kłopoty. Niemców natomiast informowano mylnie, pokazując im odwrotne kierunki, niż te, w których ich widziano. Strażacy próbowali dostarczać im również jedzenie.

Wojna z jej następstwami szczęśliwie nas omijała; przechodziła jakby obok. Powszechny w kraju niedostatek nas również nie dotknął. Dzięki Leszczynom nie byliśmy głodni. Panował jednak ciągły strach. Godzina policyjna przez całą okupację nie została odwołana. Koło domu, czy w obrębie wsi, nikt na to nie zwracał większej uwagi. Jednak gdzieś dalej ruszyć się nie można było. Nocami zdarzały się napady bandyckie; szczęśliwie nasz dom ominęły. Każde pojawienie się samochodów budziło grozę. Złe wiadomości spadały, jak grom z jasnego nieba. Tu wieś otoczona, żandarmeria przeprowadza rewizję, słyhać strzały. Tam wieś spacyfikowana, ludność wymordowana, a budynki spalone. Ciągłe aresztowania. Sołtys Leszczyn, Saganek, bez powodu został zabrany. Po pewnym czasie nazwisko jego znaleziono na listach rozstrzelanych w Warszawie. W tym czasie nie trzeba było być winnym. Wystarczyła jakaś akcja partyzantów w pobliżu, lub zabicie Niemca. Obowiązywała odpowiedzialność zbiorowa.

Gdzieś pod koniec 1943 r., w nocy, sąsiad przyprowadził nam jakiegoś silnie potłuczonego mężczyznę mającego około 40 paru lat. Miał pokaleczoną twarz i nie bardzo mógł chodzić. Jak nas poinformował, został w Warszawie na ulicy zatrzymany. Gdy próbował się wylegitymować, żandarm nie czytając podarł jego dokumenty. Co często było praktykowane. W ramach przeprowadzanych w tym czasie represji, złapanych na ulicach często wysyłano do obozu na Majdanku. Nie trzeba było mieć coś na sumieniu.

Koło Garwolina, w nocy, przez wyrwane odrutowane okienko wyskoczył z transportu i bardzo się potłukł. Z pomocą ludzi trafił do nas.

W tym czasie gościny i pomocy nigdy się nie odmawiało. Został serdecznie przyjęty. Potłuczone miejsca opatrzone. Nie chciał, by wzywać lekarza. Mnie prosił, bym z poczty jak najszybciej wysłał list. Zaraz go przygotował. Musiałem specjalnie lecieć z tym do Garwolina. Nabraliśmy do niego takiego zaufania, że ojciec przy stole, podczas posiłków, czytał wiadomości z Biuletynu Informacyjnego. Po paru dniach gość doszedł do siebie. Jakie było nasze zdziwienie i przerażenie, gdy pod dom podjechał nagle samochód. Kierowca w mundurze wojskowym, czy też policyjnym, tego nie dojrzałem. Z samochodu wysiadł cywil, zapytał się o gościa z Warszawy.

Po przywitaniu przeszli do osobnego pokoju, zamknęli się i długo rozmawiali. Następnie, serdecznie się pożegnał. Odjeżdżając powiedział: „Nazwywam się Monter”. Nazwisko to nam nic nie mówiło. Myśleliśmy, że może chodzi o zawód. Po paru dniach przyszła od niego do nas kartka z podziękowaniem, podpisana teraz Śpiewakowski. Wiadomo, nazwiska te były nieprawdziwe. Wiedzieliśmy jednak, że był to ktoś ważny z konspiracji. Dopiero z chwilą wybuchu Powstania pseudonim „generał Monter” (nazwisko generała Antoniego Chruściela) stało się znane. Czy to był ten, tego się już nie dowiemy. Był to jednak ktoś ważny.

W 1942 r. powstała w Garwolinie niewielka komórka Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), będących wojskową organizacją Obozu Narodowego Prawicy. Dowódcą był Stefan Ochniewicz, PS /pseudonim/ „Zych”. Do organizatorów tej komórki należał nasz bliski sąsiad i starszy kolega - Wacław Kędziora, PS „Zdziarski Witold”. Prócz tego, członkami tej organizacji byli: mój kuzyn, Jurek Kamiński („Światowid – Byczyński”), oraz Janusz Ptaszyński („Odeon”), Mietek Ptaszyński („Mazur”), Janusz Birkenfeld („Sławiński”) i paru innych, których nazwisk już nie pamiętam.

Zaczęliśmy dostawać ich prasę. W rozmowach słyszałem utyskiwania, że organizacja nie ma znikąd pomocy. Nie dostaje zrzutów broni, ani potrzebnych pieniędzy. Otrzymywane gazetki strasznie różniły się od Biuletynów Informacyjnych, które dostarczał nam Piotr Mikulski z Kolonii Unin. W prawniczej prasie wszystko było atakowane, a najbardziej kontakty Rządu Sikorskiego z Rosją Sowiecką. Wojna się jeszcze nie skończyła. Wiadomo, że Bolszewicy tu wkroczą. Musimy się jakoś dogadać, gdyż sami nie sta-

nowimy żadnej siły. Co pisano, było mrzonkami fanatyków. Również antysemickie wystąpienia, szczególnie w okresie Holokaustu, były zupełnie nie na miejscu. Ojciec podchodził do tej prasy bardzo krytycznie i w końcu zakazał jej przynoszenia.

Dokładnie już nie pamiętam, kiedy to było. Do Leszczyn przyjechał specjalnie oddelegowany jakiś działacz prawicy. Były wyższy urzędnik ministerstwa, w którym ojciec pracował. W tym czasie nazwiskami się nie operowało. Chciał się widzieć z ojcem. Doszło do spotkania. Panowie bardzo długo na osobności rozmawiali. Wiem, że wyjechał niezadowolony. Ojciec odmówił współpracy z tym ugrupowaniem. Mamie wieczorem referował wyniki rozmowy i przy mnie powiedział: „W polityce nie może być tylko Bóg, Honor i Ojczyzna. Trzeba patrzeć na realia. Inaczej możemy wpaść w dużo większe kłopoty”. Wiem, że miał rację. Także moje kontakty z NSZ się urwały. Koledzy związani z tą organizacją po pewnym czasie podporządkowali się dowództwu AK. W Powstaniu Warszawskim byli w zgrupowaniu majora Bartkiewicza. O grupie rozłamowej Bohuna dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie. W Brygadzie Świętokrzyskiej NSZ Jurek Kamiński przechodził przeszkolenie.

Przez mojego brata poznałem Stefana Gorę z Kolonii Unin. Wiedziałem, że jest zaangażowany w działalność konspiracyjną. Dopiero po jego aresztowaniu i straceniu dowiedziałem się, że miał stopień podporucznika, a jego pseudonim, to „Wilczek”. Był kawalerem Krzyża VM. Należał do najbardziej aktywnych dowódców AK, zgrupowania „Gołąb”. Tadeusz powiedział mu, że mam schowaną broń. Gora zwrócił się, bym mu ją oddał. Umówiliśmy się w Leszczynach nad stawami.

Pamiętam, było to lato 1942 r. Piękna księżycowa noc i pełnia. Wyciągnąłem z poszycia dachu dwa karabiny typu Mauzer i razem z Tadeuszem poszliśmy nad stawy. Tam czekał już na nas Gora. Z broni w dobrym stanie był bardzo zadowolony. Na tym pustkowiu, w nocy oświetlonej blaskiem księżyca, długo rozmawialiśmy. Było pięknie i tajemniczo. Opowiadał o różnych ciekawych zbrojnych akcjach, którymi jak się okazało, sam dowodził. Stefan Gora zrobił na mnie wielkie wrażenie. Legenda działalności „Wilczka” do dzisiaj w rejonie Garwolina jest ciągle żywa. We wsi Unin ma poświęconą tablicę w kościele. Szkoda, że młody i wartościowy człowiek tak szybko musiał odejść.

Do Leszczyn przyjechał Bogdan Zarudzki. Był on spokrewniony z naszą rodziną. Celem jego przyjazdu, poza odwiedzinami, były zakupy żywności. W tym czasie głównym źródłem utrzymania był handel. Zarudzki nie krył przed nami, że związany jest z podziemiem. Mówił, że największą bolączką dla organizacji, to brak broni. Powiedziałem wtedy, że tu wszędzie broni jest bardzo dużo i można ją bez większych kłopotów kupić. Bardzo się tym zainteresował. Prosił, że jak będę coś wiedział, to mam zaraz dać mu znać. Interesowała go głównie broń krótka.

Tak zacząłem zajmować się bronią. Wśród swoich znajomych rozpytywałem się, co mają i co mogą sprzedać. Ludzie na wsi dużo posiadali pochowanej broni w tym i krótkiej, którą za pieniądze chętnie sprzedawali. Również przyjeżdżający na urlopy Polacy z organizacji Todta przywozili na handel z sobą broń. Jak miałem już coś nakręcone, to pisałem do Zarudzkiego. Zaraz po nią przyjeżdżał i to nie sam. Do przewozu niebezpiecznego towaru zabierał z sobą młode i ładne dziewczyny z konspiracji. Im łatwiej było wieść, gdyż kobiety przeważnie nie były rewidowane. Zaproponował, że da mi a konto dość dużą sumę pieniędzy i z niej mam płacić.

Ojciec, jak widział Bogdana Zarudzkiego razem z jakimiś dziewczynami, strasznie się na mnie wściekał. Wiedział, że ja jestem przyczyną ich przyjazdów. Zdawał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Cóż jednak miał robić. Z Bogdanem na ten temat nie rozmawiał. Bo i tak by nic nie osiągnął. Wiedział o jego konspiracyjnym zaangażowaniu i że się bardzo naraża. To była wojna, a z nią wiążą się ofiary. Ja coraz więcej kupowałem broni i coraz częściej mieliśmy związanych z tym gości.

Raz zakupiłem całą wojskową centralę telefoniczną. Napisałem, że jest duża i co z nią zrobić. Wtedy przyjechali po nią dwaj bracia Pawłowscy, synowie Tadeusza, aktywnie działający w podziemiu. Byli w mundurach zawodowej straży pożarnej. Centralka, którą zabierali, opakowana była w worki powiązane sznurami. W Garwolinie wynajęli dorożkę, by ją przewieźć na dworzec. W tym czasie do dorożki podszedł żandarm zainteresowany dużym pakunkiem. Pawłowscy przywitali się z nim i powiedzieli, że to ich bagaż. Ścisząc głos oświadczyli: „To jest szmugiel, mięso nielegalnie kupione dla strażaków”. Pogadali, pośmieli się i spokojnie mogli odjechać. Ja, będąc tego świadkiem, miałem stracha. Ci to mają nerwy. Gdyby tak pakunek został zrewidowany, nie wiem, jak by się to zakończyło. Nie-

stety, Pawłowski wojny nie przeżyli.

Łączniczki przyjeżdżające po broń potrafiły również szarżować. Byłem tego świadkiem. Raz czekając na stacji w Garwolinie nawiązały rozmowę z niemieckim zawiadowcą. Zaczęły go kokietować. Wiedziały, że co pewien czas żandarmi robią tu obławy, wszystkich legitymują i rewidują. Dlatego torbę z pistoletami zostawiały u niemieckiego naczelnika stacji, bo ciężka. To było ryzyko. Gdyby tak zechciał zobaczyć, co młode ładne dziewczyny mają w torbie, mogłyby się to źle skończyć. Jedną z tych, co przyjeżdżały po broń, była Basia Bilewicz, pseudonim „Ewa”. Po wojnie z nią się spotkałem. Nosiła wtedy nazwisko Jaszczura. Była jednym ze świadków Tadeusza warszawskiej konspiracyjnej działalności.

Kupiłem kiedyś na wsi wojskową sygnałową trąbkę. Była z mosiężnej blachy, miała wybity znak orła i numery jednostki wojskowej, z której pochodziła. Bardzo byłem z niej dumny. Zacząłem uczyć się na niej grać. W domu robić tego nie mogłem, bo za głośno. Przeniosłem się, więc do stodoły. Sygnały słychać było na duże odległości. Ojciec zabronił grania. Gdy to nie pomogło, połamiał moją ukochaną trąbkę. Miałem o to wielki żal, lecz z perspektywy czasu zrozumiałem, że miał rację. Dla Niemców każdy pretekst wtedy był dobry. Mogli uznać to za szkolenia wojskowe. Wystarczyło, by zrobili rewizję i mieli by odpowiedź. Nie wolno było rzucać się w oczy.

## W szeregach AK

Byłem coraz starszy i coraz bardziej żyłem działalnością konspiracyjną. W dalszym ciągu poszukiwałem broni, gdzie się tylko dało. Dowiedziałem się, że na Kolonii Unin jeden z moich rówieśników znalazł w strumieniu, dopływie Wilgi, karabin maszynowy. Znałem go dobrze, więc poszedłem się zapytać. Pokazał mi go. Broń była w dobrym stanie. Na obudowie chłodnicy wybity był Max 08 i numery. Zaproponowałem kupno, odmówił. W tym czasie dla podziemia, broń maszynowa, to prawdziwy skarb.

Jak go wydostać? Znalazca dobrowolnie nie odda, ani nie sprzeda. Poszedłem z tym do Bolesława Zarzyckiego. Był on zawodowym podoficerem. Już podczas moich kontaktów z NSZ mówiono, że jest powiązany z AK. Wiadomość ta bardzo go zainteresowała. Prosił, bym nikomu na ten temat nic nie mówił. Po paru dniach ściągnął ludzi z innej placówki; musieli

to być nieznanymi na danym terenie. W nocy była przeprowadzona akcja. Ja w niej brałem udział. Chodziło o ewentualne wskazanie miejsca ukrycia. Kłopotu jednak z tym nie było. Przestraszony, natychmiast to cenne znalezisko oddał. Były właściciel nie wiedział, do kogo mieć pretensje, gdyż wiele osób o tym słyszało. Częściowo i ja byłem podejrzany. Naturalnie, wszystkiego się wyparłem. W tym czasie mieć na wsi wroga mogło zakończyć się podpaleniem. Donos do Niemców nie wchodził raczej w rachubę.

Po tej akcji Zarzycki podziękował za cenną informację. Jak się później dowiedziałem, miał stopień plutonowego i pseudonim „Sokolik”; był dowódcą placówki AK - Leszczyń. Była to jednostka do zadań specjalnych. W rozmowie poinformowałem go, że w stawach potopiłem wiele sztuk broni i całe skrzynki amunicji. Wiadomością tą był również bardzo zainteresowany. Ukrytą broń zaczęliśmy wyciągać. Broń była dość silnie skorodowana, lecz można było coś jeszcze z niej zrobić. W warunkach konspiracji każda sztuka się liczyła. Nie udało nam się znaleźć jedynie rusznicy przeciwpancernej, którą również tam utopiłem. Większość potopionej amunicji, mimo długiego przebywania w wodzie, nie zamokła i nadawała się do strzelania. Broń składowana była w obejściu Zarzyckiego, w specjalnie zbudowanym podziemnym schronie. Wejście przysypane było gnojem, by psy nie mogły tego wywęchać. Nadzór nad magazynem, oprócz Zarzyckiego, miał również Marian Pliszka, zabity przez Niemców w 1944 r.

Te pierwsze, a zarazem owocne kontakty spowodowały, że zacząłem być potrzebny. Zaczęto używać mnie do przenoszenia meldunków i tajnej prasy. Robiłem to bardzo chętnie. Dopuszczenie mnie do tajemnic wymagało zaprzysiężenia. Ceremonia ta odbyła się gdzieś w grudniu 1943 r., w mieszkaniu Zarzyckiego. Nie pamiętam już, kto był przy tym. Byłem bardzo przejęty i stremowany. Powtarzałem słowa przysięgi za dowódcą, który miał ją wyuczoną na pamięć. Musiałem położyć na krzyżu dwa palce. Przysięga, o ile pamiętam, zaczynała się od słów: „W obliczu Boga wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny”, a kończyła się: „zwycięstwo będzie Twoją nagrodą, a zdrada karana jest śmiercią”. Wybrałem pseudonim „Gryf”.

Marzyłem, bym mógł wziąć udział w jakiejś akcji. Ze względu na wiek wykorzystywany byłem tylko jako goniec i łącznik, co mnie nie bardzo satysfakcjonowało. Z okresu tego pamiętam, że skrzynka kontaktowa w Leszczynach mieściła się w sklepieniu Dobrowolskiej. Zaś skrzynką prasową było

gospodarstwo Poredy, a na Kolonii Unin, dom Piotra Mikulskiego. Tam była przywożona i rozdzielana tajna prasa. Łącznicy roznosili ją pod wskazane adresy.

Mimo moich związków z placówką Leszczyny, w dalszym ciągu skupowałem broń dla Zarudzkiego. Kontakty z Warszawą bardzo mi imponowały. Z tym się jednak nie chwaliłem, bo broni nie wypuszczono by z terenu. Na zakup jej nie było pieniędzy. Pozostała tylko rekwizycja. Moje wszystkie kontakty zaraz by się urwały. Dzięki Warszawie miałem ciągle w dyspozycji pieniądze przeznaczone na zakupy. Jak znajdowałem jakieś ciekawsze sztuki, to wymieniałem je na swoje, które już mi się znudziły. Najważniejsze, obie strony były zadowolone. Miałem z tych transakcji pewne profity. Przez moje ręce przeszło bardzo dużo broni. Nawet kupiłem dwa niemieckie pistolety maszynowe. Dla Warszawy ceny, jakie za to płacili, były żadne. Dom w przerwach między kupnem a odbiorem nafaszerowany był bronią.

Mój brat Tadeusz, pseudonim „Berkowski”, kończył w Warszawie tajną podchorążówkę. Zwrócił się do mnie, że chciałby z kolegami przyjechać na ćwiczenia w lasy garwolińskie. Spytał się, czy mogę zorganizować im broń. Naturalnie zgodziłem się. Przyjechało ich razem siedem osób z instruktorem. Wiem, że nazywano go „Suchoreki”. Był on zawodowym oficerem i wykładowcą na tajnym kursie podchorążych. Podczas kampanii w 1939 r. miał strzaskaną i niesprawną lewą rękę. Broń dla całej grupy dostarczyłem ze sztuk, które miałem pochowane. Oprócz karabinów dostali 2 pistolety. Po otrzymaniu broni uważali, że są panami całej okolicy i nikogo bać się nie muszą. Jedzenie dostali u nas w domu. Spali w stodole. Jak mówiono, ćwiczenia udały się znakomicie. Po paru dniach podchorążowie rozjechali się pełni wrażeń. Jedyne ojciec miał do mnie pretensje, że wszystkich narażam. Tu na pewno miał rację. Za dużo osób było wtajemniczonych. Od Tadeusza dowiedziałem się, że Bogdan Zarudzki jest jego bezpośrednim konspiracyjnym dowódcą.

O ile pamiętam, to w Garwolinie prawie wszyscy Niemcy byli umundurowani. Chodzili w uniformach wojskowych, policyjnych, czy SS. Umundurowana była również administracja. Ci ostatni nosili mundury SA ze swastyką na czerwonej opasce. Łatwo było ich więc poznać. Rozrywką Niemców były polowania i jazda konna. Do 1943 r. zapuszczano się nawet do lasów. Wtedy zwykle towarzyszyły im obstawy policyjne. Podczas jednych

z takich rajdów natknięto się na jakąś grupę przeprowadzającą ćwiczenia wojskowe. Pewno byli bez broni, bo nie doszło do strzelaniny. Powiadomiona policja urządziła obławę. Szereg samochodów z policją (tak zwane budy) jechały na sygnale. Zdrętwiałem, jak zobaczyłem, że ta cała kawalkada pojazdów skręciła w stronę naszego domu. Jaka była ulga, gdy pomknęli przez Nowe Leszczyny do lasu. Złapano tam jakieś osoby, lecz nic bliższego nie mogłem się dowiedzieć. Nie był to nikt z naszej placówki, ani z Garwolina.

Niemcy co pewien czas w różnych miejscach ustawiali lotne patrole, które zatrzymywały jadących, czy pieszych. Sprawdzali dokumenty i rewidowali. Raz jechaliśmy z mamą i ciocią Zosią do miasta. Wiezione były na sprzedaż pasztety. Na granicach Garwolina zatrzymał nas patrol policji niemieckiej, żandarmerii. Po wylegitymowaniu ja byłem zrewidowany. W kieszeni miałem zapalniczkę, którą mi wyjęto. Sprawdzano, czy to nie jest nabój. Widocznie szukano broni, bo do pasztetów się nie doczepiono. W tym czasie żyliśmy w ciągłym napięciu. Każdy warkot motorów samochodowych, szczególnie słyszany dobrze w nocy, powodował niepokój, a nawet zrywanie się z łóżek. Trzeba uciekać! Gdy warkot się oddalał, następował błogi spokój i radość, że tym razem nie po nas.

## Aresztowanie

Szczęście można mieć, lecz nie zawsze. Tak było i ze mną. W dniu 1 lutego 1944 r. byłem rano w Garwolinie na lekcjach (tajnych kompletach). Następnie wróciłem do domu na obiad. Po obiedzie poszedłem na Kolonię Unin. Odbierałem broń. Był to myśliwski sztucer systemu Mauzera. Należał kiedyś do majora Szwili. Był schowany w słomiane poszyciu dachu. Jako broń niewojskową chciałem wymienić na pistolet. Pośredniczył w wymianie najmłodszy z Mikulskich. Gdy do transakcji nie doszło, odbierałem go z powrotem. Rozkręciłem sztucer na części. Lufę zdjąłem z kolby. Wsunąłem w spodnie i zapiąłem paskiem. Odstawało to na brzuchu, przeszkadzało w chodzeniu, stąd lekko kulałem, lecz nie bardzo było widać. Zbliżał się zmierzch i nie sądziłem, bym kogoś spotkał po drodze. Przez puste łąki zacząłem wracać do domu.

Było koło 16, robiło się szaro. Niedawno spadł świeży śnieg, który po-

krywał wszystko dokoła. Nie był jednak gruby. Ja szedłem wolno w kierunku Leszczyn. Byłem zadowolony, że nie doszło do transakcji. To była piękna broń, na pewno o dużej wartości. Na tym pustkowiu nie rozglądałem się zbyt wiele. Nikogo nie było widać. Szedłem zamyślony. Na wysokości stawów, gdzie powinienem skręcić do domu, spojrzałem i ciarki przeszły mi po plecach. Na drodze około 100 m ode mnie, na tle ciemnego ogrodu, stało 3 ludzi w czarnych mundurach Sonderdienstu. Był to patrol rowerowy. Stali bacznie mi się przyglądając.

Ścieżka, którą szedłem, udeptana w śniegu, rozchodziła się. Jedna jej część prowadziła obok Niemców do mojego domu, a druga do wsi. Ja skręciłem w tym właśnie kierunku. Usłyszałem wtedy głośnie „Halt” i zobaczyłem dawany mi znak ręką, bym do nich przyszedł. Struchlałem i nogi ugięły się przede mną. Jeden z „Czarnych” zdjął karabin i niedwuznacznie pokazał, że w razie ucieczki będzie strzelał. Odległość niewielka, teren płaski i bezdrzewny, a na dodatek śnieg. Nie ma mowy by nie trafił.

Przeżony, na miękkich nogach, idę wolno w ich stronę. Podchodzę, może nie będą rewidowali. Wiem, że widać. Jeśli nie zobaczą, to cud. Jeden z „Czarnych” podchodzi i odpina moją ciepłą kurtkę. Zobaczył kolbę i część lufy z zamkiem. Natychmiast to wyszarpnął. Wrzasnął: „Dokumenty”. Podałem, zaczęli czytać. Pada pytanie, skąd to masz? Odpowiadam, znalazłem. Dostałem pięścią w nos, krwawię. Zaczęto mnie bić. Uderzenia były takie, że się przewracałem. Wtedy byłem kopany i zmuszany do wstania. Stałe wrzeszczano, skąd to mam i dokąd niosę. Na taką samą odpowiedź, nowe uderzenia. Zaczęto mnie bić kolbą karabinu, a potem użyto nawet sztachety wyrwanej z plotu. Sztacheta miała wystający gwóźdź, który głęboko mnie ranił. Byłem tak odrętwiały, że bólu specjalnie nie czułem. Jak by się to działo poza mną. Widząc, że nie wyciągną nic ode mnie biciem, spróbowano innej metody. Jeden z nich podprowadził mnie pod wierzbę, wyjął pistolet, odciągnął kurek i powiedział: „Liczę do trzech, jeśli nie powiesz, strzelam w łeb.”

Sądziłem, że to jest już koniec. Jedną myślą, jaką wtedy miałem, to były oczy. Strzelając mi w tył głowy zostaną wybite i tu mnie ogarnęło przerażenie. Czułem, jak będą wypływały. Słyszę głos: „Ein, zwei i drei”. Dłuższa przerwa i pada strzał; poczułem uderzenie w głowę. To koniec. Nie, jeszcze chyba żyję, bo słyszę i widzę. Może to tak ma wyglądać śmierć? Jestem

cały odrętwiały. W tym stanie się nic nie czuje, nawet lęku. Strzelono koło samego ucha, a ze złości dostałem w głowę kolbą pistoletu. Moi prześladowcy chcieli znać adres, skąd to niosłem. Wiedzieli, że osoby ze mną powiązane natychmiast uciekną. Teraz mogliby je aresztować. Potem szukaj wiatru w polu. Nie wiem, jak by się to dla mnie skończyło, gdyby od strony Unina nie ukazała się kolumna samochodów. Były to tak zwane „budy” pełne policji niemieckiej. Wracały z jakiejś obławy. Zostały zatrzymane. Przekazano mnie i broń przy mnie znaną w ręce Schutzpolizei.

Kazano mi wejść do samochodu i położyć się między rzędami siedzących Schupowców. Ruszyliśmy; co chwilę dostawałem kolbą karabinu w głowę. Kiedy rękoma próbowałem ją zasłonić, wtedy dostawałem kopa w nerki. Gdy je ochraniałem, to znowu w głowę i tak dalej. Dodatkowo byłem przestraszony, bo miałem przy sobie niemieckie wojskowe rękawice i buty (saperki). Wiedziałem, że i do tego się doczepią. Za kradzież mienia wojskowego była taka sama kara, jak i za broń. Ich nie będzie interesowało, kto ukradł, tylko dlaczego to mam.

Po przyjeździe do Garwolina kopniakiem zrzucano mnie z samochodu. Jeden z mundurowych powiedział po ukraińsku: „Jeśli nie powiesz, od kogo to masz, to cię tu zatłuczemy.” Na moją taką samą odpowiedź, znowu oberwałem. Postawiono mnie przy samej ścianie, uderzenia w głowę rozbijały mi twarz o mur. W budynku, do którego mnie wprowadzono, był długi korytarz i szereg cel. Na korytarzu stał stolik, przy którym siedział granatowy policjant. Był on zarazem tłumaczem. Polecono mu spisać moje personalia z dokumentu. Dla sprawdzenia musiałem jeszcze sam mówić jak się nazywam i podać inne żądane informacje. Następnie kazano mi oddać ciepłą kurtkę i moje wojskowe niemieckie buty z cholewami. Z tym miałem duże kłopoty. Prosiłem policjanta o pomoc, której nie otrzymałem. Widać było, że się moi pomagają aresztowanemu.

Następnie zabrano mnie na przesłuchanie. Znowu pytanie: skąd to mam i nowa porcja bicia. Przyprowadzono psa, wielkiego wilczura. Byłem nim szczuty. Pies się rzucał i dał na mnie ubranie, lecz mnie nie ugryzł. Pewno dlatego, że się nie broniliśmy. Kazano mi położyć się na stołek i bito w siedzenie grubym kijem. Jak się zrywałem, to związano mi ręce pod spodem i byłem całkowicie unieruchomiony. Jedno co mogłem robić, to krzyczeć. Krzyk sprawiał ulgę.

Po pewnym czasie przerwano przesłuchanie. Zostałem wepchnięty do celi i na koniec uderzony lufą karabinu w obolałe biciem miejsce. Pomieszczenie, gdzie się znalazłem, było niewielkie i przepełnione ludźmi. Ja byłem 21. Jak tylko drzwi zamknięto zaczęto mnie pytać, kto ja jestem? Co zrobiłem, że mnie tak biją? Byłem cały pokrwawiony i ubranie w strzępach. Cóż mogłem powiedzieć? Że za broń, którą znalazłem i chciałem oddać. Usłyszałem, jest źle. Tu w takie bajki nikt nie wierzy.

W celi nie było właściwie żadnych sprzętów. Jedynie tylko szeroka drewniana nara, która miała być odpowiednikiem łóżka. Dzięki niej można było trzymać tu więcej ludzi. Część leżała na niej, a część pod nią. W rogu przy drzwiach stał kibel. Byłem strasznie obolały i miałem gorączkę. Miejsce na podłodze, gdzie mogłem się położyć, było w rogu, blisko drzwi i kibla. Ściana była wilgotna, grzyb. Zimna podłoga i wilgoć sprawiały mi ulgę. Okazało się, że mam tu znajomych, którzy już dłuższy czas siedzą. Między innymi Zbigniew Zimny. Był elektrykiem i stale coś dla nich robił. Nawet samego wypuszczano go na zewnątrz, bo nic mu nie udowodniono. Miał nadzieję, że go zaraz wypuszczą. Niestety, już następnego dnia został rozstrzelany.

Noc była makabryczna; wszystko mnie boleło i miałem dużą gorączkę. Leżeliśmy pokotem, jeden obok drugiego. W pomieszczeniu, gdzie siedzieliśmy, panował półmrok, oświetlała go jedna słaba żarówka. Masa pluskiew, wszyscy się drapią, a część usiłuje je łapać. Niestety, przy tym oświetleniu niewiele widać. Koło mnie leżał Rosjanin, który uciekł z obozu. Był sympatyczny, okładał papierami moje rany i próbował żartować. On również skończył w Lisich Jamach.

Niektórzy ze śpiących chrapali, ktoś zrywał się i krzyczał wzywając Boga i matkę. O śnie nie było mowy; leżałem jak w letargu. Co jutro przyniesie? W domu pewno była rewizja? Czy coś znaleźli? Jeśli tak, jak mam się tłumaczyć? Tak, chciałem umrzeć. Myśl o śmierci przynosiła ulgę. Nareszcie będzie spokój. Gdzieś grubo przed świtem słychać dzwonki. To pobudka dla Schupowców. Słychać rozmowy, tupot nóg, szczęk broni i brzęk naczyń, pewno jedzą? Na dworze ciągle ciemno. Warkot zapuszczanych motorów. Znowu gdzieś jadą, może do Leszczyn dalej przeprowadzać rewizję?

Nareszcie się rozwidnia, Słychać rozmowy w języku niemieckim. Wypuszczają nas na podwórko do ubikacji. Wychodzę na śnieg i mróz boso, bo

zabrano mi buty. Jestem cały obolały i czuję, że mam dużą gorączkę. Ubranie w strzępach, nie przykrywa gołego ciała. Ciepłą kurtkę również wczoraj mi zabrano, a tu na dworze jest śnieg i mróz. Trzęsą mną dreszcze. Cały teren otoczony murem i częściowo płotem. Z każdej strony stoją umundurowani z bronią. Po wyjściu ze wspólnej toalety odkręcają nam na dworze kran z zimną wodą i tu możemy się na mrozie trochę opłukać. Żadnego mydła, ani ręcznika też nikt tu nie ma. Znowu głośny rozkaz: powrót do celi. Przynoszą śniadanie. Czarna kawa zbożowa bez cukru i po pajdzie suchego chleba. Ja jeść nie mogę. Jeden ze z współwięźniów namawia, bym jadł. Ktoś wlepił mi kawałek kielbasy, którą wczoraj przesłano w paczce z domu. Jedz, ja odmawiam. Słyszę jak mówi do mnie: „Dzisiaj będziesz miał ciężki dzień. Musisz być silny.”

Po pewnym czasie wzywają poszczególnych aresztowanych; przerażeni idą na przesłuchanie. Słychać krzyki bitych. Rozmawiam ze współwięźniami, za co siedzą? Ktoś mówi, że zrobiono rewizję w jego domu i znaleziono stare słuchawki od radia kryształkowego. Inny, że nie znaleziono nic, a oskarżają go o posiadanie broni. Większość nie wie, za co. Zostali zatrzymani i na razie żadnych zarzutów im nie przedstawiono. Z każdym bym się chętnie zamienił. Martwię się, co ja mam powiedzieć i jak się bronić? Moja sprawa to nie bezpodstawne oskarżenie, a fakt. Złapano mnie z bronią.

Pierwszych wezwanych już przyprowadzają z powrotem do celi. Są pobici, twarze czerwone, opuchnięte i pokrwawione. Jednemu w drzwiach miażdżono palec. Cały czas jęczy z bólu. Co mnie czeka? Kiedy się ta makabra zacznie? Denerwuje się, dlaczego jeszcze mnie do tej pory nie wezwano? Może w Leszczyinach trwa jeszcze rewizja i dlatego? Na każdy odgłos kroków po korytarzu i rozmowy serce zaczyna strasznie łomotać. Znowu wzywają kogoś, lecz z innej celi; to chwila ulgi. Te oczekiwania trwają do południa.

Znowu przerwa na obiad. Dostajemy zupę z brukwi i po kawałku suchego chleba. Na jedzenie nawet patrzeć nie mogę. Słychać, przyjechały samochody. Głosy komend. Co w domu? Czy była rewizja i co znaleźli? Znowu kogoś zabierają. Dlaczego ja nie jestem wezwany? Znowu kroki na korytarzu. Pada moje nazwisko. Policjant otwiera celę i mnie wzywa. Przerażony wychodzę. Żandarm prowadzi mnie przez jakieś pomieszczenia. Wchodzimy do dużego pokoju. Stoi w nim duże biurko i stół. Wkoło ścian regały

zapchane bronią. W rzędach stoją karabiny, a na wieszakach pistolety maszynowe. Na górnych pułkach leżą helmy. Za biurkiem siedzi wysoki, dobrze zbudowany oficer. Był to oberlejtnant Strobel. Dowódca Schutzpolizei. Niemiec, który mnie przyprowadził, jest tłumaczem. Zaczyna się ponowne sprawdzanie personaliów.

Pada pierwsze pytanie. Od kogo tę broń dostałem i gdzie ją niosłem? Nawiwnie odpowiadam. Znalazłem nad rzeką i chciałem odnieść na posterunek. Dlaczego więc broń była schowana? Sam dziwię się ze swojej głupoty. Jak miałem nieść? Idąc z bronią na wierzchu? każdy policjant natychmiast by mnie zastrzelił. Następne pytania. Co ja robię? Odpowiadam, uczę się. Chcę skończyć kursy i zacząć pracować. Miałem legitymacje zawodowych kursów stolarskich, chroniły mnie one przed wywózką na roboty do Niemiec. W dokumencie miałem o 2 lata obniżony wiek. Z 1928 na 1930 rok. Kim dla mnie jest pani Lazarewicz? Zgodnie z prawdą odpowiadam: daleka krewna, zaprzyjaźniona z moimi rodzicami. Kim jest mój ojciec i co robi? Znowu odpowiadam. Przed wojną był starostą, teraz mieszka w Leszczynach i pomaga staremu dziadkowi w gospodarstwie. Musiałem wyglądać strasznie. Patrząc na mnie Strobel zapytał się: kto mnie tak pobił? Odpowiedziałem, że żandarmi. Czy poznam którzy? Zaprzeczyłem. Przez całe przesłuchanie nikt na mnie nie krzyknął, ani nie uderzył. Na maszynie spisano protokół. To było wszystko.

Odprowadzono mnie do celi. Byłem zupełnie oglupiały. Spodziewałem się najgorszego, a tu nawet jakby oznaki sympatii. Moi współtowarzysze z celi pytają się i nie wierzą. Coś takiego? Przy brutalności SCHUPO, to niemożliwe? Każdy z nich był bity, a ja wczoraj wprost zmasakrowany. Czuję się głupio w stosunku do moich współtowarzyszy, którzy patrzą na mnie podejrzliwie. Czy przypadkiem nie sypie? Na nowo zaczynają wzywać poszczególne osoby, każą z sobą zabierać swoje rzeczy. Pod wieczór zostaję sam. Gdzie ich biorą? Dlaczego ja jeden zostaję? Słysząc warkot samochodów, gdzieś ich wywożą. Jak się potem dowiedziałem, po zamachu w Warszawie na Kutscherę, który miał miejsce 1 lutego, czyli wczoraj, w ramach represji część rozstrzelano w Lisich Jamach, a część wysłano do Warszawy i dalej do obozów koncentracyjnych.

Po pewnym czasie znów mnie wzywają. Żandarm, który po mnie przyszedł, powiedział do policjanta, by wykreślił mnie z ewidencji. Ten zapytał

się, co ma napisać w adnotacjach. Wywieziony, czy rozstrzelany? Przerazoni usłyszałem to, co najmniej bym się spodziewał: Zwolniony do domu. Znowu zostałem postawiony przed Strobla. Teraz powiedział do mnie: „Jak kiedyś broń znajdziesz, nie chowaj, tylko nieś na wierzchu”. Patrząc na moje porwane łachmany zawyrokował: „Tak nie możesz wyjść. Trzeba to wszystko pozszywać.” Dostałem pudełko agrafek, którymi pozczepiałem fragmenty poszarpanego ubrania. Zwrócono mi ciepłą kurtkę i o dziwo, wojskowe niemieckie saperskie buty i rękawice. Nikt się nie pytał, skąd je mam. Następnie Strobel wyprowadził mnie na dziedziniec. Kazał wartownikowi ubranemu w gruby biały kozuch wypuścić mnie na ulicę i powiedział, bym pozdrowił panią Lazarewicz. Uświadomiłem sobie wtedy, że jej tylko zawdzięczam życie.

Wyszedłem obolały, lecz szczęśliwy. Zimno mi było i musiałem mieć dużą gorączkę. Porwane w strzępy ubranie. Pozasychana krew na twarzy, sińce i strupy. Na szyi czułem opuchniętą ranę. Ślady gwoźdźcia po biciu sztachetą. Poleciałem do apteki Ptaszyńskich. Liczyłem, że dostanę tam coś do ubrania. Zastałem tam ojca i mamę. Jak mnie zobaczyli, zaczęli obydwoje płakać. Opowiadałem o całym zajściu i pokazywałem ślady bicia. Po umyciu i przebraniu wróciłem do Leszczyn. Od ojca dowiedziałem się, że nikt im nie powiedział o moim aresztowaniu. Bali się widocznie patrolu Sonderdienstu, który stał tam długo i legitymował ludzi. Ojciec wybrał się po papierosy do sklepiku Dobrowolskiej. Niemcy go zatrzymali, wydawał się za gruby w kozuchu. Po sprawdzeniu dokumentów i rewizji osobistej został wypuszczony. W sklepie dopiero się dowiedział, że zostałem aresztowany i bity. Wiedziano, że miałem coś przy sobie. Ojciec już do domu nie wrócił. Poszedł do znajomego weterynarza i tam u niego nocował. Bał się, że u wszystkich naszych bliższych znajomych będą rewizje i aresztowania.

Reszta domowników dowiedziała się o tym zdarzeniu, gdy „Czarni” odjechali. Szczęściem, że tak się stało. Gdyby mama wiedziała, że mnie biją, z całą pewnością poleciałaby ratować. Znając brutalność policji niemieckiej na pewno by ją również pobili, a może i zastrzelili. Po tym fakcie zastanawiała się, co robić. Do Lazarewiczowej w Sulbinach wysłała konno formala, Staśka Mocha, z listem. Napisała tylko: „Stefana aresztowano, Janko ratuj!” Wiedziała, że u zaprzyjaźnionej z naszą rodziną Janki Lazarewicz, właścicielki majątku Sulbiny, był dowódca SCHUPO - Strobel.

Wizyty takie nie były dla Polaków przyjemnością, lecz co było robić? Wielokrotnie opowiadała, że wieczorami przyjeżdżał pod różnymi pretekstami. Często tłumacząc, że wie o szykujących się napadach bandyckich. To mogła być prawda, gdyż takie w tym czasie były dość częste. Wpadał również, by pograć w karty. Strobel skarżył się, że jest tu odizolowany. Z Polakami nie ma kontaktów, a ludzie, którymi dowodzi, są prymitywnymi prostakami. Poza tym, okazywał sympatię córce, Basi Lazarewicz. Opowiadała, jak raz, było to zimą, siedział u nich na kolacji. Na dworze czekali jego ludzie. Gdy jeden z podoficerów przyszedł zameldować, że zmarzli, Strobel wyciągnął pistolet i powiedział: niech jeszcze ktoś tu przyjdzie, to zastrzeli. W domu wiedziano, że jeśli ktoś tu może pomóc, to tylko ona.

Mama również postanowiła działać sama. Pojechała do Garwolina i usiłowała dostać się do Strobla. Wartownicy jej nie wpuścili. Usłyszała, że jeden z oficerów niemieckiej policji siedzi w restauracji. Tam go zastała. Zaczęła mówić, że to jakaś pomyłka. Niemiec zapisał nazwisko i powiedział, że na ten temat nic nie wie i nic nie obiecywał. Następnie wróciła do domu. W obawie przed rewizją zaczęto przeszukiwać moje rzeczy. Pod poduszką znaleziono pistolet. Popalono tajne gazetki, których miałem dużo. W mieszkaniu zostało tylko dziadek i kobiety.

Lazarewicz zaraz kazała zaprzęgać konie i razem z Basią pojechały do Garwolina. Wartownikowi, który nie chciał ich wpuścić, nawymyślała. Kazała się zameldować komendantowi. Język niemiecki znały bardzo dobrze, zarówno ona, jak i córka. Strobel zaraz je przyjął. Powiedziała, o co chodzi. Sądzi, że to nieporozumienie. Zna całą naszą rodzinę, z którą jest nawet spokrewniona. Wspomniała, że korzenie nasze wywodzą się z Niemiec i że jesteśmy lojalni w stosunku do władz. Na to Strobel odpowiedział, że zna już sprawę. Ten młody człowiek złapany został z bronią, a to jest kłopot. Będzie sam aresztowanego przesłuchiwał i obiecuje nie bić. Mówił, że ma nad sobą Kreishauptmanna, który jego działalnością bardzo się interesuje. I dodatkowo jeszcze Gestapo. Postara się tę sprawę jakoś zatuszować. Gdyby nie było innego wyjścia, to wyśle do obozu, ale to jest ostateczność. Dodał: „Chłopak tłumaczy się, że broń znalazł. Trudno jest jednak w to uwierzyć. Młody jest i chciał sobie postrzelać.” Lazarewiczowa bardzo mu podziękowała i zaprosiła, by je w Sulbinach odwiedził.

Z Garwolina pojechała do Leszczyn; mamie powtórzyła rozmowę i co

załatwiła. Sugerowała, by dla Strobla przygotować jakiś prezent. Rodzice kupili pudło drogich hawajskich cygar, co w tym czasie było zupełnie nieosiągalne. Na prezent zaś świetnie się nadawały. Po moim zwolnieniu Basia Lazarewicz zawiązała cygara i jeszcze raz serdecznie mu podziękowała. Ja po powrocie do domu czułem się bardzo źle. Gorączkowałem, rany, szczególnie na szyi, zaczęły się paprać. Porobiły się krwiaki. Zbadał mnie lekarz, który zdecydował, że muszę być leczony szpitalnie. Tak trafiłem do szpitala w Garwolinie. Pobyt tam był makabryczny. Ciągle gorączkowałem, a rany smarowane jakimiś maściami nie chciały się goić. W tym czasie penicyliny jeszcze nie było.

Leżałem w małym pokoju o dwóch łóżkach. Któregoś dnia przywieziono jakiegoś młodego człowieka i położono na sąsiednim łóżku. Został on postrzelony przez Niemców podczas jakiejś akcji. Zabrano go do szpitala. By przesłuchać, trzeba było najpierw go podleczyć. Kula przebiła płuca. Posadzono przy nim granatowego policjanta, który go pilnował. Nie odzyskiwał przytomności. W nocy zaczął się rzucać i przywoływać matkę, a następnie rzęził. Przyszła siostra; lekarza w szpitalu w nocy nie było. Powiedziała do policjanta: to agonia. Zapaliła gromnicę. Oświadczyła, że może już iść do domu. Pilnować go nie trzeba, on już nie ucieknie.

Wyszli, ja zostałem z umierającym sam. Wiedziałem od lekarza, który go wcześniej badał, że był to krwotok płucny, którego w warunkach garwolińskich nie można było wstrzymać. Przez pewien czas jeszcze się rzucał. Chwilami odzyskiwał przytomność, wtedy wzywał siostrę i mówił, że mu tak słabo. Światło elektryczne, poza korytarzem, wszędzie było zgaszone, płonąła tylko zapalona gromnica. Jak się uspokoił, przyszła na nowo siostra. Powiedziała, że już nie żyje. Zgasła gromnicę. Ściągnęła koldrę, a zwłoki przykryła prześcieradłem i tak zostawiła. Do rana z nim leżałem. Jak się zaczął dyżur, wtedy dopiero zabrano zwłoki. Śmierć tę strasznie przeżyłem.

W szpitalu odwiedziła mnie Lazarewiczowa. Powiedziała, bym do Leszczyń nie wracał. Strobel ją uprzedził, że mam uciekać. Freudenthal moim zwolnieniem się zainteresował. Obawia się, że może kazać mnie na nowo aresztować. Wtedy byłoby trudno coś zarządzić. Minęły już prawie dwa tygodnie, jak wyszedłem na wolność. Rany zaczynają się goić, mogę się leczyć poza szpitalem. Do domu więc już nie wracam.

Nagle wpada do szpitala mama; jest strasznie podenerwowana. Nad ra-

nem Leszczyny zostały otoczone przez policję niemiecką. SCHUPO wkroczyło do wsi i w niektórych domach zaczęli robić rewizję. Przy próbie ucieczki zastrzelony został nasz sąsiad, Józef Kędziora. Szereg osób z listy zostało zatrzymanych. Podczas rewizji znaleziono broń. Aresztowanych strasznie bito. Niemcy w naszym domu nie zrobili rewizji. Tylko dwóch żandarmów obeszło wszystkie pomieszczenia. Mama histeryzowała; na pewno ciebie oskarżą, żeś ich wydał. Wpadłem w przerażenie. Uciekać jak najszybciej i to do Warszawy.

Przed wyjazdem wpadłem jeszcze do Leszczyn i zabrałem pistolet. Postanowiłem, że żywego już mnie nie wezmą. Po przyjeździe do Warszawy zatrzymałem się najpierw u Piotrowskich na Widok 23. Jednak ten adres znało za dużo osób. Przeniósłem się więc na Kolonię Śliwice, do Wodiczków i zamieszkałem razem z Tadeuszem. W mieszkaniu były pluskwy. Warszawa była w tym czasie strasznie zapluskwiona. Nie gryzły mnie, lecz lażyły, co nie było przyjemne.

Z Garwolina zaczęły napływać sensacyjne wiadomości. Aresztowani w Leszczynach: Wielgosz, Bokus, Pliszka, Sekuła i inni uciekli z więzienia. W nocy prawie całe siły policyjne wyjechały z miasta. Urządzono wielką obławę na partyzantów w lasach koło Wilgi. W tym czasie wartownicy popili się. To wykorzystali aresztowani, a było ich siedmiu. Wyważyli drzwi celi i zbiegli. Więzienie w tym czasie było tak przepelnione, że zamknięto ich w pomieszczeniach nie mających specjalnych zabezpieczeń. Pliszka był tak pobity, że zmarł w oborze pod żłobem, gdzie go ukryto. Miał perforację jelit. Wielgoszowi poodbijano mięso od kości. Wiele miesięcy rany się nie goiły. Mieli szczęście, bo los ich był przesądzony. Mówiło się, że ułatwiło im ucieczkę wstawiennictwo Lazarewiczowej. W sprawie aresztowanych jeździł do niej ojciec z Zarzyckim. Obiecywała, że postara się w tej sprawie porozmawiać ze Stroblem. Nie wierzę w to jednak. Sama by się naraziła. Bardziej podejrzewam, że był to cud.

W Garwolinie i okolicach następowały dalsze aresztowania. Niemiecka policja szalała. Trafiali w działaczy podziemia. Zatrzymany został Stefan Góra – „Wilczek”, pracownik KRIPO - Majewski i wiele innych osób. Dużo musiało uciekać. Informator ciągle nie był znany. Martwiłem się, bo ja należałem do osób podejrzanych. Większość aresztowanych, to moi znajomi. Na moją niekorzyść przemawiało to, że mimo oczywistej winy zostałem zwol-

niony z więzienia. Bałem się zarówno Niemców, jak i polskich tajnych organizacji. Sądy podziemne nie miały możliwości przeprowadzać rzetelnych śledstw. Szaflowano w tym czasie wyrokami śmierci i wiele było pomyłek. Niestety, cofnąć ich nie było już można. Na moją obronę miałem tylko jedno. Aresztowania zaczęły się 2 tygodnie po moim zwolnieniu. Niemcy, mając informację o ludziach z podziemia, nie czekali by nawet godziny.

### **Pobyt w okupacyjnej Warszawie.**

Po przyjeździe do Warszawy zamieszkałem razem z Tadeuszem na Kolonii Śliwice (obecny Żerań) u naszych krewnych, Wodiczków. Mieszkanie Piotrowskich na Widok za wiele osób znało i mogło być niebezpieczne. Pomału zacząłem się adaptować w Warszawie. Poznawałem miasto, którego wcześniej właściwie nie znałem. Dalszej nauki w tym czasie już nie podjąłem, zaważyłem więc rok. Z Tadeuszem pojechaliśmy do Bogdana Zarudzkiego. Opowiedziałem mu całą historię aresztowania i moje obawy. Przyznał, że sytuacja moja jest nienajlepsza. Trzeba spokojnie czekać na jej rozwiązanie. Zdrajca musi się w końcu ujawnić. Że jeszcze działa, świadczą coraz to nowe aresztowania na obszarze Garwolina i okolic. Powiedziałem, że chciałbym i tu działać w konspiracji. Odpowiedział, że w mojej sprawie się porozumie, a na razie mam czekać.

Parę dni później Tadeusz przyniósł mi wiadomość od Zarudzkiego. Mam się zgłosić w niedzielę o godzinie 11 na ulicę Śniadeckich, o ile pamiętam, nr 8. Podał mi hasło, którym mam się przedstawić. Mieszkanie było na parterze, a na drzwiach było nazwisko właściciela, którego w tym czasie nie było w domu. Zapukałem, otworzył drzwi jakiś młody człowiek w moim wieku. Pełnił on funkcje gospodarza i jak się domyślałem, był synem właściciela lokalu. Powiedziałem hasło, zostałem zaproszony do środka. Zostałem tam 6 osób. Jeden starszy, który mógł mieć powyżej 20 lat. Był on dowódca.

Wypytał mnie szczegółowo, bez podania nazwisk, o moją dotychczasową działalność. Powiedziałem o moim aresztowaniu i że się teraz ukrywam. Nie wspominałem jednak o moich obawach. Ja natomiast usłyszałem, że przerabiany jest tu wojskowy regulamin służby wewnętrznej. Poza tym, mamy zajmować się małym sabotażem i służbą kurierską. Wszyscy moi

koledzy byli mniej więcej w moim wieku. Dowódcy musiałem podać numer telefonu. Tą drogą powiadamiano o nieprzewidzianych akcjach. Telefonów ani adresów nie wolno było zapisywać, trzeba było uczyć się ich na pamięć. Zebrania miały ustalone z góry terminy. Tu nikt z bronią nie miał nic wspólnego. Nie wspominałem, że ja mam pistolet. Pewno kazano by mi go oddać. Po zbiórce nie mogliśmy wychodzić razem, tylko pojedynczo i co parę minut.

Uprzedzono, że jeśli się idzie ulicą i z kimś rozmawia, to trzeba najpierw ustalić jakąś wspólną wersję tej rozmowy. Bywały bowiem przypadki zatrzymywania przez policję młodych ludzi. Każdego na osobności pytano, o czym była rozmowa. Jeśli się wersje nie zgadzały, osoby te były aresztowane. Do jednego z tych nowych kolegów bardziej się zbliżyłem. Po zebraniu, wbrew zakazowi, spotykaliśmy się w parku Ujazdowskim. Tam opowiadałem o moich przeżyciach ostatnich miesięcy. Zastanawialiśmy się, jak będzie wyglądała nasza przyszłość w związku z szybkimi postępami armii rosyjskiej. Marzeniem mojego nowego kolegi było posiadanie broni. Obiecałem, że postaram się dla niego zdobyć. Niestety, już nie zdążyłem.

Zrobiono mi raz kawał. Po zebraniu dostałem polecenie, aby dostarczyć paczkę pod wskazany adres. Uprzedzono, że jest to materiał wybuchowy z zapalnikiem, reagujący na wstrząsy. Z paczką tą sypałem piechotę straszny kawał drogi. Z Centrum, aż na daleką Pragę, za plac Szembeka. Obawiałem się, by nie wpaść na jakiś patrol. W tramwaju czułem się mniej bezpieczny. Jak dotarłem na miejsce, okazało się, że to był zegar do reperacji. Podobną historię miał i Tadeusz. On jakąś bieliznę gdzieś prznosił. Sądził, że to nielegalna prasa. Nasi konspiracyjni szefowie potrafili robić takie kawały.

Brałem udział w paru akcjach małego sabotażu. Dostałem butelkę kwasu solnego, by pryskać na ubrania siedzących w kinie. Z zadania wywiązałem się z przyjemnością. Kino mnie bardzo ciągnęło, a mając taki rozkaz, byłem rozgrzeszony. Sam malowałem hasła „Tylko świnie siedzą w kinie”. Pamiętam, że raz poszedłem na niemiecki film „Titanic”. Po przyjeździe do domu okazało się, że i mój płaszcz ma wypalone dziury. To znaczy, że i mnie ktoś również połał. W ramach tych akcji rozrzuciałem też różne ulotki.

Nie pamiętam już dokładnie daty, kiedy dostałem telefon z rozkazem. Natychmiast trzeba ewakuować zagrożony lokal. Złożona była tam część nakładu konspiracyjnego dodatku nadzwyczajnego pod tytułem „Wojska

niemieckie wkroczyły do Szwecji”. Był to już drugi dodatek tego typu. Pierwszy był wielkim sukcesem podziemia. Donosił on, że „Hiszpania przystąpiła do wojny”. Tam wyjaśniano, że po stronie bankrutów Niemcy parcia nie znajdują. W materiałach, które zabezpieczaliśmy, były jeszcze karty. Po jednej stronie znajdowała się podobizna Hitlera, a po drugiej Stalina. Napis między tymi postaciami brzmiał „Na złą postawiłeś kartę”. Część nakładu ulokowana została w domu, gdzie obecnie mieszkam, to jest na Widok, po wyprowadzeniu się ze Śliwic. Podczas mojej działalności w Warszawie zetknąłem się z wieloma młodymi ludźmi. Niektórych pamiętałem jedynie z pseudonimów, gdyż nazwiskami się nie operowało. Niewielu z nich spotkałem po wojnie.

Z Garwolina nareszcie przyszła dla mnie ważna wiadomość. Wyjaśniła się sprawa ostatnich aresztowań. Sprawcą był nasz sąsiad, uczeń szewski z Kolonii Unin, o nazwisku Stanisław Konstanty. Sprawa, która doprowadziła do tragedii, rozpoczęła się parę miesięcy wcześniej. Dwaj bracia związani z podziemiem, trudnili się dodatkowo bandytyzmem. Korzystając z posiadanej broni nocami napadali i to na sąsiadów. Mimo, że byli zamaskowani, ktoś ich rozpoznał. Nie przekazano tego policji, tylko postanowiono załatwić nieoficjalnie przez struktury podziemne. Wyznaczeni do tej akcji ludzie w nocy zapukali do Konstantych. Zabrano ich do stodoły. Odebrano broń. Następnie dostali potężne lanie i ostrzeżenie przed dalszą działalnością bandycką.

Wyglądało, że sprawa jest załatwiona. Jednak zbójcka żyłka była silniejsza niż strach. Na nowo zaczęli napadać, lecz już w dalszej okolicy. Znowu zostali rozpoznani. Sąd podziemny skazał ich na karę śmierci. Wykonanie tego zadania zlecono Policji Kryminalnej (KRIPO). Funkcjonariusze podjechali nad ranem samochodem pod gospodarstwo Konstantych. Próbującego uciekać starszego z synów zastrzelono. Młodszego, Stanisława, nie zastano w domu; pojechał wcześniej do młyna. Gdy wrócił do domu i dowiedział się, co się stało, nie mówiąc nic nikomu poleciał bezpośrednio do Niemców. Ci momentalnie go zatrzymali i rozpoczęli przesłuchania. Mówił wszystko, co wiedział. Chciał się zemścić za śmierć brata, a wiedział dużo. Konspiracja w warunkach wiejskich jest właściwie niemożliwa. Wszyscy się znają i nie tylko w obrębie jednej wsi.

Zaczęły się aresztowania, które spadły jak burza. Niemcy trzymali in-

formatora w tajemnicy i wyciągali od niego coraz to nowe fakty. Tak zadenuncjował Stefana Gorę i współpracujących z podziemiem funkcjonariuszy KRIPO. Nikogo nie oszczędzał. Dużo osób zostało aresztowanych, część z nich została rozstrzelana. Innych wysłano do obozów. Zagrożeni musieli uciekać. Wreszcie, gdy powiedział wszystko, przestał być potrzebny. Schupo przekazało go Policji Kryminalnej. Ci załatwili sprawę szybko. Zawieźli go do domu i na oczach całej rodziny zastrzelili. Była to zemsta za częściową dekonspirację KRIPO i straty, jakie ponieśli.

Rodzice zastrzelonych, zamiast uznać winę swoich synów, zaczęli po wsi grozić, że to nie będzie koniec donosów. Chcieli się mścić. Starego Konstantego zastrzelono gdy wracał z młyna. Reszta rodziny została również wymordowana przez oddział specjalny Kedywu. W nocy 27 marca 1944 r. zabito matkę i młodszych braci. Najmłodszy miał wtedy 7 lat. Uratowała się z pogromu tylko 13 letnia córka, która gdzieś się schowała. Dom Konstantych został spalony. Oddział przeprowadzający akcję na pewno nie dostał rozkazu wymordowania dzieci. Była to jednak zemsta tych, którzy potracili w wyniku zdrady swoich bliskich. Córka wychowywała się u krewnych. Po wojnie wyszła za mąż, a na miejscu tragedii pobudowała nowy dom.

Ciało Stanisława Konstantego (tego, co sypał) nie pogrzebano na cmentarzu. Podobno ksiądz odmówił pochówku. Jak słyszałem, został on zakopany koło krzyża, przy drodze do Unina, niedaleko ich spalonego domu. Podobno parę razy był wykopywany i wyrzucany na drogę. Miejscowi ludzie nie zgadzali się, by tam leżał. Nie będą zdejmowali czapki pod krzyżem, gdzie pochowany leży taki nikczemny człowiek. Tak zakończyła się sprawa Konstantych. Moje zeznania wyciągnęło KRIPO i sprawa całkowicie się wyjaśniła. Mogłem więc już bez obawy wracać. Nie byłem pewny jednak Niemców, czy mnie sobie nie przypomną. Wołałem więc na razie zostać w Warszawie. Miałem już w tym czasie interesujących znajomych, z którymi się spotykałem. Należeli do nich Pawłowscy, pracujący w Centrum Wyszukolenia Straży Pożarnej na Żoliborzu. Przez Niemców używani byli do zabezpieczeń przeciwpożarowych w trakcie likwidacji Getta. Opowiadali o ich kontaktach z żydowskimi powstańcami i pomocy, jaką im udzielali. Na wiosnę 1944 r. z całym oddziałem straży przedostali się do partyzantki w Karpatach.

Na początku czerwca spotkałem u Nartowskich Jurka Pawłowskiego.

Właśnie wrócił do Warszawy, lecz sam. Oddział, w którym przebywał, został rozbity. Powiedział, że brat jego Zbyszek zginął. Obiecał, że przy następnym spotkaniu wszystko opowie, a teraz się spieszy. Niestety, już go więcej nie zobaczyłem. Zginął w walkach o elektrownię na Powiślu. Więcej o Zbyszku Pawłowskim dowiedziałem się już po wojnie. Czy to nie przypadek?

W 1957 r. wracałem pociągiem z Krotoszyna do Warszawy. W tym samym przedziale jechała jakaś pani z chłopcem. Zaczęliśmy rozmawiać. Mówiła, że jest wdową, a to jej syn. Ojciec jego był strażakiem w CWSP (Centrum Wyszkożenia Straży Pożarnej) na Żoliborzu. Zginął w 1944 r. w partyzantce. Wspomniałem, że i ja miałem tam braci ciotecznych. Zainteresowała się, kto to? Znała wszystkich kolegów męża. Gdy wymienilem nazwisko Pawłowscy, była wyraźnie zaskoczona - znieruchomiała. Nerwowo powiedziała: „Zbyszek zastrzelił mojego męża i sam popełnił samobójstwo. Leżą w jednym grobie koło Mszany Dolnej w Karpatach.” Opowiedziała ich tragiczną historię. Podczas oblawy Zbyszek do końca usiłował z okrzykami wynieść jej rannego męża. Gdy mu się to nie udało, nie zostawił go. Zastrzelił jego i siebie. Tak przypadek sprawił, że los Zbyszka w końcu się wyjaśnił. Matka Pawłowskich, a zarazem żona Tadeusza, była łączniczką. Zginęła w Powstaniu. Tak z całej 4 osobowej rodziny nikt nie przeżył tej wojny.

W Warszawie często kontaktowałem się z Bogdanem Zarudzkim. Dowiedziałem się, że miał on stopień podporucznika. Występował pod pseudonimem „Alkazar”. Był dowódcą specjalnego oddziału do likwidacji konfidentów. Pracował w elektrowni warszawskiej, gdzie był inkasentem. To ułatwiało dostawanie się do mieszkań, w których przebywali podejrzani. Opowiadał, że do drzwi zwykle pukał ołówkiem informując - elektrownia, kontrola liczników. Do akcji w głowie miał czapkę inkasenta.

Gdy po sprawdzeniu wpuszczano go do środka; za nim wchodzili inni. Zwykle podejrzanego brano do łazienki, gdzie był pilnowany. Inni uczestnicy akcji przeprowadzali w tym czasie rewizję mieszkania. Wyrok wykonywano dopiero wtedy, gdy znajdowano dowody. Opowiadał, jak raz pilnował takiego w łazience. Strasznie był on podenerwowany i mówił, że jest niewinny. Jeśli tak, to nie ma się czego denerwować. Niestety, znaleziono dowody. Został zastrzelony, a z rany wypłynęła wątroba. Gdy wrócił do domu,

żona Tunia na obiad podała mu wątróbkę. Jak mówił, nie mógł jej jeść.

W tym czasie u Zarudzkich poznałem Czerwieńskiego, nie pamiętam już jego imienia. Matka jego była Szwajcarką, dzięki temu mówił płynnie po niemiecku. Był on w specjalnym oddziale dywersyjnym, występującym w mundurach żandarmerii niemieckiej. W akcjach posługiwali się tylko językiem niemieckim. Opowiadał, że Niemcy głupieli. Chodziły potem po Warszawie wiadomości, że policja i żandarmeria biją się między sobą. Ten ciekawy i młody człowiek zginął w pierwszych dniach Powstania, na skrzyżowaniu Chmielnej i Marszałkowskiej. Brat jego przeżył wojnę i przez pewien czas związany był z Hanką, córką cioci Zosi Wiązkowej. Po Powstaniu trafiła ona do obozu koncentracyjnego, z którego szczęśliwie wróciła. Po wojnie działała w ZBOWIDzie.

Przed wybuchem Powstania „Alkazar” i jego ludzie mieli wyznaczone miejsce koncentracji na placu Unii Lubelskiej. Wchodzili w skład zgrupowania, które miało atakować aleje Szucha, wtedy - „Strasse der Polizei”. Ulica ta była zamknięta dla ruchu. Z obu stron były szlabany i stały warty. Wpuszczano tylko osoby mundurowe i mające przepustki. Tam znajdowała się główna siedziba Gestapo. Nikt z oddziału „Alkazara”, który w wyznaczonym punkcie zebrał się zgodnie z rozkazem, nie ocalał. Tadeusz nie zdążył na czas z Bernerowa. Dotarł tylko do ogrodu Saskiego i to go uratowało.

Wiosną w Warszawie roiło się od patroli rewidujących i legitymujących ludzi. W tym czasie Tadeusz o mało by nie wpadł. Brał udział w akcjach rozbijania Niemców. Chodziło o zdobycie broni. Jak szedł samotny wojskowy ulicą, a nie było widać policyjnych patroli, to nagle brano go z dwóch stron pod pachy i wprowadzano do bramy. Jedna osoba z tyłu pistoletem go terroryzowała. Po zabraniu broni Niemiec był puszczany wolno. Konspiratorzy znając dokładnie teren, uciekali podwórkami. Podczas takiej akcji natknęto się na oblęgę na Placu Trzech Krzyży. Wszystkich rewidowano, a Tadeusz był z bronią. O wycofaniu się nie było mowy. W ostatniej chwili Basia Bilewicz wyciągnęła pistolet z jego kieszeni. Tadeusza zrewidowano, a ją nie. Dzięki temu szczęśliwie się udało.

Na ulicy Odrowąża widziałem, jak okradano niemieckiego żołnierza. Jechał na pomoście tramwaju, a plecak oparł na balustradzie. Jakoś chłopak od strony zewnętrznej odczepił mu hełm i z plecaka wyciągał różne rzeczy. Niemiec nic nie czuł. W tym czasie okradanie Niemców nie było naganne.

Wiele osób to widziało, ale nikt nie reagował. Każdy się tylko uśmiechał. Ja wysiadłem, a żołnierz jechał dalej. Raz na ulicy 11 listopada trafiłem na obławę. Przechodnie dali znać. W biegu zdążyłem wyskoczyć z tramwaju i uciec między domy. Nigdy nie wiadomo, dlaczego zatrzymują. W tym czasie brano zakładników, których bez dania racji wywożono do obozów koncentracyjnych, lub chwytano na roboty fortyfikacyjne. Linia frontu była już blisko granic przedwojennej Polski. Ostatni raz patrol żandarmerii, przed którym zrobiłem unik, spotkałem na ulicy Mokotowskiej, przy placu Trzech Krzyży.

Robiło się lato. Ciepła i piękna pogoda. Zaczęłem tęsknić za wsią i za Leszczynami. Sprawa Konstantych wszystko wyjaśniła. Mogłem więc spokojnie wracać. Sądziłem, że Niemcy też już o mnie zapomnieli. Akcje małego sabotażu i działalność kurierska znudziły mi się. Marzyłem o czymś innym. Chciałem iść do partyzantki i walczyć z bronią w ręku. W Warszawie było teraz bardziej niebezpiecznie, niż na prowincji. Wracając do Leszczyn, postanowiłem nie zabierać z sobą pistoletu, gdyż często młodych ludzi rewidowano. Szczególnie, jak byli w długich butach i bryczesach. W tym czasie na taki strój była moda. Każdy z młodych ludzi chciał wyglądać na konspiratora, a było to niebezpieczne. Ja „oficerki” nosiłem tylko odświętnie. Na co dzień musiałem chodzić w pumpach, zawiązywanych poniżej kolan. Trochę się buntowałem, lecz tak chcieli rodzice, gdyż było to bezpiecznie. Dzisiaj spodnie, pumpy, nie są znane. Prosiłem mamę, by mój pistolet do Leszczyn przywiozła. Zrobiła to z wielką niechęcią. Broni bała się podwójnie, raz by ją Niemcy nie złapali, lub by ona sama nie wystrzeliła. Pistolet schowała pod szafę. Już patrząc na nią, zamykała oczy.

W Warszawie nieprzyjemne były nocne alarmy lotnicze. Nie były one częste, lecz co pewien czas miasto było bombardowane przez lotnictwo sowieckie. Trzeba było wtedy schodzić do schronów, które mieściły się w piwnicach domów. Na podwórkach kamienic urządzone były kapliczki, przy których modlili się lokatorzy.

Rosjanie walcząc z Niemcami bombardowali na chybił trafił miasto zamieszkałe głównie przez Polaków, gdzie procent Niemców był znikomy. Tylko z kręgów moich znajomych od bomb sowieckich zostały na początku lat czterdziestych ranne 2 osoby: matka mojego przyjaciela, Janusza Kopika i córka dyrektora Instytutu Geologicznego, Katarzyna Pawłowska. Słysza-

lem wtedy, że na Nowym Zjeździe bomba trafiła w zatłoczony tramwaj masakrując podróżnych. Najbardziej było przykre to, że na nas spadały bomby nawet z rąk tak zwanych sprzymierzonych.

Któregoś dnia sąsiedzi na ulicy Widok dają znać, że dom jest otoczony. Żandarmi chodzą po mieszkaniach. Mama przerażona, złapała pistolet i poleciała na strych, gdzie schowała go pod beczkę. Było to miejsce ogólnie dostępne. Alarm okazał się przedwczesny; kogoś na parterze aresztowano. Mogła więc pistolet na nowo zabrać do mieszkania. Wracając do Garwolina broń schowała za stanik. Siedziała w pociągu na Dworcu Głównym. Nagle słychać strzały. Na peronie pada Niemiec. Znowu wszystko obstawione. Trwają poszukiwania. Mama dodatkowo przerażona, bo ma przy sobie broń. Pociąg nie odjeżdża, a czas minął. Nareszcie ruszył i już bez kłopotów dotarła do Leszczyn. Oddając mi pistolet oświadczyła, że więcej broni nie weźmie do ręki. Jak zostawisz, to utopię w ubikacji. Zacząłem się śmiać, że w Warszawie taki przedmiot przez sedes nie przeleci. Tadeuszowi obiecałem w prezencie pistolet. Konspirator powinien mieć własną broń. Byłem bardzo zbulwersowany, gdy dowiedziałem się, że ją sprzedał. Ja wszystkiego mógłbym się pozbyć, ale nie tego.

## Powrót do Garwolina

Garwolin był jeszcze wstrząśnięty po ostatnich aresztowaniach. Nikt nie żałował, że i małe dzieci Konstancy zostały zabite. Panowała powszechna opinia, że to się im należało. Nie było dnia, by nie słyszało się o jakiś akcjach podziemia i represjach okupanta. Któregoś dnia nad wieczorem widzieliśmy samochody Schupo pędzące w kierunku lasów i odgłosy broni maszynowej. Na niebie pojawiły się rakiety. Doszło do starcia oddziału partyzanckiego, przypuszczalnie Ostoi, z niemiecką policją. Oddziały partyzanckie w tym czasie były już na tyle silne, że nie unikały otwartej walki. Policja musiała często do pomocy ściągać wojsko, bo sami nie dawali rady.

W tym czasie najbardziej spektakularną akcją była likwidacja kata powiatu garwolińskiego, Kreishauptmanna dr Carla Ludwika Freudenthala. Był on spokojniejszy z gubernatorem Hansem Frankiem, czym się bardzo szczylił. Swoje urzędowanie w styczniu 1942 r. rozpoczął od wyrzucenia księży z plebanii, którą sam zajął na mieszkanie. Następnie patronował akcji

zamknięcia Żydów w gettach, które założone zostały w Parysowie, Żelechowie, Sobolewie i Łaskarzewie.

Z jego inicjatywy w Garwolinie powstał obóz karny, w którym przetrzymywano jednorazowo około 200 osób. Głównie takich, którzy nie mogli wywiązać się z kontyngentów. Między innymi jego obciążano odpowiedzialnością za śmierć ks. kanonika Mariana Jurczyka i notariusza z Garwolina, oraz jeszcze jednego pracownika magistratu. Zostali oni rozstrzelani na drodze prowadzącej z Łucznicy do Pilawy. Tam na środku polnej drogi zostali zakopani. Dopiero po paru tygodniach pozwolono na ich ekshumację. Uważało się, że za jego zgodą w Garwolinie i powiecie zostało zamordowanych, lub wywieziono do obozów około 890 osób. W związku z tym sąd Delegatury Rządu na Kraj wydał na niego wyrok śmierci.

Antypolskie nastawienie Freudenthala, jawna wrogość i szkodliwość działania, z którą na co dzień każdy z nas się stykał, powodowała powszechną nienawiść. Dlatego w niniejszych wspomnieniach szerzej piszę na powyższy temat. To nie po chrześcijańsku, lecz bardzo pragnęliśmy jego śmierci. W tym czasie udany na niego zamach był dla nas wielką radością i nadzieją na przyszłość. Był to znak, że istnieje jakaś sprawiedliwość. O akcji likwidacyjnej wiedziałem bardzo dużo. Opowiadali o niej zarówno uczestnicy, których dobrze znałem, jak i jego kierowca, Jan Zimny, ojciec mojego kolegi. Prowadził on samochód, na który dokonano zamachu. Mimo, że z tą akcją nie miałem nic wspólnego, to jednak warto, by to zdarzenie przetrwało próbę czasu i zachowało się w pamięci tamtych lat jako wspomnienie okresu strasznej okupacji, którą tak emocjonalnie przeżywaliśmy.

Pierwsza próba zamachu miała miejsce w maju 1943 r. na szosie koło Pilawy. Akcją dowodził ppor. S. Gora „Wilczek”. Samochód jego ostrzelano i rzucono butelkę zapalającą, która trafiła w tył wozu. Strzały nie uszkodziły samochodu. Kierowca Zimny wyprowadził wóz z zagrożonego miejsca i dotarł do posterunku policji. Od tej pory Freudenthal stał się niezwykle ostrożny. Nawet idąc do biura, na krok nie ruszał się bez silnej eskorty złożonej z „czarnych”. Na terenie powiatu jeździł w asyście 40 - 60 uzbrojonych żandarmów. Trasa wyjazdów utrzymywana była w wielkiej tajemnicy i w trakcie jazdy zmieniana.

Następny zamach przygotowywany był na terenie wsi Mętne - Micha-

łówka, gdzie zorganizowana była impreza sportowa. Zamach wykonać miał ściągnięty w ten rejon oddział partyzancki. Freudenthal, mimo zapowiedzi, na imprezę nie przybył. Niepowodzenie spowodowało, że dowództwo chciało powierzyć wykonanie akcji oddziałom Kedywu warszawskiego. W tej sprawie do Garwolina przyjechał jej szef, A. Kunicki (pseudonim „Ray-ski”). Uznano jednak, że większą szansę mają tu miejscowe oddziały zgrupowania „Gołąb”.

Ustalono, że Freudenthal parę razy w tygodniu jeździł do Warszawy, zawsze tą samą drogą. Wyjeżdżał z Garwolina między 7 - 8, a wracał między 16 - 19. Do Kołbieli eskortowała go silna grupa żandarmerii, która na niego tam czekała. Bez wzmocnionej eskorty nigdy się nie ruszał po terenie. Od granicy powiatu do Warszawy towarzyszyła mu zwykle tylko niewielka eskorta. Na tym odcinku postanowiono więc wykonać akcję.

Gdy wywiad AK doniósł, że Freudenthal odwozi żonę i syna do Warszawy i dalej do Niemiec, na pociąg ewakuacyjny, decyzja zapadła. Polecenie wykonania akcji otrzymał Oddział Dywersyjny AK obwodu „Gołąb”, pod dowództwem ppor. W. Matysiaka (ps. „Ziuk”). Gdy potwierdzono wiadomość o oficjalnym pożegnaniu rodziny starosty z pracownikami Kreisamtu, natychmiast przystąpiono do zorganizowania zasadzki w lesie koło Kołbieli. Akcja miała miejsce w dniu 6.VII.1944 r. Na wezwanie przybyło jedynie 8 ludzi. Było to mało, biorąc pod uwagę liczną eskortę starosty.

W związku z nagłą decyzją i kłopotami związanymi z dużym ruchem wojska na drogach postanowiono, że trzeba czymś dojechać na miejsce zbiórki oddziału. Zarekwirowano jadącą na szosie ciężarówkę. Tam załadowała się cała grupa. Mieli szczęście; posterunek niemiecki w Kołbieli nie zatrzymał ich. Doszłoby wtedy do potyczki i uniemożliwienia akcji. Tak dojechano do wyznaczonego miejsca. Samochód został w lesie ukryty, lecz nieznanych kierowców musiano pilnować. Na drodze panował ożywiony ruch. Przejeżdżały samochody różnych formacji SS i Wehrmachtu, podążające w kierunku Lublina. Jadące w nich wojska były w pełnym pogotowiu. Obawiano się partyzantów. Przed każdym większym lasem ustawione były tablice ostrzegawcze w języku niemieckim „uwaga bandyci”. Oddział zapadł w zaroślach w pobliżu szosy.

Około godziny 17,30 obserwator przekazał sygnał - jadą. Wiedzą już, że Freudenthal znajduje się w pierwszym samochodzie. Od tego momentu auto

prowadzone było na muszce erkaemu. Gdy podjechało bliżej, padła seria w silnik. Samochód po przejechaniu paru metrów wpadł przodem do rowu. Niemcy wyskoczyli i zajęli stanowisko obronne na skarpie szosy, po przeciwnej stronie atakujących. W tym czasie samochód eskorty z dużą szybkością przeleciał obok i nie zatrzymując się nigdzie, popędził po pomocy wprost do Garwolina. Odległość ta wynosiła 20 km. Gdyby stanęli w pobliżu i podjęli walkę, mogłoby to uratować Freudenthala i jego ludzi.

Dowodzący eskortą Sonderdienstu, oficer SS Lorentz, został za to zdegradowany i wysłany na front wschodni. W tym czasie od strony Warszawy nadjechały samochody z Wehrmachtem. Wojsko słysząc strzelaninę zatrzymało się, lecz nie włączyło do akcji. Nie było zorientowane, o co chodzi. Wkoło był las. Freudenthal i towarzyszący mu dwaj Niemcy bronili się, mając do dyspozycji pepesze, kbk i peem, oraz granaty. Akcja przeciągała się. W takich okolicznościach walka nie może trwać długo. Dowódca dał polecenie: przeskoczyć drogę i zaatakować broniących się od tyłu. To dopiero przyniosło rezultat. Padł zniechęcony starosta; dostał aż 17 kul. Zginęli też dwaj pozostali Niemcy. Uczestnicy akcji zabrali ich dokumenty i broń. Musieli natychmiast odskoczyć w lasy. Szosa Lubelska została całkowicie zablokowana ich akcją i jadącymi transportami wojska.

Kierowca samochodu, Jan Zimny, nie odniósł żadnych obrażeń. Był on ojcem mojego kolegi i od niego usłyszałem całą historię zamachu. Opowiadał, jak prowadzony przez niego samochód, po serii z erkaemu, wpadł do rowu. Jak wyczołgał się z pola rażenia. Jak atakujący krzyczeli do niego, by uciekał. Mówił, że przebiegł 3 kilometry i zgłosił się na posterunku żandarmerii w Kołbieli. Musiał to zrobić, by Niemcy nie posądzili go o współudział i nie zemścili się na jego rodzinie. Akcja udała się całkowicie. Nikt z uczestników nie został nawet ranny. W nocy dotarli do Woli Rębkowskiej, gdzie ukryto broń, a nad ranem byli już w domach. Więść o likwidacji Freudenthala szybko rozeszła się po terenie, wywołując radość z powodu kary, jaka spotkała okrutnego Kreishauptmanna. Na zemstę Niemców nie czekano długo. W dniu 8 lipca 1944 r. przywieziono z Pawiaka 30 więźniów. Mieli zagipsowane usta. Rozstrzelano ich tuż za mostem na Wildze. Ciałaabrały te same ciężarówki, które ich przywiozły. W godzinę, miejsce tragedii obsypane były już kwiatami. Tak zakończyła się sprawa, którą wszyscy głęboko przeżywalimy.

Od tego momentu czas zaczął biec jakby szybciej. Oczekujemy lada chwila ofensywy na wschodzie. Front jest blisko i może nas już objąć. Niemcy widać zupełnie nie panują nad sytuacją. Okrutna i wroga polityka wobec podbitych narodów powodowała reakcję. Na zapleczu frontu muszą trzymać wielkie siły, które bez przerwy zajęte są walką z partyzantami. Odczuwa się stan napięcia. Goście, którzy byli w Leszczynach na wakacjach, myślą o wyjeździe do Warszawy. Ja decyduję się zostać. Zaczyna się tu dziać coś, na co czekałem.

Nastaly ciepłe, słoneczne dni. Na wsi zorganizowano „majówkę”. Imprezy takie oficjalnie nie mogły się odbywać. Niemcy nie wyrażali zgody na większe zgromadzenia ludzi. Taka nielegalna impreza mogła się źle zakończyć dla jej uczestników. Dlatego potańcówkę tę urządzono na odludziu. Daleko od dróg, pod lasem, między Nowymi Leszczynami i Uninem. Do tańca przygrywała orkiestra miejscowych grajków, złożona z harmonii, pedałówki, na której grał Zdanowski. Była też mandolina i bęben. Tańczono wprost na ziemi. Jak zwykle na takich imprezach, było wesoło. Sporo bimbrowu dodawało animuszu.

Młodzież na wsi była spragniona rozrywki, której nie miała. Ja z kolegami i Januszem, poszedłem na tę zabawę. W jej trakcie przyszedł nam idiotyczny pomysł do głowy, by rozpędzić bawiących się. Przynieśliśmy karabin, tak zwany „obrzyn”, który łatwo można było ukryć. Z dość dużego już żyta zaczęliśmy strzelać w górę. Zrobił się popłoch. Rzucono się do ucieczki, nawet instrumenty muzyczne zostały na łące. Na drugi dzień mówiono, że ci od Mejera zaczęli strzelać, by rozpędzić zabawę. Wtedy nie na żarty się przestraszyłem. Policja niemiecka jeszcze wszędzie węszyła i mogło się to dla nas źle zakończyć.

Już nie pamiętam dokładnie, jak to było. W naszej stodole złożono pewną ilość broni. Przyuszczalnie Janusz Kamiński zgodził się na jej krótkie przechowanie. Prosił go o to nasz kolega z Leszczyn, Zygmunt Michalik, który był od pewnego czasu w oddziale partyzanckim. Oddział ten działał w okolicy i to była ich broń. Udawali się na jakąś akcję wymagającą tylko broni krótkiej. Nikt w domu o tym nie był poinformowany. Dziadek postanowił sprzedać trochę słomy, na którą miał chętnych. Przyjechali gospodarze. Zaczynają ładować na wozy, a tu pod spodem arsenał. Dziadek, jak to zobaczył, zrezygnował ze sprzedaży. Kazał wszystko na nowo słomą przy-

kryć i prosił, by nikt o tym nie mówił. Było to ryzyko, lecz najważniejsze, że dobrze się zakończyło.

Lipiec 1944 r.; widać, że coś się dzieje. Drogami poruszają się oddziały wojskowe, lecz to już nie jest to wojsko, które oglądaliśmy wcześniej. Jada samochody i wozy konne (tabory), na których siedzą lub leżą żołnierze. Obok dużo wozów z cywilami; widać kobiety i dzieci. Do wozów przywiązane krowy i inne zwierzęta. Popakowany cały dobytek. To odwrót nie tylko wojska, lecz i ewakuacja niemieckich kolonistów i różnych volksdeutschów. Wszyscy, co byli związani z Niemcami, w panicznym strachu uciekają na zachód. Nie po chrześcijańsku to, lecz cieszy nas ten widok. Mają teraz to, co myśmy mieli wcześniej. Okręt tonie, a szczury uciekają. Wśród przechodzących wojsk widać oddziały Własowców, Ukraińców, Kałmuków o azjatyckich twarzach. Dla Rosjan są to kolaboranci. W razie dostania się w sowieckie łapy, to los ich jest z góry przesądzony.

Nocami gdzieś z oddali słychać huk armat. Front się zbliża. Widać dużo latających samolotów rozpoznawczych typu „Storch”. Często na nocnym niebie pojawiają się wiszące na spadochronach rakiety, tak zwane flary. Oświetlają one drogi, które cały czas są pod obserwacją lotnictwa i to obustron. Sztaby muszą widzieć, gdzie znajdują się nacierające lub cofające oddziały. Pogoda piękna, ciepła i zupełnie bezchmurna. Lato w pełni. Odpowiednik tragicznego września 1939 r.

W Leszczynach jeszcze spokojnie, wakacje. Dużo młodzieży przyjechało z Warszawy. (Foto. 24) Jest kuzynka Ptaszyńskich, Lala - zginęła miesiąc później podczas Powstania. (Foto. 26, Foto. 27). Rodzina Nartowskich, Lucjan i Jędrus. Jest pani Chelmińska z córkami, Helenką i Niną. Nina zginęła również w Powstaniu, była sanitariuszką. Jest Janusz Kamiński, Marysia Bartoszewicz i Halinka, córka naszej służącej Stasi. Wcześniej byli Wodiczkwowie z Irenką i Marysią, oraz Krystyniakowie. Tadeusz Krystyniak i jego ojciec Stanisław, aresztowany wraz z synem, nie przeżyli obozu.

Mój brat Tadeusz, Jurek i Zosia są w Warszawie. Wszyscy jesteśmy pod ekscytowani panującą sytuacją. Nareszcie coś się dzieje. Zbliża się koniec strasznej okupacji. Jesteśmy pełni nadziei. Gorzej już być nie może. Świącie wierzymy, że będzie lepiej. Z Bolszewikami przecież idzie i polska armia. Nowe wiadomości: front się rwie i cofa na zachód. Goście w panice zaczynają wyjeżdżać do Warszawy. Ja też się waham. Jeszcze można się wyrwać,

jeszcze chodzą pociągi. Pan Wołoszynowski również nie wie, co robić. Nerwowo nie wytrzymuje, mimo namowy, by został, ucieka. Najgorzej, że nie ma gdzie i do kogo. Strach przed Bolszewikami jest większy, niż zdrowy rozsądek. Wyjechał i zginął w Powstaniu. Gdyby został, to pewno by ocalał.

## Akcja „Burza”

W Garwolinie podziemie się aktywizuje; włączam się znów w jego działalność. To zadecydowało, że zostaję. Od dnia 6 lipca, od czasu zamachu koło Kołbieli, gdzie ginie kat powiatu garwolińskiego, starosta Freudenthal, sytuacja jest nie do opanowania. Odwetowa niemiecka akcja w dniu 8 lipca, kiedy rozstrzelano 30 zakładników przy moście w Garwolinie, nie uspakaja. Przynosi odwrotny skutek. Między 23 i 24 lipca ewakuuje się cała niemiecka administracja Garwolina. To koniec ich rządów. Fala uciekinierów zmniejsza się. Drogi pustoszeją. Co pewien czas widać jeszcze niewielkie oddziały wojska w pełnym pogotowiu i z bronią w rękach, wycofujące się w kierunku Warszawy. Wygląda, że jesteśmy między frontami: rosyjskim, który jeszcze tu nie dotarł i niemieckim, który już się wycofuje.

Nareszcie przyszedł długo oczekiwany moment. Wojska niemieckie w pełnym odwrocie. Policja Granatowa dostała rozkaz ewakuacji za Wisłę. Nie doszło jednak do tego. Na rozkaz władz podziemnych, została rozbrojona. Policja nie stawiała oporu. Duża jej część współpracowała z podziemiem i nie miała najmniejszego zamiaru wycofać się z Niemcami. Rozkaz mobilizacji oddziałów AK obwodu „Gołąb” ( w ramach akcji „Burza”), wydał komendant obwodu - major Władysław Szkuta, pseudonim „Marcin”. O ile pamiętam, nastąpiło to w dniu 23 lipca 1944 r. Plan Burza przewidywał:

- 1 - Działania zaczepne i dywersyjne (wzmoczona dywersja).
- 2 - Uderzenie w momencie wycofywania się nieprzyjaciela.
- 3 - Opanowanie wyzwolonych terenów przez żołnierzy AK. Objęcie wszystkich administracyjnych urzędów i przejęcie władzy na wyzwolonych terenach.

Nastąpiła mobilizacja, co spowodowało całkowitą dekonspirację. Broń została wydobyta z tajnych magazynów. Wszyscy, zaprzysiężeni, jak i nowo zgłaszający się, dostali opaski biało-czerwone ze stemplem WP /Wojsko

Polskie/. Broń w Leszczynach została wyłożona na łące za młynem Burna. Stan jej był nienajlepszy. Mimo, że miałem własną broń i to dużo lepszą, wybrałem z wielu sztuk polski karabin Mauzer. Stan placówki z 2 drużyn (po 11 osób), wzrósł do plutonu (3 drużyny). Całością dowodził Bolesław Zarzycki.

Pada pierwszy rozkaz: mamy przejrzeć broń, pobrać amunicję, a resztę złożyć w wyznaczonej stodole. Następne polecenie: mamy się odpowiednio ubrać i w ciągu 2 godzin ponownie wrócić w miejsce koncentracji. Poleciałem szczęśliwy do domu. Założyłem niemieckie buty (saperki), ubrałem się ciepło. Wciągnąłem płaszcz nieprzemakalny i przepasałem się wojskowym pasem, na którym były skórzane ładownice, pamiątka po kompanii z 1939 roku. Jak wychodziłem z domu, mama zaczęła płakać i przestrzegać, bym na siebie uważał. Po wyjściu spotkałem ojca, który uściskał mnie i przeżegnał na drogę. Do naszego zgrupowania zgłasza się i Janusz Kamiński. Dowództwo na niego nie za bardzo chce się zgodzić, gdyż jest za młody. Proszą o dokumenty, których nie ma, bo jak mówił, gdzieś zaginęły. Więc nie można sprawdzić. Twierdził, że ma 18 lat, gdy miał 14. Kandydaturę jego poparłem. Zarzycki zadecydował, by go przyjąć. Tacy też są potrzebni.

Nasz pluton był gotowy do akcji. Była to wszystko dziecinada. Prawie nikt z nas nie miał żadnego wojskowego przeszkolenia. Zarzycki nam zakomunikował, że mamy zaatakować Własowców stacjonujących w Zawadach. Akcja ma być skoordynowana z innymi placówkami. Nasze siły były za małe, byśmy mogli sami dać radę. Wiedzieliśmy, że kwateruje tam oddział co najmniej w sile kompanii, na pewno powyżej 100 ludzi, a może i batalionu. Były to wojska doświadczone, zaprawione w walkach, a u nas zbiorowisko źle uzbrojonych cywili i prawie dzieciaków.

Czekamy na dalsze rozkazy, które nie przychodzą. Zarzycki decyduje się na demonstrację siły. Przejdziemy blisko Zawad do pobliskich lasów. Wyruszymy rozrzuceni w tyralierę. Widać, że z parku w Zawadach jesteśmy przez lornetki obserwowani. Widać to po błyskach soczewek. Strzały jednak nie padają. Ciągniemy z sobą karabin maszynowy, który jest niesprawny. Dotarliśmy do lasu. Dostaję polecenie obserwacji przedpoła. Nic się nie dzieje. Wróg nas nie ściga. Zaczyna się psuć pogoda, pada deszcz. Stoję zmoknięty na skraju lasu i obserwuję kierunek, który może być dla nas niebezpieczny.

Janusz Kamiński, który jest z nami, i jeszcze ktoś, zgłosili się na ochotnika. Chcą podejść pod Zawady i na miejscu zorientować się, jakie są plany naszych wrogów. Czy przypadkiem nie szykują się do pościgu za nami. Wyruszyli, my mokniemy dalej w deszczu. Po paru godzinach wrócili. Oświadczają, że w Zawadach nie ma już Własowców. Ewakuowali się w kierunku Garwolina. Nie udało się ich zniszczyć, sami ustąpili.

Dlaczego plan się nie udał? Nawaliła koordynacja. Inne placówki przewidziane do tej akcji, nie opuściły swoich baz. Zaczęto mówić, że ktoś z lokalnych dowódców upił się i na czas nie powiadomił innych oddziałów. Gdyby Własowcy zaatakowali, to źle by się dla nas skończyło. Wytlukli by nas co do jednego. Byliśmy na nieostłoniętym terenie, widoczni jak na dłoni. Ich siły były co najmniej 3-krotnie liczniejsze niż nasze, a ponadto mieli lepsze uzbrojenie. My nie mieliśmy żadnej broni maszynowej, w przeciwieństwie do nich. Po tym pierwszym niepowodzeniu wracamy do Leszczyn.

Wieczorem nowa akcja. Idziemy na koszary w Garwolinie. Podobno wojsko je opuściło. Ja z paru osobami zostałem skierowany do budynku komendantury wojskowej na Aleksandrówce. Mamy zabierać wszystko, co wojsku może być potrzebne. Na wóz ładujemy maszyny do pisania i jakiś sprzęt łącznościowy. Zabrałem też znaleziony hełm niemiecki, który mam do dzisiaj. Wracając do Leszczyn, na polach koło Zawad natknęliśmy się na jakąś grupę BCH idącą na Garwolin. Obie strony nie bardzo sobie dowierzały. Broń trzymaliśmy w pogotowiu. Po krótkich wyjaśnieniach, rozeszliśmy się. Nasze organizacje uczulone były na zwalczanie bandytyzmu i tu nie było pobłażania.

Następnego dnia zostaje wyznaczony do ubezpieczenia akcji na spółdzielnię w Garwolinie. Mamy stamtąd zabrać towary potrzebne dla zaopatrzenia koncentracji oddziałów w ramach akcji „Burza”. Musimy uważać; w mieście są jeszcze Niemcy i drogą na Lublin poruszają się transporty wojska. Te nie są groźne. Administracja już się ewakuowała, zostały jednak siły policyjne. Magazyny, przedmiot naszej akcji, znajdują się na Aleksandrówce, zaraz koło koszar, przy głównej trasie przelotowej na Warszawę. Oddelegowana do tej akcji grupa rozbiła zamki magazynu. Podjechały nasze wozy, na które ładowane są całe skrzynie wódki i papierosów. Nas ochraniających jest paru i jesteśmy uzbrojeni. Musimy stać tak, by nas nie było widać

z drogi, ze względu na przejeżdżające transporty wojska.

Pierwszy wóz jest załadowany. Karabin schowałem między paczki i jadę wozem jako ochrona w kierunku Leszczyn. Od Zawad widzę jadący samochód ciężarowy. Obawiając się, że to Niemcy, zeskokczyłem z wozu i z karabinem ukryłem się za pobliski dom. Gdy zobaczyłem, że ciężarówka ma „pamił”, czyli jest na gaz drzewny, wiedziałem, że to jest samochód Kolegdy. Nie ma więc strachu. Asekuruję dalej. Ludzie, których mijam, proszą o papierosy. Wiem, że nie są liczone, a jest ich dużo, więc daję po kartonie. W stodole Zarzyckiego rozładunek. Poczem wracam znów wozem do magazynu.

Załadunek trwa nadal. Ja teraz zająłem miejsce kolegi pilnującego od strony ulicy. On pojechał ochraniać następny wóz. Ustawiłem się tak, bym widział ulicę prowadzącą do miasta, a sam był mało widoczny. Nagle na moście zauważyłem 3 budy żandarmerii, jadące w naszą stronę. Krzyczę na kolegów, którzy są w środku, by uciekali. Spieszą się z załadunkiem i nie słyszą. Strzelam więc w górę i jeszcze raz głośno krzyczę - Niemcy! Widzę, jak nasi wyskoczyli z magazynu i wpadają w oplotki pobliskich domów. Pracujący wewnątrz są bez broni.

Uzbrojona obstawa już się gdzieś zmyła nie oddawszy ani jednego strzału. W magazynie został wóz częściowo załadowany. Ja uciekam prosto w łany pobliskiego żyta. Z daleka kątem oka widzę, że budy się zatrzymują. Wypadają z nich żandarmi, otaczają magazyn i wbiegają do środka. Widzę goniących w moją stronę. Słyszę strzały i świst pocisków. Szczęście, dopadłem żyta. Oddaję strzał z karabinu w ich kierunku, by ich powstrzymać, a sam żytem biegnę ile mam sił w nogach.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak ciężko jest biegać w wyrosniętym zbożu. Na miedzach będę widoczny. Dlatego dalej biegnę zbożem i padam ze zmęczenia. Brakuje mi tchu. Co chwilę słyszę strzały. To mnie mobilizuje i ruszam dalej. Z jednego zboża przelatuję do drugiego. Cieszę się, że jeszcze nie było żniw. Gdzie bym się tu ukrył, a do lasu daleko. Przedemną jakiś dom. Biec już nie mam sił. Usiadłem na ziemi i ciężko dyszę. Zobaczyłem mnie jakiś mężczyzna, który był na podwórku. Patrzy w kierunku Garwolina i woła do mnie. Niech pan ucieka, Niemcy się zbliżają.

Ja znowu biegnę zbożem, zgięty wpół, klucząc z jednego pola na drugie. Jest piękna ciepła słoneczna pogoda. Jestem dość grubo ubrany. Oprócz

koszuli i marynarki, mam na sobie nieprzemakalny impregnowany płaszcz przepasany wojskowym pasem, za który mam wetknięte 2 niemieckie trzonkowe granaty. W ładownicach około 50 sztuk amunicji i karabin. To jest ciężar. Zdaje mi się, że odszedłem dość daleko. Muszę odpocząć. Kładę się w zbożu na ziemi i głośno dyszę. Serce o mało z piersi mi nie wyskoczy. Od strony Garwolina ucichły strzały. Jestem spocony, tak mokry, jak po kąpiel. Nawet płaszcz nieprzemakalny, impregnowany, jest przepocony. Przez parę godzin nie ruszałem się z miejsca. Dzień bardzo długi, a do wieczora muszę czekać.

Zaczynam zbożem ostrożnie wracać. Pas, granaty i karabin schowałem pod płaszcz, by z daleka się to nie rzuciło. Broni przecież nie zostawię. Byłby to dyshonor. Podchodzę zbożem w pobliże magazynu, widać, że jest na nowo zamknięty. Wozów, ani kolegów nie ma. Obserwuję z daleka, szosą jadą bez przerwy transporty wojska. O przejściu z bronią nie ma mowy. Czekam do zmierzchu i wtedy udaje mi się przemknąć. Teraz, jak Niemcy kogoś złapią z bronią, to od razu rozstrzelują. Nie bawią się w śledztwa. W Leszczynach zameldowałem się u Zarzyckiego. Ucieszył się, że jestem. Wiedział, że była strzelanina. Pozostali koledzy wrócili dużo wcześniej, lecz bez broni, którą poukrywano w różnych miejscach. Akcja się udała. Bardzo dużo zabraliśmy. Po resztę wracać? Na razie za duże ryzyko.

Od tego zdarzenia, kiedy się tak potwornie zmęczyłem i zapociłem, miałem stałe kłopoty. Być może, powstało ono z przegrzania organizmu i na tle nerwowym. Nawet w chłodne dni i kiedy było mi zimno, pod pachami byłem mokry. Czulem, jak pot kapie kroplami. Nie było na to siły. Chodziłem po lekarzach. Dostawałem różne środki, lecz niewiele to pomagało. Dopiero po latach ta przykra dolegliwość stopniowo ustępowała, lecz nie całkiem do końca.

Nowy rozkaz: mamy w Garwolinie zarekwirować beczki z benzyną i ropą. Paliwo potrzebne jest dla naszych oddziałów. Podobno są już zdobyczne samochody. Naszym zadaniem jest zabrać je z magazynu paliw koło mostu na Wildze. Od pracujących tam Polaków wiemy, że nie ma tam już niemieckiego nadzoru i nikt tego nie pilnuje. Jedyne mankament to to, że skład mieści się przy ruchliwej szosie Lublin - Warszawa. Zapasy paliw są dość duże i boimy się, że Niemcy w każdej chwili mogą je ewakuować. Znowu wyruszają furmanki i ludzie, którzy załadują je na wozy. Broni dłużej z

sobą nie mamy. Jedynie pistolety i pochowane pod płaszczami granaty. Ruch na drodze w dalszym ciągu duży. Obok nas przejeżdżają transporty wojska i to tylko w kierunku Warszawy. To już jest odwrót. Ci się nami nie interesują.

Wchodzimy między beczki. Zaczyna się załadunek. Nagle od strony Garwolina podjeżdża samochód pancerny z krzyżem na boku i zatrzymuje się naprzeciwko nas. W wieżyczce widać SS-manna w czarnym mundurze, który bacznie nam się przygląda. Nasze całe uzbrojenie leży między beczkami. Wiemy, że w razie walki nie mamy najmniejszych szans. Skoszą nas z broni maszynowej, a na dodatek spalą. Wkoło jest tylko ropa i benzyna. Trwa to dłuższą chwilę. Jesteśmy sparaliżowani strachem. O ucieczce nie ma mowy. Widocznie Niemcy uznali nas za drobnych złodziejasków, którymi w obecnej chwili nie warto zajmować. Samochód pancerny wolno ruszył, zakręcił i odjechał w stronę miasta. Z ulgą odetchnęliśmy. Załadowane beczki zostały zabrane. My, zemocjonowani, pojedynczo wracamy do Leszczyn. Szczęściem, nasze dowództwo uznało, że w obecnej sytuacji zabierając paliwo na oczach Niemców jest za dużym ryzykiem.

Po powrocie z tych akcji byłem bardzo zmęczony i czułem się źle. Od Zarzyckiego dostałem polecenie, bym zajął się bronią, która została wydobyta z naszego magazynu i nie użyta. Trzeba ją przewieźć na Nowe Leszczyny i zmagazynować w wyznaczonej, stojącej na uboczu, stodole. Miałem ją oczyścić i przesmarować, oraz tak ulokować, by nie rzuciła się w oczy. W tym czasie pluton udał się w lasy Garwolińskie. W okolicach wioski Ewelin koncentrowały się oddziały AK. Przybyły już tam oddziały z Leszczyn, Unina, Głoskowa i szeregu innych miejscowości. Przybyły też tam działające w okolicach oddziały partyzanckie. Nastąpiło ostateczne sformowanie zgrupowania „Gołąb”. Dowództwo nad całością objął major Władysław Szkuta, pseudonim „Marcin”. Otrzymał on rozkaz sformowania 15 pułku piechoty. Szpital polowy założony został w leśniczówce Huta Garwolińska.

Ja, po uporaniu się z bronią, używany byłem jako łącznik. Należałem do jednych z najmłodszych, biorących udział w zgrupowaniu. Latałem stale z jakimś pisemnymi rozkazami między Leszczynami, Garwolinem, a Ewelinem. Wysyłany byłem też w lasy Sławińskie, gdzie skoncentrowały się oddziały BCH ( Batalionów Chłopskich). Nie podporządkowały się one rozka-

zom majora Marcina. Jakie było moje zdziwienie, gdy spotkałem tam Wojtkę Lazarewicza. Jak widać, był związany z tym ugrupowaniem. On, syn dziedziczki, bardziej pasował by do NSZ, a nie do ludowców. Punkt kontaktowy, gdzie dostawałem polecenia, mieścił się w zabudowaniach Zarzyckiego i tam był stały dyżur.

W akcji Burza uczestniczył oddział partyzancki kap. Wł. Klimaszewskiego, pseudonim „Łoza”. Przebywał on na kwaterach w Parysowie. Latałem tam z jakąś tajną korespondencją. Major „Marcin”, przekazując wiadomość o rozpoczęciu akcji Burza, rozkazał im wyruszyć z miejsca zakwaterowania i zablokować szosę lubelską. W skład oddziału weszli policjanci z Trąbek i oddział dywersyjny z Pilawy. „Łoza” dostał rozkaz zaatakowania niemieckiej kolumny taborów, wycofujących się w kierunku Warszawy. Akcja ta zmusiła Niemców do zmiany trasy ich przejazdu. Wozy z rannymi Niemcami zostały przepuszczone. To było humanitarne. Następnie „Łoza” ruszył w kierunku Wilgi w pościg za Niemcami. Oddział ten otrzymał nazwę 1 Pułku Strzelców Konnych AK. Było to nawiązaniem do jednostki stacjonującej przed wojną w Garwolinie.

W dniu 24 lipca front na wschodzie jest przełamany i gwałtownie się cofa; niemieckie oddziały Wehrmachtu na nowo obsadziły Garwolin i szereg blisko położonych miejscowości. Czołgi zablokowały Puznówkę, zamykając drogę Lublin – Warszawa. Jak się potem dowiedziałem, były to jednostki 73 Dp. Wehrmachtu, wzmocnione batalionami dywizji Hermann Göring i batalionem 170 pułku grenadierów. Wojska, które mają bronić Garwolin, to oddziały osłonowe. Zadaniem ich jest opóźnienie posuwania się wojsk sowieckich na zachód. Stało się jasne, że Garwolin będzie broniony, a linia frontu zatrzyma się dopiero na Wiśle. Nowe oddziały wojskowe zajmujące stanowiska obronne w Garwolinie i okolicach, to nie są już jednostki policyjne, a frontowe. Żołnierze bardzo młodzi z pozawijanymi rękawami polowych mundurów. Są w hełmach, obwieszani bronią i granatami. Twarze zmęczone, nieogolone i często przestraszone. To jeszcze prawie dzieci. Wszędzie widać posterunki, zamaskowane stanowiska karabinów maszynowych i armat. Wojskowi z lornetkami przy oczach, bez przerwy lustrują horyzont. Nie wróży to nic dobrego.

Noc poprzedzająca atak była bardzo niespokojna. Słychać było wybuchy. Latały samoloty ostrzeliwane świetlnymi pociskami. Płoneły flary na noc-

nym niebie. Co pewien czas słyhać było gwizd pocisków artyleryjskich i wybuchy. Nie wiadomo było jednak, co jest ostrzeliwane i skąd strzelają. O spaniu nie było mowy. Ojciec i jeszcze parę osób poszli na pola koło Nowych Leszczyn i tam w kupkach zboża przesiedzieli do rana. Wrócili, jak się rozwidniło. Rano było jakby spokojniej i nie wyglądało tak groźnie, jak nocą.

Bój o Garwolin rozpoczął się 27 lipca rano. Koło godziny 6, od strony Unina pojawiły się 2 motocykle. Zatrzymały się przy krzyżu na górze. Jadący na nich żołnierze lornetkami penetrowali horyzont. Zaraz obok nich pojawili się piesi żołnierze. Wolno rowami zaczęli iść, bacznie się rozglądając. Wzdłuż naszego ogrodu podeszli do wioski. W Leszczynach Niemców nie było. Piersi zwiadowcy posuwali się cały czas opłotkami zabudowań. Na początku wsi idący w szpicie żołnierze zatrzymali jednego z mieszkańców. Zapomniałem już jego nazwiska. Pytano się o Niemców. Odpowiedział, że we wsi ich nie ma. W związku z tym zaczęli poruszać się już śmiało. Nagle za młynem Burna zostali ostrzelani z rejonu mostu na Wildze. Padli zabici. Jak się okazało, rano Niemcy podjechali do mostu i zdążyli się tam okopać. Nikt we wsi o tym jeszcze nic nie wiedział. Ostrzelany patrol wrócił i zabrał informatora, który nieświadomie twierdził, że Niemców tu nie ma. Zabrano go z sobą do tyłu. Co z nim zrobiono, okazało się dopiero po pewnym czasie.

Te pierwsze strzały spowodowały nawałę ognia. Najpierw z broni maszynowej, a potem armat. Do Leszczyn zaczęły wjeżdżać samochody pancerne i czołgi. Leszczyny od strony Garwolina zaczęły płonąć. Na drodze zniszczony został samochód z amunicją i jeszcze inne pojazdy. Czołgi rozpoczęły atak w kierunku Garwolina. Na nieosłoniętych łąkach stawały się łatwym łupem dobrze zamaskowanych niemieckich baterii. Podobnie wyglądało też od strony Aleksandrówki. Tam kolumny posuwające się od strony Lublina zostały zmuszone do zatrzymania. Z powietrza ogniem działek i bomb atakowały samoloty szturmowe. Skutecznie prowadzona obrona wstrzymała posuwanie się wojsk pancernych na zachód i o to właśnie im chodziło.

Bój o Garwolin rozpoczął się od rana i trwał aż do zmierzchu. Nacierające jednostki 8 korpusu pancernego Armii Czerwonej w końcu przełamały obronę i zmusiły wojska niemieckie do odwrotu w kierunku Warszawy.

Moja rodzina w tym czasie schowała się w niezżytym życie, na polach między Leszczynami i Uninem. Straty Rosjan były duże. Zniszczonych zostało kilkanaście czołgów typu Sherman. Na ich pancerzach wymalowane były litery USA. Rosjanie zaczęli nam tłumaczyć, co to oznacza: „Ubijom Sukinsyna Adolfa”. Przez wiele miesięcy ich wraki stały na obrzeżach Garwolina. Jeden tkwił spalony w rowie na miejscu kuźni, na skrzyżowaniu dróg Garwolin, Głusków, Leszczyny. Nigdzie nie znalazłem danych dotyczących zabitych, jednak cmentarz wojenny z tego okresu, położony przy szosie z Garwolina do Warszawy, świadczy o dużych stratach.

Po zdobyciu Garwolina oddziały pancerne, samochody z wojskiem i zapatrzonym ruszyły w kierunku Warszawy. Nieprzerwane kolumny wojska przesuwały się na północny - zachód ku Wiśle. Na niebie co pewien czas pojawiały się samoloty szturmowe, ostrzeliwujące z karabinów maszynowych i działek. Prowadzone były też bombardowania poruszających się kolumn. Wtedy na moment wszystko stawało. Po zepchnięciu do rowów zniszczonych i uszkodzonych nalotami pojazdów, kolumny ruszały dalej. Liczyliśmy, że z marszu zajmą Warszawę. Niemcy jednak wstrzymali ofensywę na przedpolach Pragi. Stało się wtedy jasne, jakie był tego powody.

Mniej więcej w tym samym czasie Zgrupowanie nasze dostaje rozkaz: zaatakować Rębków, Borki i Stoczek. Miejscowości te położone są na uboczu Garwolina, a nie na głównej trasie do Warszawy, atakowanej przez Rosjan. Zaskoczeni Niemcy, ostrzeliwując się, zaczynają się wycofywać. Zdobyto trochę broni i wzięto jeńców. Straty własne: 1 zabity i 2 rannych. Nawiązano pierwsze kontakty z Armią Czerwoną. Po akcji, oddziały nasze przegrupowane zostały w lesie koło gajówki Ewelin. Zaczęło się mówić, że ruszamy na Warszawę. Podobno generał Bór Komorowski wydał rozkaz nakazujący koncentrację oddziałów AK w rejonie stolicy. Wiadomość ta wydawała się nieprawdopodobna. Jesteśmy już za frontem. Armia Sowiecka zachowuje się wrogo. Znanе są wypadki aresztowań. Pojawili się u nas pierwsi byli żołnierze 27 Dywizji Wołyńskiej, rozbrojeni przez Bolszewików. Nie mamy złudzeń. Jak przestaniemy być potrzebni, to i nas zlikwidują. Zresztą, jak można się przebić przez Rosjan i Niemców bez odpowiednio przeszkolonych oddziałów i dobrej broni?

W dniu 28 lipca nasze Zgrupowanie rusza w głąb lasów. W Starej Hucie, na wiadomość o rozstrzeliwaniu żołnierzy AK przez Niemców, na rozkaz

majora „Marcina” rozstrzelano 8 wziętych do niewoli Niemców. Podobno mieli to być SS mani. Byli bardzo młodzi. Nienawiść była tak wielka, że obie strony zachowywały się niezgodnie z konwencją genewską i zdrowym rozsądkiem. Jeńcy, którzy podali, że są Ślązakami lub mają polskie korzenie, zostali włączeni do zgrupowania. Było ich paru. Zabrali ich do siebie uczestnicy akcji po jej rozwiązaniu. Tym sposobem 2 z nich trafiło do Leszczyn. Jaki był ich dalszy los, tego nie wiem, gdyż przestałem ich widywać.

Oddział „Łoży” w dniu 29 lipca wysadził koło Pogorzeli tory przed niemieckim pociągami pancernymi, ostrzeliwującym wojska radzieckie, posuwające się szosą lubelską w kierunku Warszawy. Była to ostatnia akcja naszego Zgrupowania.

W Łucznicy, w dniu 30 lipca w południe, na skrzyżowaniu dróg Miętne-Osiek i Łucznicza-Natolin, odprawiona została msza polowa. Po nabożeństwie celebrowanym przez kapelana, ks. L. Kurzewskiego, i po odśpiewaniu „Boże coś Polskę”, Zgrupowanie zostało rozwiązane. Broń, głównie maszynowa, została zabezpieczona i zakopana w specjalnie wykonanym do tego celu bunkrze, a ludzie rozpuszczeni. Mieliśmy jednak być w pogotowiu i czekać na dalsze rozkazy. Te jednak nie nadchodziły. Sytuacja się komplikowała. We wrześniu schron z naszą bronią został wykryty przez nową, a nieprzychylną nam, Władzę Ludową, czyli zostaliśmy bezbronni.

## Wyzwolenie

### Koniec okupacji. Nowe czasy i nowe porządki.

Po powrocie do domu przyszła dawno oczekiwana wiadomość: 1 sierpnia w Warszawie wybuchło powstanie. Nasze Zgrupowanie jest znowu w pogotowiu. Nie wiemy, co robić; brak rozkazów. W Garwolinie organizuje się Milicja. Działa Wojenna Komenda Miasta. Wszędzie pełno wojska rosyjskiego, lecz widzi się i jednostki polskie. W dniu 16 sierpnia, podpisany na ogłoszeniach dowódca 21 Armii Radzieckiej wydał rozkaz odebrania całej broni posiadanej przez ludność i organizacje paramilitarne. Czyli mamy się rozbroić. Niewielu do tego się zastosowało. Następnie, 24 sierpnia, ukazał się dekret o rozwiązaniu wszystkich nielegalnych organizacji, do których zaliczone zostało AK, BCH, NSZ i inne. Nie stosując się do tego zarządzenia jesteśmy wyjęci spod prawa.

Nowa władza rozwiesza Manifest PKWN i z niego możemy wywnioskować, co nas czeka w przyszłości. Najbardziej bulwersujący jest dekret o reformie rolnej. Forma, w jakiej nowa władza chce ją wprowadzić w życie, skrzywdzi i zlikwiduje ziemiaństwo, które od wieków było ostoją patriotyzmu i walki o wolną Polskę. Sądzymy, że mocarstwa zachodnie do tego nie dopuszczą. Liczymy na nową wojnę, która dopiero przyniesie nam pełną swobodę.

AK i BCH uznające rząd londyński, nie podporządkowały się nowej władzy. Nie wyszły z konspiracji. Komendant obwodu „Gołąb” zakazał jednak wszelkich działań zbrojnych oraz zalecił bojkot zarządzeń władz. Łączność miała być utrzymywana jedynie z placówkami. Wbrew zarządzeniu, wielu żołnierzy AK zgłosiło się na ochotnika do Wojska Polskiego. Tak zrobił Janusz Kamiński i Jurek Augustowicz, syn lekarza z Garwolina. Najbliżsi Janusza byli w Warszawie, a z resztą rodziny się nie kontaktował i z nikim na ten temat nie dyskutował. Błąd ten bardzo odbił się na jego życiu. Przesiedział wiele lat w więzieniu; miał i tak wyjątkowe szczęście, że przeżył.

Nasz dowódca Zarzycki rozmawia z każdym z nas na osobności. Pyta się, czy deklarujemy dalszą współpracę. Ja wyrażam zgodę. Tymczasem zaczęły się masowe zatrzymania członków AK i BCH. Aresztowania przeprowadzało NKWD przy pomocy organizującej się milicji i służby bezpieczeństwa. Ci, będący na miejscu, dużo wiedzieli kto działał i w jakiej organizacji. Aresztowani umieszczani byli w obozach NKWD, a następnie wywożeni do Rosji. Jeden z takich przejściowych obozów znajdował się w Rembertowie. Z Garwolina, Leszczyn i okolic, zostało aresztowanych kilkadziesiąt osób. Miedzy innymi nasz dowódca, B. Zarzycki, Henryk i Marian Zadróżni, oraz szereg kolegów, których nazwisk już nie pamiętam. Po ponad rocznym pobytku, zostali w końcu zwolnieni. Wrócili w strasznym stanie, z puchliną głodową, a Marian Zadróżny zmarł z głodu w Rosji.

Aresztowania nie uspokajają społeczeństwa, a przeciwnie. Działalność podziemna na nowo aktywizuje się. Powstające organizacje partyjne PPR są bojkotowane, a w terenie są rozbijane ich lokale. Atakowane są siedziby Milicji i UB. Padają zabici z obu stron. Podziemie walczy z reformą rolną. Straszeni są chłopci chcący wziąć ziemie dworskie. Panuje ogólny chaos. Aresztowania spowodowały porozrywanie konspiracyjnych kontaktów.

Brak jest dowódców, których duża część jest aresztowana.

W Warszawie trwa Powstanie. Wiemy to głównie z informacji ustnych. Gazety w tym czasie były nie do zdobycia. Radia w tym pierwszym okresie nikt nie miał. Oddziały NKWD rewidowały mieszkania w poszukiwaniu urzędzeń radiowych, które trzeba było natychmiast oddać. Za nieoddanie kara, wywózka do Rosji. U nas, podczas rewizji, zagładano nawet do pieca. Podobno chodziło o wyłapanie szpiegów, którzy mogliby wrogom przekazywać informacje, lub słuchać zakazanych stacji.

Wiadomości mamy głównie od żołnierzy. Lotnicy rosyjscy latający za linią frontu, a kwaterujący na polowym lotniku w Łętowie, opowiadają o strasznych zniszczeniach miasta. Potwierdzają te wiadomości dymy nad Warszawą, a w nocy widoczne łuny i dalekie huki wybuchów. Pięknie natomiast wyglądają „paciorki” pocisków świetlnych na tle nocnego nieba. Ale to przecież nie zabawa, a czyjaś śmierć. Nie wiemy, co z naszymi bliskimi i z rodziną, która jest w Warszawie. Martwimy się o Tadeusza. Wiemy, że był konspiracyjnie zaangażowany. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że nie zdążył na miejsce zbiórki na placu Unii Lubelskiej.

Z naszych bliskich w Warszawie jest ciocia Marychna, Piotrowscy, cała rodzina Wodiczków, Krystyniaków i schorowany stary dziadek, Michał Cieśliński. Wiemy, że na pewno uczestniczy w walkach Jurek Kamiński. Jurek, ps. „Światowid–Byczyński”, w Powstaniu Warszawskim walczył w zgrupowaniu AK mjr. Bartkiewicza. Za zasługi bojowe został odznaczony Krzyżem Walecznych i Krzyżem Virtuti Militari. Po Powstaniu internowana w obozie jenieckim. Również w tym samym zgrupowaniu brała udział w Powstaniu Zosia Kamińska, ps. „Ewa Żagiel”, odznaczona również Krzyżem Walecznych. Informacje o ich działalności powstańczej zostały opublikowane w pracy Macieja Kledzika, pod tytułem „Zgrupowanie AK mjr. Bartkiewicza”, Warszawa, 2002.

W pierwszych dniach po wkroczeniu Rosjan i po powrocie do domu, w nocy obudził mnie straszny huk i krzyki. Wskoczyłem zobaczyć, co się dzieje. Wzdłuż drogi do Unina stała kolumna samochodów. Żołnierze porozkładali się na polu i nocowali. Część z nich spała na pałatkach. Ktoś rozpałił ognisko i coś na nim gotował. Niemiecki samolot z wyłączonym silnikiem zaobserwował ogień i rzucił na nie bomby. Te precyzyjnie uderzyły w cel zabijając i raniąc odpoczywających i śpiących żołnierzy.

Do naszego mieszkania wniesiono rannych. Jeden z nich bardzo krzyczał z bólu. Zabiegi i amputacje robiono w naszym pokoju stołowym. Do dzisiaj słyszę jęki ciężko rannych. Jeden oficer zmarł na naszym stole i został zaraz pochowany przy krzyżu, obok domku Szczęśniaka. Na drewnianej żerdzi przybito gwiazdę wyciętą z puszki po konserwach, a na żerdzi ołówkiem napisano nazwisko i stopień zabitego. Nasz pokój stołowy był cały we krwi i jej ostry zapach czuło się przez długi czas, nawet po starannym sprzątaniu. Dopiero parę lat później ekshumowano wszystkie prowizoryczne mogiły i przeniesiono je na cmentarz wojskowy w Garwolinie.

Bardzo nas zacieśniono. Salon i 3 mniejsze pokoje zajęło rosyjskie wojsko. Wprowadziła się tam jednostka uzupełnień, zajmująca się kierowaniem żołnierzy wychodzących ze szpitali na nowo do oddziałów. Komendantem jej był sympatyczny major Nowikow. Rosjanie zapraszali nas często do siebie na tańce i śpiewy. Grał harmonista Lonia Jastrzybow pochodzący z Syberii. Pamiętam jeszcze 2 Rosjanki, Lubę i Sonię. Z ich towarzystwa byliśmy zadowoleni. Wieczorami często tańczyłem z nimi. Chronili nas przed różnymi mętami i deserterami zajmującymi się rabunkiem.

Do Nowków w Nowych Leszczynach wprowadzili się znajomi, których front złapał na wakacjach pod Warszawą. Musieli się ewakuować do rejonu Garwolina. Byli to Bursztynowie z panią Lewoniewską, przyjaciółką ciotki, Jasi Piotrowskiej. Z nią był syn z pierwszego małżeństwa, mój rówieśnik, Nunek Kuczkowski. Wiele lat po wojnie pracował jako korespondent PAPu w Bonn. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłem. Jego stryj, Lewonieskij, odznaczony tytułem „Bohatera Związku Radzieckiego”, był lotnikiem polarnym, który zginął gdzieś nad biegunem. Ewakuowana była również z Łaskarzewa rodzina Gzowskich. Fortunat Gzowski był adwokatem w Kaliszu i bliskim przyjacielem Kamińskich. Ich synowie, Puca i Sławek, byli moimi rówieśnikami, z którymi się bardzo zżyłem.

Z okresu tego pamiętam, że mogło dojść do wypadku. Nocowaliśmy w stodole. Ja, jak zwykle, byłem uzbrojony. W nocy coś chodziło. Wyjąłem pistolet i go naładowałem. Okazało się, że to był tylko kot. Broń schowałem, zostawiając kulę w lufie. Rano jak wstałem, chciałem Sławka nastraszyć. Wyjąłem magazynek i w jego stronę wymierzyłem. Padł strzał, lecz był niecelny. Strasznie się przeraziłem i to mnie oduczyciło zabawy z bronią. Puca został profesorem fizyki na Politechnice Gdańskiej, a Sławek gineko-

logiem w Kaliszu. Do dzisiaj ze Sławkiem jestem w kontakcie.

W Garwolinie otwarto szkoły. Zaczęłam uczyćszczać do 4 klasy gimnazjum. Do szkoły w Garwolinie zaczęła chodzić i Marysia. Janusz Kamiński nie uczył się, a na ochotnika wstąpił do wojska polskiego fałszując swoje dane. Miał wtedy tylko 14 lat, był jednak wyrośnięty ponad miarę. Tym oszukał komisję poborową. W Garwolinie i okolicy trwały aresztowania wśród kolegów i znajomych. Władza ludowa zaczęła działać. Organizowane były zaczątki Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Więźniów politycznych przekazywano w ręce NKWD, a ci wywozili ich do obozów położonych w głębi Rosji. Część z nich nigdy nie wróciła. Ja też byłem w ciągłym strachu, czy i mnie nie aresztują. Uciekać jednak w tych warunkach nie było gdzie.

Wybrałem się któregoś dnia oglądać wraki czołgów na polach przed Garwolinem. Zboże jeszcze nie było skoszone. Poczulem straszny trupi smród. Idąc w tym kierunku spostrzegłem parę ciał żołnierzy niemieckich. Byli w hełmach, za pasami sterczały trzonkowe granaty i saperki, obok leżały karabiny. Na tym upale ciała ich były spuchnięte i czarne. Jednemu z kieszeni wyciągnąłem dokumenty i fotografie. Zginęli widać w boju. Byli bardzo młodzi. W dokumentach był list z adresem. Pomyślałem, że należałoby po wojnie powiadomić bliskich, gdzie zginęli. Wszystko jednak było śmierdzące i dlatego, poza jedną fotografią, całość spaliłem.

Sypiałem w czworakach, w małym pokoju. Do niego wchodziłem przez okno. Było ono stale otwarte. Od paru dni czulem smród padliny. Zaczął być tak dokuczliwy, że na noc musiałem zamykać okno. Postanowiłem w końcu usunąć tą przyczynę. Podejrzałem, że to gdzieś leży jakiś zdechły kot. Kierując się nosem, zacząłem szukać w ciągle jeszcze nieskoszonym zbożu i znalazłem. Blisko mego okna leżał trup w rozkładzie, bez czerepu głowy. Została tylko dolna szczęka. Jak powiadomiłem w Leszczynach sąsiadów o znalezieniu zwłok, rozpoznano zabitego. Był to ten, który powiadomił wkraczających Rosjan, że we wsi nie ma Niemców. Gdy się to okazało nieprawdą, to wrócili i go zabrali. Co się stało z czerepem, nie wiadomo. Wojna rządzi się swoimi prawami. W tym czasie Milicja dopiero się organizowała, więc nikt dochodzenia w tej sprawie nie prowadził.

Front stanął pod Warszawą, a w Warszawie powstanie. Bardzo niepokoiłiśmy się losem naszych bliskich. Wiedzieliśmy od Rosjan, że walki trwają,

a Niemcy na Pradze się umocnili. W ciągu dnia widać było dymy, a nocą luny pożarów. Słychać też było odgłosy dalekich wybuchów. Jeden z poznanych lotników mówił, że z samolotu widział tylko morze płomieni. Nocą obowiązywało cały czas zaciemnienie. Przed zapaleniem karbidówek, czy lamp naftowych, w naszych mieszkaniach trzeba było szczelnie zasłaniać okna kocami. Nie było nocy, by nad nami nie latały niemieckie samoloty, ostrzeliwane z ziemi przez dziesiątki przeciwlotniczych stanowisk. Wyglądało to bardzo pięknie, jak tysiące świetlnych pocisków, jak świetliki, przesuwało się na tle czarnego nieba. Nie była to jednak zabawa. Wszelkie światła na ziemi były przedmiotem ostrzeliwań, lub nawet bombardowań.

Sowiecki kukuruźnik wracając z lotu patrolowego wpadł na wieżę kościoła w Rykach i się w nią wbił. W niedzielę ludzie idą do kościoła, a tu na dachu wieży wbity samolot. Szybkość kukuruźników była tak niewielka, że pilot nie zginął i z wieży zszedł po schodach.

Z okresu tego pamiętam, jak do punktu uzupełnień, mieszczącego się w naszym domu, przysłana została przystojna młoda Rosjanka w stopniu sierżanta. Była bardzo ładną blondynką. Przez parę dni mieszkała razem z nami. Wołano na nią Gałeczka. Wpadła bardzo w oko Nunkowi Kuczkowskiemu i odwrotnie. Major Nowikow zawezwał Nunka i mnie do siebie. Powiedział, by uważać, gdyż Gałeczka wycofana jest z frontu i ma być skierowana do szpitala. Jest chora na syfilis. Po jej wyjeździe, w parę dni uciekła ze szpitala i przyszła do Nunka. Ten nie wiedział, co robić. Trzeba było powiadomić Nowikowa. Została na nowo zabrana i już więcej nie wróciła. Żal nam było tej ładnej, młodej i już tak srogo doświadczonej dziewczyny.

W Nowych Leszczynach kwaterowali jacyś oficerowie. Podawali się, że są dziennikarzami gazety „Krasne Znamień”. Mieli u siebie radiostacje krótkofalową. Raz z nami do Bursztynów wybrał się i major Nowikow. Tam natknął się na tych oficerów, a ci mu zrobili straszną awanturę. Bałem się, by go nie zastrzelili. Chodziło tylko o to, że przyszedł do domu, gdzie kwaterowali, bez wcześniejszego zameldowania. Podejrzewaliśmy, że nie są dziennikarzami, tylko jakimiś oficerami do zadań specjalnych. Stąd taka straszna tajemnica. Od momentu przejścia frontu niewiele się właściwie działo. Wszędzie pełno wojska. Stale przesuwane się nowe jednostki ku Wiśle i Warszawie. Co pewien czas pojawiają się na niebie niemieckie samoloty ostrzeliwujące drogi.

Bardzo ucieszyliśmy się z wiadomości o zdobyciu Pragi. Wszyscy liczyli, że zaraz padnie Warszawa, a tu nic. Wiadomości coraz gorsze, miasto walczy. Próba desantu przez Wisłę polskiej armii nieudana. Generał Berling odwołany, a los Powstania przesądzony. Któregoś dnia widzieliśmy w zwartych szykach nadlatujące liczne, duże samoloty. Widzieliśmy, że nie są to ani niemieckie, ani sowieckie. Może to nareszcie długo oczekiwany desant? Niestety, tylko zrzuty, które w dużej części dostały się w ręce niemieckie. Podobno nie dostali pozwolenia na lądowanie w strefie opanowanej przez Rosjan. Wszędzie polityka, życie ludzkie nic nie znaczy. W Garwolinie pojawiają się pierwsi poszukujący żywności mieszkańcy Pragi. Opowiadają straszne rzeczy o zniszczeniach.

Nocami stale widać łuny od strony Warszawy i głucho wybuchy. Znaczą, że miasto nadal walczy. W Garwolinie ukazała się pierwsza polskojęzyczna prasa. Jest pełna oskarżeń pod adresem Rządu Londyńskiego i dowództwa Powstania. Zadajemy sobie pytania, dlaczego tak jest? Dlaczego nic się nie robi? Dlaczego wciąż nie ma pomocy? Tam również jest moja rodzina i koledzy z konspiracji. Mam wyrzuty sumienia, że nie jestem z nimi. Przychożą wiadomości o strasznych mordach na ludności cywilnej, a front się nie rusza. Jak to jest, że jesteśmy tylko niemymi widzami tego straszego widowiska?

Na początku października Powstanie w Warszawie padło. W prasie nowe ataki pod adresem generała Bora, że oddał miasto w ręce niemieckie i oskarżenia o zdradę. Oficjalna prasa grzmiała - hańba i zdrada. Podobno, jak podawało i sowieckie radio, nie przyjął pomocy Rosjan. W to jednak nie wierzymy. Wiemy, że walki ustały, a ludność cywilna jest wyrzucana. Dymy cały czas widać nad Warszawą. Za karę ma być doszczętnie zniszczona. W Leszczynach zainstalowała się dość duża jednostka kobieca Wojska Polskiego. Jest to pralnia. Żołnierki praczki, piorą w Wildze bieliznę i ubrania dla walczących frontowych oddziałów. Wieczorami po pracy słysząc ich śpiewy. Zorganizowały nawet teatralne wystąpienia, na które byliśmy proszeni. Dowódcą tej jednostki jest jakiś kapitan w polskim mundurze, żydowskiego pochodzenia. Słabo mówiący po polsku. Jak nam mówił, w jego domu na co dzień posługiwał się tylko Jidysz, stąd trudności wymowy.

W domu mamy wizyty NKWD i żandarmerii wojskowej. Poinformowano nas, że Janusz Kamiński, Jurek Augustowicz i jeszcze paru innych, któ-

rych nie znałem, zdezerterowali i teraz są poszukiwani. Informują, że za pomoc im grozi sąd polowy, czyli kula w łeb. Przeglądają cały dom i budynki gospodarcze. Rozmawiają z ludźmi i służbą, która jest nam nieprzychylna. Jesteśmy pod stałą obserwacją. My nic nie wiemy. Któregoś dnia nasz sąsiad z pobliskiej wioski, Piotr Mikulski, dał nam znać, że Janusz ukrywa się w jego stodole na Kolonii Unin. Jest z nim jeszcze paru innych zbiegów. Chodziłem tam z wielką ostrożnością niosąc czystą bieliznę i jedzenie. Leżeli zagrzebani w słomie w polskich mundurach, uzbrojeni po zęby. W razie wykrycia musieliby się bronić, gdyż los był ich z góry przesądzony. Dezercja na zapleczu frontu, to śmierć. Wszędzie pełno wojska, obawa, czy ich nie wykryją.

Przychodzą święta Bożego Narodzenia. Nie są wesołe. Nie wiemy nic o Tadeuszu. Nie wiemy, czy nasi bliscy będący w Warszawie jeszcze żyją. Janusz w dalszym ciągu ukrywa się. Siedzi schowany i zagrzebany w słomie w stodole Mikulskich. W każdej chwili mogą go wykryć kwaterujące prawie wszędzie rosyjskie wojska. Front jakby zamarł. Słychać jedynie co pewien czas z nad Wisły odgłosy odległych pojedynków artyleryjskich. Zima w pełni, mroźna i śnieżna. Dymy w dalszym ciągu nad Warszawą. Wiemy już, że miasto jest systematycznie palone. Natomiast ciągle słychać dalekie dudnienie armat z rejonu, Maciejowic; tam Rosjanie starają się za wszelką cenę rozszerzyć przyczółek (Warecko - Magnuszewski). W naszych wszystkich gospodarczych pomieszczeniach stoją samochody. Wszędzie masa słomy. Żołnierze palą papierosy, ropą podgrzewają zamarznęte silniki. Cud, że się to wszystko nie spaliło.

Nareszcie, w dniu 17 stycznia od rana, z rejonu Wilgi słychać ciągły grzmot armat. To dawno oczekiwana ofensywa. Wychodzę na drogę do Nowych Leszczyn. Od strony zachodniej nie tylko słychać huk, lecz widać i dymy. Pod wieczór dudnienie artylerii zaczyna się oddalać. Znaczy to, front na Wiśle został przełamany. Czy to będzie nareszcie koniec wojny? Stacjonujące u nas wojska zaczynają szykować się do wyjazdu. Nowikowa i jego ludzie bardzo żałujemy. Byli sympatyczni i kulturalni. Pod ich opieką czuliśmy się bezpiecznie.

Dwa dni po ich wyjeździe przyszli jacyś pijani rosyjscy żołnierze. Zrabowali dziadkowi kozuch, zegarek i jakąś znalezionej biżuterię. Grozili bronią, robili rewizję. Od ojca zażądali kokainy. Gdy oświadczył, że jej nie ma,

to jeden z nich trzymając pistolet powiedział: „Mam ochotę tego sukinsyna w okularach zastrzelić”. Ja wymknąłem się z mieszkania i poleciałem do stacjonujących opodal wojskowych. Przypuszczalnie było to NKWD, bo mieli na czapkach zielone otoki. Natychmiast zareagowali. Rozbroili rabusiów i zabrali ze sobą. Zrabowanych rzeczy nam nie oddali. Oświadczone, że będą one potrzebne jako dowód. Na tym sprawa się zakończyła.

Z prasy dowiadujemy się, że w dniu 19 stycznia 1945 r. rozwiązana została Armia Krajowa działająca za linią frontu. Na jej miejsce powstają inne tajne organizacje o charakterze militarnym. Nie są one już masowe. Taką jest „Nie” (Niepodległość), następnie przemianowana na Delegaturę Sił Zbrojnych. Jesteśmy całkowicie zdezorientowani. Nie wiemy, co robić.

Z Warszawy przysły pierwsze wiadomości. Jest już nareszcie wolna. Już nie tylko rosyjscy piloci opowiadają o potwornych zniszczeniach, jakie obserwują podczas lotów bojowych nad miastem. Teraz są już świadkowie, co tam byli. Nie pamiętam, kto przywiózł informacje, że dziadek Cieśliński i ciocia Felcia, siostra ojca, nie żyją. Zginęła w przeddzień oswobodzenia Warszawy. W tym mniej więcej czasie mąż cioci Felci, Krystyniak, zmarł w obozie koncentracyjnym.

Któregoś dnia, idąc do szkoły w Garwolinie, widzę koło jakiegoś wozu gromadę ludzi. Patrę, a tam wiozą leżących dwóch w bardzo złym stanie jeńców niemieckich, pilnowanych przez milicjanta. Złapano ich ukrywających się po przejściu frontu. Byli przemarznięci i opuchnięci z głodu. Ludzie krzyczą, że to są pewno esesmani i trzeba ich rozstrzelać. Ci przerażeni biedacy zaprzeczają. Widząc ich nędzę i strach, żal mi się ich zrobiło. Podszedłem i oddałem im swoje śniadanie. Łapczywie złapali ofiarowane kanapki, co świadczyło o głodzie. Ukrywając się w lesie od dawna musieli nie jeść. To spowodowało, że za moim przykładem poszli i inni. Przestali im wymyślać i grozić, a zaczęli przynosić jedzenie. Jaki był ich dalszy los, tego nie wiem. Gdy wracałem ze szkoły, ich już nie było. Sądzę, że dostali jeść, a potem trafili do obozu jenieckiego. Mieli i tak szczęście, że nie dostali się w ręce sowieckie. Ci pojedynczych jeńców, czy niewielkich grup, do niewoli nie brali. Na miejscu by ich rozstrzelano.

Koło 20 stycznia, późnym wieczorem zjawił się Tadeusz i jego sympatia, Basia Bilewicz. Powstanie zastało ich w Bernerowie. Do swoich oddziałów już nie dotarli. W Bernerowie kwaterowali Węgrzy, którzy do walki z po-

wstańcami się nie włączyli. Dzięki nim ten trudny okres mogli bezpiecznie przetrwać. Po Powstaniu przedostali się do Zalesia, zatrzymali się u Kaczyńskich. Następnie dotarli do Grójca. Tam znajoma rodziców, dentystka pani Lorenc, przetrzymała ich u siebie i dała pracę. Meldunek garwoliński bardzo im to ułatwiał. Kontrolującym Niemcom podawali, że uciekli przed Bolszewikami. Po przejściu frontu postanowili przedostać się do Leszczyn. Nie wiedzieli, co tam zastaną. Wisłę przeszli po łodzie. Musieli iść wytyczonymi przez saperów ścieżkami wśród pól minowych. Całą drogę, ponad 60 km, szli piechotą w dużym mrozie. Gdy dochodzili do Leszczyn byli przerażeni, bo wieś od strony Garwolina była spalona. Z ulgą zobaczyli, że dalsza część stoi. Ich epopeja wojenna kończyła się strachem.

O innych członkach rodziny nie wiedzieliśmy nic. Pamiętam ojca rozmowę z Tadeuszem. Chciał, by zgłosił się do wojska. Ma 24 lata, jego obowiązkiem być w armii. Wojna się jeszcze nie zakończyła. Roczники jego od dawna walczą. Mama, jak to kobieta, była innego zdania. Kierowała się tylko lękiem o pierworodnego. Tadeusz pod naciskiem ojca z niechęcią pojechał do Lublina, lecz bardzo szybko wrócił. W Komendzie Uzupelnień miano mu powiedzieć, by kończył zaczęte podczas okupacji studia lekarskie. Jako lekarz będzie bardziej potrzebny, niż jako żołnierz frontowy. W niedługim czasie Tadeusz wyjechał do Łodzi, gdzie została otwarta Akademia Medyczna. W tym mniej więcej czasie między Tadeuszem i Basią doszło do spięcia i zerwania. Po tym incydencie Basia wyjechała do Warszawy, by już więcej tu nie powrócić. Bardzo ją lubiliśmy. Byłaby na pewno dobrą żoną. Po wielu latach udało mi się ją odnaleźć. Do jej śmierci byliśmy w wielkiej przyjaźni. Wyszła za mąż za sympatycznego dyrektora Społem - Jaszczurę.

Dziadkowi coraz trudniej było gospodarować. Miał już ponad 90 lat. Coraz trudniej było w tym czasie dogadać się ze służbą. Rozpoczęła się reforma rolna. To demoralizowało ludzi. Chcieli, by i Leszczyny zostały rozparcelowane. Nie było jednak na to podstaw prawnych. Parcelacji podlegały tylko majątki powyżej 50 h. Leszczyny miały tylko 42 h. Do pracy w polu trudno było znaleźć ludzi. Z ogłoszenia dziadek przyjął jakiegoś byłego właściciela ziemskiego na zarządcę. Przyjechał z siostrą, starszą i niesympatyczną osobą. Był to niewypał. Mało energiczny i służba zupełnie go nie słuchała. Po pewnym czasie wyjechał na zachód. Wyjechali również forna-

le, Mętryba z żoną Michaliną i nasza służąca Stasia z dwojgiem dzieci. Młodszy był synem rosyjskiego kucharza, który u nas kwaterował. Wyszła za mąż za robotnika bezrolnego z Nowych Leszczyn. Dla nich wyjazd na Ziemię Odzyskane był wielką szansą. Z fernali pozostał tylko Stasiak Moch, jego żona Marysia, stary Szczepan i nie bardzo normalny Szczepanek. Od dziadka dostali działki rolne jako odprawę za pracę i na nich się pobudowali.

Tymczasem wojna dobiegała końca. Na pewien czas front zatrzymał się na Odrze i w kwietniu rozpoczął się ostatni akt dramatu Trzeciej Rzeszy. Życie pomału się stabilizowało. Ja chodziłem do szkoły. Ojciec szykował się do wyjazdu; chciał w Warszawie szukać zajęcia. Z jego doświadczeniem był potrzebny administracji państwowej. Wiedzieliśmy, że jak znajdzie pracę i mieszkanie, to my zaraz też wyjedziemy. W Leszczynach, ani w Garwolinie nie widzieliśmy dla siebie przyszłości.

Wiadomość o kapitulacji Niemiec nie zrobiła już na nas większego wrażenia. Interesował nas tylko los Hitlera i jego zbrodniczych współpracowników. Czy spotkała ich zasłużona kara? Pamiętam wojskowych strzelających z radości na wiwat. Nie będą musieli iść już na front. Jest nadzieja na powrót do normalnego, cywilnego życia. Makabra prawie 6 lat wojny znalazła swój finał.

Oczekujemy powrotu swoich bliskich. Mamy wiadomość, że znalazł się wujek, Tolek Piotrowski. Po Powstaniu był wywieziony do obozu, lecz przeżył. Mieszkanie na Widok w Warszawie zniszczone. Ciocia Jasia w obozie w Ravensbrück. Ewakuowana do Szwecji. Wuj przyjechał do Leszczyn dowiedzieć się, czy nie wiemy coś o jego żonie. Z Oflagu powrócił również wujek, Wacek Kamiński. Teraz już jest w Kaliszu. Zabezpiecza mieszkanie, które po jego internowaniu zajęła bona Eliza Bolenbach. Jako folksdojczka musiała teraz uciekać przed Sowietami.

Janusz Kamiński przeleżał w stodole zagrzebany w słomie do styczniowej ofensywy. Jak front ruszył, to wspólnie z towarzyszami niedoli podążył na zaplecze przesuujących się działań wojennych. Uważano, że tak będzie się można lepiej ukryć przed niechybną karą śmierci w razie schwytania. Mieli wyjątkowe szczęście, że nie wpadli. Wszędzie masa wojska, żandarmeria i NKWD wylapujące uciekinierów. W tej stodole, gdzie się ukrywali, też okresowo zatrzymywali się Sowietci. Gdyby ich zobaczyli, na pewno by

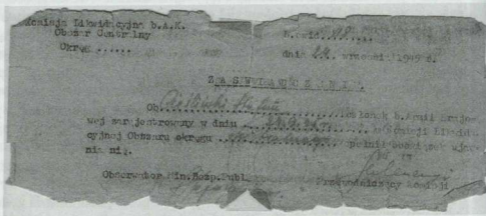
się zainteresowano, co to za wojskowi. Janusz dotarł do Kalisza, gdzie spotkał się z ojcem, który właśnie wrócił z Oflagu. Wuj zabrał go do Cieszęcina koło Pleszewa, do swojej rodziny. Tam go nie szukano. W Cieszęcinie ukrywał się do amnestii w 1947 roku. Mimo to, został aresztowany i osadzony na wiele lat w więzieniu.

Któregoś dnia po wyjściu ze szkoły spotkałem kapitana w przedwojennym polskim mundurze. Wiedziałem, że był jeńcem. Zacząłem z nim rozmawiać. Powiedział, że przesiedział całą wojnę w Oflagu oficerskim w Woldenbergu. Tam również siedział mój wuj Kamiński. Niestety, obaj panowie się nie znali. Dowiedziałem się, że jest Żydem, Teraz do Garwolina przyjechał szukać swojej rodziny i nikogo nie znalazł. Niemieckie władze wojskowe internowanych polskich oficerów pochodzenia żydowskiego traktowały zgodnie z konwencją genewską. Dlatego ocalał. Zrobiło mi się go żal; był smutny i bardzo zagubiony. Nie wiedział, co z sobą robić. W związku z tym, że nie miał gdzie zanocować, zaprosiłem go do Leszczyn. Był u nas chyba 2 dni, po czym wyjechał do Warszawy szukać dalej. Za ten gest pomocy pochwalił mnie pan mecenas Gzowski, szykujący się do powrotu do Kalisza, skąd był przez Niemców wysiedlony. Również bardzo pochwalił mnie ojciec, jak i dziadek.

Parę dni później mieliśmy jeszcze następnych gości pochodzenia żydowskiego. Przyjechali szukać swoich rodzin koledzy pułkowi wujka Henia Bartoszewicza. Przed wojną wuj służył w 1 pułku Strzelców Konnych w Garwolinie. Stąd się znali i wiedzieli, że ma tu w Leszczynach rodzinę. Ci byli jeńcy wojenni przeżyli tylko dzięki pobytowi w Oflagu. Jak mówili, o eksterminacji Żydów słyszeli już w obozie, czym się bardzo denerwowali. Nie sądzili jednak, że miało to takie rozmiary. Żal było patrzeć na tych biednych ludzi po ich powrocie z obozu. Nagle poznali całą straszną prawdę i nie mieli już żadnych złudzeń, co do losu swoich najbliższych.

W dniu 2 sierpnia 1945 r. Rząd Jedności Narodowej ogłosił amnestię dla byłych żołnierzy AK. Do ujawnienia wzywał też Delegat Sił Zbrojnych na Obszar Centralny, Jan Mazurkiewicz (Legendarny Radosław). Zostałem powiadomiony, że zbiórka naszego zgrupowania wyznaczona jest na 24 września 1945 r. koło cmentarza w Garwolinie. Kto nie chce się ujawniać, ten nie musi. Ja widziałem w tym jakieś rozwiązanie, dlatego się zgłosiłem. Byłem i tak zdekonspirowany, bo wiele osób o tym wiedziało. W wyzna-

czonym dniu, z bronią i w szeregach, przemaszerowaliśmy przez miasto pod budynek starostwa. Następnie udaliśmy się do miejsca straceń przy moście na Wildze. Na ulicach byliśmy gorąco przyjęci i okłaskiwani. Ujawnił się w tym czasie komendant Obwodu „Gołąb”, major „Marcin” i dowódca oddziałów dywersyjnych. Następnie w wyznaczonym punkcie została złożona broń, a każdy z nas otrzymał zewidencjonowane zaświadczenie. Mój był numer 118. Według oficjalnych danych ujawniło się wtedy w Garwolinie ponad 300 osób, głównie tych, którym groziło aresztowanie.



*Zaświadczenie o ujawnieniu się, 24 września 1945 r.*

Leszczyny trzeba było opuścić. Już przed wojną ulegały parcelacji, a po wojnie posiadały tylko 42 h. Nie podlegały więc reformie rolnej. W tym czasie było to już gospodarstwo kułackie, a władza takich nie lubiła. Tradycyjne ziemiaństwo, ostoja polskości, ulegało zaraz po wojnie likwidacji. Teraz powstawał nowy wróg - kułak i myśmy przez Leszczyny do tej grupy byli zaliczani. Należało się z tym kryć. Dziadek był również za stary na dalsze gospodarowanie, przekroczył 90 lat. Nikt z rodziny nie chciał wiązać swojej przyszłości z ziemią, której stale groziła kolektywizacja i szykany. Trzeba się było wynosić. Najbardziej predysponowany do obciążenia Leszczyn był Janusz Kamiński. W tym czasie o tym nie można było nawet marzyć. Był on ciągle poszukiwany przez żandarmerię wojskową i NKWD, a potem aresztowany i skazany na lata więzienia. Po wypuszczeniu na nowo

upomniało się o niego wojsko. Został powołany i wcielony do karnych kołchozów, gdzie przepracował dalsze lata.

Leszczyny najpierw zostały wypuszczone w dzierzawę, a potem sprzedane prawie za bezcen. Chętnych było niewiele, wisiała ciągła groźba kołchozów, czyli nędzy. Pierwszym dzierzawcą był Bolesław Zarzycki. On po pewnym czasie zrezygnował ze względów zdrowotnych. Z obozu w Rosji powrócił w strasznym stanie. Dzierżawę przejął sąsiad, Jan Poreda. W ciągu paru lat spłacił Leszczyny i sprawa została definitywnie zakończona.

Dziadek w wieku 92 lat wyjechał do Kalisza, tam zamieszkał u córki, Marii Kamińskiej. Starych drzew się nie przesadza. Parę miesięcy później już nie żył. Wrócił do swego Garwolina, ale na cmentarz. Do Kalisza przeprowadziła się również ciocia Zosia Bartoszewiczowa z córką. Zamieszkali także u Kamińskich. Po zaginięciu wuja Henia w Rosji nie miały co z sobą robić. Mieszkanie i cały dorobek życia stracili w Płocku w 1939 r. Po wyjściu Marysi za mąż za Mariana Gawareckiego, przenieśli się do Koszalina, z którą to miejscowością związali się do końca.

## Wolność i Niezawisłość (WiN)

Na terenach wyzwolonych od Niemców powstała nowa konspiracyjna organizacja na bazie AK pod nazwą Wolność i Niezawisłość (WiN). Była to organizacja woskowo-polityczna, skierowana przeciwko nowej władzy. Obwód Garwolin otrzymał kryptonim „Pułtusk I” i „Dęby”. Wchodził on w skład Okręgu Lubelskiego „Społem” i inspektoratu Puławy „Pinar”. Powstały nowe, znacznie bardziej zakonspirowane, placówki. Obowiązywał system piątkowy, który miał utrudniać dekonspirację. Kontakty z tą organizacją nawiązałem przez Janusza Staniszewskiego, pseudonim „Sęp”, oraz jeszcze jednej osoby, której nazwiska już nie pamiętam, o pseudonimie „Góra”. Do organizacji weszło jeszcze paru moich znajomych, zarówno z Leszczyn, jak i Garwolina, a między innymi Jurek Rękawek „Dąb”, Jan Mazurek „Sokół” i Bogdan Talma z Głoskowa. Został on wkrótce aresztowany. Baliśmy się, by podczas przesłuchań coś o nas nie powiedział.

Ja zachowałem swój stary akowski pseudonim. W ramach tej działalności dostałem polecenie przechowania broni będącej w dyspozycji placówki WIN. Arsenal ten dostarczono mi w nocy. Bałem się, by ktoś ze służby tego

nie zobaczył. To byłoby bardziej niebezpieczne, niż podczas okupacji. Broń tę złożoną z kilku karabinów, pistoletów maszynowych, amunicji i granatów ulokowałem w specjalnym schowku położonym nad piwnicą w Leszczynach. Miejsce było dobre i suche, niewiele osób miało tam dostęp. Tam też przechowywałem swą broń w okresie okupacji. Z tego polecenia mogłem się więc wywiązać.

Któregoś dnia proszono mnie, bym udostępnił swój rower. Potrzebny był do jakiejś akcji na lokal PPR w rejonie Miastkowa. Następnego dnia dowiedziałem się, że akcja była nieudana. Natrafiono na Milicję. Doszło do wymiany strzałów i w trakcie ucieczki porzucono mój rower. Nie miał numerów, lecz bałem się, że ktoś może go rozpoznać. Szczęściem, w tym czasie milicja nie miała dobrych specjalistów. Żle by się to dla mnie skończyło.

Parokrotnie wysyłano mnie z jakimiś papierami do Łaskarzewa, Sobolowa i Ryk. Tam w poczekalni dworcowej, na hasło, oddawałem przywiezione przesyłki. Jak się domyślałem, były one przeznaczone dla „Orlika” działającego w tamtym rejonie. Aktywizacja jego oddziału spowodowała, że na wiosnę 1946 r. skierowano do walki z nim wojsko. „Orlik” (Marian Bernaciak) zginął 24 VI 1946 r. pod wsią Piotrówek, koło Ryk. Dowództwo nad oddziałem objął jego zastępca, „Spokojny”. W miejscu jego śmierci, po zmianach, jakie nastąpiły w Polsce, wystawiono pomnik. Z okresu tego pamiętam jedną z pieśni „winowskich”, śpiewaną w oddziałach tak zwanych „Żołnierzy Wyklętych” Tak nazywano wtedy partyzantów walczących z „Władzą Ludową”.

Żadna nas siła zdradziecka zniszczyć nie zdoła, ni zgnieść,  
Gdy Republika Radziecka pomoc nam dzisiaj chce nieść.  
Rzucmy germańskie kajdany, na Sybir skierujmy swój krok,  
Stalina rozkaz jest dany, Polska ma zginąć przez rok.  
Dziś orzeł nasz w górnym pędzie, kończy podniebny swój lot.  
Góruje nad tym znak wrony, a nad nim - sierp i młot.

W związku z moim wyjazdem na stałe z Garwolina, zawiesiłem działalność konspiracyjną na tym terenie. Gdy o tym zameldowałem, dostałem jakieś namiary na Warszawę. Skontaktowano mnie z osobą o pseudonimie „Kowalski”. Tożsamość tej osoby do dzisiaj nie jest mi znana. Parę razy

wysłano mnie jeszcze z jakimiś rozkazami poza stolicę i to było wszystko.

Moją troską stała się teraz zmagazynowana w Leszczynach broń. Nie wiedziałem, jak się jej pozbyć. Nie mogłem się nią zajmować, a tym bardziej pilnować. Nikt na ten temat nie chciał ze mną rozmawiać. Ja mieszkałem już na stałe w Wołominie. Dzierżawę nad majątkiem dziadka, po jego wyjeździe do Kalisza, objął Bolesław Zarzycki. Wrócił on schorowany z obozu w Rosji. Był na pewno pod nadzorem UB. Nie chciałem go nawet w to wprowadzać. Obawiałem się, że jeśli przypadkowo broń znajdzie, to ją zniszczy. Ja zaś będę odpowiadał. Na naganie by się to nie skończyło. Zarzycki, po trudach obozowych chorował i bardzo szybko zmarł. Przed śmiercią jeszcze go parokrotnie odwiedzałem. Po Zarzyckim dzierżawę objął Jan Poreda, gospodarz z Leszczyn.

Inspektorat WiN z końcem 1946 r. nakazał akcje zbrojne ograniczyć do minimum. Spowodowane było to dużymi stratami. Polecano przejście do pełnej konspiracji. W tym czasie władze często urządzały procesy pokazowe złapanych bandytów z WiN, czy NSZ. Nie było telewizji, więc urządzano publiczne widowiska. Wyraźnie chodziło o zastraszenie społeczeństwa. Parokrotnie byłem na takich procesach, na których szafowano karami śmierci. Odbywały się one często w salach szkolnych. W Garwolinie pastwiono się wtedy głównie nad złapanymi partyzantami z oddziałów „Orlika”. Każdy z tych procesów bardzo przeżywałem. Raz w Warszawie poszedłem z ciekawości na rozprawę Rudolfa Hessa, komendanta obozu w Oświęcimiu. Proces ten, na sesji wyjazdowej, odbywał się w sali Związku Nauczycielstwa w Warszawie, przy ulicy Smulikowskiego. Tu oskarżonego nie żałowałem.

Coraz częściej myślałem, jak z działalności podziemnej mam się wypłatać. Nie widziałem dalszego sensu jej prowadzenia. Poza ofiarami, nic to nie dawało. Raczej było korzystne dla władzy; dzięki temu, coraz jawniej stosowano represje i zastraszano kurs. Każde aresztowanie kogoś z moich znajomych powodowało strach i stresy. Czy oby na mój temat czegoś nie wiedzieli? Gdy Sejm Ustawodawczy ogłosił 25.II.1947 r. amnestię dla członków podziemia, postanowiłem z tego skorzystać. Dla mnie to była szansa pozbycia się broni, która nie była już nikomu potrzebna.

W związku z powyższym pojechałem do Garwolina. W porozumieniu z kolegami powiązаныmi z WiN, którzy podobnie myśleli, postanowiliśmy skorzystać z amnestii. Nastąpiło to w dniu 9 kwietnia 1947 r. Składowana

przeze mnie broń została odwieziona wozem do Urzędu Bezpieczeństwa w Garwolinie, gdzie oficjalnie ją zdałem. Z każdym z ujawniających się przewodząca była rozmowa. Nie żądano nazwisk. Wspominałem tylko o tych, co się ze mną ujawnili. Protokoły z przesłuchań musieliśmy podpisać. Wydano nam zaświadczenia ze zdjęciami. Numer mojego dokumentu, był bardzo duży - 77364. Zeznania zostały w archiwach UB. Pewno znajdują się obecnie w Instytucie Pamięci Narodowej. Ze mną ujawniał się „Spokojny”, następca poległego „Orlika”, wraz ze swoim oddziałem. Jak się dowiedziałem, w powiecie Garwolińskim skorzystało z amnestii 1014 osób. Zorganizowane podziemie przestało istnieć. Odetchnąłem z ulgą. Postanowiłem więcej nie wiązać się z polityką. Moim hobby przestało być wojsko i walka, a stała się geologia. Na tym dużo lepiej wyszedłem.

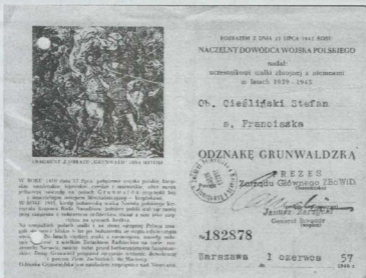
*Pawłowski* Urząd  
Bezpieczeństwa Publicznego  
w *Garwolinie*  
L. B. Zaświadczenia *662/47*  
data *9 kwietnia 1947 r.*

ZAŚWIADCZENIE Nr. *77364*

*Pawłowski* Urząd Bezpieczeństwa Publicznego  
w *Garwolinie* niniejszym zaświadcza, że  
ob. *Włodzisław Wójcik* ur. dn. *22.1.1928*  
zam. *Wolańska ul. 210m.2*  
dnia *9 kwietnia* 1947 r. uczynił zgodosł warunkom przewidzianym  
w art. 2 Ustawy z dnia 22 lutego 1947 r. o amnestii i korzysta z niej.

SZEF URZĘDU *[Signature]*


Zaświadczenie o skorzystaniu z amnestii, 9 kwietnia 1947 r.



Odnaka Grunwaldzka uczestnika walki zbrojnej z Niemcami 1939-45

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW  
O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ  
ZARZĄD WOJEWÓDZKI

W WARSZAWIE  
LEGITYMACJA NR  
0745400



*Ciesliński*  
Narwiko  
*Stefan*  
Imiona *Wanda*  
*Franciszek*  
Imiona rodziców *Płock*  
1928.01.28  
Data i miejsce urodzenia

jest  
KOMBATANTEM  
uprawnionym do świadczeń  
określonych ustawą z 26 maja 1982 r.  
o szczególnych uprawnieniach  
kombatantów  
Ust. Nr 16, poz. 122)

*Ciesliński*  
PREZES  
Zarządu Wojewódzkiego  
1987.09.29  
data wystawienia *Józef M. Koczka*  
podpis prezydenta legitymacji

RODZAJE I OKRESY  
DZIAŁALNOŚCI KOMBATANCKIEJ

Okresy od   do	wyszczególnienie
12.07 1943-1944	<i>Ruch Opoty</i>

łącznie lat *~* miesięcy *8*

*Ciesliński*  
PREZES  
Zarządu Wojewódzkiego  
1987.09.29  
data wystawienia *Józef M. Koczka*  
podpis

RODZAJE I OKRESY  
DZIAŁALNOŚCI KOMBATANCKIEJ  
(Uzupełnienia)

Okresy od   do	wyszczególnienie

łącznie lat      miesięcy

m. p.

Legitymacja Kombatanka, 1987

## Okupacyjna i bezpośrednio powojenna nauka

Do wybuchu wojny w 1939 r. ukończyłem 5 klas. Był to najdłuższy okres, kiedy chodziłem do jednej szkoły. Klasę 6 ukończyłem na przełomie 1939/40 w Garwolinie. Niemcy nie przewidywali dalszego kształcenia się Polaków. Wyżej dostępne były tylko szkoły zawodowe i do pracy. W następnych dwóch latach nauki pobierałem w domu. Uczyl mnie, Marysię i Janusza mój ojciec. Był on typowym humanistą, dlatego główny nacisk kładł na historię, polski i łacinę. Stąd moje braki w matematyce. Używane podręczniki kupowało się po znajomości. Były one zwykle mocno sfatygowane. Czekali na nie już następni chętni. Gry na fortepianie udzielała nam pani Płaskowicka, uciekinierka z Kresów. Lekcje muzyki nie bardzo mnie pociągały. Ciągłe ćwiczenia, gamy i wprawki, były dla mnie prawdziwą torturą.

Następny etap mojej nauki, to tajne komplety. Zawodowi nauczyciele uczyli młodzież po domach. Chodziłem na lekcje do Garwolina. Teczek, ani tornistrów nie można było nosić. Niemcy sprawdzali, czy nie ma zakazanych szkolnych podręczników. Szczególnie chodziło o historię. Złapanie mogło się przykro zakończyć. Na komplety ze mną chodzili: Jacek Augustowicz, syn lekarza, Tadeusz Zimny, syn szofera niemieckiego starosty, Michał Skalinajdo, którego rodzice mieli restaurację. Ostatnim z naszej paczki był Gmerek. Syn granatowego policjanta, komendanta obozu karnego w Garwolinie, zastrzelonego przez podziemie. Lekcje odbywały się w mieszkaniu Gmerków, lub u prof. Kozłowskiego, jednego z uczących nas profesorów. Na kompletach ukończyłem III klasę gimnazjum.

Wstrząsem dla nas było, gdy dowiedzieliśmy się, że nasz kolega z kompletów, Michał S., został aresztowany. Mogliśmy go tylko żałować, że nie miał szczęścia. Nie wiedzieliśmy, by gdzieś należał. Obawialiśmy się, by nie zaczął sypać i nie powiedział coś o naszej nauce na tajnych kompletach, jak i o naszym wrogim do Niemców stosunku. Jeszcze większy był szok, gdy dowiedzieliśmy się za co go zamknęli. Był to rok 1943, bardzo trudny i krwawy. Niemcy szaleli. Proboszcz garwoliński na podstawie jakiegoś niedokumentowanego donosu, został rozstrzelany, a policja niemiecka nie pozwalała go pochować na cmentarzu, tylko na polnej drodze do Łucznicy. Na jego miejsce przysłany został nowy proboszcz. Parę tygodni po objęciu

parafii otrzymał anonim. Napisane w nim było, że ma położyć w pewnym miejscu kopertę z wymienioną dużą sumą pieniędzy. Gdyby tego nie zrobił, powiadomiona zostanie żandarmeria o jego kontaktach z podziemiem i partyzantami. W tym czasie taki anonim wystarczył, by nowy proboszcz podzielił los pierwszego.

Szczęściem, nowy proboszcz nie dał się zastraszyć. Z anonimem poszedł do KRIPO (Kryminalna Policja). Ci ściągnęli z Warszawy tajniaków. Kazali księdzu w kopertę wsadzić jakieś papiery i schować w miejscu wskazanym przez szantażystę. Trzy dni pilnowano to miejsce i złapano naszego szkolnego kolegę, Michała. Był to dla nas straszny szok. Jak mogło się zdarzyć coś podobnego? Był to przecież nasz szkolny kolega, z którym się widywaliśmy codziennie. Szantażysty nie wolno ulec. Będzie szantażował do końca, aż zniszczy swoją ofiarę. W związku z tym, że była to sprawa czysto kryminalna, Niemcy się tym nie zainteresowali. Rodzice Skalinajdo sypnęli pieniędzmi i sprawę umorzono. Skandal i potępienie w Garwolinie było straszne. Szantaż, na dodatek księdza i jeszcze w okresie okupacji. Szantażysta tłumaczył, że chciał kupić kajak, a nie miał innego sposobu zdobycia pieniędzy. Jak pojawiał się na ulicy, to chłopaki wołali na niego „kajakowiec” i pytali się, czy napisał już następny anonim? W Garwolinie od tej pory nie miał już łatwego życia.

Takie były czasy, że czyn taki kanaliom nie szkodził. Po tym zdarzeniu rodzice powinni natychmiast go zabrać do miejsca, gdzie nikt go nie znał. Nie powinni zostawić go w Garwolinie i udawać, że nic się nie stało. Wszyscy o tym wiedzieli i tu można było się spalić ze wstydu. Po wojnie Michał studiował prawo na KULu, gdzie zorganizował ZWM (Związek Walki Młodych). Komunistyczną laicką organizację na katolickim uniwersytecie. Doprowadził do aresztowań wśród profesorów, oskarżając ich o nielojalność w stosunku do ludowej władzy. Był powiązany z UB (Urzędem Bezpieczeństwa), czynnie uczestnicząc w siłowym przeprowadzaniu reformy rolnej. Nosił przy sobie pistolet, na który miał pozwolenie i stale się nim afiszował. Po studniach, już jako zasłużony działacz partyjny, pracował w administracji państwowej. Między innymi był radcą handlowym na placówce w ambasadzie polskiej w Moskwie. Widywałem go w telewizji, jak odznaczał medalami jakiś pracowników. Nikt z kolegów kontaktów z nim nie utrzymywał. Myśmy się za niego wstydzieli.

Od 1944 r., kiedy jeszcze front był nas Wiśle, w Garwolinie otwarte zostały już szkoły. Dyrektorem został J. Cink. Zacząłem chodzić do IV klasy gimnazjum i zdałem małą maturę. Nauka była urozmaicona. Słychać było huk armat z pobliskiego frontu. Nad Garwolinem widzieliśmy starcia lotnicze. Przerywano nam wtedy lekcje. Wszędzie były masy wojska. Z okresu tego pamiętam klasówkę z fizyki. Za naszą sprawą wrzucono do klasy świecę dymną. Miało to ułatwić ściąganie. Fizyk ze strachu wyskoczył przez okno. Przerwano naukę w całej szkole. Sprawców nie znaleziono. Ja do szkoły często przychodziłem dla szpanu z pistoletem, bojąc się jedynie, by UB mnie nie złapało. Nie miałem bowiem na broń pozwolenia.

Z okresu tego pamiętam śmierć jednego z nauczycieli; nazywał się Talma. Zginął uderzony w głowę lufą działa. Jechał on na wozie, a obok przejeżdżała kolumna pancerna i na zakręcie doszło do wypadku. Kierowcy musieli być pijani, nawet się nie zatrzymali. W związku z tym, że był naszym nauczycielem, braliśmy udział w tych przykrych uroczystościach. Był wtedy mroźny zimowy dzień. Widziałem, jak na cmentarzu, w wykopany duży dół wrzucono bez trumien masę ciał żołnierzy rosyjskich. Zwłoki te przywieziono samochodem ciężarowym ze szpitala. Ciała, jak śmiecie wrzucano po desce do grobu. Były nagie, lub tylko w zniszczonej bieliźnie. W miejscu pochówku wkopano słupek, do którego przybito wyciętą z puszek po konserwie gwiazdę. Napisów żadnych tam nie było. Wyglądało, że tam pochowane są tylko jedne zwłoki, co nie odpowiadało prawdzie. Tak chowano większość żołnierzy radzieckich. Raz widziałem, że na jednej z blaszanych nagrobnych gwiazd wyciętej z puszek był napis - swinnaja tuszonka. Nazwa konserw amerykańskich, dostarczanych Sowiетom w ramach pomocy. Śmialiśmy się, że to odpowiadało prawdzie.

Nasza klasa ubrana była różnie. Nie przypominało to ubrań młodzieży szkolnej. Przed wojną obowiązywały mundurki. Po wojnie już tego nie wymagano. Nie było takich możliwości. Nosiliśmy tylko naszyte na rękawy tarcze z numerem szkoły i często czapki szkolne, jeszcze z okresu przedwojennego. Gimnazjum miało niebieskie obszycia, a liceum czerwone. Dziewczęta były elegantsze; chodziły w sukienkach przerabianych zwykle ze starszych rzeczy, co często rzucało się w oczy. Modne wtedy były stroje szyte z koców. Nie każdego jednak było na nie stać. Chłopcy natomiast nosili różne uniformy wojskowe. Było wtedy o nie tu łatwo. Donaszano zarówno mun-

dury polskie z 1939 r., jak i armii okupacyjnych, niemieckich i rosyjskich. Ja na początku chodziłem w czarnym esesmańskim mundurze, który kupiłem gdzieś okazyjnie. Na kołnierzyku widać było wypłowiałe znaki SS. Do tego miałem niemieckie wojskowe czarne bryczesy, bardzo rozszerzone powyżej kolan i buty „saperki” z szerokimi cholewami. Pas też był specjalny do galowego munduru, z okrągłą kłamrą, na której była widoczna częściowo zatarta swastyka.

Pamiętam z tego okresu zabawę szkolną. Nie miałem w czym iść na tę uroczystość. Dziadek pożyczył mi swój garnitur. Miał on już powyżej 90 lat, był wyższy i nieco tęższy ode mnie. Jego spodnie były za długie. Nie pozwolił ich skrócić. Naciągnąłem je szelkami jak mogłem. Podczas walca kotylionowego szelki pękły i wypadły z tyłu spod marynarki. Spodnie ledwo złapałem, musiałem je podtrzymywać, bym ich nie zgubił. Moja partnerka zostawiła mnie na parkiecie. Powiedziała, że powinienem się najpierw nauczyć spodnie nosić, a potem dopiero brać za tańce. Było mi wstyd, lecz co było robić. Takie to były czasy.

Od września 1945 r. zacząłem chodzić do liceum. Byłem w tym okresie zajęty działalnością konspiracyjną. To było ważniejsze i tym się głównie interesowałem. Nauka wydawała mi się zupełnie nieważna i zbędna. Czas był bardzo niespokojny. Ciągłe aresztowania. Podziemie działało. W lasach silne ugrupowania partyzanckie. Miałem dużo opuszczonych lekcji. Na pewien czas musiałem zniknąć z domu. Bałem się aresztowania.

Miałem w tym czasie kolegę Fatkowskiego. Chodziliśmy do tej samej klasy. Pochodził z Mszczonowa. W 1939 r. został ranny odłamkiem bomby lotniczej. Był bardzo zeszpecony, miał wielką bliznę na czole. Postanowił uciekać z kraju. Bardzo mnie też do tego namawiał. Chciał dostać się do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Ja uważałem to za dezercję. Nasze miejsce jest w Polsce i tu będziemy walczyć. To nas poróżniło. Tak jak planował, przez Czechy przedostał się do Niemiec. Tam służył w formacjach wartowniczych. Napisał do mnie parę listów. Z czasem korespondencja się urwała. Nie wiem, jak potoczyły się jego dalsze losy. Nie zazdrościłem mu emigracji.

Z moich klasowych garwolińskich szkolnych kolegów jedynym, który się wybił politycznie, był Ryszard Frelek z Parysowa. Skończył on studia dziennikarskie, przebywał w Indiach, gdzie miał szeroko nagłaśniany wy-

wiad z Nehru. W kraju pracował w Centralnym Komitecie Partii i był jednym z ważniejszych sekretarzy. Jak się śmieliśmy, należał do właścicieli PRLu.

Od września 1946 r. zacząłem chodzić do Liceum im. Króla Władysława IV w Warszawie. Rodzice zapisali mnie do typu matematyczno-fizycznego. Poziom tych dwóch przedmiotów był tam bardzo wysoki. Pamiętam nazwiska niektórych profesorów: Pierzana - polonistę (był naszym wychowawcą). Staruszka Bigalkie - matematyka. Miał bardzo duże wąsy, z których śmieliśmy się, że je na szczotki sprzedaje. Fizyk, Sosnowski, był profesorem uniwersyteckim dorabiającym w liceum. Klasa była bardzo koleżeńska. Tam poznałem Heńka Szczukę, z którym do dzisiaj jestem bardzo zaprzyjaźniony. Pod koniec pierwszej licealnej zrobiłem na klasówce z matematyki parę błędów. Bigalkie wręczając mi świadectwo powiedział, że nie wie, co ja właściwie umiem. Dlatego w następnej klasie zwróci na mnie specjalną uwagę. To spowodowało zmianę szkoły na typ przyrodniczy. Było to dobre posunięcie.

Zarówno z UNRRY, jak i ze szkoły, dostaliśmy mundury wojskowe w ramach przysposobienia wojskowego. Co brakowało, dokupiłem na bazarze. Legitymacja PW upoważniała do chodzenia w mundurze. Nie było tam powiedziane, w jakim. W związku z tym przez długi czas chodziłem w pełnym wojskowym umundurowaniu, łącznie z czapką i pasem. Musiałem wtedy oddawać honory wyższym szarżom i to mnie bawiło. Wojskowi nie płacili biletów w tramwajach, więc i ja z tego często korzystałem. Mniej zabawne były jednak kontrole żandarmerii. Zastanawiano się wtedy, co z takimi przebiezańcami robić. Sankcji jednak żadnych nigdy nie było. Mundur zapakował moje ciążoty do wojska.

Z okresu tego pamiętam, jak przed pochodem 1-majowym członkowie ZWM przygotowywali hasła, fotografie przywódców i szturmówki. Z Heńkiem, dwa głupole, dostaliśmy się do tego pomieszczenia. Otworzyliśmy okno i przygotowane rzeczy wyrzuciliśmy na podwórze. Tam chodził wartownik z NKWD pilnujący baraku, w którym trzymani byli aresztanci. Część wyrzuconych przedmiotów spadła mu na głowę. Zrobiła się straszna awantura i dochodzenie. Przyjechało UB. Szczęściem, że wśród „zetempowców” nie było świntuchów. Paru z nich nas widziało, a reszta się domyślała. Gdyby nas zasypano, zakończyłoby się to nie tylko wyrzuceniem ze

szkoły, lecz i aresztowaniem. Byliśmy głupi, ale mieliśmy wyjątkowe szczęście.

Na wyraźne życzenie rodziców musiałem dalej kontynuować naukę gry na fortepianie. Teraz już nie na lekcjach prywatnych, a zapisano mnie do szkoły muzycznej im. Fryderyka Chopina, na ulicy Inżynierskiej. Musiałem jednak zdać egzamin, by mnie szkoła mogła zaklasyfikować, na który rok przyjąć. Muzyka poważna nigdy mnie nie ciągnęła. Ćwiczyłem pod przymusem, a dla przyjemności grałem różne wtedy modne szlagiery. Przez pewien czas na fortepianie grałem nawet w zespole szkolnym.

Na egzamin poszedłem zupełnie nieprzygotowany. Najpierw była rozmowa. Pytano, gdzie się uczyłem i kto mnie uczył. Następnie proszono, bym coś zagrał. Więc zagrałem ostatnio modne boogie-woogie. Komisja zgłupiała, coś takiego? Tu w szkole? Proszą o muzykę poważną. To ja gram tango „Złota pantera”. Dla mnie to była muzyka poważna. Innych utworów nie znałem. Tang i fokstrotów miałem bardzo duży repertuar. Komisja widząc, że się nie dogadamy, dała mi nuty jakiegoś utworu. Chyba to było ze szkoły Czernego i proszono, bym zagrał. Nie miałem z tym kłopotu. Stwierdzono, że mam dobre opanowanie czytania nut i dobrą technikę. Zostałem zakwalifikowany wysoko, bo na 5 rok nauki. Powiedziano, że tu w szkole obowiązuje głównie Bach. To mnie całkowicie załamało. Przez pewien czas nosiłem bardzo twarzową czapkę szkoły muzycznej. Była brązowa, podobna do czapki politechniki, z wyhaftowaną złotą lirą. To jedno z nauk muzyki, co mnie cieszyło.

Do szkoły dojeżdżałem pociągiem z Wołomina. Jeździło się w tym czasie wagonem specjalnym „dla młodzieży szkolnej”. Tam poznawałem rówieśników. Zawiazały się przyjaźnie, które przetrwały lata. Jacek Skassa był jednym z nich. Chodził do liceum radiowego. Zaimponował mi, kiedy zbudował pierwszy, jaki widziałem, telewizor. Było to na początku lat pięćdziesiątych. Otworzono wtedy pierwszą stację na Pradze, czynną raz w tygodniu przez 2 godziny. Spikerką była znana aktorka, Danuta Szaflarska. Lampa tego urządzenia pochodziła z jakiegoś wojskowego niemieckiego urządzenia radarowego i była wielkości 2 pudełek zapalek.

Okres, w którym chodziłem do Władysława IV, był dla mnie bardzo przyjemny. Przyjaźń z Henrykiem, zabawy szkolne, na zawsze pozostaną w pamięci. Żeńskie licea, do których chodziliśmy na potańcówki, to szkoła

Łabusiewiczowej, Curie-Skłodowskiej i IV Miejskie Liceum. Mieliśmy tam swoje sympatie. Przed każdą szkolną zabawą przychodziły do dyrekcji delegacje z zaproszeniami. Ja sam w takich delegacjach brałem udział. Na zabawy przychodziły dziewczęta i my z gronem profesorskim, czyli pod dobrą opieką. Niestety, u „Władysława” poziom matematyki był dla mnie za wysoki.. Nie było rady, musiałem zmienić szkołę.

Zmieniłem typ liceum na przyrodniczy. Musiałem zdać dodatkowe przedmioty, by mi zaliczono pierwszą klasę. Dostałem się do liceum im A. Mickiewicza na Saskiej Kępie. Dyrektorem był Dadlez, ojciec mojego kolegi z Instytutu. Nie była to tak przyjemna klasa, jak u Władysława IV. Z nim się tam nie zżyłem. Chodził ze mną mistrz Polski w boksie - Tobolczyk. Był bardzo agresywny. Wszyscy musieli mu ustępować; w walce z nim nikt nie miał najmniejszych szans. Zetknąłem się tam jednak z geologią, co zadecydowało o dalszym moim życiu. Nie zrobiłem więc błędu. W 1948 r. zdałem maturę. Nareszcie byłem człowiekiem dorosłym.

Z okresu tego pamiętam święto 1 Maja 1948 r. Szkoła obowiązkowo każe iść nam na pochód. Jest to okres przed maturalnymi. Powinniśmy raczej przygotowywać się do zbliżających egzaminów. Nie uczestniczyć, to strach. Absencja może zaważyć na dopuszczeniu do egzaminów końcowych. Jadę z niechęcią. Mam nadzieję, że po sprawdzeniu listy zaraz się urwę. Do Warszawy pociągiem dostaję się bez kłopotów. W mieście komunikacji nie ma żadnej. Wszędzie widać gromadzących się ludzi, idących w kolumnach na wyznaczone miejsca w pochodzie. Całe miasto sparaliżowane. To był wtedy jedyny rok, gdzie 1 Maja nie było miejskiej komunikacji. Wszyscy mieli świętować.

Walę piechotą z Dworca Wileńskiego na ulicę Paryską (Saska Kępa). Szkoła uformowana w szeregach, już stoi z poczem sztandarowym na czele. Jeden z kolegów, trzymający sztandar, prosi, bym na moment go wziął. Musi jeszcze lecieć do toalety. Tu okazałem się naiwny. Gdy tylko go oddał, znikł w tłumie i więcej się nie pokazał. Nikt sztandaru już nie chciał wziąć do potrzymania. Nie mogłem się zerwać. Musiałem w poczie sztandarowym przebyć całą trasę z Saskiej Kępy, do placu Dzierżyńskiego, Marszałkowską, plac Zbawiciela, most Poniatowskiego i z powrotem do szkoły. Tam nareszcie pozbyłem się sztandaru. Zajęło mi to cały dzień. Byłem bardzo zmęczony. O nauce już nie było mowy. Był to jeden z najdłuższych

pochodów w historii PRL. Na następnych podobnych uroczystościach na krótko musiałem się też pokazywać. Na żaden jednak sztandar, czy szturmówkę, nie dałem się już więcej nabrać.

Jeszcze przed maturą oświadczyłem rodzicom, że kończę swoją edukację muzyczną. W grze na fortepianie nie widzę dla siebie żadnej przyszłości. Mama protestowała. Ja nawet słyszeć o dalszej nauce nie chciałem. Mogłbym uczyć się tylko tam, gdzie przedmiotem byłaby muzyka taneczna. Fugi Bacha mnie dobijały. Ani słuchać, a tym bardziej grać ich nie chciałem. Oświadczyłem, że muzykiem nie będę i nie chcę nim być. Na argument, że przecież lubisz muzykę, odpowiadałem: tak, ale z patefonu. Byłem zajęty już innymi sprawami, które mnie bardziej interesowały. Na ćwiczenia wprawek nie miałem już absolutnie chęci, ani czasu. Posiadany fortepian zaraz bez żalu oddałem Krystyniakowi. Jemu był bardziej potrzebny, niż mnie.

W moim życiu nie było szkoły, do której bym dłużej chodził. Na pytanie, jaką szkołę uważam za macierzystą, nie potrafię teraz odpowiedzieć. Najbliższą zdecydowanie był mi Władysław IV. Że ją opuściłem po roku, to nie moja chęć zmian. Warunki wojenne zmuszały mnie do szkolnych wędrówek. Każda bowiem zmiana szkoły była dla mnie dużą przykrością i wielkim stresem. Najważniejsze, że te zmiany wypadły dla mnie korzystnie. Wszystko ma bowiem swoje złe i dobre strony. Tylko dzięki tym zmianom mogłem przeżyć największą przygodę życia, jakim była dla mnie geologia.

Zbliżając się do matury, egzaminu końcowego byłem pewny. Natomiast bałem się o studia. Czy zostanę przyjęty? Przy niepowodzeniu wojsko już czekało. Poszedłbym wtedy do batalionów kopalnianych, jak część moich kolegów. Amnestionowani nie mieli wyboru. Nie miałem poparcia ZMP. Do tej młodzieżowej komunistycznej organizacji nie mogłem, ani też nie chciałem się zapisać. Służba wojskowa trwała wtedy 2 lata. Po wyjściu miałbym zawód górnik. Czy byłyby warunki do dalszej nauki, tego nie jestem pewny. Najważniejsze, że wszystko skończyło się dla mnie pomyślnie.

## Moje związki z Polską YMCA

Na obóz YMCA dostałem się przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej. W ministerstwie tym pracował mój ojciec. Wcześniej o YMCA nie wiedziałem absolutnie nic. W tym czasie wszystkie organizacje charytatywne o założeniach chrześcijańskich, a tym bardziej powiązane z „Zachodem”, nie były przez władze dobrze widziane. W pierwszym okresie po zakończeniu działań wojennych organizująca się „Władza Ludowa” pozwoliła na ratyfikację działalności Polskiej YMCA. Organizacja ta była już w przedwojennej Polsce znana. Miała własną bazę złożoną z 13 placówek i duże doświadczenie w prowadzeniu działalności z młodzieżą.

Na obozach prowadzonych przez YMCA przebywałem w latach 1945 - 1947. Od tego czasu minęło już tyle lat. W pamięci zatarły się osoby, daty, jak i wiele szczegółów. Pamiętam natomiast dobrze radość, gdy dostałem skierowanie na obóz w Karpaczu. Byłem w tym czasie uczniem Liceum im Króla Władysława IV w Warszawie. Zaczynały się wakacje, na które nie miałem planów. W tym czasie na letnie wyjazdy niewielu było stać. Praktycznie nie było dla młodzieży żadnych możliwości spędzenia ferii wakacyjnych poza domem. Dostanie się na ten wymarzony obóz było już wielkim przeżyciem. Miałem po raz pierwszy wyjechać na prawdziwy wypoczynek i to daleko, w nieznane mi góry.

Sama podróż była już bardzo interesująca. Jechałem ponad 500 km ciężarowym samochodem, leżąc na plandece pokrywającej skrzynie, czyli na dachu. Tak się w tym czasie często podróżowało. Z miejsca, na którym leżałem, mogłem świetnie obserwować mijane i nieznane mi strony. Ci, co siedzieli na ławkach w środku samochodu przykrytym plandeką, nie mieli takich luksusów. Wielkie wrażenie wywarł na mnie widok Sobótki w blasku zachodzącego słońca. Masyw, który ukazał się po minięciu zniszczonego Wrocławia, wydawał się tajemniczy i potężny. W następnym roku, też do Karpacza jechałem 2 dni wagonem towarowym. Nie było tam nic do siedzenia poza podłogą. Wagon był pusty. Na dodatek cierpiałem na zapalenie okostnej. Była to droga przez mękę.

Mój pierwszy pobyt na Dolnym Śląsku zacząłem od Michałowic, wtedy jeszcze Kiesewald, gdzie rodzice spędzali swój pierwszy urlop po wojnie. Stamtąd, już całkowicie na własną rękę, ruszyłem dalej na spotkanie z nową

nieznaną przygodą. Z Jeleniej Góry pociągiem dostałem się do Karpacza. Tam rozpocząłem poszukiwanie wymienionego w adresie schroniska. Tu były kłopoty; niewielu wiedziało, o co mi chodzi. Dla miejscowych schronisko to nazywało się Schlingelbaude, a o nowej nazwie związanej z Bronisławem Czechem nie miano pojęcia. Większość zamieszkujących w tym czasie w Karpaczu ludzi, to byli Niemcy. Trwały w tym czasie masowe wysiedlenia. Wszędzie było widać grupy obławowanych dobytkiem, zrozpaczonych ludzi, udających się do wyznaczonych punktów i dalej na nieznaną poniewierkę. Mimo, że przeżyłem groźbę wojny, widok ten robił na mnie przykre wrażenie. Było mi ich serdecznie żal. Opuszczali rodzinne strony i to na zawsze.

W końcu dowiedziałem się, że poszukiwane schronisko znajduje się w górach i to w połowie dogi na Śnieżkę. Nie było tam żadnej komunikacji. Należało dalej iść piechotą z bagażem i to stromo pod górę. Po paru kilometrach i wyjściu z lasu, dotarłem do dużej polany ze schroniskiem w tle panoramy gór. Okolicą byłem zachwycony. Z daleka na budynku widać było duży biały napis POLSKA YMCA. To tu jest poszukiwane schronisko imienia znakomitego polskiego narciarza, Bronisława Czecha. Budynek był duży, 3 piętrowy i drewniany, z kamienną podmurówką. Może nie stylowy, ale wygodny. Szkoda, że parę lat później, po generalnym remoncie, spalił się. Na ratunek w nocy było za późno. Po odebraniu schroniska YMCA nie było już dbającego gospodarza. Mówiło się wtedy o celowym podpaleniu i planach odbudowy. Do tej pory nic z tego nie wyszło.

O ile pamiętam, kierownikiem obozu był Chlebowski, a sekretarzem Rypeć. Po załatwieniu wszelkich formalności powiadomiono mnie, że należą do najstarszych obozowiczów i kierownictwo liczy na moją pomoc. Zgodziłem się chętnie. Zakwaterowani zostaliśmy w skromnych i niewielkich pokojach. Były to typowo turystyczne pomieszczenia z piętrowymi łózkami. Kierownictwo robiło wszystko, by młodzież mogła, nie nudząc się, spędzać czas ciekawie i zdrowo. Szczególnie dbano o ruch. Jak mnie później informowano, do tego schroniska na górskie urlopy miał przyjeżdżać sam H. Himmler. W książce hotelowej podobno były takie zapiski. Ja tego nie widziałem, ale o tym mówiło kierownictwo obozu. Nadawało to pewną dozę tajemniczości. Osoba Himmlera dla naszego wojennego pokolenia wiązała się ze zbrodniczą SS, a sam jej twórca z demonem zła.

Rozkład dnia przedstawiał się następująco. Pobudka o 6,30. Zbiórka na boisku przed schroniskiem. Zajęcie rozpoczynał bieg przełajowy. Następnie poranna gimnastyka. Po jej zakończeniu wspólna modlitwa i odśpiewanie „kiedy ranne wstają zorze”. Śniadanie o 7,30: obowiązkowo zupa mleczna. Świeży chleb, masło, wędliny, dżemy, a często jajecznicza. Do picia głównie wydawano kawę zbożową z mlekiem. Dla nas nowością było mleko w proszku. Czegoś takiego w Polsce nie widzieliśmy. Dodatkową atrakcją były jajka w proszku. W święta serwowano kakao. Normalnie w tym czasie tak dobrze się nie jadło. W kuchni gotowały i zmywały specjalnie zatrudnione osoby, głównie Niemcy. Uczestnicy sami odbierali przygotowane posiłki. Brudne naczynia odnosiliśmy do wyznaczonych miejsc. Po śniadaniu sianie łóżek i sprzątanie pokoi w własnym zakresie. Wyznaczeni dyżurni zobowiązani byli do zrobienia porządków we wszystkich używanych przez obozowiczów pomieszczeniach poza kuchnią. Po zakończeniu, komisyjny odbiór prac i przyznawanie punktów za staranność i jakość wykonywanych porządkowych robót. To mobilizowało.

Następnie do obiadu czas wolny. Można było robić, co się chciało. Uczestniczyć w jakiś ogólnych zajęciach, jak bliskie wycieczki, gry w piłkę, oraz jakieś wspólne zabawy. Był to czas na pisanie listów i czytanie książek. Schronisko miało własną niewielką bibliotekę. Tu po raz pierwszy przeczytałem „Kamienie na szaniec” i Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303” oraz „Dziękuję ci kapitanie”. Książki te robiły na nas, młodzieży, wielkie wrażenie. Do dzisiaj ich treść pamiętam, choć minęło od tamtej pory ponad pół wieku. W tym czasie do takich książek prawie nie mieliśmy dostępu. Wszystko było nowe i ciekawe.

O 13 był obiad, zwykle 3 daniowy. Zawsze można było otrzymać dodatkę zupy, a często i drugiego dania. Do zupy był zawsze podawany świeży chleb. Gorzej było z deserem ze względu na większe zapotrzebowaniem na słodkie; tych repet często nie było. Nasz obóz dysponował własnym samochodem ciężarowym z demobilu, na którym był również z daleka widoczny napis - Polska YMCA. Dzięki temu, nie było kłopotu z dostarczeniem zaopatrzenia do schroniska. Inne, podobne turystyczne obiekty, takich udogodnień nie miały.

Po obiedzie obowiązywała cisza. Należało odpoczywać leżąc w pokojach. Od 15 znowu czas wolny. Jeśli ktoś był dodatkowo głodny, w kuchni

zawsze można było dostać pieczywo, coś do picia, lub pozostałości z obiadu. Jeśli była jakaś praca, jak na przykład, załadunek towarów na samochód, dodatkowo byliśmy nagradzani jakimiś przysmakami. Zaliczana do tego była jajecznicza i słodkie kakao.

Kolacja o 19 godzinie. Zbiórka na placu apelowym. Odmówienie wspólnej modlitwy i odśpiewanie pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

Jedzenie było obfite, Oprócz pieczywa z masłem i dżemem oraz mlecznej kawy otrzymywaliśmy jeszcze jakieś dania gorące. Zawsze po kolacji zbieraliśmy się w naszej dużej jadalni. Był tam fortepian, na którym zwykle ktoś grał. Ja też często na nim grałem różne modne w tym czasie szlagiery. Był stół pingpongowy, szachy i warcaby. Przy pogodzie organizowane było ognisko, przy którym śpiewaliśmy i uczono nas różnych nowych, mniej znanych piosenek. Na te wieczorowe spotkania były przygotowywane przez uczestników różne okolicznościowe skecze. Opowiadano zasłyszane legendy związane z Karkonoszami i z dobrym duchem, Liczyrzepą. W każdym ze schronisk wisiły jego podobizny. To oddziaływało emocjonalnie na młodzież.

Do dzisiaj pamiętam, jak nasi koledzy przygotowali występ, o którym nie chcieli bliżej nic mówić, a szeroko go reklamowali. Jak mówiono, miała to być kłasyka oparta na „Hemoroidzie” Schillera „Zbójcy”. Wyglądało to następująco. Było już ciemno. W koło ogniska usiadło paru zakapturzonych, przykrytych kocami, aktorów tego spektaklu. Rozpoczął się dramatyczny dialog między nimi. „O mój ojcze”, „Co mój synu?” - to parokrotnie powtórzono. „Czego ojcze jesteś taki smutny?” „Bo boli mnie głowa”. Następowwały dalsze pytania dotycząca bólu głowy i smutku ojca. Trwało to przez pewien czas intrygując, jak to się zakończy i kiedy zacznie się coś dziać. W końcu przeproszona nas, że ze względu na ojca silny ból głowy, spektakl się nie odbędzie. Takie zakończenie wszystkim się bardzo spodobało. Był to trafiony na taką okazję występ.

Na tych wieczornych spotkaniach zapoznawano nas z historią YMCA (Young Men's Christian Association - Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej). Tam dowiedzieliśmy się, że reprezentuje ono międzynarodową, protestancką organizację, zajmującą się życiem kulturalnym i sportowym młodzieży w celu podnoszenia jej religijności. Organizacja ta została założona w 1844 r. przez George Williamsa w Anglii. Stopniowo

przekształciła się w ruch międzynarodowy, skupiony wokół Światowej Federacji YMCA, z komitetem wykonawczym i siedzibą w Genewie. Najszersze stowarzyszenie to rozwinęło się USA. W 1855 r. utworzono podobną organizację dla dziewcząt - YWCA (Young Women's Christian Association - Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej). Informowano nas, że Polska YMCA powstała w 1923 r. i do wybuchu wojny w 1939 r. miała w Polsce 13 placówek. Jednym z najlepiej wyposażonych i zorganizowanych ognisk była Wierzyca.

Obozy YMCA, jak i sama organizacja, w swoich założeniach przeznaczona była dla młodzieży męskiej. Starsi uczestnicy nie byli już dziećmi. Nie można się dziwić, że wielu z nas chciało uczestniczyć w różnych imprezach koedukacyjnych i tanecznych. Kierownictwo, nie traktowało naszego pobytu jako klasztoru klauzurowego. Stąd była zgoda na częste wieczorne wypadki do położonej w pobliżu „Strzechy Akademickiej”, która była schroniskiem studenckim. Tam były organizowane imprezy taneczne, na których przygrywał niemiecki zespół.

Ważne, że na te imprezy można było przychodzić w czym się dysponowało. Strój nie był przeszkodą we wspólnej zabawie. Ja sam miałem wiele obiekcji związanych z moim ubraniem. Podczas wspinaczki na skałki w rejonie Dużego Stawu podarłem na siedzeniu jedyne posiadane spodnie. Na kupno nowych, tu na miejscu, nie było mnie stać. Coś trzeba było zrobić. Musiałem sam wszyć na siedzenie wielką łątę, niestety w innym kolorze. Nie z podobnego materiału, a ze znalezionej w schronisku starego koca. Dlatego prosiłem do tańca partnerki dopiero jak był tłok. Wtedy nie było widać moich dolnoubraniowych mankamentów. Również, odprowadzając po tańcu na miejsce proszone osoby, starałem się nie odwracać tyłem. Bałem się krytycznych uwag dotyczących moich spodni. Wtedy brałem to bardzo poważnie, a teraz można się z tego tylko pośmiać.

Do naszej dyspozycji w schronisku posiadaliśmy prawdziwy skarb. To było lampowe radio. Teraz to nic, a wtedy trudno dostępny luksus. W tym czasie mało kto w Polsce posiadał w domu własny aparat radiowy. Władze zachęcały do instalacji w mieszkaniach tak zwanych „Kołchoźników”. Był to tylko głośnik nastawiony na jeden propagandowy program. Takie urządzenie nie pozwalało na słuchanie wrogich stacji. Tak, jak niedawno podczas wojny, za posiadanie radia groziły najwyższe kary. Teraz tu w YMCA

mieliśmy takie чудо do swojej dyspozycji. Nasz pożądaný aparat był duży, w drewnianej błękitnej skrzynce, z dużym napisem YMCA. Należy przypuszczać, że wyprodukowany był na zamówienie tej instytucji.

Z jaką radością wieczorami słuchaliśmy amerykańskich stacji z Niemiec, przeznaczonych dla stacjonujących tam wojsk okupacyjnych. Nadawano wtedy masę wspaniałej muzyki w wykonaniu Glena Millera, Armstronga i innych modnych w tym czasie zespołów. Muzyka ta była przez oficjalne czynniki zwalczana. Nam nadawano nieakceptowane przez młodzież pieśni ludowe lub rewolucyjne. Muzykę taneczną w Polskim Radiu reprezentował zespół Jana Cajmera. Występował on bardzo rzadko. A te krótkie jego wstawki muzyczne były dodatkowo przerywane przez propagandowe wystąpienia Wandy Odolskiej. Koneserzy muzyki twórczość tego zespołu pogardliwie nazywali cajmerzeniem.

Dyrekcja Obozu dbała o nasze kulturalne potrzeby. Mieliśmy organizowane odczyty, wygłaszane przez zapraszanych prelegentów. O ile pamiętam, dotyczyły one historii ostatniej wojny i zabytków Dolnego Śląska. Zbiorowo i piechotą chodziliśmy również do kina, które mieściło się w Dolnym Karpaczu, czyli daleko. Kino w tym czasie było dla nas, młodzieży, wielkim przeżyciem. Do dzisiaj pamiętam wtedy oglądane filmy, a między innymi słynną „Serenadę w dolinie Słońca” z Sonią Henie. Stopniowo nadchodziły czasy eliminacji z naszych ekranów filmów zachodnich i zastępowania ich socjalistycznymi, nudnymi produkcyjniakami.

Na prośbę kierownictwa prowadziłem kiosk z pamiątkami, czynny w niektóre godziny. Można w nim było dostać widokówki, znaczki pocztowe, koperty i jakieś słodycze. Szczególnie dużo uwagi poświęcano wycieczkom. Do bliższych należały okolice Dużego i Małego Stawu oraz Śnieżka. W pierwszym okresie na wycieczkach towarzyszył nam ktoś z kierownictwa. W miarę poznawania regionu i uczestników opiekę powierzano komuś ze starszych obozowiczów. Na dalsze wypadki ja często przejmowałem kierownictwo i zostałem akceptowanym przewodnikiem. Prowadzone przeze mnie wycieczki były nawet parodniowe. Chodziliśmy głównymi szczytami Karkonoszy, do Szklarskiej Poręby. Naszą bazą noclegową był Agnieszków (obecnie Jagniątków), gdzie YMCA miała swoją placówkę. Pamiętam, że tam w sąsiedztwie była willa, w której mieszkał starszy pan, przesiadujący w ogródku. Był to Gerhart Hauptmann, laureat literackiej nagrody Nobla w

1912 r. Dożywał on tam swoich dni pod opieką polskich władz.

Prowadziłem wycieczki do Muzeum Przyrodniczego w Cieplicach ze wspaniałą kolekcją przyrodniczą, zwłaszcza motyli, ptaków i minerałów. Młodzież chciała też oglądać ruiny średniowiecznego zamku w Chojniku, który w tym czasie nazywał się jeszcze Kynast. Podczas zwiedzania opowiadałem zasłyszane, działające na wyobraźnię, krwawe średniowieczne legendy związane z tym obiektem. Na mnie, jak i na wycieczkowiczów, legendy te robiły wielkie wrażenie.

Do dzisiaj pamiętam historię pięknej, lecz złej księżniczki Kunegundy, właścicielki tego zamku. Chciała oddać swoją rękę tylko takiemu śmiałkowi, który w zbroi i konno przejedzie wkoło wysokich murów zamczyska. Nikomu się to nie udawało; wielu dzielnych rycerzy, zginęło spadając w przepaść. W końcu trafił się taki piękny rycerz, który tej sztuki dokonał. Szczęśliwa Kunegunda wybiegła powitać śmiałka i jak sądziła, przyszłego męża. Rycerz nie zasiadając z konia skłonił się i oświadczył, że nie chce takiej okrutnej żony, przez którą zginęło tylu mężnych rycerzy. Upokorzona Kunegunda miała popełnić samobójstwo skacząc w przepaść noszącą do dzisiaj jej imię.

Inne legendy wiązały się z dalszymi rodami byłych właścicieli Chojnika. Pokazywano wyłamane kraty w oknie, przez które uciekł więziony od lat rycerz, domagający się sprawiedliwości dla poddanych. Opowiadano o wróżbie grafa Schaffgotscha, właściciela zamku, który według przepowiedni miał zginąć od zimnego żelaza, czyli od kata. Graf śmiejąc się z przepowiedni, pokazał wróżbicie owcę chodzącą po dziedzińcu. Zapytał się o jej los. Wróżbita oświadczył, że jeszcze dzisiaj zostanie pożarta przez wilka. Graf kazał owcę zabić i upiec na przyjęcie, jakie w tym czasie miało miejsce w zamku. Gdy kucharz na moment wyszedł z kuchni, oswojony zamkowy wilk porwał jagnię i pożarł. Graf w niedalekiej przyszłości miał się narazić cesarzowi, który kazał go aresztować i stracić. Tak spełniła się wróżba, w którą nikt na początku nie wierzył. Powstałe tu legendy stały się integralną częścią historii tych średniowiecznych ruin.

Po długich, wielokilometrowych marszach, uczestnicy wprost padali ze zmęczenia. Parę godzin później wiedzieli, że ruch to zdrowie i nie narzekali. Pytano się, gdzie i kiedy będą następne wycieczki. Idąc na dłuższe marszruty dostawaliśmy zawsze obfity suchy prowiant; nie byliśmy więc głodni. W

tym czasie przykre wrażenie robiły na nas niezagospodarowane i niszczące schroniska. Było ich w Karkonoszach szereg. Władze nie pozwalały na prywatne zagospodarowanie, a same nie miały środków. Takim niezapomnianym obiektem było schronisko księcia Henryka nad Dużym Stawem. Stamtąd był przepiękny widok na całą dolinę Jeleniej Góry. W 1946 r. było tam jeszcze wszystko na miejscu: porządnie wyposażone pokoje, szyby w oknach, naczynia stołowe, a nawet poniemieckie widokówki. W następnym roku schronisko to już nie istniało. Zostało przez wandalów spalone.

W tym czasie spotykaliśmy się często z bezmyślnym niszczeniem tych wspaniałych obiektów, na co nie mieliśmy wpływu. Kierownictwo pilnowało, by w dewastacjach tych nie brali udziału nasi podopieczni. Jeśli stwierdzono jakieś ślady nowych pobliskich dewastacji, zaraz były w tej sprawie wewnętrzne dochodzenia. Chodziło o stwierdzenie, czy nie spowodowali to nasi obozowicze. Wielokrotnie mówiło się, że gdyby władze pozwoliły na zagospodarowanie tych niszczących pustych schronisk, inaczej one by wyglądały pod zarządem Polskiej YMCA. Patrząc na postępującą dewastację było nam wstyd, że nawet tego nie potrafimy utrzymać, co według propagandy słusznie nam się należało.

O ile pamiętam, w sierpniu 1946 r. przyjechała grupa młodzieży mniej więcej w moim wieku, mówiącej śpiewnym wileńskim akcentem. Byli podczas wojny w oddziałach partyzanckich Armii Krajowej. W 1944 r. w walkach wyparli Niemców z Wilna. Po wkroczeniu Armii Czerwonej zostali internowani i wywiezieni do obozów w głębi Rosji. Po paroletnim tam pobycie zostali w końcu zwolnieni i odesłani, nie do rodzinnego Wilna, a do Polski. Tu część z nich trafiła do ośrodków YMCA. Byli to młodzi chłopcy, a już tak ciężko doświadczeni. Bardzo się z nimi zaprzyjaźniłem. Tu na powietrzu i dobrym jedzeniu szybko wracali do sił. Ich niekończące się opowieści z walk na Wileńszczyźnie i internowaniu w obozach robiły na wszystkich wielkie wrażenie. Były to prawdziwe spotkania z historią.

Dla mnie - pokolenia wojennego - przeżycia ich były szczególnie bliskie. Przy ognisku, wśród lasów i w górach, pieśni partyzanckie, oraz ich opowiadania mrożące krew w żyłach, miały niezapomniany urok. Na te ogniska przychodzili wszyscy, od najmłodszych obozowiczów, po kierownictwo włącznie. Spotkania te były wielką szkołą patriotyzmu. Ja w tym czasie przeżywałem to szczególnie mocno. Po zakończeniu wojny związany

byłem nadal z działalnością podziemną. Przeżycia z tym związane i aresztowania moich konspiracyjnych kolegów budziły uzasadniony niepokój. Nie w domu, ale tu w górach czułem się naprawdę bezpieczny. W 1947 r. skończyłem z amnestii. Dopiero z czasem moją nową pasją życiową przestała być polityka, a stała się geologia.

Polska YMCA  
Obóz Karpacz

Kierownictwo Obozu Polskiej YMCA zaświadcza  
ze obozowicz *Liebskiński Stefan*  
zdołał zdobyć medal brązowy Obozu Polskiej YMCA  
w Karpaczu

kier. obozu sekretarz szef przod.  
*Khebcowski Ryszard* *Janowski*

Karpacz 29-VIII-1946

6  
KARPAČ  
KARPAČ

#### Brązowy Medal Polskiej YMCA

Za zaangażowanie w działalność obozową otrzymałem Brązowy Medal Polskiej YMCA. Był to tylko dokument, z podpisami kierownictwa i pieczęcią obozu. Napisany był odręcznie na drugiej białej stronie poniemieckiej fotografii, przedstawiającej nasze schronisko na tle panoramy pobliskich gór. Oryginał tego dokumentu przekazałem zarządowi odradzającej się Polskiej YMCA w Warszawie. W nagrodę za działalność obozową na pożegnanie dostałem jeszcze od kierownictwa prezent: wymarzone narty hikorowe. Były one przedmiotem dumy. Służyły mi one przez wiele lat

podczas zimowych wyjazdów do Karpacza. Miejscowość ta od pierwszego pobytu na obozie YMCA stała się moim ulubionym miejscem zimowych urlopów.

Od 1947 r. nie wyjeżdżałem już więcej na obozy YMCA. W 1948 r. rozpocząłem studia na Uniwersytecie Warszawskim, które absorbowaly mnie cały czas. Latem miałem obowiązkowe terenowe praktyki. Do końca korzystałem jedynie z basenu tej organizacji przy ulicy Konopnickiej. Z wielką przykrością i grozą patrzyłem na likwidację w 1949 r. tak wspaniałej i potrzebnej instytucji, jaką była Polska YMCA. Od początków PRL było wiadomo, że działalność jej skazana jest na niepowodzenie. Była przez władze źle widziana, chrześcijańska, apolityczna, a na dodatek powiązana z USA organizacją. To było nie do zaakceptowania.

### Hufce pracy „Warszawa na Helu”

W 1948 r. chciałem wyjechać gdzieś na wakacje; zacząłem szukać takiego miejsca, lecz nie było to jednak łatwe. Wreszcie znalazłem. Pod patronatem Związku Walki Młodych szukano ochotników do Hufców Pracy o zachęcającej nazwie „Warszawa na Helu”. Zgłosiłem się tam. Co było dla mnie ważne? Nie musiałem należeć do komunistycznej organizacji młodzieżowej, jakim było ZWM. Pojechałem więc budować drogę Jastarnia - Hel. Ulokowani zostaliśmy w namiotach w Juracie. Za cenę wyżywienia i zakwaterowania musieliśmy pracować 8 godzin dziennie. Żadnych pieniędzy nam nie płacono. Zostałem wyznaczony grupowym. Miałem pod swoim kierownictwem 20 młodych ludzi, to znaczy cały duży wojskowy namiot. W ramach szkolenia urządzane były prasówki i musieliśmy się uczyć pieśni masowych. Do dzisiaj pamiętam pieśń o generale Świerczewskim, jak to „ziemia spadła na ciało”. Wieczorami i rano były odprawy, gdzie musiałem zdawać raport z lewą ręką zaciśniętą w pięść i podniesioną do góry. To mi się bardzo nie podobało, lecz co było robić?

Tam też nie odbyło się bez przygód. W którąś niedzielę poszedłem na brzeg zatoki. Stało tam 2 lufowe działo z okresu walk o Hel. Zacząłem nim operować. Kręciłem lufami i zmieniać ich położenie. Pociągałem również za wszystkie możliwe dźwignie. Gdy mi się to w końcu znudziło, zszedłem i stanąłem obok. Moje miejsce zajęło 2 nowych chętnych z naszego obozu.

Jak się okazało, byli lepszymi specjalistami niż ja. Naciśnięto jakiś przycisk i działo nagle wystrzeliło. Lufa była czymś zatkana, więc pocisk ją rozszedził. Wyrwana część zamku przeleciała obok mnie i wbiła się głęboko w drzewo. Obaj młodzi ludzie, zostali ranni odłamkami lufy. Przeniosłem ich do jakiegoś pomieszczenia i powiadomiłem stacjonujące wojsko. Zabrało ich pogotowie marynarki wojennej przysłane z Helu.

To nie był koniec moich przygód. Zaczęto nas bardzo słabo żywić. Dla mojego podobozu nr 5 nie starczało obiadów. W zamian, po ciężkiej fizycznej pracy, dawano nam po wędzonej rybie. W związku z tym doszło do strajku i buntu. Rano nasz podobóz nie chce wyjść do pracy. W tym czasie strajk, to kryminał. Zaczynają się awantury z kierownictwem, któremu zarzucają złodziejstwo.

Nasze namioty ustawione były zaraz koło granicy strefy wojskowej. Strefa ta oddzielona była drutami kolczastymi. Tablice ustawione w wielu punktach zakazywały wstępu. Ostrzegały przed minami i konsekwencjami dla osób łamiących przepisy. Naturalnie, wszyscy tam chodziliśmy. Bez kłopotów można było tam się dostać od strony morza. To był dla nas raj. Wszędzie leżało masę broni. Karabiny, bagnety, w strzelnicach bunkrów stały karabiny maszynowe. Leżały hełmy i pełne skrzynki amunicji. Wszystko w takim stanie, jak Niemcy stanowiska te opuścili w 1945 roku.

Wielu uczestników zgrupowania zaczęła znosić broń do naszych namiotów. Część była pordzewiała, lecz na pewno wiele sztuk było sprawnych. Jak zaczęły się awantury z kierownictwem o jedzenie, a potem i inne żale, niezadowoleni zaczęli grozić użyciem broni. Odpowiedź była natychmiastowa. Przesłano służby wewnętrzne Marynarki Wojennej. Zrobiono rewizję w namiotach. Wyciągnięto masę broni. Najbardziej aktywnych prowodyrów zabrano z sobą. Do nas już nie wrócili. Nam nakazano iść do pracy i nic na ten temat nikomu nie opowiadać. Wyżywienie się jednak poprawiło. Z Helu przemyciłem 2 bagnety. Jeden dla siebie, a drugi dla Heńka. Pobyt ten, mimo takich przygód, będę mile wspominał. Miałem pracowity, z atrakcjami, urlop nad morzem.

Zawsze z moich wyjazdów pisałem listy i nie tylko do rodziców, ale i do rodziny. Wiedziano więc, gdzie w danej chwili jestem. To zaowocowało tym, że wujek Wacek Kamiński, który gdzieś był w pobliżu, odwiedził mnie któregoś dnia w Juracie. Zrobił mi tym dużą przyjemność. Długo chodzili-

śmy wzdłuż plaży nad morzem, a wujek opowiadał o swoim internowaniu podczas wojny i ukochanym Kaliszu. Do dzisiaj te opowiadania pamiętam.

## Okres Wołomiński

Ojciec zaraz po wojnie wszedł w skład Miejskiej Rady Narodowej w Garwolinie. Nie widząc tam dla siebie możliwości działania przeniósł się do Warszawy. Zaczął pracować w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. Na początku zamieszkał na ulicy Stalowej 36, w mieszkaniu swoich rodziców. Nie było tam jednak warunków. Wcześniej wprowadzili się tam dżicy lokatorzy, których nie dało się usunąć, ani z nimi mieszkać. Wyniósł się więc do pani Tosi Kladczyńskiej, na ulicę Żąbkowską. Było tam bardzo ciasno, miała bowiem w swojej kamienicy tylko jeden mały pokój. Domami rządili już nie właściciele, a kwaterunek. O mieszkanie w zniszczonej Warszawie było bardzo trudno.

Rodzice postanowili więc znaleźć lokum gdzieś pod miastem. Ja protestowałem, niestety bez skutku. Uważali, że jak Warszawę odbudują, będzie bardzo dużo mieszkań i będą prosić. Tak jednak nie było. Decyzja zapadła, szukamy mieszkania w Wołominie. Mamy znajomości w kwaterunku. Pracował tam ojciec wuja, Genia Wodiczki. Dostaliśmy parę adresów do wyboru. Tak trafiliśmy do państwa Skrodzkich. Byli uprzejmi i sami zachęcali do zamieszkania w ich domu. Odstąpili na prośbę mamy mieszkanie na pierwszym piętrze i przenieśli się sami na parter. Mieli trójkę dzieci: Tereskę, Mirka i najmłodszą Anię. Bardzo się z nimi zżyliśmy.

Mieszkanie było na ówczesne czasy nowoczesne. Była to piętrowa, wolno stojąca, nieotylnkowana willa, położona w dość dużym, zadrzewionym ogrodzie. Budowa rozpoczęta przed samą wojną jeszcze nie była zakończona. Okolica była ładna. Blisko ciągnęły się torfowiska, niewielkie zagajniki i wydmy piaszczyste. Mieszkanie położone na 1 piętrze składało się z 2 pokoi, dużej kuchni i łazienki. Jedyne instalacja hydrauliczna była nieczynna, lecz z czasem została uruchomiona. Do stacji kolejowej był niecały kilometr. Okres, w którym tam mieszkałem, od 1 września 1946 r. do końca 1959 r., należał do bardziej przyjemnych w moim życiu. Zamieszkałem tam razem z rodzicami.

Z Wołomina codziennie dojeżdżałem do szkoły pociągiem, następnie na

Uniwersytet i potem do pracy. Nie było to zbyt uciążliwe. W Warszawie rozpocząłem naukę w jednym z najlepszych stołecznych liceów, a mianowicie im. Władysława IV. Nastąpiła całkowita zmiana mojego życia. Makabra wojny przechodziła do historii. Był to rok 1946, początek wielkich obaw i nadziei.



*Ja z rodzicami w Wołominie, 1946 r.*

W 1945 r. wyjechałem pierwszy raz na Ziemię Zachodnie. Ojciec dostał rodzinne wczasy w Michałowicach, koło Szklarskiej Poręby. Mieszkaliśmy w wygodnym pensjonacie o jeszcze niemieckiej nazwie, Da Heim. Do takiego luksusu nie byłem przyzwyczajony. Jedzenie było bardzo przyzwoite i w domu, gdzie serwowano posiłki, odbywały się taneczne wieczorki. Niemiecka orkiestra grała modne i melodyjne utwory. Tadeusz poznał tam bardzo ładną dziewczynę z Mysłowic, Marysię Michalik. Liczyliśmy, że wejdzie do naszej rodziny. Stało się jednak inaczej, a szkoda.

Ja przeżyłem tam pierwszą młodzięcą miłość. Zauroczony byłem w młodziutkiej niemieckiej kelnerce, Urszuli Diekman, która pracowała w naszym pensjonacie. Przykre wrażenie robiły na mnie masy Niemców z

białymi opaskami na rękawach. Znak odróżniający od Polaków. W tym czasie trwały masowe wysiedlenia. Stały całe kolejki ludzi z bagażami. Widziałem dużo okropności tej wojny, lecz żal mi było ich serdecznie.

Z Urszulą wybrałem się raz na wycieczkę do zamku Kynast. Tam postawiłem jej piwo, bo na więcej nie było mnie stać. Ze stołu nagle spadł kufel i się potłukł. Chyłkiem musieliśmy uciekać, by nie kazano nam za niego płacić. Niestety, byłem bez grosza. Po powrocie miałem przykrości, że z Niemką się umawiam. Było to wtedy naganne. Ja uważałem, że czas skończyć z niechęcią do Niemców. Wojnę przegrali i już trzeba normalizować stosunki między naszymi narodami. Jak przyjechałem do Michałowic w następnym roku, Urszuli już nie było. Wysiedlono ją do Niemiec. Więcej się z nią nie spotkałem.

Czasy powojenne były zupełnie inne, jak teraz. Pamiętam, że któreś niedzieli, w latach czterdziestych, postanowiłem się wybrać w Warszawie do kina. Grali jakiś film amerykański. W tym czasie rzadkość. Tytułu już nie pamiętam. Kin w tym czasie w stolicy było bardzo mało. Dostać się na seans i to w niedzielę było prawdziwą sztuką. W święta nawet sowieckie produkcyjniaki miały komplety. Zwykle można było bilety kupić u koników, lecz na to trzeba było mieć pieniądze. Film, który chciałem obejrzeć, grany był w Atlantyku na Chmielnej. Jak przyszedłem, ujrzałem strasznie wielką kolejkę. Zorientowałem się, że nie mam szans, by się dostać. Poszedłem więc pod wejście, by się czegoś dowiedzieć. Może ktoś będzie chciał sprzedać bilety? Nagle poruszenie i bałagan. Kolejka się załamała. Ludzie rzucili się szturmować wejście, ja nagle znalazłem się w środku tłumu. Zaczęto dociskać mnie do zamkniętej bramy. Tam wchodziło się na podwórko i do kasy.

Przestraszyłem się, że mnie zgniotą. Ludzie krzyczą z przerażenia. Wyrwać się z tłumu nie ma mowy. Nagle brama nie wytrzymała naporu i runęła. Ja upadłem razem z bramą. Co najmniej kilkanaście osób przeleciało po mnie. Wezwani milicjanci zaczęli strzelać w górę. Próbuja opanować sytuację. Ludzie się tratują. Wyglądało to groźnie. Potłuczony z siniakami w końcu się poderwałem i dotarłem do kasy. W tym czasie na nowo ustawiono bramę. Byłem już w środku i tylko dzięki temu dostałem się na wymarzony film. Takie ceny płaciło się za rozrywki kulturalne.

Z Wołomina dojeżdżałem początkowo parowym, a dopiero później elek-

trycznym pociągami do Warszawy. Dalej tramwajami, które zwykle były strasznie zapchane. Dlatego często jeździłem na stopniach, lub na tylnym zderzaku, czyli na tak zwanym „cycku”. Pamiętam, że raz jechałem z Jackiem Skassą do pracy. Na przystanku przy Wileńskim straszny tłok. Nie ma mowy by się dostać. Cofnąłem się więc na przystanek przy Ząbkowskiej. Tam czeka mniej ludzi. Przeszedł nareszcie tramwaj, lecz znowu strasznie zapchany. Jest późno, a tu świeżo wprowadzona dyscyplina pracy, która miała być wielkim osiągnięciem klasy robotniczej. Za minutowe spóźnienia sankcje karne. Do środka dostać się nie mogę. Przyczepiłem się więc do poręczy na stopniu, wisząc w zewnętrznej warstwie ludzi. Byłem bardzo wychylony, bo przede mną wiszą jeszcze inni. Tramwaj ruszył.

Nagle poczułem silne uderzenie. Szczęście, że w ramię. Coś mnie strąciło. Głową upadłem do dołu, a nogi dostały się pod tramwaj. Deska umieszczona przed kołami zepchnęła nogi z szyn. Słyszę pisk hamulców i krzyk ludzi. Zrywam się potłuczony, lecz cały. Ktoś woła, co ja robię? Bezwiednie odpowiadam - spieszę się do pracy. Jakiś mężczyzna pomaga wstać. Krzyczy, nie do pracy, a do kościoła. Podziękować Bogu, że żyję i mam nogi. Wtedy dopiero zobaczyłem, co to było. Szczęściem, że walnąłem podwątowanym ramieniem. Gdybym uderzył głową, byłoby już po mnie. Zawadziłem o tablicę z napisem „strzeż się tramwaju”.

W Wołominie miałem serdecznych przyjaciół. Poznałem ich w wagonie dla młodzieży szkolnej, którym codziennie jeździłem do Warszawy. Do najbardziej zaprzyjaźnionych należeli: Ziutek Żuławnik, Janek Dobrzyńnicki, Wojtek Kunc i Jacek Skassa. Każdy z nich chodził do innej szkoły. Spotykaliśmy się w pociągu i na spacerze po mszy szkolnej. Wtedy cała młodzież spacerowała po ulicach Wołomina. Do naszej paczki dochodziły jeszcze inne osoby: Kazio Pieszko z Danusią, swoją narzeczoną, Krysia Chelkowska, Tereska Skrodzka, Jadzia Ślubowska i inni, których imion i nazwisk już nie pamiętam. Razem chodziliśmy na różne prywatki. Były to czasy zawiązywania pierwszych sympatii. Byliśmy młodzi, a świat mimo bardzo trudnych powojennych warunków politycznych i materialnych, wydawał się piękny. Z naszej grupy pierwszy wyrwał się i ożenił Wojtek Kunc. Byłem z Jackiem w Tłuszczu na jego ślubie.

W Warszawie dalej wielką przyjaźnią związany byłem z Heńkiem Szczuką. Od 1 klasy licealnej byliśmy nierozłącznymi przyjaciółmi. Na

Heńka zawsze mogłem liczyć. Miał on stale różne pomysły. Jeden z nich szczególnie pamiętam. Nasze koleżanki i sympatie pojechały na obóz PW do Skródy, koło Mińska Mazowieckiego. Heniek zmobilizował kolegów, by też tam pojechać i je straszyć. Wkoło domu, gdzie dziewczęta mieszkaly, wystawione były ich warty. W nocy zaczęło się straszenie. Koledzy poubierani w białe prześcieradła, skakali i wznosili okrzyki „Kali, Kali”. (z filmu przygodowego). Wtedy wyleciała komendantka z rewolwerem w rękę. Zaczęła strzelać i to nie w górę. Trafiała jednego z uczestników w nogę. Szczęście, że nie była uszkodzona kość. Trzeba było go nieść w nocy do szpitala. Dobrze, że zabawa ta nie skończyła się tragicznie.

Jeździliśmy przed egzaminami do Częstochowy. Zamiast się uczyć, przesiadaliśmy Boga o łaskę. To miało być pewniejsze, niż nauka. W letnie niedziele urządzaliśmy wycieczki nad Świder, lub Wisłę. Z takiego wyjazdu przywozłem niewypał bomby lotniczej, który rozkręciłem i wypaliłem. Tam, koło Józefowa, przebiegała linia frontu przed zajęciem Pragi i było tam dużo wojennych pamiątek. Bombę tę mam do dzisiaj. Podobną, lecz trochę mniejszą, znalazł Henryk. W pociągu, jak ludzie zobaczyli, co wiziemy, wybuchła panika. Teraz pewno skończyłoby się na policji, lecz wtedy tylko na pyskówce.

Raz wskoczyłem do wody na Bielanych, czuję straszny smród. Jakiś papier przykleił mi się do głowy. Woda cuchnąca i brudna. Nie zauważyłem, że zacząłem się kapać koło głównego kolektora. Miejsca wyprowadzającego ścieki miejskie. Następnym razem już uważałem, gdzie wskakuję do Wisły.

Zimą jeździliśmy na nartach w Wołominie. Świetne tereny do jazdy były w Górkach Miranowskich, gdzie blisko mieszkałem. Często uczestniczyliśmy w różnych imprezach tanecznych. Raz jakiś poznany na ulicy facet ofiarował protekcję w dostaniu się do lotnictwa. Wcześniej namawiał mnie na szkołę morską. Nieopatrznie dałem mu swój adres. Napisał, bym się zgłosił o 22 na Bródnie. Zastrzegł tajemnicę, prosił o nieinformowanie nikogo. Wydawało mi się to podejrzane. List pokazałem Heńkowi. Postanowiliśmy ten adres sprawdzić. Drewniany, obskurny dom, stał zaraz koło cmentarza. Mieszkało tam 2 ludzi o tym samym imieniu i nazwisku. Wydawało nam się to bardzo dziwne. Chcieliśmy iść obaj. Po naradzie, doszliśmy do wniosku, że nie ma to sensu. Może to jakiś zbroczeniec. Heniek chciał iść i dać mu wycisk.

Mama utrzymywała towarzyskie kontakty z panią Jadwigą Hemplową, teściową Zosi Kamińskiej. Po wyjeździe w 1957 r. Zosi i Jana do Stanów, często ją odwiedzała. Pani Jadwiga miała arystokratyczne powiązania i manieri. Była spokrewniona, o ile pamiętam, ze znanymi rodami. Podkreślała swoje hrabiowskie pochodzenie i chwaliła się, że była żoną (rozwiedzioną), wybitnego profesora. Wysokie o sobie mniemanie, połączone ze sklerozą, było często przykre dla otoczenia i zarazem śmieszne.

Gospodyni pracująca u niej skarżyła się mamie, prosząc o radę. Opowiadała, jak przyszła paczka od Hemplów, w której był list. Pani Jadwiga przeczytała go gospodyni i powiedziała: „Patrz Marysiu, jaka pani Zofia jest dobra. Píše, że dla ciebie przysłała szereg podarków.” Tu wymieniła, jakie. Były tam różne bluzeczki i sweterki, o które w Polsce było bardzo trudno. Następnie oświadczyła: „Po przejrzeniu prezentów uznałam, że są dla ciebie za ładne. Więc ci ich nie dam.” I tak zrobiła. Skarżyła się też, że kiedyś była chora i miała gorączkę. Powiedziała to pani Jadwidze, że źle się czuje i musi się koniecznie położyć. Na to pani Hemplowa odpowiedziała: „Nie Marysiu, mylisz się, ty nie możesz być chora. Chorą mogę być ja, lub pani Zofia. Ciebie to nie dotyczy, bo chamy nie chorują.” Świadkiem tej rozmowy była Ania, więc to nie kawał.

Po powstaniu willę Hemplów zabrało wojsko. Zamieszkał tam generał Popławski. W zamian za to Hemplowa otrzymała duży drewniany barak obok swojej willi. Po wyjeździe syna do Stanów i zmianach, jakie zaszły w Polsce, postanowiła wystąpić o zwrot własności. W sprawie tej napisała pismo do marszałka Spychalskiego. Powołała się w nim na opinię swego męża, który wykładał na Politechnice i był jego nauczycielem. W piśmie tym napisała, że ze Spychalskiego nie będzie nigdy dobry architekt, gdyż nie ma zdolności. Cały list napisany był w tonie obraźliwym. Szczęściem, że przed wysłaniem złapała go moja mama. Musiała całkowicie list przerebować. Wojsko willi nie oddało, ale otrzymała w zamian przyzwoite mieszkanie. Gdyby nie korekta mamy, to do dzisiaj nie było by żadnej odpowiedzi. Zosia Hemplowa tak szybko się zamerykanizowała, że naszym paniom: mojej mamie i cioci Zosi, w prezencie ze Stanów przysłała złote pończochy. To był prezent nie na nasze warunki i wiek naszych pań.

Mama miała liczne przyjaciółki. Zauroczona była panią Ptaszyńską, żoną aptekarza z Kalisza. W okresie okupacji prowadził on aptekę w Garwolinie.

W stosunku do niej mama miała wyraźny kompleks niższości. Lunieczka była dla niej niedościgłym wzorem. Myśmy z Tadeuszem nie darzyli jej specjalną sympatią. Należała do osób zarozumiałych, wymagających ciągłych pochlebstw i adoracji.

Z chwilą rozpoczęcia prac w Instytucie urlopy mogłem spędzać głównie w zimie. Narty stały się moim hobby. Jeździłem do Karpacza, lub Szklarskiej Poręby. Wykupywałem tam wczasy pracownicze. Były tanie i zupełnie przyzwoite. Bardzo szybko nawiązywałem znajomości i zawsze miałem chętnych do wólczugi po górach. Raz z Heńkiem i Marysią Wodiczkową pojechałem do Zakopanego. Zatrzymaliśmy się w leśniczówce, w Kuźnicach. Z Marysią wziąłem jeden pokój. Gospodyni przedstawiłem, że jest moją siostrą. Następnego dnia przyszła spisać dokumenty do meldunku. Głupio zaczęliśmy się tłumaczyć, że jesteśmy cioteczonym rodzeństwem. Dla tego mamy inne nazwiska. Gospodyni tylko się uśmiechnęła i powiedziała: „Tu wszyscy za rodziny się podają.” Czyli dała do zrozumienia, że rozumie o co chodzi.

Po raz pierwszy z nartami pojechałem na Kasprowy Wierch. Była zamieć i mgła, widoczność prawie zero. Na stacji kolejki wisiała czarna flaga, znak niebezpieczeństwa. Ja byłem tu tylko raz i to przed wojną. Na Kasprowym świeżo zaginęło małżeństwo Nojmanów, o czym szeroko rozpiszywała się prasa. Dodawało to dreszcz emocji. Marysia od razu zrezygnowała i z nartami zjechała w dół kolejką. Ja chcę jechać. Wychodzimy ze schroniska, widoczność zero. Heniek mówi, nie zsuń się tu pod kolejkę, bo znajdą cię dopiero na wiosnę. Jedź za mną; ruszył i znika w mgle. Ja jadę, lecz nic nie widzę. Trawersuję stok, który robi się coraz bardziej stromy. Usiłuję się zatrzymać. Upadłem i potoczyłem się po śniegu. Dobrze, że nie poodpadały mi narty. Zamieć natychmiast zasypała moje ślady i nie wiem, gdzie jestem. Próbuję wołać Heńka, a tu tylko świst wiatru. Coś trzeba robić, mam stracha.

Zaczynam trawersować zbocze w przeciwną stronę. Boję się, że wpadnę w kocioł Kasprowego. Nagle we mgle zobaczyłem tyczki. Odetchnąłem z ulgą. Zacząłem się ich trzymać i nareszcie zjechałem do kotła. Jak się okazało, pojechałem aż pod Liliowe. W taką pogodę nie powinni jeździć w góry ci, co dobrze ich nie znają. Stąd te częste wypadki. Heniek czekał na mnie zdenerwowany na dole. Jak poznałem trasę, to po parę razy nawet w taką

pogodę zjeżdżałem z Kasprowego do Kuźnic i nie robiło to na mnie już większego wrażenia. W Zakopanym nie podobało mi się tylko to, że o 5 rano trzeba było wstawać. Inaczej nie dostało się miejscówek na kolejkę.

Rodzice prowadzili dom otwarty. Bywało u nas bardzo wiele osób. Obchodziło się różne imprezy i nie tylko rodzinne. Na niedzielę i święta zjeżdżali Piotrowscy. Ciocia Jasia i wujek Antek; byli przemyłymi ludźmi. Wuj cytował Boya i zawsze był uśmiechnięty. Ojciec lubił na głos czytać Wiecha. Bywali u nas Wodiczkwowie, Szańkowscy, pani Tosia Klatczyńska z Lodzią, Henke. Na lato przyjeżdżała ciocia Zosia Bartoszewiczowa. Na imieniny wpadali Kamińscy. Do Wołomina wprowadziła się babcia Zarudzka i ciocia Zosia Wiązkowa. Bywała też jej córka Hanka z Januszkiem i wiele innych osób. Tadeusz przyjeżdżał rzadko i tylko na święta.

W domu u państwa Skrodzkich mieszkała bardzo przystojna i sympatyczna pani Maria Karnecka. Wyglądała na dystygowaną damę, lecz już nie pierwszej młodości. Ojciec mój dowiedział się, że poszukuje pracy. Ministerstwo, gdzie był zatrudniony, otwierało sanatorium w Janowicach Wielkich koło Jeleniej Góry. Potrzebny był kierownik. Zaproponował więc to stanowisko pani Marii. Bardzo się z propozycji ucieszyła. W związku z tym, musiała napisać podanie i życiorys. Następnego dnia ojciec już go dostał. Czytając mówił, jak ładnie jest napisany. Zachwył zmalął, gdy zobaczył podpis. Był to jakiś wycierany kulfon. Prosił o przepisanie, gdyż tak oddać nie można. Okazało się, że pani Maria jest analfabatką, a pismo napisała Tereska. Pani Maria usiłowała się tylko podpisać i to bez rezultatu. Szczęście, że wyszło to na początku. Jak mogła być kierowniczką dużego sanatorium osoba nie umiejąca ani czytać, ani pisać?

Dzięki protekcji dostała tam w końcu pracę, lecz nie w charakterze kierownika, a kucharki. Byłaby to kompromitacja mojego ojca, gdyby na to poważne stanowisko polecił analfabeta. Po jej powrocie do Wołomina rodzice próbowali ją uczyć czytać, lecz nic z tego nie wyszło. W pociągu, którym jeździła do pracy, miała zawsze z sobą książkę, z którą się nie rozstała i udawała, że ją czyta. To jej imponowało. Była więc kobietą ambitną. Pracując w stołówkowej kuchni nie miała się specjalnie czym chwalić. Jak głosiła fama, przed wojną trudniła się najstarszym zawodem świata, a wyglądała na dystygowaną damę.

## Kłopoty z Urzędem Bezpieczeństwa

Tej instytucji nie darzyłem sympatią i jej się bałem. Od samego powstania wchodził w jej skład najgorszy element. Podobnie jak i MO urząd ten w okresie tworzenia zatrudniał w swoich szeregach wielu przedwojennych kryminalistów. Mając broń i poparcie władzy byli zupełnie bezkarni. UB powstało na wzorach i pod nadzorem NKWD, z którą ściśle współpracowało. W metodach działania instytucja ta nie była dużo lepsza od okupantów i często godnie ich zastępowała. Służb tych obawiałem się nie tylko w okresie moich związków z podziemiem, lecz i po ujawnieniu się, mimo że amnestia miała gwarantować puszczenie w niepamięć wszelką działalność, którą władza uważała za przestępczą. Często tak nie było. Wielokrotnie miały miejsca aresztowania amnestiowanych pod spreparowanymi zarzutami. Tak było i z moim kuzynem, Januszem Kamińskim.

Pierwsze nie mile zetknięcie z UB miałem w 1945 r. Wracałem z Garwolina do Leszczyn. Ze mną szedł Janusz Kuczkowski (późniejszy korespondentem PAPu w Bonn) i jeszcze parę osób, których nazwisk już nie pamiętam. Na drodze, bez żadnej przyczyny, zatrzymał nas jakiś pijany oficer i zaczął legitymować. Często w tym czasie oficerami byli ludzie mianowani z awansu społecznego. Obowiązywała zasada „Nie matura, a chęć szczerą, zrobi z Ciebie oficera”. Następnie ten przedstawiciel władzy ludowej wyjął pistolet i powiedział, że nas aresztuje, gdyż jesteśmy bandytami.

Prowadził nas cały czas pod bronią, wymyślał i groził pistoletem. Przeprowadził nas do gmachu starostwa, gdzie w tym czasie mieściło się UB. Wymyślał od bandytów, z którymi nareszcie trzeba zrobić porządek. Przykładał nam broń do głowy żądając natychmiastowego przyznania się do winy, bo inaczej zastrzeli. Dopiero jakiś inny oficer z tej samej instytucji, lecz wyższy stopniem, przyszedł i posłuchał bełkotu swego kolegi. Po zadaniu paru pytań i niemożności dogadania się z przesłuchującym nas funkcjonariuszem doszedł do wniosku, że zatrzymani jesteśmy bezpodstawnie i nas wypuścił. Nie było tu żadnych powodów do zatrzymania i takich gróźb. Co by było, gdyby takie były?

W tym czasie bardzo głośną była sprawa działalności UB w Grójcu. Stosując metody hitlerowskie Urząd ten mający kłopoty z podziemiem wziął bogu ducha winnych zakładników, których następnie rozstrzelał. Wśród

nich był ojca znajomy, nauczyciel gimnazjalny. Miał on szczęście, gdyż został tylko ranny w głowę. Oprawcy wraz z innymi zabitymi płytko go w lesie pochowali. Jak odzyskał przytomność, sam się z ziemi wygrzebał, a ludzie którzy go znaleźli, okazali mu pomoc. Przez dłuższy czas musiał się jednak ukrywać, gdyż po tym zdarzeniu był przez UB energicznie poszukiwany. Ojciec spotkał go w Warszawie i on sam mu to opowiadał. Na ten temat pisał też Józef Światło.

Po amnestii z 1947 r. czułem się inwigilowany, na co miałem dowody. Często korespondencja przychodziła z dużymi opóźnieniami, a wygląd ko-pert świadczył o ich otwieraniu. Zaprzyjaźnionych z nami sąsiadów, państwa Skrodzkich, parokrotnie wzywano w Wołominie na UB. Chodziło o informację o mojej osobie. Wiedziano, że sąsiedzi o tym mnie powiadomią. Byłem obserwowany, czy po tym fakcie nie zniknę z domu? Dałoby to pretekst do aresztowania.

Podczas prac terenowych w 1949 r. byłem wielokrotnie legitymowany przez Milicję. Raz w lesie koło Mroczkowa wpadłem na obławę urządzoną za grasującym od wojny partyzancie o pseudonimie „Drągal”. Długo musiałem stać z rękoma podniesionymi do góry dopóki nie stwierdzono, że nie jestem tym, którego szukają. W radomskiej restauracji „Europa” tajniak z UB próbował mnie i kierowcę aresztować pod pretekstem podsłuchanej rozmowy, mającej świadczyć o obrażaniu partii i naszym wrogim nastawieniu do władz. Miałem jednak mocne dokumenty i samochód, który w tym czasie był symbolem władzy. Bez tych atrybutów byłoby kiepsko. Musiałem w tym czasie bardzo uważać, co się mówi i do kogo, oraz pilnować spraw meldunkowych, by nie mieć dalszych kłopotów z władzą..

Jeden z takich nieprzyjemnych epizodów związanych ze służbami bezpieczeństwa miał miejsce gdzieś koło roku 1952. Dokładniej daty nie pamiętam. Do Wołomina przyjechali na urlop wujostwo Wodiczkwowie, mieszkający w Bydgoszczy. Zatrzymali się w domu matki wuja. Była z nimi również ich córka Marysia. Wybrali się do opery. Towarzyszył im narzeczony Marysi, kapitan Zbyszek Szańkowski. Wiedziałem, że wrócą późno, więc zaproponowałem, by Zbyszek nie wracał do Warszawy, a spał w moim mieszkaniu w Wołominie.

Wieczorem poszedłem sprawdzić, czy już z teatru przyjechali. Jeśli ich nie będzie, to przekazać, że czekam. Podchodzę pod dom. Widzę światła w

poкою. Pomyślałem, już pewno wrócili. Pukam do drzwi. Otwiera mi matka wuja i informuje, że jeszcze ich nie ma. Ze zdziwieniem widzę w korytarzu dwóch nieznanych mi ludzi siedzących na krzesłach. Za sobą słyszę kroki i głos wzywający mnie, bym wszedł do środka. Nie wiem, kto mnie tak zaprasza, lecz wchodzę. Gość stojący za mną zamyka drzwi i prosi o dokumenty. Równocześnie informuje, że jest z Urzędu Bezpieczeństwa.

Wyciągam dowód osobisty. Pada pytanie, kto ja jestem? i kto jest dla mnie Eugeniusz Wodiczko?. Następne pytanie, gdzie on jest? Odpowiadam, gdzie jest w tej chwili, tego nie wiem. Sam na niego czekam. Poinformowano, że nie mogą mnie wypuścić. Mam wziąć krzesło i czekać w przedpokoju. Co mam robić? Tu dyskusji nie ma, siadam i czekam. Ciska absolutna, nikt nic nie mówi. Tylko mnie obserwują. Bardzo to było denerwujące. Trafiałem w tak zwany policyjny kocioł. Po jakiejś godzinie oczekiwania w milczeniu, gdzieś po 22, słychać kroki i rozmowy. Rodzina wraca z teatru. Zaskoczeni są tym, co zastają w domu. Wujowi ubowcy pokazują nakaz aresztowania. Mnie polecają zostać i uczestniczyć jako świadek przy rewizji. Zwolniony będę dopiero po podpisaniu protokołu i zabranii aresztowanego.

Zaczyna się rewizja. Ciocia histeryzuje. Wuj siada do fortepianu i zaczyna grać; miał duży talent muzyczny. Widać było, że też mu nerwy puszczała. Jego brat, Bohdan Wodiczko, był słynnym dyrygentem i dyrektorem opery. Ubowcy przeglądają szafy i bibliotekę. Doczepiają się do zdjęć, które tam znaleźli. Były to fotografie lokomotyw i torów. Wuj był inżynierem kolejowym i dyrektorem zakładów napraw lokomotyw w Bydgoszczy. Zdjęcia zabierają; mogą służyć jako dowód wrogiej działalności. Marysia się wścieka, gdy zaczynają czytać miłosne listy, jakie dostawała od swego narzeczonego. W nich też szukają, czy nie ma jakiś dowodów winy ojca. Rewizja trwa całą noc. Nad ranem ciocia przygotowuje jedzenie. Nikt z nas nie mógł nic ruszyć. Wuj tylko spokojnie jadł. Powiedział: „Trzeba się najeść, bo kiedy będzie następny posiłek, tego nikt nie wie.” Jego zewnętrzny spokój był imponujący. Ubowcy prosili tylko o herbatę. Próbowali uspokajać, że to tylko chwilowe zatrzymanie. Na miejscu w Bydgoszczy wszystko się wyjaśni. Przed ich wyjściem musialem podpisać protokół z rewizji.

Wuja zabrano samochodem na Dworzec Główny w Warszawie. Tam wsiedli razem do pociągu. Jego sprawę prowadziła Bydgoszcz. W trakcie jazdy zostawiali go samego w przedziale. Przypuszczalnie liczyli, że będzie

chciał uciekać. To byłby dowód winy. Nie dał się jednak na to nabrać. Nie pamiętam, ile w sumie siedział, lecz było to około 2 lat. Oskarżano go o szpiegostwo na rzecz USA i Niemiec. Zarzucano niszczenie lokomotyw tak potrzebnych dla gospodarki. Nie brano pod uwagę, że kasowane były tylko przeznaczone na złom, zgodnie z zarządzeniem ministerstwa. Szczęściem, że w miarę czasie zmarł Stalin. W związku z tym następowała stopniowa odwilż polityczna. Gdyby nie to, pewno przyznałby się do spreparowanych zarzutów. Urząd ten miał na to sposoby. W końcu zamknięto dochodzenie i doprowadzono do pokazowego procesu, jeszcze przed dojściem Gomułki do władzy. Jednak z braku dowodów sąd go uniewinnił.

Wuj, jako jedyny w rodzinie, należał do PPR. Był bardzo lojalny do nowych władz i to mu nic nie pomogło. Pamiętam, że z moim ojcem dochodziło często do różnicy zdań na tym tle. Jak wuję aresztowali, to od razu zabrano mu legitymację partyjną. Po wyjściu z więzienia chciano mu ją oddać, lecz on odmówił. Nie wrócił już do zakładów remontowych w Bydgoszczy, a rozpoczął pracę w Ministerstwie Kolei w Warszawie. Wuj Wodiczko, będąc jeszcze uczniem w szkole średniej, w 1920 roku na ochotnika wstąpił do wojska, gdy front był pod Warszawą. Podczas walk został ranny w nogę i trafił do wojskowego szpitala. Śledczy prowadzący jego sprawę do tego się również doczepiali. Dlaczego na ochotnika zgłosił się, by walczyć z Bolszewikami. Tłumaczył, że kraj jego był zagrożony i jego obowiązkiem było tak postąpić. Widząc niedorzeczność tych oskarżeń w końcu śledczy punkt ten wycofali. Taka to była wolna ojczyzna, gdzie za jej obronę chciało nie nagradzać, a karać.

Wuj opowiadał, że podczas ataku na pozycje nieprzyjaciela jego oddział dostał się pod silny ogień karabinów maszynowych. By się ukryć wcisnął się w bruzdy rosnących kartofli. Widząc, że kule coraz bliżej tną maskujące go rośliny, tułąc się do ziemi odsłonił nogę, w którą został trafiony. Nie przypuszczał, że rana ta będzie jeszcze po latach przedmiotem ataków nie Rosjan, a następców, sługusów Bolszewików.

Rozpoczynając w 1949 r. pracę w Państwowym Instytucie Geologicznym musiałem wypełnić ankietę personalną. Był to dokument, do którego władza przykładła wielką wagę. Wiedziałem, że amnestionowani często mieli trudności ze znalezieniem zatrudnienia i byli w pracy dyskryminowani. Nie wspominałem więc tam o moich związkach z AK i WiN. Bałem się, że jak

napiszę prawdę, to nie otrzymam wymarzonej pracy. Nie sądziłem, by sprawa ta kiedykolwiek wyszła na jaw. W tym czasie interesowałem się wyłącznie geologią. Nie angażowałem się w żadną politykę, czego więc miałem się bać? Optymizm mój nie był jednak uzasadniony.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było. Najprawdopodobniej pod koniec 1953 r. Pracowałem w swoim pokoju, gdy na biurku zadzwonił telefon. Jakiś nieznany mi głos wymienił moje nazwisko. Przedstawiłem się i zapytałem, z kim mówię? Usłyszałem wtedy, że jego nazwisko mnie nic nie powie. Prosił natomiast, bym zaraz zszedł do holu w gmachu A. Ki diabeł? pomyślałem. Schodzę, a tam czeka jakiś nieznajomy. Przedstawia się, że jest z Urzędu Bezpieczeństwa i mówi: „Chcemy z wami porozmawiać.” Ciarki przeszły mi po plecach.

Pytam się więc, o co chodzi? Słyszę odpowiedź: „Przecież wiecie, co nas interesuje.” Naiwnie odpowiadam, że nie wiem. Nieznajomy mówi, że tu nie jest miejsce na taką rozmowę. Niedobrze, by nas razem widziano. Zapraszam więc do mego pokoju. To nie jest dobra myśl, słyszę odpowiedź. Nie siedzicie sami i podaje mi nazwisko Andrzeja Błaszkwicza, z kim obecnie dzielę pokój. Proponuję więc kawiarnię; to znowu mu się nie podoba. W takim razie proszę do domu. Gość odpowiada: „Do Wołomina daleko, tam nie warto jechać.” Widzę, że wie wszystko o mnie.

Znowu zadaję pytanie: „Co chce wiedzieć?” Odpowiada: „To, co nas interesuje, to dobrze znacie.” Chwila ciszy i pada następująca propozycja: „Dzisiaj jest poniedziałek, spotkajmy się za tydzień. Macie więc dużo czasu wszystko przemyśleć. W poniedziałek przedzwonię do was punkt o 11. Macie być w tym czasie w pokoju. Wtedy umówimy się, co do miejsca spotkania. Telefonicznie podam wam numer rejestracyjny samochodu, do którego wsiądziecie. Wtedy wszystko wyjaśnimy”. Następnie poinformował mnie, że o naszych kontaktach i rozmowach absolutnie nikt nie może wiedzieć. To jest ściśle tajnie. Gdy będziecie wychodzić z Instytutu, to macie się wpisać do zeszytu - wyjście służbowe na Uniwersytet. To upewniło mnie, że wie o nas wszystko. Na zakończenie dodaje: „Wyglądacie na zdenerwowanego, jaki jest tego powód?”

Byłem przerażony. Nie wiedziałem, co robić. Tydzień, to jest strasznie długo. Chciałbym być już po spotkaniu i mieć to z głowy. Co mogą chcieć ode mnie? Do domu boję się wracać. Rodziców nie chcę w to wtajemniczać.

Po co mają się denerwować. Muszę z kimś na ten temat porozmawiać i się poradzić. Wiem, że mi tego nie wolno zrobić, lecz strach jest silniejszy. Postanowiłem pójść z tym do mojego kolegi z pracy, Mariana Sałdana. W tym czasie, o ile pamiętam, był on I sekretarzem partii. Ma dużo doświadczenia i jest życzliwy. Byłem z nim zaprzyjaźniony.

Z Marianem spotkaliśmy się po pracy. Idąc z nim ulicą opowiedziałem całe zajście i radziłem, jak mam się zachować? Marian zapytał, czy widziałem legitymację tego funkcjonariusza? Odpowiedziałem przecząco. „To źle. Może się ktoś podszywać, by wyciągnąć informacje.” Powiedział następnie, że spróbuje się na ten temat coś dowiedzieć. Mnie natomiast proponuje, że jeśli się boję aresztowania, to mam sypiać u niego w mieszkaniu na Starym Mieście. Tak też zrobiłem. Jego żona, Bronia, serdecznie mnie przyjęła. Dziwne to były czasy; chowałem się przed UB w mieszkaniu sekretarza partii. Parę dni później Marian powiedział, że skontaktował się w tej sprawie z dyrektorem Iwaszewskim. Jest on powiązany z resortem spraw wewnętrznych. Przekazał on, że mam wykonać wszystko to, co mi zleca.

Przyszedł następny poniedziałek, którego tak się bałem. Punkt 11, telefon zadzwonił. Dostałem polecenie, bym za 15 minut był na rogu Wiśniowej i Narbutta. Podjedzie tam samochód „warszawa” i się zatrzyma. Następnie poda numer rejestracyjny wozu, do którego mam wsiąść. Z duszą na ramieniu poszedłem. Rzeczywiście, w wyznaczonym terminie podjechał samochód i zatrzymał się 20 m od rogu. Numer rejestracyjny zgadza się. Z boku okien są firanki, nie widać, kto tam siedzi w środku. Słyszałem, że UB ma takie samochody. Co robić, z bijącym sercem wsiadam. Widzę tego osobnika, co się ze mną kontaktował. Widzę jeszcze jakiś dwóch nieznanomych i kierowcę. Jeden z nich, o bardzo semickim wyglądzie.

Samochód rusza. Cisza, nikt się nie odzywa. Po dłuższej chwili pytam się, gdzie jedziemy? Słyszę odpowiedź: „Na spacer, tak przejechać się. Czy to nie przyjemne?” Ten, którego wcześniej poznałem, zaczyna mówić o pogodzie, jaka jest teraz paskudna. Do tego tematu włączają się inni. Ja się nie odzywam. Dojechaliśmy do Wyścigów na Służewcu. Samochód zakręca i wracamy Puławską do Centrum. Rozmowa w dalszym ciągu o pogodzie. Decyduję się po raz wtóry zapytać, dokąd jedziemy i o co chodzi? Słyszę odpowiedź: „Wygląda, że jesteście podenerwowani; to my się pytamy, dlaczego? Przecież przyjemnie jeździmy i rozmawiamy. Powinniście się cie-

szyc, a nie denerwować.”

Minęliśmy Centrum i jedziemy na Żoliborz. Na rondzie Komuny Paryskiej zakręcamy i wracamy znów do Centrum. Zupełnie nie wiem, o co chodzi. Miasto dobrze znam, więc wiem gdzie jestem. Rozmowa dalej o pogodzie. Tak dojechaliśmy do Placu Powstańców. Wsiadamy, samochód odjeżdża, a mnie prowadzą do Hotelu Warszawa. Za pokazaniem legitymacji na portierni moi opiekunowie dostają klucz od kawalerki.

Wchodzimy, wskazują mi miejsce, gdzie mam usiąść. Oni siadają naprzeciwko. Nikt się nie odzywa. Baczenie natomiast mi się przyglądają. Ciesza ta trwa dłuższą chwilę. Nie wytrzymuję. Pytam się, o czym mamy rozmawiać? Słyszę odpowiedź: „Co jesteście tacy podenerwowani? Kto ma czyste sumienie, nie musi się niczego bać.” Nie wiem, co mam powiedzieć. Jestem roztrzęsiony. Najstarszy z nich pyta się „Kto wie o naszym tu spotkaniu?” Odpowiadam, że nikt. Dłuższe milczenie i znów pytanie: „Na pewno?” Potwierdzam. Ten o semickich rysach mówi: „Nie jest dobrze, jeśli nie możemy mieć do siebie zaufania.” Ja znów potwierdzam, naprawdę nikt. Widzę, że coś się za tym kryje.

Następne pytanie. „Czy w waszej ankiecie personalnej złożonej w Instytucie, jest wszystko w porządku?” Teraz już wiem, o co chodzi. Nie napisałem o moich związkach z AK i WiN. Z lękiem odpowiadam, że niezupełnie. Nie żądają wyjaśnień, czyli wiedzą. Słyszę tylko: „Za nieprawdziwe dane wprowadzające władzę w błąd, przewidziana jest kara 5 lat więzienia.” Co mam mówić? Milczę Mają mnie w rękach. Znowu wracają do tego samego pytania: „Kto wie o naszym tu spotkaniu?” Z przekonaniem odpowiadam, że nikt. Znowu cisza i baczenie przyglądają się mojej twarzy.

Nareszcie się wyjaśnia: „A inż. Saldan?” Zaczynam głupio tłumaczyć. Jest on sekretarzem partii w Instytucie i powinien chyba o tym wiedzieć? Teraz słyszę: „Partia nami nie rządzi i my nie musimy się nikomu tłumaczyć.” Znowu pouczenie: „Prosililiśmy, by nikt o tym nie wiedział. Kto wie więcej?” Znowu odpowiadam, że nikt. Teraz pytają o dyrektora Iwaszewskiego. Zaprzeczam, bym kiedykolwiek z nim rozmawiał. Słyszę: „On też wie, a miał nikt nie wiedzieć. Wystarczy nierozważnie jednej osobie zdradzić tajemnicę, a za chwilę wiedzą wszyscy.” Teraz już wiem; przecież Saldan z nim na ten temat rozmawiał. Znowu wyszło głupio. Następnie usłyszałem, że Polska Ludowa pozwoliła na moje kształcenie, a ja jestem nie-

wdzięczny i z władzą nie chcę współpracować. Co miałem mówić, milczałem. Jeszcze raz mnie pouczono. „Wszystko, o czym tu mówimy, jest ściśle tajne. Jeśli się znów wygadam, nie będzie pobłażania.”

Przystępują nareszcie do konkretów. Są zaniepokojeni wynikami prac dokumentacyjnych fosforytów w Polsce. To jest surowiec strategiczny, chodzi tu o uran. Z fosforytami wiązano nadzieje na pozyskiwanie tego ważnego w okresie zimnej wojny pierwiastka – broń atomowa. Podejrzewają, że ma tu miejsce sabotaż. Żądają, bym im w tym pomógł. Co miałem robić? Wyraziłem zgodę. Oświadczyłem, że w sprawach geologii jestem do ich dyspozycji. Mają mnie w rękę. Inaczej nie mogłem nic zrobić. Tu nie było żartów. Odmowa, to nie tylko wyrzucenie z Instytutu, ale i kryminal.

Otrzymałem polecenie. Miałem na piśmie podać zakres prowadzonych dokumentacyjnych prac. Interesowała ich ilość aparatów wiertniczych, metraż wierceń i wykonywane analizy chemiczne, petrograficzne i mikropaleontologiczne. Te wszystkie rzeczy znałem. Dziwiłem się. Przecież mogli to uzyskać drogą oficjalną z Instytutu, a nie przeze mnie. Okazuje się, że już dane te dawno mieli. Chodziło teraz o porównanie, czy gdzieś nie kryją się jakieś rozbieżności. Dano mi krótki czas, w którym musiałem to wykonać. Otrzymałem adres, na który miałem przekazywać zlecone mi informacje. Byłem tym wszystkim zdruzgotany.

Podczas następnego spotkania, po przekazaniu żądanych materiałów, powiadomiono mnie, że chodzi im teraz o charakterystykę personalną. Prof. W. Pożaryskiego. Poinformowano, że jest to człowiek obcy klasowo, którego podejrzewają o sabotaż. Profesor opracował bowiem założenia poszukiwań fosforytów w Polsce. Mógł je tak ustawić, by nie uzyskać efektu. Wtedy zrozumiałem, dlaczego odsunięto go od prac dokumentacyjnych. Dostałem polecenie zrobienia krytycznej analizy projektu badań, który był podstawą prac poszukiwawczo - dokumentacyjnych. Tu miałem trudne zadanie. Każda uwaga mogła być przyczyną kłopotów profesora, do którego miałem duży szacunek. Jak z tego wybrnąć? Znalazłem jednak sposób.

Zrobiłem to, czego mi nie wolno było zrobić. Poszedłem do prof. Pożaryskiego i powiedziałem wszystko. Prosiłem, by sam przygotował takie opracowanie, gdzie dokładnie uzasadni założenia projektu. Na jego prośbę dostarczyłem wszystkie potrzebne mu informacje, łącznie z najnowszymi wynikami prac. Te ostatnie otrzymałem od mgr Janusza Uberny, którego

również w to wtajemniczyłem. Następnie wspólnie opracowaliśmy szczegółowy elaborat, gdzie wszystkie niejasności zostały omówione. Po przepisaniu moją ręką i podpisaniu, przekazałem to resortowi. Nie byli zadowoleni z opracowania. Brak było tam podstaw do oskarżenia kogokolwiek. Jak się zorientowaliśmy, podobne opracowania złożyły i inne osoby, a między innymi kierowniczką sekcji fosforytowej, mgr Maria Lazarek. Za mierny wynik prac dokumentacyjnych usiłowała ona obciążyć winą profesora Pożaryskiego. Stąd się to więc zaczęło.

W raporcie, który firmowałem, sprawa stała się jasna. Wina leżała nie w rękach wykonawców, a decydentów. To jest ludzi, którzy bez pełnego rozoznania wartości złoża i warunków geologicznych nakazali kosztowne dokumentowanie w kategoriach C1 i B, a temat „fosforyty” objęli Uchwałą Rządu. Tym prominentnym osobom niewiedza i nieudolność nie mogła zaszkodzić. Byli ponad wszelkimi podejrzeniami o szkodliwą działalność. Dla profesora Pożaryskiego mogła być to kłęska, zakończona wyrokiem skazującym, podciągniętym pod sabotaż i szpiegostwo. W tym czasie prof. Antoni Łaszkiwicz z Uniwersytetu Warszawskiego przesiedział 8 lat w więzieniu bez wyroku sądowego, tylko za kontakty filatelistyczne.

Takie rozwiązanie sprawy fosforytów nie zadowoliło Urzędu. Wiedzianno, że nie jestem po ich stronie. Nie wyszukiwałem dziury w całym, a odwrotnie, widziałem pozytywy. Dostałem jeszcze parę poleceń, z których również źle się wywiązałem. Stałem się więc niepotrzebny i o to mi chodziło. Wymuszone kontakty z tą instytucją kosztowały mnie dużo zdrowia, lecz dały też i pewną satysfakcję. Na pewno profesorowi Pożaryskiemu zaoszczędziłem dużo przykrości. Uzyskałem jego wdzięczność i od tej pory związany byłem z nim więzami wielkiej przyjaźni. To był definitywny koniec kontaktów i kłopotów z tą straszną instytucją.

Od dyrektora Czerwińskiego dowiedziałem, się, że ten pracownik UB mający nadzór nad Instytutem i który mnie inwigilował, nazywał się Mateja. Po dojściu do władzy Gomółki został za jakiś nadużycia ubowskie aresztowany. Jak podawał Kubica, który miał z nim również do czynienia, po wyjściu z więzienia zaraz zmarł. Ci ludzie z aparatu terroru nie potrafili już żyć inaczej.

## Związki z geologią- studia i koledzy.

O geologii nie wiedziałem prawie nic. To, czego uczono przed geografiami fizyczną, wstęp do geologii, było dla mnie strasznie nudne. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie to moją pasją. Pierwsze związki z tą dyscypliną nauk pośrednio wiążą się jeszcze z liceum Władysława IV w Warszawie. Był tam bardzo wysoki poziom matematyki, z którym nie bardzo dawałem sobie radę. Następnym roku, to klasa maturalna. Byłem wystraszony. Postanowiłem zmienić liceum na inny profil i przenieść się tam, gdzie poziom matematyki będzie znacznie niższy. To zadecydowało o mojej dalszej przyszłości.

Przeniósłem się, więc do liceum A. Mickiewicza, do klasy przyrodniczej. Mieściło się ono na Saskiej Kępie. Musiałem jedynie zdać dodatkowo geografii, biologię i chemię. Matematyka była tam na moim poziomie, więc nie miałem już z nią specjalnych kłopotów. W tym czasie do programów szkół o typie przyrodniczym wprowadzona została geologia. Podręcznik opracował późniejszy mój profesor, Jan Samsonowicz. Książkę tę potocznie nazywaliśmy „Małym Samsonowiczem”, by ją odróżnić od wcześniejszego dorobku profesora. Geologię wykladał u nas młody geograf, Tadeusz Szczepanik. Przedmiotem potrafił tak zainteresować, że z przyjemnością jego wykładów słuchano. Któregoś dnia w klasie powiedziałem, że przedmiot ten jest bardzo ciekawy. Wtedy jeden z kolegów pożyczył mi książkę prof. E. Stenza pod tytułem „Ziemia”. Dotyczyła fizyki ziemi. Zrobiła ona na mnie wielkie wrażenie. To spowodowało, że zacząłem po księgarniach szukać różnych popularnych wydawnictw z serii nauk o ziemi. Czym więcej na ten temat czytałem, tym bardziej byłem tym tematem zainteresowany.

Od tej pory nie miałem już wątpliwości, co chcę studiować. Jak powiedziałem to rodzicom, wpadli w przerażenie. Dla mnie wybrali już dawno zawód. Miałem być prawnikiem i to adwokatem. Jeszcze by się godzili na lekarza, lecz geologiem? Z czego będę żył? Mój przyjaciel Henryk wybierał się na politechnikę. Namawiał, bym i ja tam składał papiery. Obiecywał pomoc z matematyki. To mnie jednak nie ciągnęło. Wcześniej myślałem o wojsku. Byłem pokoleniem wojennym i wojsko mi imponowało. Było to jednak dla mnie niemożliwe. Medycyna, jak zwykle, była bardzo obstawiona. Bez poparcia ZMP o dostaniu się na studia nie było co marzyć.

W maju 1948 r., po zdaniu matury, złożyłem dokumenty na Uniwersytet

Warszawski i po zdaniu egzaminów wstępnych zostałem przyjęty na geologię. Krok ten dał początek całej linii geologów w mojej rodzinie. Ja byłem pierwszy. Chcąc się czegoś bliższego dowiedzieć wybrałem się z poznaną koleżanką, Alusią Borkowską, do Zakładu Geologii. Mieścił się on w tym czasie w gmachu Chemii przy ulicy Pasteura na Ochocie. Przyjęli nas tam asystenci, mgr. W.C. Kowalski i mgr. H. Makowski. Oprowadzili po zakładzie i przedstawili prof. J. Samsonowiczowi. To z jego podręcznika uczyłem się geologii w liceum. Poznaliśmy wtedy również i sławę w skali światowej, paleontologa, prof. R. Kozłowskiego. Byliśmy bardzo zaszczyceni i ujęci ich uprzejmością.

Nasz rok nie był liczny. Bardzo szybko nawiązaliśmy przyjaźnię. Był to ostatni rok nauczania według programu przedwojennego. Nawet indeksy otrzymaliśmy przedwojenne, z pierwszą stroną w języku łacińskim. Nie obowiązywała nas wprowadzana wtedy dyscyplina studiów. Nie było sprawdzanych list obecności na wykładach. Na początku otrzymaliśmy przygotowany dla nas program obowiązkowych wykładów, egzaminów, seminariów, pracowni i ćwiczeń. Każdy wiedział, jakie należało zdać egzaminy i kolokwia, by uzyskać absolutorium. Kolejność mógł wybrać sam zainteresowany. Był to okres bliskich więzów profesorów ze studentami. Kadra naukowa doskonale nas znała. W Zakładzie byliśmy ciągłymi gośćmi. Z każdą sprawą można było zawsze przyjść na dyskusję. Na każde pytania otrzymywaliśmy wyczerpujące odpowiedzi. Nasz rok dopędził inne wcześniejsze lata. To znaczy te osoby, co zaczynały studia jeszcze przed wojną, lub zaraz po jej zakończeniu.

Studia geologiczne należały do bardzo przyjemnych. Geologii nie można się uczyć tylko z podręczników. Potrzebne są zajęcia terenowe, których mieliśmy bardzo dużo. Częste wyjazdy w zaprzyjaźnionym gronie były wielką atrakcją. Zajęcia w Górach Świętokrzyskich, Karpatach, Tatrach, Sudetach, czy innych regionach, były czymś zupełnie normalnym. Byliśmy młodzi i pełni zapału. Był to jeden z najpiękniejszych okresów naszego życia. W 1952 roku zakończyłem studia z tytułem magistra filozofii z zakresu dwóch specjalności: geologii i paleontologii. O przyszłość nie musiałem się troszczyć. Od 1949 roku pracowałem już na etacie w Instytucie Geologicznym w Warszawie. Instytut automatycznie wyreklamował mnie z obowiązkowego nakazu pracy. Nie musiałem się obawiać, że nie znajdę zatrudnienia

w swoim fachu. Wiedziałem też, że nie będę skierowany daleko od Warszawy, na przykład, jako geolog kopalniany gdzieś na Dolny czy Górny Śląsk.

Z okresu studiów będę zawsze z serdecznością wspominał nasze koleżanki i kolegów. Było nas mało, mogliśmy się dobrze poznać i z wieloma żyć. Zajęcia terenowe bardzo temu sprzyjały. W sumie, w 1952 r., łącznie ze starszymi rocznikami i przeniesionymi z innych uniwersytetów, zakończyło studia niewielka ilość osób. Pełen spis absolwentów opublikowany został w Księdze Pamiątkowej Wydziału Geologii UW. Na naszym roku, jak wspominałem wcześniej, panowała atmosfera przyjaźni i koleżeńskości. Pasją była geologia. Może się wydawać dziwnym, co w takim razie można po latach wspominać? Były jednak pewne wyjątki.

Jednym z pierwszych kolegów, których na uczelni poznałem, był Śniegocki. Imienia jego nie pamiętam. Chwalił się nam, pierwszacom, że jest już na III roku studiów. Patrzyliśmy na niego z podziwem, jako na człowieka pełnego wiedzy, której mu zazdrościliśmy. Podczas następnych lat zaczęliśmy go dopęczać. Gdy otrzymywałem absolutorium, to już go na studiach nie było. Został wyrzucony z Uniwersytetu za brak postępu w nauce. Czyli zazdrość moja w stosunku do niego była przedwczesna.

Na specjalną uwagę zasługiwał właściwie tylko jeden z naszych kolegów. Pamięci jego chciałem poświęcić część tego opracowania. Był bowiem, w odróżnieniu od innych, postacią nieprzeciętną. Niestety, nie w wymiarze przykładu. W latach pięćdziesiątych był bardzo popularny na Wydziale Geologii. Krążyły o nim całe legendy. Teraz już zapomniane, a nazwisko jego znane jest tylko najstarszemu pokoleniu. Andrzej Wyrzykowski, bo to o nim mowa, był jakby żywcem wzięty z opowiadań Wiecha. Wszystko co tu o nim napisałem, jest prawdą. Tylko sam opis zdarzeń może być nieco podkoloryzowany. W takiej jednak formie nam to przedstawiał. Nie wiem, czy dzisiaj znajdzie się wielu ludzi o podobnym uroku i fantazji. Zamieszczam tu tylko część z zasłyszanych jego przygód. Niestety, większość z nich wymazał czas z mojej pamięci.

## Z życia Andrzeja Wyrzykowskiego Wycieczka do Kazimierza

Andrzej należał do najbardziej barwnych postaci naszego roku. Przyszedł on do nas na jesieni 1949 r., gdy zaczynaliśmy drugi rok studiów. Przeniósł się z Leśnictwa, gdzie wcześniej studiował na SGGW. Miał tam jakieś kłopoty i wołał zmienić kierunek na geologię. Niestety, studiów tych też nie ukończył, lecz przez pewien czas razem z nami uczył na wykłady i ćwiczenia. Andrzej był wysokim, przystojnym młodym człowiekiem, nadzwyczaj sympatycznym i koleżeńskim. Dusza każdego spotkania. Matka jego, z domu Kwiek, była z królewskiego rodu cygańskiego. Ojciec był legionistą. Urodę Andrzej wziął po matce. Miał wyraźne cygańskie rysy.

Jedynym jego mankamentem był alkohol. Lubił wypić. Rodzice jego, by utrzymać się podczas wojny, pędzili bimber na sprzedaż. Andrzej w tej produkcji pomagał i degustował. To zaowocowało nałogiem. Z początku nie nam wiedzieliśmy o jego skłonnościach. Zresztą to nam nie przeszkadzało. Każdy z nas w tym czasie dla szpanu lubił się napić, lub pochwalić piciem. Najważniejsze, Andrzej był koleżeński, wesoły i lubiany. Geologią, jak my wszyscy, bardzo się pasjonował. To nam zupełnie wystarczało, by go w pełni akceptować. Uroku dodawał mu jeszcze zgrabnie uszyty mundur leśnika, w którym zwykle chodził; pamiątka po studiach z SGGW.

Pierwsze moje bliższe zetknięcie i przyjaźń z Andrzejem nastąpiło zaraz na początku października 1949 r. Zakład Paleontologii UW zorganizował w ramach zajęć wycieczkę naukową do Kazimierza Dolnego. Zajęcia prowadziły asystentki zakładu. Dzisiaj o bardzo znanych nazwiskach. Wtedy jeszcze mgr Krystyna Pożaryska i mgr Zofia Kielan. Przejazd pociągiem do Puław, a dalej na nogach do Kazimierza. W trakcie 14 km marszu objaśniano nam budowę geologiczną przełomu Wisły. Wszyscy, łącznie z asystentkami, szliśmy piechotą. Jedynym wyjątkiem był Andrzej, który nie szedł, a jechał dorożką. Zamykał on nasz pochód. Koń wolno kłapał, a Andrzej rozparty wygodnie na tylnym siedzeniu podziwiał piękne widoki. Na pewno niewiele słyszał z objaśnień, lecz widział doskonale. Wykazał się tu kawalerską fantazją, na jaką nikogo nie było z nas stać i to nie tylko finansowo.

W Kazimierzu nie mieliśmy zamówionego hotelu. Był to okres trudny, zaraz powojenny. Wszystkiego brakowało, a najwięcej pieniędzy. Dlatego

nocleg przygotowany był w szkole. Tam na ziemi rozłożone były słomiane sienniki i koce przeznaczone do spania. Do Kazimierza dotarliśmy już po ciemku. Była to, bowiem druga połowa października. Każdy miał z sobą przywiezioną z domu wałówkę, nie zamawiano więc wspólnej kolacji. Na spanie było jeszcze za wcześnie. Siedzieliśmy więc na swoich siennikach i gadaliśmy. Sądziłem, że tak spędzę cały wieczór, los jednak chciał inaczej.

Andrzej zwrócił się do mnie z propozycją: „Stefan, co będziemy tu siedzieli po próżnicy? Jeszcze jest wcześniej. Idziemy obejrzeć Kazimierz i wpadniemy gdzieś na piwo.” Oświadczył, że dobrze zna to miejsce i chętnie mi je pokaże. Nie zdając sobie sprawy, z kim idę, chętnie się zgodziłem. Tym bardziej, że nie znałem Kazimierza, a o jego urokach dużo słyszałem. Po wyjściu okazało się, że Andrzej prowadzi nie na trasy wycieczkowe, a wprost do knajpy „U Barena”. Było tam dużo ludzi. Zaraz po wejściu Andrzej spotkał znajomych zoologów, robiących prace magisterskie w tym regionie. Miał on wielki talent do zawierania przyjaźni barowych. Zaraz zostaliśmy do ich stolika zaproszeni. Poszły w ruch butelki i zrobiło się bardzo wesoło.

Andrzej był duszą takich imprez. Nalewał, przepijał bruderszafty, opowiadał dowcipy i śpiewał niecenzuralne piosenki. Budził powszechne zainteresowanie. W trakcie śpiewów zauważył, że jakiś pijany osobnik z wielkim uwielbieniem na niego patrzy. Andrzej miał dobre serce. Wiedział, że ten człowiek musi mieć straszne pragnienie i go suszy z niedopicia. Często sam miał takie chwile. Lubił też w towarzystwie imponować erudycją i wyśmienitą przyjaźnią do ludzi. Nalał więc wódki do szklanki i od stolika mile się uśmiechając, na niego głośno zawołał.

Choć no tu zbuntowany chamie i napij się z panami! Zaproszonemu strasznie to zaimponowało, czuł się zaszczycony. Panowie proszą go na wódkę. Od razu widać, kim są. Nie biją po mordzie, a po pańsku się odzywają. Wypił, strzepnął opróżnioną szklanką zgodnie ze zwyczajem i to go jeszcze bardziej rozczuliło. Zaczął mówić, jakie teraz są to dobre czasy. Panowie piją z chłopami, nie tak, jak dawniej. Nie gardzą prostym ludem. Oświadczył też, że obecnie chłopą stać i na luksusowe towary, takie jak cukier. Nie tak, jak dawniej. Tu puścił utrzymaną w rękę torbę, która pękła i część zawartości rozsypała się po podłodze.

Andrzejowi to się nie spodobało. Chwalenie przy nim obecnej rzeczywi-

stości działało na niego, jak czerwona płachta na byka. Wstał, nalał mu jeszcze pół szklanki wódki, oraz głośno powiedział: „Pij i udław się Kurdu-  
plu.” Gdy ten z wdzięcznością wypił podany mu napój, wziął go za ko-  
nierz, wyprowadził przed drzwi knajpy, kopnął w tyłek i zrzucił po scho-  
dach. Wracając otrzepał ręce, wrócił do stolika i powiedział: „Z chamstwem  
nie można się jednak spoufalać.” Po tym incydencie sprawę uważał za defi-  
nitywnie załatwioną i rozpoczął od nowa przerwana zabawę.

Siedząc w miłym gronie przy coraz to nowych butelkach, nie zwrócili-  
śmy uwagi na późną porę. Zamykano lokal. Andrzej nawet nie chciał sły-  
szyć, że trzeba kończyć imprezę. Twierdził, że dopiero teraz zaczął się na-  
prawdę bawić. Pokazywany mu przez obsługę zegarek nie przekonał go.  
Pewno źle chodzi? Dopiero groźba usunięcia siłą, obicia mordy i zawezwa-  
nie milicji, spowodowała reakcję. Narzekając na parszywy los, ociągając  
się, niechętnie opuszczał lokal. W rękę niósł jeszcze butelkę wódki przezna-  
czoną na czarną godzinę, z której ciągle popijał.

Na kamiennych schodach przed „Berensem” leżał potłuczony i nieprzy-  
tomny z opilstwa nasz znajomy z knajpy. Stając nad nim, Andrzej wypił za  
jego zdrowie z trzymanej w rękę butelki. Następnie powiedział: „Szkoda na  
takiego jak ty alkoholu.” Wyjął spod jego pachy trzymane w torbie resztki  
cukru. Obsypał go nim i z żalem powiedział: „Widzisz żłobie, jak nie mo-  
żesz, to nie pij.”

Po serdecznym pożegnaniu z zoologami i wskazaniu przez nich kierunku  
marszu, ruszyliśmy na poszukiwanie naszej szkoły. W głowie strasznie mi  
się kręciło i byłem półprzytomny. Dotarcie do naszego lokum nie było takie  
proste. Na drodze stała jakaś woda, którą trudno było przekroczyć. Był  
tam też jakiś mostek, lecz bardzo wąski. Gdzie dotarliśmy, tego nie wiemy?  
Pewno trzeba byłoby spać na ulicy, gdyby nie zooolodzy. Wrócili i zapropo-  
nowali nam miejsce w hotelu. Zajmowali 2 pokoje i jeden nam odstąpili.

Ich gest przyjęliśmy z wdzięcznością. Obawialiśmy się, że do szkoły  
trudno będzie trafić i jeszcze trudniej się do niej dostać. Pewno była za-  
mknięta. Budzić w nocy asystentki? Mogło to mieć zgubny wpływ na wynik  
egzaminów. Mieliśmy zdawać u nich kolokwia. Dobrze się więc stało. Pod  
opieką zoologów ruszyliśmy wartko już we właściwym kierunku.

Andrzej po alkoholu lubił umoralniać. Właśnie spotkaliśmy pijaka na na-  
szej drodze. Obejmował latarnie i tępo patrzył, wodząc nieprzytomnymi

oczyma. Reagował jedynie na ruch. Andrzej podszedł do niego i wygłosił reprimendę: „Jak mu nie wstyd, tak się zachlać, jak świnia?” Po czym usiadł obok niego na chodniku, obsunął się i spokojnie zasnął. Dużo było kłopotu, by go obudzić i zmusić do dalszego marszu. Narzekał, że go bardzo buty cisną. Stał tam jakiś samochód, chciał nim jechać. Próbował dostać się do środka, lecz był zamknięty.

Nareszcie z trudem dotarliśmy do rynku. Tu Andrzej postanowił przy studni umyć nogi. Jak mówił, będzie to ulga dla jego sfatygowanych marszem stóp i nareszcie po zdjęciu ciasnych butów nogi mu odpoczną. Z brudnymi nogami i tak by się nie położył spać. Jest czyściochem i taką ma zasadę. Gdy nareszcie chciał do mycia zdjąć swe ciasne obuwie, okazało się, że ich nie ma. Był boso. Zagięły buty. Był tylko w bryczesach i skarpetkach. Onuce też zginęły. Gdzie się podziały? To nie szpilki, a buty z cholewami. Gdzie mogły zaginać? Zaczęliśmy poszukiwania, które zakończyły się sukcesem. Zostały w końcu znalezione. Stały na dachu samochodu, do którego się wcześniej dobijał trzymając buty w rękach.

Taki jest wpływ sugestii. Idąc boso do studni cały czas narzekał, że go strasznie buty gniołą. Co by było, gdyby butów nie znalazł i boso wracał do Warszawy? Była to późna jesień. Jak tu podróżować boso i w bryczesach. Radości było, co nie miara. Ja ze śmiechu parę razy przewróciłem się do tyłu na plecy. Byłem zdziwiony, że padałem, jak na miękkie pierzyny. Dopiero następnego dnia, patrząc na obolałe siniaki uświadomiłem sobie, że to był jednak kamienny bruk.

Zoolodzy prosili, byśmy weszli cicho. Portierka nie mogła nas zauważyć. Był to okres stalinowski i bez meldunku nikt nie mógł nocować w hotelu. Andrzej wchodząc boso po schodach z butami w rękę, potknął się i uderzył głową o drzwi recepcji. Recepcjonistka była tak rozieszpana, że się nie zorientowała, kto idzie. Prosiła tylko o ciszę.

Pokój, w którym przyszło nam nocować, miał tylko jedno łóżko. Nikt z nas nie chciał spać przy ścianie. Szybko zapadła decyzja. Wsunęliśmy je na środek pokoju. Następny kłopot, kto zgasi światło? Andrzej nasadowy kontakt wziął za wyłącznik. Kręci a tu nic, nie gaśnie. Wreszcie złapał za popielniczkę i uderzył. Rozbił obudowę i zrobił zwarcie. Światło zgasło nie tylko w pokoju, ale i w całym hotelu. Wyraził zdziwienie: „Co to za urządzenie? By zgasić światło, trzeba tu aż takich sposobów.”

Ja kładąc się spać, po bałaganiarsku porzucałem swoje rzeczy na podłodze. Na jedynym krześle w pokoju już coś leżało, czyli było zajęte. Trudno tam było jeszcze kłaść swoje rzeczy. Andrzej natomiast był pedantem. Ubranie zdjął i równo poukładał w kostkę. Następnie włożył do miednicy, która akurat była pod ręką. Wody bieżącej w naszym pokoju nie było. Znajdowała się tam tylko umywalka z alabastrowym blatem, lustro, miednica, dzbanek z wodą, oraz wiadro. Teraz takich umywalni już nie ma. Był to jeszcze relikwiarz czasów przedwojennych.

Po zgaszeniu światła, w głowie mi się kręciło. Mimo tego, szybko zasnąłem. Obudziły mnie mdłości. Wiedziałem, że za chwilę dostanę torsji. Wy-skoczyłem z łóżka i doleciałem do umywalni. Nie zauważyłem po ciemku w miednicy rzeczy Andrzeja. Rezultat okazał się straszny. Wszystko, co tam było, nadawało się tylko do gruntownego prania.

Rano schorowany, obudziłem się ze strasznym bólem głowy. Pozbierałem swoją garderobę z ziemi i miałem się w co ubrać. Biedny Andrzej, musiał zaczynać od prania. Nie zdążył już dojść do naszej grupy i nie widział prezentowanych odsłoneń. Ledwie zdążył na powrotny PKS, którym wracaliśmy do Puław. Ja dotarłem do szkoły, jak nasi wychodzili na śniadanie. Byłem strasznie zmaltretowany. Usiłowałem nieobecność tłumaczyć nagłym bólem brzucha na tle nerwowym, który uniemożliwił powrót na noc do szkoły. Nadrabiałem miną, że jest już dobrze, lecz biedny Andrzej, który również zachorował, jeszcze nie doszedł do siebie. Jako przykład podawałem koleżankę Ewę Line, która w tym czasie naprawdę dostała rozstroju żołądka i stale musiała biegać w krzaki. Nasze kierownictwo nie bardzo uwierzyło w tą wersję. Krystyna Pożaryska głośno powiedziała: „Ten to się dopiero zapowiada.”

Wracając pociągami do Warszawy, czułem się źle. Andrzej natomiast tryskał humorem w świeżo upranych i jeszcze wilgotnych rzeczach. Jak twierdził, był bardzo zadowolony z naukowej wycieczki, z której dużo skorzystał. Narzekał tylko, że gubi go poczucie porządku. Gdyby porzucił swoje rzeczy jak to zrobił bałaganiarz Stefan, nie miałby kłopotów z praniem. Nie pierwszy raz mu się to zdarzyło. Opowiadał, że kiedyś, po jakiejś większej libacji, miał również duże zmartwienie. Szedł spać. Po rozebraniu się, jak zwykle poskładał swoje rzeczy. Nie chcąc ich zostawiać na wierzchu, postanowił schować do szafy. Niestety, będąc na rauszu, trochę się

pomylił. Nie była to, bowiem szafa, tylko okno, które z wyglądu bardzo przypominały mu drzwi w szafie. Rzeczy jego znalazły się na ulicy. Musiał rano dokupić część brakującej i nie znalezionej garderoby. Tak wrodzone zamilowanie do porządku może stwarzać duże przykrości.

### Transakcja motocyklowa

Andrzej należał do ludzi bardzo uczynnych i zawsze włączał się z pomocą, gdy zachodziła taka potrzeba. Sam wielokrotnie tego doświadczyłem. Okazyjnie kupiłem motocykl mało znanej, lecz podobno doskonałej firmy, „Krasnyj Oktiabr”, o pojemności 200 cm. Wmówiono mi, że jest nie do zdarcia; prawdziwa ruska produkcja.(gniota i nie łamiota). Niestety, od samego początku miałem z nim same kłopoty. Najważniejsze jednak, że posiadając motocykl mogłem się zapisać do prestiżowej sekcji motorowej „Huragan” w Wołominie. Co mi bardzo imponowało.

Gdy transakcja została zawarta okazało się, że wymarzony pojazd jest bez kół. Sprzedający o tym drobnym fakcie zapomniał powiadomić kupującego. Sprawa wyszła na jaw po załatwieniu transakcji. Zorientowałem się dopiero wtedy, jak odkręcono mi koła po dostarczeniu pojazdu do domu. Podobno były to koła pożyczone i musiano je zwrócić. Dużo musiałem włożyć energii, by to cacko w końcu skompletować. Oryginalnych kół nie dostałem, a te, co dokupiłem, nie bardzo się nadawały. Były kłopoty. Spadał i zgrzytał łańcuch, silnik nie chciał zapalać, ale reszta od biedy jakoś na motocykl wyglądała.

To nie był koniec moich motoryzacyjnych zmartwień. Tego cennego i ciężkiego pojazdu nie miałem gdzie trzymać. Na dworze pewno by go ukradzono. Z trudnością, przy pomocy rodziny i sąsiadów wnosiłem ten przedmiot dumy na piętro, do mieszkania. Tam ustawiłem go w przedpokoju, gdzie nie tylko zagracał, lecz i bardzo utrudniał chodzenie. Rodzice protestowali. To było powodem, że postanowiłem wymienić go na motorower. Będę mógł na nim jeździć. Będzie lekki, to sam go wniosę na piętro. Zabierze również znacznie mniej miejsca w przedpokoju i będzie mniej palił. Czyli same plusy. Plan był dobry, lecz jak go zrealizować? Gdzie znaleźć chętnych na taką wymianę?

Powojenne czasy były bardzo ciężkie. Niewiele, poza okresowo regła-

mentowaną żywnością, było w sklepach. Handel w dużym stopniu oparty był na wymianie. Zacząłem rozpytywać się wśród znajomych, czy mają kogoś chętnego na taką transakcję. Zamiana motocykla na motorower, to wielka okazja. Andrzej jak to usłyszał, od razu w pomoc się zaangażował. Miał, jak mówił, zmotoryzowanych przyjaciół, którzy podobno nawet się tym trudnili. Musiał jednak najpierw motocykl otrzymać. Chętni muszą najpierw zobaczyć, co jest na wymianę. Kota w worku nikt nie kupi. Zgodnie z umową, pojazd Andrzejowi dostarczyłem i teraz należało tylko czekać.

Po paru dniach zakomunikował, że zamiany już dokonał. Jakież było moje zdziwienie i przerażenie? Zamiast z gracją podjechać motorowerem pod Uniwersytet i przekazać mi dokumenty pojazdu, zaczął grzebać coś w swojej teczce. Wyciągnął stamtąd rowerową pompę, wręczył mi ją i powiedział: „To twoja. Dobrze, że w końcu udało mi się wymienić twój stary motocykl, na tę prawie nową pompkę.” Gdy zacząłem protestować, bardzo się zmartwił. Sadził, że będę zadowolony. Do tej transakcji i tak dołożył, musiał przecież kupującym postawić flachę.

Opowiedział, jak zaraz znalazł chętnych do wymiany. Pojazd najpierw trzeba było wypróbować. Nie przewidziano jednak, że plot był ustawiony nie w tym miejscu, gdzie potrzeba. Doszło do kolizji. Próbujący się potłukł, a motor został uszkodzony. Koło zósemkowane, pogięty błotnik i bak. Poszkodowany nie wnosił do właściciela pojazdu pretensji za straty na uszczerbku zdrowia, oraz za szkody moralne i fizyczne. Odstąpił jednak od transakcji. Uszkodzonym motocyklem, po wypadku, nie był już zainteresowany.

Co było robić? Jak szukać dalej chętnych? Miał szczęście, trafił się amator. Powiedział, że gotów jest wymienić tą kupę szmelcu, ale nie na motorower, którego zresztą nie ma. Miał rower, ale mu ukradli. Została mu tylko pompka. Jest ona, jak sądzi, równoważnością tego złomu. Motocykl w tym stanie, nie tylko do jazdy, lecz i do pchania się nie nadawał. Andrzej zaczął się obawiać, by chętny się nie rozmyślił. Jak zaczął udowadniać, byłyby tylko kłopoty. Trzeba by szukać jakiegoś transportu w celu przewiezienia tego wraku do Wołomina. Koszt transportu mógł znacznie przekroczyć wartość pojazdu.

Powinienem się więc cieszyć z tak dobrze załatwionej transakcji. Musiał tą sprawę jeszcze dodatkowo przeprowadzić przez bufet, miał więc związa-

ne z tym koszty. Zresztą, jak powiedział, na pewno będziesz zadowolony. Gdy wkrótce dojdiesz do roweru, nie będziesz musiał dokupywać pompki. Niezupelnie mnie tym przekonał. Co było jednak robić? Sen o własnym pojeździe bardzo się oddalił. Gorzej, bo koledzy zaczęli się ze mnie nabijać, jakie robię interesy, nazywając mnie - frajer pompka. Z tej transakcji zadowoleni byli tylko rodzice, gdyż pozbyli się zawalidrogi z przedpokoju.

### Imieniny Andrzeja

O Andrzeju były niekończące się opowieści. W 1950 r. urządził huczne imieniny. Zaprosił do Słomczyna (pod Konstancinem), gdzie mieszkał, gro- no kolegów. Koleżanki nie były przewidziane na tej uroczystości. Miało to być typowo męskie i kawalerskie spotkanie. Oświadczył, że prezentów nie musimy przynosić. Jednak każda flaszka alkoholu będzie z radością przyję- ta. Ja, bojąc się wielkiego pijaństwa, nie mówiąc wcześniej, zrezygnowałem z wyjazdu. Następnego dnia Andrzej z pretensjami, dla czego nie przysze- dłem. Zapytaj się kolegów, jak było fajno? Wtedy zwróciłem uwagę, że nie ma na wykładach nikogo z zaproszonych na imieniny gości. Przyszedł jedy- nie Franio Dembowski, który u niego nocował, lecz był tak spity, że nic nie pamiętał. Solenizant też nie mógł sobie nic przypomnieć. Huczne uroczy- stości na jego cześć spokojnie przespał pod stołem. Wie tylko, że miał pew- ne kłopoty z matką, od której nie wiadomo, dlaczego, dostał po pysku.

Andrzej sam był zdziwiony brakiem jego wczorajszych gości. Jak przez mgłę pamiętał, jak ubawieni koledzy żegnali się i poszli na przystanek PK- Su. Postanowił ich odprowadzić, lecz nogi odmawiały mu posłuszeństwa i trochę się spóźnił. Gdy wreszcie dotarł na przystanek, nikogo już tam nie było. Zdziwiły go tylko leżące powyrywane z płotów sztachety i szkło z potłuczonej szyby, której wcześniej nie było.

Jak się później okazało, doszło do konfliktu gości Andrzeja z pasażerami oczekującymi na autobus. Dokładnie nikt nie wie, jaki był powód. Podobno ktoś kogoś kopnął w zęby i o to była draka. Przyszedł PKS, lecz to nie uspokoiło zwaśnionych. Teraz już był konkretny powód: wejście do ostat- niego, jaki w tym dniu kursował i zapchanego autobusu. Strony były zde- nerwowane, czy się dostaną. Czy będą sypać wiele kilometrów piechotą po nocy do Warszawy? W drzwiach jedni drugich nie puszczali. Zaczęto się

pechać, tłuc i demolować wszystko, co na drodze, a w tym i autobus. Poszły w ruch pięści i wyrwane z płotu sztachety. Została zawezwana milicja. Ona zrobiła wreszcie porządek, zabierając co aktywniejszych uczestników zajęcia, to znaczy gości Andrzeja, do aresztu.

Po tygodniu pierwsi uczestnicy imprezy zostali wypuszczeni. Niektórzy jeszcze byli w złym stanie fizycznym i psychicznym. Zbyszek Należyty cały był zgięty w pół. Nie był pewny, czy nie ma uszkodzonego kręgosłupa. Do stał sztachtą po plecach, gdy blokował wejście. W zamian przyciął komuś w drzwiach rękę trzymającą latarkę. Mógł więc facetowi dołożyć i to po mordzie. Jak nam to opowiadał, jeszcze był wyraźnie tą walką podekscytowany. Okazało się, że żadnych złamań nie miał, tylko był silnie potłuczony. Ślady bójkі widać było też i na twarzy Włodka Łachnika.

Andrzej wykazał zadowolenie, że impreza mimo pewnych kłopotów w pełni się udała. Za to, co działo się po wyjściu gości z domu, on przecież nie odpowiadał. Uprowadził jednak, że w przyszłym roku zaproszeni na imienniny goście muszą przyjść od strony lasu, bowiem mieszkańcy Słomczyzna szykują się złożyć podziękowanie za ostatnią imprezę, jaka miała miejsce na przystanku PKS-u. Chcą odwzajemnić się tym samym, co spotkało ich bliskich. Ja wołałem nie ryzykować i u Andrzeja nigdy nie byłem.

### Kwatera w Warszawie

Andrzej był zdecydowanym pechowcem. Stale mu coś nie wychodziło. Najlepszym przykładem była sprawa jego kwatery w Warszawie. Rodzice bojąc się, by nie zwalił studiów przez uciążliwe dojazdy, postanowili wynająć mu pokój w pobliżu Uniwersytetu. Sądziли, że dzięki temu będzie mógł więcej czasu poświęcać nauce. Andrzej znalazł takie miejsce i to w gmachu Chemii, tuż obok Zakładu. Kwaterę wynajął mu laborant z geologii, pan Stanisław. Miejsce było bardzo dobre, lecz zły los nie pozwalał ba dłużej tam zamieszkać. Jak pech to pech, a powód był bardzo błahy.

Wszystko zaczęło się bardzo dobrze. Właśnie Andrzej zdał egzamin z chemii, którego bardzo się obawiał. Postanowił to uczcić. Zaprosił więc pana Stanisława do baru „Pod Dyktą”. Renomowany ten lokal mieścił się w Alejach Jerozolimskich, zaraz koło placu Zawiszy. Po mile spędzonych tam chwilach, nastąpił przykry powrót do domu. Droga nie była daleka, lecz

uczestnicy biesiady byli bardzo już zmęczeni. Wynajęto więc dorożkę. Andrzej postanowił pomóc w prowadzeniu pojazdu i przesiadł się na kozioł. Mimo protestów dorożkarza zaczął okładać konia batem i ścigać się z tramwajem. Niewyrozumiała milicja zatrzymała wyścig i wypisała dorożkarzowi mandat. Bardzo go to zgniewało. Mimo tych trudności, po kawalersku zajechali pod gmach Uniwersytetu na Pasteura. Jak Andrzej oświadczył, szkoda, że tego nasi profesorowie nie widzieli. Byli by z nas bardzo dumni.

Kłopoty zaczęły się na miejscu, jak doszło do wyceny za tą usługę. Bezczelny dryndziarz zażądał dużych pieniędzy i zwrot zapłaconego mandatu. Andrzeja cholera wzięła: dlaczego ma płacić za mandat? przecież to nie jego dorożka i on nie ponosi odpowiedzialności za jazdę. Co prawda, łał konia, ale w ramach pomocy dorożkarzowi i z radości ze zdanego egzaminu. Po wstępnej pyskównce, która nic nie wniosła, Andrzej wiele się nie namyślając chwycił za kark woźnicy i ściąga go z kozła. Chce mu wytłumaczyć ręcznie niestosowność żądań. Tan złapał bat i wali po łbach klientów. Zaczęła się niepotrzebna szamotanina.

Widząc, że tak trudno się dogadać, bo każdy jest przy swoim i mocno akcentuje swoje racje, Andrzej przerwał bijatykę i zaproponował dorożkarzowi wypicie na zgodę i bruderszaft. Zostało to przez obie strony zaakceptowane. Po chwili opróżniono wiezioną na czarną godzinę butelkę. Obie strony przeprosiły się za używanie obraźliwych słów, kończących się na „syny”. Dorożkarz zmiękł, puścił w niepamięć obelgi, nazywające go „sałatą” i „dzieliworkiem”, co w fachu dorożkarskim jest wyjątkowo obraźliwe. Obniżył też znacznie cenę. Była ona już do przyjęcia dla obu stron. Mandat rozdzielono na dwie części. Po serdecznym wycalowaniu się i pożegnaniu, dorożkarz odjechał. Przed Andrzejem i Stanisławem pozostały jeszcze do przebycia, lecz na piechotę, długie korytarze budynku Chemii.

Tu znowu był pech. Pan Stanisław zachwiał się i spadł ze schodów. Głową uderzył o kamienny stopień i stracił przytomność. Andrzej chciał mu pomóc, ale jak? Był sam i nikogo w pobliżu. Próby postawienia kompana na nogi nie powiodły się. Stanisław był ciężki, więc w swoim stanie, po wielu wódkach, nieść go nie mógł. Patrząc, jak z rozbitej głowy płynie ciurkiem krew wiedział, że trzeba coś robić. Nie było innej rady, złapał go za nogę i zaciągnął do domu nie patrząc na nowy garnitur pana Stanisława. Namęczył się bardzo, bo droga była dość odległa, a kompan ciężki.

Żona otworzyła drzwi. Widząc nieprzytomnego męża leżącego w najlepszym świątecznym ubraniu na ziemi i smugę krwi sączącej się z jego rozbitej głowy, narobiła histerycznego rabanu. Zawezwała pogotowie, które zabrało pana Stanisława na 14 dni do szpitala z ranami czaszki i wstrząsem mózgu. Zamiast wyrazić wdzięczność za ofiarne ratowanie męża, miała nieuzasadnione pretensje. I to, o co? Podobno o zniszczony wyjściowy garnitur, a to rzecz nabyta. Przecież to pan Stanisław sam się wywrócił, Andrzej mu w tym nie pomagał, a ratował, jak umiał. Ponadto, przez żonę bezpodstawnie został pomówiony o rozpijanie jej męża. Skutek był taki, że z miejsca wymówiła mu kwaterę i musiał wracać do Słomczyna. To chyba czarna niewdzięczność?

### Na geologicznej praktyce w Tomaszowie

Profesor Samsonowicz miał dużo sympatii do Andrzeja. Zabrał więc jego i jeszcze jednego studenta, Skrzypka, na wakacyjne praktyki. Było to duże wyróżnienie i Andrzej był z tego bardzo dumny. Profesor prowadził wtedy badania w rejonie Tomaszowa Mazowieckiego. Któregoś dnia musiał służbowo udać się do Warszawy. Zlecił więc Andrzejowi zadanie do wykonania. Miał pojechać do jakiejś miejscowości zaznaczonej na mapie i stwierdzić, czy nie występują tam wychodnie gazy. Był to dla profesora bardzo ważny punkt.

Andrzej z kolegą wzięli się zaraz energicznie do dzieła. Nie było tam łatwego dojazdu. Odległość w jedną stronę wynosiła ponad 10 km. W związku z tym, by tam się dostać, postanowili wynająć furmankę. Na transport były państwowe pieniądze. Następnego dnia ekspedycja wyruszyła już z samego rana na wynajętym wozie. Miała bowiem do spełnienia ważną misję. Był wtedy letni, ale zimny dzień. Przed chłodem należało się jakoś zabezpieczyć. Sposób był jeden i wypróbowany - flacha. W dobrym nastroju i z nadzieją na pomyślne wykonanie zadania, ekspedycja poruszała się zwało w kierunku wytkniętego i nieznanego celu. Trudności nigdy się nie da wcześniej przewidzieć. Droga była gruntowa i dość kiepska. Trzeba było ponadto pokonać parę niewielkich dopływów Pilicy i tu czaiło się niebezpieczeństwo.

Na jednej z rzeczek był prowizoryczny niewielki mostek, który nie po-

siadał zabezpieczających barierek. Zarówno woźnica, jak i jadący, zajęci byli własnymi i ciekawszymi sprawami. Czas im się nie dłużył. Schodził na chóralnym śpiewie, ożywionych dyskusjach i pociąganiu dla kurażu z butelki. Nie zwracali więc uwagi, na takie drobiazgi, jak droga. Czuwał przecież koń. Ten ostatni, jak twierdził Andrzej, był na pewno trzeźwy. Rano pił tylko wodę. Jemu więc całkowicie zawierono. Jak tu się można pomylić? Szkapę na zakręcie źle wyliczyła. Dwa koła poszły po mostku, a dwa obok i wóz się wywrócił. Pasażerowie nic nie przeczuwając, wpadli do wody i zmoczyli się po czubki głowy. Mokrzy dalej nie mogli przecież jechać, więc zawrócono do Tomaszowa. Chęci były dobre, ale nie wyszło.

Następnego dnia przyjechał profesor. Andrzej zakomunikował, że zadanie zostało wykonane. W miejscu oznaczonym stwierdzono gezy. Okazało się jednak, że profesor wracając samochodem z Warszawy, zajechał na to miejsce i nic nie stwierdził. Wpadł we wściekłość i z miejsca wyrzucił obu z praktyk. Nie za pijaństwo, jak powiedział, tylko za fałszowanie danych. Było to dla profesora wielkie przestępstwo. Wystawiona opinia zaważyła na dalszej karierze. Andrzej żalił się, że to nie jego wina. Teraz był już przekonany, że tych, co tylko piją wodę, należy się bać. Może miał i rację. Tak niefortunnie wszystko się dla niego zakończyło.

### Sylwester na moście.

Pamiętam też inne zdarzenie. Był to chyba rok 1951. Po świętach Bożego Narodzenia i Sylwestrze Andrzej przestał uczestniczyć w zajęciach i nie pojawiał się na wykładach. Sądziliśmy, że może zrezygnował z dalszej nauki. Dopiero gdzieś na początku lutego, zjawił się na uczelni, gdzie był przez wszystkich radośnie witany. Na pytanie, co się z tobą działo? tajemniczo odpowiadał ścisząc głos: „Byłem aresztowany – sprawa polityczna. Niestety, były to czasy, kiedy wielu niewinnych siedziało. Powszechnie mówiło się, że społeczeństwo dzieli się na tych, co siedzieli, co siedzą i co będą siedzieli. Wydawało się to całkiem prawdopodobne. Należało się tylko cieszyć, że jest już wolny. Współczuliśmy mu serdecznie. Widać było, że bardzo to przeżył. Po tym fackie, był teraz dla nas bohaterem.

Przy następnym spotkaniu opowiedział nam ze szczegółami o całym zdarzeniu. Rozegrało się to w noc sylwestrową. Spędzał przyjemnie czas, nie na

balu w zadymionym pomieszczeniu, a na moście nad Jeziorką koło Konstancina. Towarzystwo było doborowe i bardzo dużo trunków. Panie w tej imprezie nie uczestniczyły. Nie miałyby gdzie pokazać swoich toalet, gdyż bez ciepłego okrycia nikt by dłużej tam na moście nie wytrzymał. Ktoś z uczestników tej zabawy stwierdził, że nie ma teraz ludzi naprawdę śmiałych. Prawdziwych mężczyzn, którzy odważyliby się skoczyć z mostu na widoczną lodową krę. Andrzej natychmiast odpowiedział. Za odpowiednią flachę gotowy jest się założyć, udowodnić i wygrać zakład. Stało się i wygrał. Lód był cienki i się załamał, a na dodatek Andrzej się wywrócił. Niestety, nasz bohater cały był mokry po czubek głowy. Mimo, że była to bardzo ciepła noc styczniowa, zrobiło mu się chłodno. Jak tu się bawić, stojąc mokry zimą na moście? Co zrobić?

Poradzono mu, że jest na to rada. Od czego jest sołtys na wsi? Ma nie tylko brać darmo forszę. Ten urząd ma za zadanie nieść pomoc potrzebującym, a on do takich właśnie należy. To nie jest łaska, a obowiązek. Jeśli taka zachodzi potrzeba, musi dostarczyć potrzebującemu ubranie. Ruszył więc w poszukiwanie sołtysa i po tabliczce wkrótce go znalazł. Zaczął się dobijać, przynaglany chłodem. Było to dobrze po północy i sołtys już spał. Nie reagował na pukanie. Jak nie otwierał, Andrzej zaczął walić z całej siły i kopać w drzwi. Gdy i to nie pomogło, wyciągnął posiadany straszak i zaczął strzelać. Przerażony sołtys sądził, że to napad. Wyskoczył przez okno i poleciał na milicję. Natychmiast zrobiono oblawę. Złapano mokrego, zmarzniętego Andrzeja z kaburą od pistoletu. Straszak, jak zobaczył milicjantów, to ze strachu wyrzucił.

Został więc aresztowany pod zarzutem napadu z bronią na pracownika państwowego, jakim był sołtys. Dopóki wszystko się nie wyjaśniło, miesiąc odsiedział. Miał znowu pecha. Mógł się jednak pochwalić, że należy teraz do ofiar okrutnego reżymu. Jak nam powiedział, postara się w przyszłości o przyjęcie do ZBOWiDu. Będzie kombatantem, a to się liczy. Za kombatantki dodatek do pensji będzie się można napić.

### **Praca w Państwowym Instytucie Geologicznym**

Andrzej, niestety, nie skończył studiów. Nie miał zupełnie czasu na naukę. Wolał pracować, by mieć pieniądze na przyjemności. Ożenił się, uro-

dziła mu się córka, miał więc już rodzinę, o którą powinien się troszczyć. Rozpoczął więc najpierw prace w Instytucie Geologicznym jako technik nadzoru wierceń. Po 2 tygodniach został jednak z hukiem wyrzucony. Wiercenie, które dozorował, nie wierciło, tylko piło. On w tych pijaństwach brał czynny udział i przewodził. Tłumaczył się kierownikowi Zakładu, Stanisławowi Tyskiemu, prowadzącemu tam roboty, że jak wiertacze stawiali, to nie mógł przecież odmówić. Żle byłoby to przyjęte i mogło zaciążyć na jakości pracy. Miał przecież wiertaczy dozorować od strony geologii, a nie od picia. Od dawna doszedł do tego przekonania, że na trzeźwo robota nie idzie. Dyrekcja Instytutu była trochę innego zdania i musiano się rozstać. Powodem jednak nie była zła praca Andrzeja, tylko różnica poglądów.

### Śłużbowy wyjazd do Pływi

Od tego czasu Andrzej zniknął z pola widzenia. Spotykałem już go dość rzadko. Zawsze jednak miał coś nowego do powiedzenia i to głównie o swoim pechu. W połowie lat pięćdziesiątych natknąłem się na niego na ulicy Marszałkowskiej. Był bardzo zmartwiony i radził się, co ma robić. Okazało się, że Przedsiębiorstwo Geologiczne, w którym pracował, wysłało go z planami budującego się zakładu do Pływi koło Łodzi. Miał tam dojechać i oddać opracowaną dokumentację żwirowni. Był telefonicznie już z inwestorem umówiony, zapowiadało się więc wszystko dobrze. Nic nie wróżyło katastrofy.

W dniu wyjazdu kupił bilet na pospieszny do Koluszek. Bez najmniejszego kłopotu tam dojechał. Czekał teraz na przesiadkę. Osobowy miał go zawieść do Pływi. Było trochę czasu i pora obiadowa. Poszedł więc do restauracji dworcowej i tam niespodziewanie spotkał znajomych. Tu ciężko westchnął i powiedział. Jak się obudziłem była noc i pociąg stał na stacji. Wyglądam gdzie jestem, a tu pisze: Opole Główne. Dokumentacja mi zagięła, do Pływi nie dojechałem, z umówionym gościem się nie spotkałem i trzy dni również mnie w pracy nie było. Jak sądzisz, będę miał przykrości? Niestety, nie mogłem go pocieszyć. Przykrości miał i to duże. Szczęściem, że skończyły się tylko wywaleniem z pracy.

### W Petrochemii Płockiej

Gdy Andrzeja następnym razem spotkałem, był bez humoru. Powiadał, że znów stracił dobrze płatną robotę przy budowie Petrochemii Płockiej. Pracował tam w swoim fachu, to znaczy przy obsłudze wierceń. Jak twierdził, powodu do zwolnienia nie było żadnego. To radni miejscy narozrabiali. Zdarzenie miało następujący przebieg. Był sobotni późny wieczór. Wraz z przyjaciółmi wiertaczami siedział w jednym z płockich lokali. Było bardzo wesoło. Po chóralnych śpiewach Andrzej zaczął się popisywać słownictwem łacińskim, jakiego nauczył się na studiach. Swoim wyglądem południowca i posługiwaniem się niezrozumiałymi wyrazami zwrócił uwagę gości siedzących przy sąsiednim stoliku. Byli to radni miejscy już po paru głębszych. Zapytano się, kto to jest ten wesoły cudzoziemiec, tak dobrze mówiący po polsku. Jak dotarło to do Andrzeja, bez wahania odpowiedział, że jest ambasadorem Włoch.

Rajcom to zaimponowało. Zestawiono stoliki i rozpoczęło się picie na koszt miasta. Wszystko byłoby dobrze, gdyby Andrzej trochę nie przesadził. Po bruderszaftach, zamiast zaprosić świeżo poznanych przyjaciół do Rzymu, a potem zapomnieć, poprosił o azyl polityczny w Polsce. Ambasador kraju kapitalistycznego prosi o azyl i to w socjalizmie. Przecież to bomba. Natychmiast powiadomiono odnośne urzędy i nie tylko w Płocku. Błyskawicznie przysłano samochód i przedstawicieli MSW. Mieli się oni zaopiekować ambasadorem, by wrogie wywiady nie zrobiły mu krzywdy. Poproszono o paszport i sprawa się wydała. Co było dalej, nie chciał o tym już mówić. Sprawiało mu to wyraźną przykrość. Płock i dobrze płatną pracę musiał opuścić i to na zawsze.

### Na wierceniu w Anopolu.

Następnie natknąłem się na niego w Anopolu. Pracował w tym czasie w Przedsiębiorstwie Hydrogeologicznym. Dozorował postawiony tam otwór za wodą. Pokazywał mi profil tego wiercenia do głębokości 150 m. Śmiał się do rozpuku. Patrz, od góry do dołu zaznaczone są tam same piaski z pokruszonych twardych piaskowców, a w środku występuje przewarstwienie granitów. To jest moje dzieło. Jak to? byłem zdziwiony. Przecież tu w ogóle

piasków, piaskowców, a tym bardziej granitów nie ma. Występują tu tylko wapienie i margle jurajskie pokruszone udarowo.

To wiem, odpowiedział. Lecz inni nie muszą tego wiedzieć. Granit, jak wiercili po pijaku, to wpadł im do rury. Nie będę ich poprawiał, by nie było zatargów, że mniej zarabiają. Załoga jest niezła i jest z kim wypić. Wiesz, że za wiercenie w piaskowcach, a tym bardziej w granicie, dostaje się znacznie większą stawkę. Inną, niż w wapieniach, czy marglach, a to się tu liczy. Dlatego skały, które tu występują, przeklasyfikowałem na lepiej płatne. Niestety, winą za ten stan rzecz, Przedsiębiorstwo obciążyło nie wiertaczy, a nadzór. Zrezygnowano z jego dalszych fachowych usług.

### Kolejna praca i kolejne kłopoty.

Andrzejowi działo się coraz gorzej. Kurczyła się ilość miejsc pracy związanych z geologią. Jak gdzieś taką znajdował, to zaraz w kadrach zjawiała się jego żona. Robiła mu wstyd. W oparciu o przedstawiane dokumenty załatwiała wyłączne prawo odbioru jego ciężko zarobionych pieniędzy. Jak się do mnie skarżył, to musiał teraz pracować za darmo. Te prawne niezyciowe przepisy były powodem jego ciągłych małżeńskich konfliktów. I to o co, o forszę? Raz jak opowiadał, żona zachorowała i nie mogła osobiście jego wypracowanej krwawicy odebrać. Dała więc mu odpowiednie upoważnienia. Wymusiła ponadto przyrzeczenie, że zaraz po pracy zjawi się z forszą w domu. Chęci i intencje były na pewno dobre. Nie przewidział jednak, że po drodze spotka przyjaciół, których dawno nie widział.

Niestety, nie pamięta gdzie był i co się dalej działo. Jak się zmęczony obudził, był już w domu. Leżał na łóżku, a żona szarpała go i nerwowo przeszukiwała kieszenie. Awanturowała się o pieniądze i o jakieś 3 dni, których go podobno w domu miało nie być. Tego jednak nie mógł sobie przypomnieć. Krzyczała, że takie są wydatki, a on przechrzął co do grosza całą pensję. Tu Andrzej kategorycznie zaprotestował. Przecież kobiety trzymasz pieniądze wyciągnięte z mojej kieszeni. Tak, to prawda. Było to jednak tylko 30 groszy, które tam znalazła. Teoretycznie miał więc rację, że nie przepił wszystkiego. U Małżonki jednak zrozumienia nie znalazł.

Dodatkowo oskarżała go o okresowe spieniężanie jej garderoby i różnych przedmiotów z domu na wódkę. Tu Andrzej starał się jej logicznie wytłu-

maczyć, że robił to tylko dla jej dobra. Jak w końcu dojdą do dużych pieniędzy, to się będzie mogła obkupić i to w nowe rzeczy. Teraz szykuje jej miejsce w szafach, usuwając rzeczy zbędne, w których było jej nie do twarzy. I to takie, które rzadko nosiła. Mogły się w nich zalęgnać mole, z tym byłyby większe kłopoty. Te rzeczowe argumenty nie bardzo ją przekonywały. Co z upartą babą było robić? Na zakończenie, jego szefostwo, nie pomne przykrości, jakie miał w domu, za trzydniową absencję bez usprawiedliwienia podziękowało mu za pracę.

### **Andrzej jako bezrobotny**

Kontakty nasze bardzo się rozluźniały. Widywałem go coraz rzadziej. Raz pamiętam, przyszedł rano do Instytutu pożyczyć od kolegów trochę forsy. Robił to nie pierwszy raz. Nigdy i tak nie oddawał. Wszyscy go żalowali, bo miał ciągle kłopoty finansowe. Tego dnia źle wyglądał w zniszczonym i powycieranym ubraniu. Mówił, że w nocy spać nie mógł. Pies go stale budził i przeszkadzał. Twój pies, zapytałem? Nie, bo nie ma psa. Czyj, też nie wie. Noc go złapała daleko od domu, był bardzo zmęczony i zasnął na ulicy. Tu zaczął się skarżyć. Ludzie puszczej psy samopas, a te nie dają spokoju. Obwąchują, obsikają i liżą po twarzy. On się ich brzydzi, nie wiadomo, czy szczepione? Może to psy bezpieczeństwa? Teraz nie tylko w domu, ale i na dworze nie ma się spokoju - tym zakończył.

### **W służbie rolnictwa.**

Gdy obszedł wszystkie instytucje związane z geologią, gdzie dał się dobrze poznać, szukał zajęcia w innych branżach, w tym i w rolnictwie. Zatrudniony został po znajomości jako traktorzysta. Znowu jednak zły los dał znać o sobie. Miał przykry wypadek. Nie wiadomo jak, lecz dostał się pod koła, swojego będącego w ruchu traktora. Czyli własny traktor go przejechał. O mały włos nie przyplacił tego życiem. Wylądował na dłuższy czas silnie potłuczony w szpitalu. Tu, jak mi opowiadał, miał znowu wyraźny niefort. Za wypadek przy pracy poszkodowani, zgodnie z prawem, otrzymują duże odszkodowania. Za rękę, nogę, czy oko mogą żyć dostatnio nic nie robiąc. Pieniądze z ZUSu płyną aż do samej śmierci. Jemu, poza potłucze-

niem, nic się nie stało i w związku z tym nic nie dostał. To już jest wyraźny pech.

Oskarżono go ponadto, że po pijaku siadał za kierownicę. Odebrano prawo jazdy. Stwierdzono, że zawód ten nie jest dla alkoholików. Pozbawiono go możliwości zarobkowania na stanowisku traktorzysty - kierowcy. Była to, niestety, ostatnia jego praca zawodowa. Nie przekroczył wtedy jeszcze 30 lat. Został bezrobotnym na utrzymaniu żony. Ta nigdy go do pieniędzy nie dopuszczała. Jedyne wsparcie i zrozumienie miał wśród kolegów i to tylko od kieliszka.

### **Ostatnie kontakty z Andrzejem.**

Ostatni raz spotkałem Andrzeja na placu Unii Lubelskiej. Było to gdzieś na początku lat osiemdziesiątych. Zaczepiłem go, lecz mnie nie poznał. Długo musiałem tłumaczyć, kto ja jestem. Mylił mnie z Tomczykiem. Po pewnym czasie dotarło. Ucieszył się i od razu powiedział: „Słuchaj stary, jestem obecnie w dołku finansowym. Mam raka gardła” mówił z wyraźną chrypką. „Pożycz mi 50 złotych.” Nie mogłem koledze odmówić. Jak tylko pieniądze otrzymał, przeprosił, bo mu było „spieszno”. Skierował się od razu do „Baru pod trójką” na rogu placu Unii i ulicy Marszałkowskiej. Musiało go bardzo suszyć. Był to już wrak człowieka.

W połowie lat osiemdziesiątych dowiedziałem się, że Andrzej nie żyje. Znalaziono go martwego pod barem, w Konstancinie. Odszedł tak, jak żył. Szkoda, był uroczym człowiekiem, wesołym i świetnym kumplem. Dzisiaj wśród młodych geologów nazwisko jego już nic nie mówi. W pamięci starszych pozostały jedynie anegdotyczne, lecz prawdziwe historie. Krążyły one za jego życia. Teraz stopniowo czas je zaciera. Nie powinny zaginać. Dłatego zostały tu dla pamięci spisane.

### **Ania i Norbert**

Byłem już po studiach i miałem pracę. Powinienem już myśleć o założeniu rodziny. Niestety, nie widziałem nikogo, z kim chciałbym się na stałe związać. Moją radością i celem była tylko geologia. Pewnego razu, w Wołominie spotkałem u Wodiczków Mietka Pongowskiego. Był on architektem

i mężem mojej kuzynki, mieszkającym w Poznaniu. Zaczęliśmy rozmawiać. Żartując, zapytał się, kiedy się żenię? Odpowiedziałem, że na razie nie mam z kim. Wtedy zaczął się śmiać, że pewno szukam królowy z bajki? Pozwierdziłem, że tak jest, lecz do tej pory nie natrafiłem na taką osobę.

Zainteresował się, jaki mam gust? Śmiejąc się oświadczyłem, że szukam nordyczki, jasnej blondynki o niebieskich oczach. Ma być wysoka, szczupła, inteligentna i o dobrym charakterze. Nie może palić papierosów. Dobrze, by pochodziła z rodziny niemieckiej, gdyż wiem, że Niemki są gospodarne i idealne żony. Mietek wtedy odpowiedział: „Szukasz w takim razie ideału. Właśnie taką znam; jest siostrą mojego przyjaciela. Przyjeżdż do Poznania, to tam ją poznasz.” Cała rozmowa była w formie żartów i nikt z nas nie brał tego poważnie.

Parę miesięcy później pojechałem do Otmuchowa na Święta Wielkanocne. Był to rok 1954. W tym czasie brat urządzał szaleństwo brydżowe. Wszyscy tam grali, poza mną. Rozmawiać z domownikami można było tylko w trakcie posiłków. Wszystko inne związane było z kartami. Zaczęłem się strasznie nudzić. Brat próbował zapoznać mnie z jakimiś swoimi znajomymi, którzy zupełnie mi nie odpowiadali. Czas spędzałem sam nad jeziorem. Wreszcie zdecydowałem. Mietek Pągowski zaprosił mnie do Poznania. Miasta tego nie znałem. Jadę więc tam.

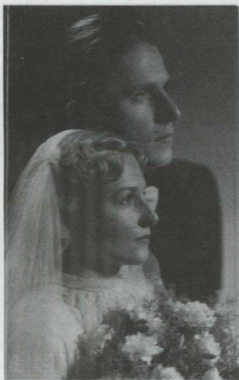
W Poznaniu Mietek przypomniał sobie naszą rozmowę z Wołomina. Powiedział, że przyjaźni się z bratem tej osoby, o której mi opowiadał. Mówił, że jest bardzo ładna i chciałby nas poznać. Poszliśmy do nich z wizytą. Tam zobaczyłem po raz pierwszy Ani zdjęcia. Bardzo mi się spodobała.



*Ania, jaką poznałem. Krotoszyn 1953 r.*

Dowiedziałem się, że mieszka w Krotoszynie i ma przyjechać do Poznania w przyszłą niedzielę. Zostałem do nich, wraz z Pągowskimi, zaproszony. Dopiero podczas trzeciej mojej wizyty w Poznaniu nastąpiło nasze pierwsze spotkanie z Anią.

Ania zrobiła na mnie duże wrażenie. Była w moim typie. Taką chciałem mieć za towarzyszkę życia. Zaczęliśmy się spotykać w Poznaniu u Dzierżka, brata Ani. Po paru moich wizytach zaprosiłem ją i jej brata do Warszawy, której nie znała.. Zacząłem ich oprowadzać po miejscach, które uważałem za najciekawsze. Tu popełniłem błąd. W programie był i cmentarz powązkowski, który uważałem za panteon naszej historii. Anię to dotknęło, że podczas pierwszej wizyty zaprowadziłem ją w takie miejsce. Musiałem się z moich dobrych intencji grubo tłumaczyć.



*Nasze ślubne zdjęcie. Krotoszyn, 1 września 1956 r.*

Ania moim rodzicom również bardzo się spodobała. Ucieszyli się, gdy powiedziałem, że mam w stosunku do niej poważne zamiary. Po paru spotkaniach, mimo że właściwie się nie znaliśmy, zaproponowałem małżeństwo. Usłyszałem wtedy, że w obozie przechodziła sterylizację i nie będzie mogła mieć dzieci. Przed tak ważną decyzją muszę to wziąć pod rozwagę. Oświadczyłem, że sprawa ta nie jest dla mnie najważniejszą. Żona ma być przyjacielem i tylko tego od niej oczekuję. Tu się nie zawiodłem. Na Boże Narodzenie w 1955 r. doszło w Krotoszynie do spotkania naszych rodziców i nastąpiły zaręczyny. Ślub cywilny odbył się 15 maja 1956 r. w Urzędzie Stanu Cywilnego w Wołominie. Uczestniczyli w tych uroczystościach moi rodzice, wujostwo Piotrkowscy i Dzierzyk. Świadkami byli koledzy, Marian Saldan i Janusz Majcherkiewicz. Zaraz po ślubie rozjechaliśmy się, każdy w swoją stronę. Ania do Krotoszyna, a ja do swojego instytutu. Latem prowadziłem prace w rejonie Burzenina. Nasze kontakty odbywały się głównie listownie, lub telefonicznie.

Ślub kościelny wzięliśmy w dniu 1 września 1956 r. w Krotoszynie. Z mojej strony na tę uroczystość przyjechali rodzice, Tadeusz z Łodzią, wujek Wacek Kamiński z Kalisza i Pągowscy z Poznania. Świadkiem był mój przyjaciel Henryk Szczuka. Ze strony Ani była dość duża rodzina, z których większość wtedy dopiero poznałem. Ślubu w kościele klasztornym udzielało nam 3 księży, w tym dwóch kuzynów Ani. Jak większość męczczyzn, idąc do ślubu przez oświetlony kościół, czułem się bardzo nieswojo. Miałem na pewno głupią minę. Na wesele zaproszonych było ponad 30 osób. Uroczystość weselna odbyła się w domu rodziców Ani.

W noc poślubną, po północy czułem się bardzo zmęczony i bolała mnie głowa. W związku z tym poszedłem spać do hotelu, gdzie mieliśmy wynajęte pokoje. Ania wraz z gośćmi, będąc gospodynią, musiała zostać do końca. Jak wróciłem rano do domu, goście i Ania jeszcze się bawili. Doszło do jakiś spięć między Ani bratową, Lucyną, a Łodzią, na tle zazdrości. Winny temu był na pewno i alkohol. Bliżej już nie pamiętam, o co chodziło. Po weselu część gości została jeszcze na dłużej. Ja sypiałem w hotelu z Henrykiem, a Ania z rodzicami w domu. Dopiero po tygodniu, jak goście i rodzina się rozjechali, pojechaliśmy w podróż poślubną do Sopotu. Tam mieliśmy wynajęty pokój na ulicy Pstrowskiego. Było już chłodno. O kąpeli nie mogło być mowy. Chodziliśmy na długie spacery. Zwiedziliśmy zamek w

Malborku. Po 2 tygodniach wspólnego pobytu, nasze drogi znów się rozeszły. Ania wróciła do Krotoszyna, gdzie pracowała, a ja pojechałem do Warszawy.

Patrząc z perspektywy na nasz związek, mogę powiedzieć, że był udany. Mieliśmy więc obydwójce wielkie szczęście. Nie przeżyliśmy nigdy kryzysu małżeństwa. Ani Ania, ani ja, nie byliśmy o siebie zazdrośni. Zawsze się tego obawiałem. Przy mojej pracy mogły być ku temu powody. Często wyjeżdżałem służbowo. Na lata nieraz opuszczałem dom. Ania nie ingerowała nigdy w moją pracę, w dobór ludzi, z którymi byłem związany, ani w moje przyjaźnie. Ja zawsze ciągnąłem do ludzi i lubiłem być wśród nich. Do wszystkich moich znajomych, zarówno do kolegów jak i koleżanek, podchodziła z sympatią, a nawet starała się o ich przyjaźń. Wiedziałem, że mam w niej bliskiego człowieka i ona wiedziała to samo. Nasze całe małżeństwo oparte było na szczerzej przyjaźni. Nie traktowaliśmy siebie jako własność, gdzie jedno drugiemu musi być całkowicie podporządkowane. Mieliśmy prawo do własnego zdania i kierowania swoimi czynami.



*Rodzice Ani, brat Ani, Dzierżyk, z żoną Lucyną i Ilonką,  
Ania i ja. Krotoszyn 1956 r.*

Pierwsze miesiące naszego małżeństwa niewiele zmieniły w naszym życiu. Ja pracowałem nadal w Warszawie, a Ania przebywała ze swoimi rodzicami w Krotoszynie. Kontakty nasze były listowne i telefoniczne. Ze względu na odległość rzadko się widywaliśmy. Pod koniec roku Ania przyjechała na parę dni do Warszawy. Miała jakieś kłopoty ginekologiczne. Chciała się tu przebadać. Zaprowadziłem ją do znanego ginekologa, dr Woyno, na ulicę Widok. Po badaniach, panie wyszły z gabinetu razem. Doktor powiedziała mi, że nie będziemy mieli dzieci. Odpowiedziałem, że już to wiemy. Pani diagnoza potwierdziła wcześniejsze badania.

Minęło parę miesięcy i Ania znowu źle się czuje. Znowu wizyta u lekarza, który stwierdził ciążę. Była to radosna wiadomość dla całej naszej rodziny. Postanowiliśmy, że poród odbędzie się w Warszawie. Załatwiłem położnika, dr Gąsowskiego, pracującego w szpitalu na Solcu. Na ponad miesiąc przed wyznaczonym porodem Ania przyjechała do Wołomina. Termin był jeszcze odległy, więc się nie denerwowała. Nagle, 25 listopada w nocy, chwyciły ją bóle. Telefonu, by wezwać taksówkę, nie było nawet w okolicy. Musieliśmy po nocy iść piechotą około kilometra na stację. Towarzyszyła nam mama. O 4 rano przyjechał pierwszy ranny pociąg. Napadowe bóle miała coraz częstsze. Na Wileńskim przyszło mi walczyć o jedną taksówkę z jakimś podróżnym, któremu również się spieszyło. W bólach dojechała na ulicę Czerwonego Krzyża do szpitala. Tam trzeba było ją zostawić i czekać. Byliśmy bardzo podenerwowani.

Koło południa dowiedziałem się w szpitalu, że Ania urodziła zdrowego syna. Był on wcześniakiem i leżał w inkubatorze. Poród był ciężki, kleszczowy. Doktor Gąsowski powiedział, że moja żona ze względu na swą budowę powinna być tancerką, a nie matką. Nie powinna mieć już więcej dzieci. Dopiero po miesiącu odebrałem ich ze szpitala. Nie chciano jej wcześniej wypisać, gdyż były jakieś komplikacje. Odwiozłem ich do Wołomina samochodem otrzymanym z Instytutu. Jechaliśmy przez Rembertów, był duży śnieg i ślisko. Bałem się, by nie doszło do jakiegoś wypadku. Ania była bardzo słaba i nie mogła karmić. Moi rodzice zdecydowali, że ze względu na swój stan, w nocy nie będzie przy małym dyżurować. Najważniejsze, musi dojść do siebie. Normalnie Ania, przy wzroście 170 cm, ważyła tylko 55 kg, a teraz jeszcze mniej. Była bardzo szczupła i musieliśmy o nią dbać.

Mieszkanie w Wołominie było chłodne. Z myślą o mającym się urodzić dziecku próbowaliśmy je ocieplić. Założyliśmy etażowe centralne ogrzewanie. Trochę to pomogło, lecz najcieplejsza była kuchnia. Tu nocą nasz syn miał swoje miejsce w beciku leżącym na stole. W kuchni więc trzeba było z nim razem sypiać. Dyżurni spali na połowym, rozkładanym łóżku. Podczas mojego dyżuru, w nocy, obudził mnie płacz. Zaglądam, mokre pieluchy. By dziecko przewinąć położyłem je na zimnej ceracie stołu. Trzymając w rękach bałem się przewijać, by go nie upuścić. Rano okazuje się, że ma sapkę. Dochodzenie, uznano mnie winnym i nie dostałem już zgody rodziców na dalsze dyżury. Przy małym Norbercie bardzo pomagała nam Lodzia.



*Ania, Ilonka i mały Norbert. Krotoszyn, 1958 r.*

Chrzest odbył się w Wołominie. Rodzicami chrzestnymi zostali Lodzia i Dzierzyk. Małżeństwo Lodzi już się rozpadło. Była razem z nami przez parę miesięcy, a potem wyjechała do Jeleniej Góry. Tam zdobyła mieszkanie i pracę. Rodzice chcieli ją zatrzymać, by mieszkała razem z nimi. Nie wyraziła na to zgody ze względu na Tadeusza. Jak twierdziła, utrudniało by to kontakty syna z rodzicami. Podczas jej bytności w Wołominie bardzo pomagała przy dziecku. Razem z moim ojcem go kąpała i miała przy nim nocne dyżury. Pieszczotliwie nazywała go Dziabek. Do końca utrzymywali-

śmy z nią żywe serdeczne kontakty. Żałowaliśmy, że tak to się skończyło i to nie z jej winy.

Ania chciała mieć córkę. Nie miała więc przygotowanego dla chłopca imienia. Jeszcze ze szpitala pisała do mnie, czy pomyślałem, jak syna nazwać. Groziła, że jeśli nie wymyślę imienia, to nazwie go Adolf. Wiedziałem, że to był żart. Kto by się teraz na takie imię zgodził. Wypisałem więc z kalendarza imiona, które mi się podobały. Wszystkie były twarde, jak Norbert, Robert, Artur itd. Uważałem, że dla mężczyzny winno być imię męskie. Sugerowałem Norbert i to Ania zaakceptowała. Mój ojciec miał inną propozycję. Chciał wnuka, który nazywał by się Witalis. Na to my nie chcieliśmy się zgodzić. Było by to imię pretensjonalne i uduziwnione. Jak Norbert był już starszy, pytał się, jakie były propozycje imion? Gdy to usłyszał, powiedział. Ale by dziadek mnie urządził. Do końca życia byłbym „Lis Witalis”. Znajomym tłumaczyłem, dlaczego Norbert: ze względu na świętego. Gdy mówiono, że takiego nie znają, odpowiadałem: „Jak to? A Norbert Barlicki, przedwojenny polityk i znany działacz PPS Lewicy?”

Na wiosnę 1958 r. Ania postanowiła: Norbert będzie na razie wychowywany w Krotoszynie. Uważała, że tam są lepsze warunki dla dziecka, niż tu w Wołominie. Tak też zrobiła. Dziadkowie wynajęli dziewczynę, która chodziła z nim na spacer. Był ogród. Wszystko kręciło się wkoło wnuka. Ania głównie tam też z nim siedziała. Ja co pewien czas przyjeżdżałem zobaczyć żonę i syna. Niestety odległość ponad 300 km w jedną stronę nie pozwalała na częste wyjazdy. Jak Norbert miał około 4 lat, to przyjechała z nim do Wołomina. Chciała pokazać wnuka drugim dziadkom.

Pamiętam wtedy z nim rozmowę. Zapytał się, co nieboszczyk robi w trumnie? Gdy usłyszał, że leży, to znowu się pytał, a czy się rusza? Odpowiedziałem, że nie. To ja tak bym nie mógł. Ruszałbym chociaż rękoma i tu pokazał jak. W tym czasie sądził, że ludzie chodzący do pracy zajmują się tylko rysowaniem pieniędzy. Ile, kto narysuje, to tyle ma. Bardzo by już chciał rozpocząć pracę, bo umie rysować i ma kredki.

Z babcią wyjeżdżał w odwiedziny do NRD. Tam mieszkało Wujostwo Ani. Gdy przyjeżdżałem do Krotoszyna, to zawsze z Norbertem chodziłem na stację kolejową. Bardzo interesowały go lokomotywy. Zapowiedział, że jak będzie dorosły, to taką sobie kupi. Nie mogłem mu wytłumaczyć, że prywatnie ludzie takich pojazdów nie mają. Na to Norbert powiedział, że to

nieprawda. Dziadek z Krotoszyna obiecał pożyczyć mu pieniądze na kolejkę i razem już wybierali, w jakim ma być kolorze. Chodziliśmy również pod przedszkole, gdzie w oknie siedziała piękna kolorowa papuga. Bardzo go intrygowało, dlaczego się kiwa. W parku strasznie bał się stawów i nie pozwalał obok nich przechodzić.



*Matka i syn, czyli Ania i Norbert. Krotoszyn, 1965 r.*

Z Krotoszyńcem związane jest Norberta wczesne dzieciństwo, po którym zostały tylko zdjęcia i wspomnienia. Babcia raz naskarżyła na niego, że jest niedobry i powinien od ojca oberwać. Akurat w złości rzucił coś na ziemię. Przyłożyłem mu wtedy klapsa na pupę. Babcia się za to na mnie obraziła i nawet nie chciała się pożegnać. W 1964 r. Norbert zjechał na stałe do Warszawy. Rozpoczął naukę w szkole. Zabierałem go z Krotoszyna. Dziadkowie to rozstanie bardzo przeżywali. Pamiętam ich pożegnanie na dworcu. Parę miesięcy później teść zmarł. Mieszkanie w Krotoszynie trzeba było zlikwidować, babcię zabraliśmy do siebie. Dopiero po śmierci ojca Ania wreszcie na stałe przeniosła się do Warszawy i rozpoczęła pracę w Biurze

Matrymonialnym, Syrenka. Z Krotoszyna zostały nam tylko wspomnienia i wyjazdy wyłącznie na groby.



*Ania, Norbert i lew. Warszawskie ZOO, 1965 r.*

Z Norbertem nie mieliśmy specjalnie kłopotów. Z nauką dawał sobie doskonale radę i najważniejsze, chciał się uczyć. Od wczesnego dzieciństwa wspólnie zwiedzaliśmy zabytki Warszawy. Urządzaliśmy samochodowe wycieczki po Polsce i krajach ościennych. Chodziliśmy do ZOO, gdzie Norbert bawił się z żywym lwem, co zostało uwiecznione na zdjęciu. W naszej parafii na Grochowie przystąpił do komunii, co zostało również fotograficznie udokumentowane.

Po zakończeniu szkoły podstawowej na Grenadierów, poszedł do liceum im. Powstańców Warszawy. Tam nawiązał liczne szkolne przyjaźnie. Po zdaniu matury zdecydował się na studia geologiczne. Z drugą lokatą zdał na Uniwersytet Warszawski. Kłopoty zaczęły się na I roku i to nie z jego winy. Ja byłem w tym czasie w bazie polarnej na Spitsbergenie i niewiele mogłem pomóc. Stracił przez to 2 lata.



*Komunia Norberta. Warszawa 1969 r.*

Na nowo zdał na Uniwersytet Śląski w Sosnowcu. Studia skończył z odznaczeniem i otrzymał propozycję asystentury. Doktoryzował się, lecz po 16 latach, ze względów ekonomicznych rzucił uczelnię. Założył własną firmę. Ożenił się z koleżanką z uczelni i mieszka w Katowicach.

## **Anna Cieślińska**

### **Wspomnienia okupacyjne Wspomnienia, do których niechętnie się wraca**

Na roboty do Niemiec zostałam wywieziona, jak miałam 15 lat. Oderwanie mnie od rodziny było specjalną szykaną władz. Matka moja była rodowitą Niemką, a ojciec Polakiem i byłym powstańcem wielkopolskim. Po wyjściu za mąż, za mojego ojca, zmieniła obywatelstwo z niemieckiego na polskie. W 1939 r., po wkroczeniu Niemców do Krotoszyna, ojciec zbiegł przed aresztowaniem i musiał się ukrywać. Nowe władze zażądały od mojej mamy zmiany obywatelstwa na niemieckie i podpisanie Reichslisty. Matka odmówiła. To spowodowało szykany. Odebrano Hurtownię-Rozlewnię Piwa i Wód Mineralnych, będącą jej własnością. Zakład ten następnie przekazano Erichowi Netterowi za zasługi wojenne. Był on lotnikiem kontuzjowanym podczas kampanii wrześniowej. Przez pierwszych parę miesięcy mama

musiała pracować w swojej byłej firmie, by wprowadzić jej nowego właściciela w tajniki produkcji.

Po zakończeniu tam prac odebrano nam mieszkanie w Krotoszynie. W związku z tym wyprowadziliśmy się z mamą do Ostrowa Wielkopolskiego. Tam odszukał nas ojciec, który nie mógł powrócić do Krotoszyna. W Ostrowie zaczął pracować w wytwórni Win i Wódek Strackhara, który był znajomym Niemcem i zaprzyjaźnionym jeszcze sprzed wojny. W pierwszym okresie bardzo nam pomógł urządzić się na nowym miejscu. Ja jako Polka, nie mogłam chodzić do niemieckiej szkoły, a innych w tym czasie na terenie Warthegau nie było. Musiałam się zatrudnić; to było obowiązkowe. Podjęłam więc pracę jako pomoc domowa w rodzinie Marcinkowskich, którzy podpisali volkslistę.

Władze niemieckie nie zrezygnowały z ukarania mojej matki za odmowę zmiany obywatelstwa. Mój brat został aresztowany i wywieziony do obozu. W styczniu 1943 roku dostałam zawiadanie do Arbeitsamtu w Ostrowie. Mimo, że w tym czasie byłam oficjalnie zatrudniona, zostałam wysłana na roboty przymusowe do Niemiec. W dniu 10. I. 1943 roku rozpoczęłam pracę w fabryce amunicji Langenbilau, będącej filią Kruppa, Essen. Mieścił się tam międzynarodowy obóz (Lager), zatrudniający wiele tysięcy ludzi. Warunki pracy, jak i bytowe, były bardzo trudne. Mieszkałyśmy w barakach, w okresie zimy niedogranych. Jedzenie było bardzo słabe. Niewystarczające przy tak intensywnej i nadzorowanej pracy. O ile pamiętam, obóz mieścił się na przedmieściu miasta, przy ulicy Lagerstrasse 4.

W lipcu 1943 r. zostałam oskarżona o sabotaż i przewieziona do więzienia politycznego we Wrocławiu. W śledztwie, w bardzo ciężkich warunkach, siedziałam około 7 miesięcy. Najpierw były ciągle przesłuchania, lecz nic mi nie udowodniono. Następnie, z więzienia przewożona byłam do jakiejś „kliniki” na różne pseudomedyczne doświadczenia. Między innymi wszczepiono mi malarię, na którą jeszcze po wojnie przez wiele lat chorowałam. Wykonywano również na mnie jakieś zabiegi ginekologiczne. Po każdym takim zabiegu byłam wnikliwie badana. Straciłam na długi czas okres i bardzo źle się czułam. Co na mnie eksperymentowano, nie miałam najmniejszego pojęcia. Takich jak ja, „króliczek doświadczalnych”, nie informowało się. W Warszawie, po zakończeniu wojny, ginekolog prof.

Woyno stwierdziła, że przesłam sterylizację i jestem bezpłodna. Okazało się jednak, że organizm z czasem sam powrócił do normy.

Pod koniec 1943 r., gdy nie udowodniono mi niczego, zostałam na nowo odesłana do obozu w Langenbilau, lecz byłam tam pod specjalną opieką medyczną. Najwidoczniej sprawdzano wyniki przeprowadzonych wcześniej eksperymentów. Pracowałam w obozie do stycznia 1945 r. W chwili ewakuacji obozu zbiegłam do Czechosłowacji przy pomocy niemieckiej rodziny mojej matki. Tam w Litomierzycach ukrywałam się aż do zakończenia działań wojennych. Pracowałam jako służąca w rodzinie czesko-niemieckiej. Nareszcie przebywałam w ludzkich warunkach. Byłam po obozie bardzo schorowana, osłabiona, wychudzona i przykro doświadczona, a miałam wtedy dopiero 17 lat. Przy moim wzroście 170 cm, ważyłam czterdzieści parę kilo.

Wracając do Polski nie wiedziałam, czy zastanę kogoś żywego z mojej rodziny. Z domu nie miałam żadnych wiadomości. W drodze powrotnej, na pewien czas zostałam zatrudniona w starostwie w Jeleniej Górze. Potrzebni byli tłumacze z biegłym językiem niemieckim, a język ten znałam od dzieciństwa. Zostałam tłumaczką starosty Tabaki. Z okresu tego pamiętam wyjazd do Agnieszkowa, gdzie mieszkał laureat Nagrody Nobla, Gerhard Hauptman, będący pod specjalną opieką władz polskich.

Za doznane krzywdy otrzymałam odszkodowanie przyznane mi przez Fundację Polsko-Niemiecką „Pojednanie“. Pieniądze jednak nie zblizniają ran doznanych w dzieciństwie.

## DYPLOMY I ODZNACZENIA

Urząd Rady Ministrów

Obywatel Prezes Rady Ministrów

nadał

Ob. Cieslińskiemu Stefanowi

w dniu 1 września 1957r.

Medal Zwycięstwa i Wolności  
1945 r.

na podstawie dekretu Krajowej Rady Narodowej  
z dnia 26 października 1945 r. o ustanowieniu

„Medalu Zwycięstwa i Wolności 1945 r.”



Minister

Urzędu Rady Ministrów

*A. Vojtyła*

Warczawa dnia 1. 9. 1957r.

Medal Zwycięstwa i Wolności 1945 r.

UNIwersytet WarsZawski

688

Nr 113/1082/11234/52

**DYPLOM**

Ob. Cieślinski Stefan Wojciech  
urodzony dnia 28 stycznia r. 1928  
w Płocku  
odbył w latach 1948 - 1952 studia  
wyższe ----- na Wydziale  
Biologii i Nauk o Ziemi

UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

w zakresie Geologii i Paleontologii  
i uzyskał stopień magistra  
filozofii

Profesor: \_\_\_\_\_ Docent: \_\_\_\_\_  
T. Manteuffel " " W. L. Wiśniewski

Warszawa, dnia 29 września 1952 r.

*Przewodniczący*  
Kierownik Sekretariatu  
Uniwersytetu Warszawskiego  
*(Dr. Czesław Kowalewski)*

1952

Dotyczy: \_\_\_\_\_

*Dyplom magistra filozofii w zakresie geologii i paleontologii.  
Uniwersytet Warszawski, 29 września 1952 r.*


<p>POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA</p> <p><b>LEGITYMACJA</b></p> <p>Nr B-22859</p> <p>WARSZAWA</p> <p>dn. 22 lipca 1957</p>	<p>UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA</p> <p>odznaczony(a) został(a)</p> <p>Cb. mgr <u>CIEŚLIŃSKI</u> <u>Stefan s. Franciszka</u></p> <p><b>SREBRNYM KRZYŻEM ZASŁUGI</b></p> <p>SEKRETAŹ RADY PAŃSTWA <i>(Julian Horodecki)</i></p>
--	---

*Srebrny Krzyż Zasługi, 22 lipca 1957 r.*

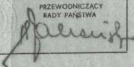




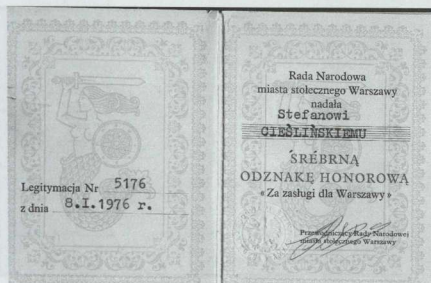
*Dyplom Kandydata Nauk Geologicznych.  
Instytut Geologiczny w Warszawie, 30 października 1958 r.*

<p>POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA</p> <p><b>LEGITYMACJA</b></p> <p>Nr <u>449-70-17</u></p> <p>•</p> <p>WARSZAWA</p> <p>dn. <u>11 czerwca</u> 19<u>70</u> r.</p>	<p>UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA</p> <p>z dnia <u>11 czerwca 1970 r.</u></p> <p>odznaczony (a) został (a)</p> <p>Ob. <u>dr CIEŚLIŃSKI</u></p> <p><u>Stefan s. Franciszka</u></p> <p><b>ZŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI</b></p> <p>PRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA</p>  <p>ANDRZEJ ŚPIYCHALSKI PREZYSKARZ POLSKI</p>
---	--

*Złoty Krzyż Zasługi, PRL, 11 czerwca 1970 r.*

<p>POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA</p> <p><b>LEGITYMACJA</b></p> <p>WARSZAWA</p> <p>dnia <u>22 lipca 1974 r.</u></p>	<p>UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA</p> <p>Nr <u>1086 /74M</u></p> <p>odznaczony(a) został(a)</p> <p>Ob. <u>CIEŚLIŃSKI</u></p> <p><u>Stefan s. Franciszka</u></p> <p><b>MEDALEM 30-LECIA POLSKI LUDOWEJ</b></p> <p>PRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA</p> 
---	--

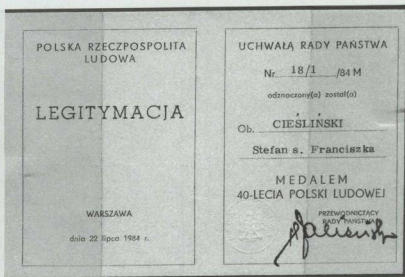
*Medal 30-lecia Polski Ludowej, 22 lipca 1974 r.*



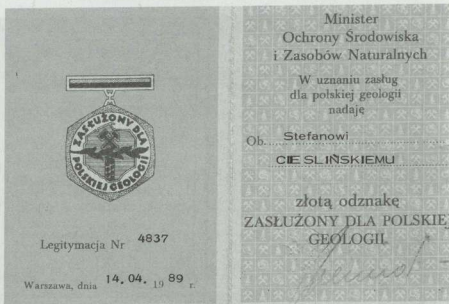
Srebrna Odznaka Honorowa „Za zasługi dla Warszawy”, 8.I.1976 r.



Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, PRL, 20 kwietnia 1977 r.



Medal 40-lecia Polski Ludowej, 22 lipca 1984 r.



Złota Odznaka „Zasłużony dla polskiej geologii”, 14 kwietnia 1989 r.

# NAGRODA

MINISTRA  
OCHRONY ŚRODOWISKA, ZASOBÓW NATURALNYCH  
I LEŚNICTWA

ZA WYBITNE OSIĄGNIĘCIA TWÓRCZE  
W DZIEDZINIE OCHRONY ŚRODOWISKA,  
GOSPODARKI WODNEJ, GEOLOGII  
I LEŚNICTWA

PRZYZNAJĘ

NAGRODĘ I STOPNIA

za pracę pt.

"ATLAS SKAMieniaŁOŚCI"

dla zespołu autorskiego w składzie

dr Eugenia GAWOR-BIEDOWA  
dr Andrzej BŁASZKIEWICZ  
doc.dr Stefan CIEŚLIŃSKI  
dr Leon KARCZEWSKI  
dr Janusz KOPIK

doc.dr Lidia MALINOWSKA  
doc.dr Hanna SENKOWICZ  
doc.dr hab. Janina SZTEJN  
dr Teresa MARCINKIEWICZ  
dr Olga STYK



MINISTER  
OCHRONY ŚRODOWISKA,  
ZASOBÓW NATURALNYCH  
I LEŚNICTWA

*[Signature]*  
Dr inż. Bronisław Kaminski

WARSZAWA, 6 czerwca 1990 r.

*Nagroda I stopnia Ministra Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i  
Leśnictwa, 6 czerwca 1990 r.*



MINISTERSTWO  
OCHRONY ŚRODOWISKA  
I ZASOBÓW NATURALNYCH

# DYPLOM

NADANIA STOPNIA GÓRNICZEGO

Na podstawie § 4 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 30 grudnia 1981 r. w sprawie szczególnych przywilejów dla pracowników górnictwa – Karta Górnika (Dz. U. Nr 282 poz. 13) oraz Zarządzenia Prezesa Rady Ministrów Nr 12 z dnia 21 kwietnia 1983 r. w sprawie warunków i trybu nadawania stopni górniczych oraz wzorów i norm przydziału mundurów górniczych (Monitor Polski Nr 18 poz. 102)

NADAJE

OBYWATELWI .. Stef anowi .. Cieśliskiemu ..

URODZONEMU .. 28-01-1928r. .. W .. Płocku ..

STOPIEŃ .. Dyrekt ora górniczego 1 stopnia ..

Warszawa .. DNIA .. 24.10.1991r. ..

PIECZĘĆ

NR DYPLOMU .. 4/91 ..

*Dyplom Dyrektora Górniczego I Stopnia,  
Ministerstwo Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, 24.10.1991 r.*



PAŃSTWOWY  
INSTYTUT GEOLOGICZNY

Director: 49-50-96, 2 try Biurokrat: 49-46-21, 49-53-42, 49-53-34, 50-075 Warszawa, Rakwinińska 4.  
Tel: 625041, Fax: 625342, telex: 49-53-51, konto bankowe PKO 86 O/W-60 259115-1234

*Pan*  
*Stefan Cieśliński*

*Mam zaszczyt wyróżnić Pana  
okolicznościowym medalem wybitym  
z okazji 40-tej rocznicy odkrycia przez  
Państwowy Instytut Geologiczny  
złóż siarki rodzimej w zapadlisku  
przedkarpackim.*

*Dyrektor  
Państwowego Instytutu  
Geologicznego*  
*K. Jaworowski*  
*Krzysztof Jaworowski*

*Warszawa, październik 1993 r.*

*Medal z okazji 40-lecia odkrycia złóż siarki rodzimej.  
Państwowy Instytut Geologiczny, październik 1993 r.*



PAŃSTWOWY  
INSTYTUT GEOLOGICZNY

00-975 WARSZAWA, ul. Rakowiecka 4

Centrala: (48-22) 49 53 00, 49 53 30, 49 53 51, 49 53 70

Biuro: (48-22) 49 50 96, Fax: (48-22) 49 53 42, Komercyj. 39 12 29 00

<http://www.pgi.waw.pl> Konto bankowe: P.R.K. 001 030 000 11101024-7724-2700-1-11, NIP: 523-000-00-48

# DYPLOM ZŁOTEJ ODZNAKI

PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU GEOLOGICZNEGO

W uznaniu zasług dla Instytutu  
na wniosek Kapituły Odznaki  
przyznaje

Panu doc. dr Stefanowi Cieślńskiemu

## ZŁOTĄ ODZNAKĘ

PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU GEOLOGICZNEGO

DYREKTOR

*[Signature]*  
Państwowego Instytutu Geologicznego

Warszawa, 5 stycznia 1998 r.  
Nr dyplomu 75

*Złota Odznaka Państwowego Instytutu Geologicznego,  
5 stycznia 1998 r.*

**DYPŁOM****PRYZNANIA  
HONOROWEGO KORDZIKA  
GÓRNICZEGO**

NF ..... 761 / 98 .....

Pan / Pani **doc. Stefanowi Cieślinskiemu**Urodzonemu / Urodzonej **28.01.1928 r. w Płocku** .....Na podstawie decyzji Ministra Spraw Wewnętrznych  
z dnia 28 XI 1998 r. znak: PO. V-222-641-4/95**w uznaniu zasług i długoletniej pracy  
na rzecz górnictwa polskiego  
oraz działalności związkowej****POROZUMIENIE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH****•KADRA•**

przyznaje:

**Honorowy Kordzik  
GÓRNICZY**Katowice, dnia **4.XII.1998 r.**Przewodniczący  
mgr inż. Jerzy Kulisz

*Dyplom Honorowego Kordzika Górniczego, 4.XII.1998 r.*

## SPIS PUBLIKACJI

- Cieśliński S., 1955, Chalcedon kredy środkowej zachodniego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich. *Przegląd Geol.* z. 9.
- Cieśliński S., 1956, Stratygrafia i tektonika kredy między Dobromierzem i Józefowem, a Przedborzem nad Pilicą. *Biul. IG.* 11.
- Cieśliński S., 1958, Nowe dane o stratygrafii utworów albu, cenomanu i dolnego turonu okolic Burzenina nad Wartą. *Kwart. Geol.* nr 4.
- Cieśliński S., 1959, Stratygrafia kredy górnej w wierceniach Jedlanka Nowa w rejonie Radomia. *Kwart. Geol. T III* n.2.
- Cieśliński S., 1959, Alb i cenoman północnego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich. *Prace IG. T. XXVIII.*
- Cieśliński S., 1959, Sprawa podziału stratygraficznego górnej kredy w Polsce. *Przegl. Geol.* nr 5.
- Cieśliński S., 1959, Początki transgresji górnokredowej w Polsce. *Kwart. Geol.* Tom III. Z. 4.
- Cieśliński S., 1959, Tablica stratygraficzna. Dodatek do *Przeglądu Geologicznego.*
- Cieśliński S., 1960, Geologia Krymu. *Geologia za granicą* nr 1.
- Pożaryska K., Pożaryski W., Cieśliński S., 1960, Z geologii Krymu. *Przeg. Geol.* nr 5.
- Cieśliński S., 1960, Biostratygrafia i zasięg form przewodnich w Polsce (na podstawie nowych materiałów wiertniczych). *Kwart. Geol., T. IV,* nr 2.
- Cieśliński S., Kraszewski W., 1960, Mezozoikum der Umrandung des Polnischen Mittelgebirge (Góry Świętokrzyskie).
- Cieśliński S., 1960, Biostratygrafia i fauna albu Polski. *Prace IG, T. XXX,* cz. II. Czterdzieści lat Instytutu Geologicznego.
- Cieśliński S., 1960, The Albian and Cenomanian transgression in the Danisch-Polish Furrow. *International Geological Congress, Kopenhaga. Rep. of the XXI. Part. XII.*
- Raczyńska A., Cieśliński S., 1960, W sprawie serii lądowej dolnej kredy na NW od Gór Świętokrzyskich. *Przeg. Geol.* 10.
- Cieśliński S., 1961, Kreda i trzeciorzęd południowych Czech. *Przegląd Geol.* nr 6.

- Cieśliński S., Witwicka E., 1962, Zagadnienia klimatyczne w Górnej kredzie Polski. PAN. Księga Pamiątkowa ku czci prof. J. Samsonowicza.
- Cieśliński S., Milakowicz B., 1962, Kręgowce i flora kredowa z Obrzeżenia Gór Świętokrzyskich. Biul. IG 174.
- Witwicka E., Cieśliński S., 1962, Korelacja zasięgów stratygraficznych mikro i makro fauny kredy górnej w wierceniach na północnym obrzeżeniu Gór Świętokrzyskich. Biul. IG 114.
- Cieśliński S., 1962, Kreda i kręgowce kredowe Mongolii. Przegląd. Geol. nr 3.
- Cieśliński S., Rutkowski E., 1962, Archeocyaty południowo wschodniego krańca Kotliny Wielkich Jezior w Mongolii. Przegląd Geol. nr 7.
- Cieśliński S., 1963, Die Grundlagen der Biostratigraphie der Oberkreide in Polen. Berichte der Geologischen Gesellschaft. Band 8. Heft 2. Berlin.
- Cieśliński S., 1963, Górna kreda Saksonii. Przegląd Geol. nr 16.
- Cieśliński S., Młynarski S., 1964, Badania geofizyczne, geochemiczne i geologiczne w krajach RWPG. Przgl. Geol nr 1.
- Cieśliński S., Tröger K.A., 1964, Epikontynentalna kreda górna Europy środkowej /alb-koniak w Polsce, Czechosłowacji i Niemczech./ Kwartalnik Geol. nr 4.
- Cieśliński S., 1965, Beitrag zur kenntnis des Oberenkreide Klimas in Polen. Geologische Rundschau. Band 54. Heft. 1, Stuttgart.
- Cieśliński S., 1965, Wyniki badań mikropaleontologicznych wiercenia Ostrów Mazowiecka. Biul. IG. 186.
- Cieśliński S., 1965, Stratygrafia i fauna cenomanu Polski. Biul. IG. 192.
- Cieśliński S., 1966, Die Inoceramen der Polnischen Oberkreide und Stratigraphische Bedeutung. Ber. deutsch. Ges. 11.
- Praca zbiorowa, 1967, Hasła z zakresu stratygrafii do Wielkiej Encyklopedii PWN
- Cieśliński S., 1968, Słownik stratygraficzny (część Kreda), Wyd. Geologiczne
- Uberna J., Cieśliński S., Błaszkiwicz A., Jaskowiak M., Krassowska, 1968, Osady fosforytonośne w kredzie Polski. Inst. Geol. (Praca poufna).
- Cieśliński S., 1968, Kreda (w przewodniku wycieczki nr C 45. Materiały na XXIII Kongres Geologiczny. Praha.
- Błaszkiwicz A., Cieśliński S., Dąbrowska Z., Karczewski L.J. Małinowska

- L., 1968, Zarys stratygrafii i tektoniki południowej części Niecki Łódzkiej. Kwart. Geol. nr 2.
- Cieśliński S., 1968, Poradnik Pracownika Służby Geologicznej. Stratygrafia. Wyd. Geologiczne
- Sokołowski S., Cieśliński S., Czermiński J., 1968, Redakcja Budowy Geologicznej Polski. Część I. Prekambr - Paleozoik.
- Cieśliński S., Milewicz J., Mitura F., 1968, Inoceramy górnokredowe z niecki północno-sudeckiej. Biul. IG. 217.
- Cieśliński S., 1968, Propozycje ujednoczenia schematów stratygraficznych w państwach RWPG. Materiały z konferencji poświęconej geologii ropy i gazu. Wydawnictwo RWPG (w języku rosyjskim).
- Cieśliński S., Karczewski L., 1969, XV sesja naukowa Wszzechzwiązkowego Towarzystwa Paleontologicznego w Leningradzie. Przegl. Geol. nr 6.
- Cieśliński S., Czermiński J., Kozłowski S., Pajchłowa M., Ryka W., 1970, Tablica litologiczno - stratygraficzna Polski i pozycje geologiczno - stratygraficzne ważniejszych surowców mineralnych. Kwart. Geol. 2. (dwa wydania)
- Cieśliński S., Pożaryski W., 1970, Stratygrafia mezozoiku obrzeżenia Gór Świętokrzyskich - kreda. Prace IG. T. LVI.
- Cieśliński S., Wyrwica K., 1970, Przewodnik XLII Zjazdu PTG w Lublinie, część kreda.
- Cieśliński S., 1970, Katalog skamieniałości. Budowa Geologiczna Polski. Fauna kredowa. Tom II.
- Cieśliński S., 1970, Geologia i surowce mineralne Polski. Rozdział Kreda. Biuletyn Jubileuszowy IG. 251.
- Uberna J., Cieśliński S., Błaszkiwicz A., Jaskowiak M., Krassowska A., 1971, Kredowe osady fosforytonośne i fosforyty w Polsce. Biul. 246.
- Cieśliński S., Malinowska L., Jakubowska L., 1972, Badania paleontologiczne w ZSRR w świetle referatów XVII Sesji Wszzechzwiązkowego Towarzystwa Paleontologicznego. Przegl. Geol. nr.5.
- Cieśliński S., 1972, Program UNESCO. Biuletyn Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO.
- Jeliński A., Cieśliński S., 1972, Międzynarodowy Program korelacji Geologicznej. Sprawozdanie z sesji UNESCO. Biul. Pol. Komitetu do

Spraw UNESCO. nr.4 /149/

- Cieśliński S., 1973, Kreda w otworze Magnuszew IG 1. Profile głębokich otworów wiertniczych z. 4.
- Cieśliński S., 1973, Kreda w wierceniu Szczecin IG 1. Profile głębokich otworów wiertniczych. z. 6.
- Cieśliński S., 1973, Kreda. Budowa Geologiczna Polski. Mezozoik. Tom I. Część 2.
- Sokołowski S., Cieśliński S., Czermiński J., 1973, Redakcja Budowy Geologicznej Polski. Mezozoik. Tom 2 część I. i szereg rozdziałów dotyczących epikontynentalnych osadów kredy Polski.
- Praca zbiorowa, 1973, Instrukcja w sprawie opracowania i wydania Mapy Geologicznej Polski 1: 200 000. Współautorstwo w rozdziale wydzielenia i symbole dla skał osadowych.
- Cieśliński S., 1974, Bartoszyce IG 1, Gołdap IG 1. Wyniki badań makrofaunistycznych kredy górnej. Profile głębokich otworów wiertniczych IG. z. 14.
- Błaszkiwicz A., Cieśliński S., 1974, Kock IG 1. Makrofauna z osadów kredy. Profile głębokich otworów wiertniczych IG. Zeszyt 15.
- Cieśliński S., 1974, Tłuszcz IG 1. Stratygrafia kredy górnej na podstawie makrofauny. Profile głębokich otworów wiertniczych IG. Zeszyt 13.
- Cieśliński S., 1975, Bąkowa IG 1. Makrofauna osadów kredy górnej. Profile głębokich otworów wiertniczych IG. Zeszyt 26.
- Cieśliński S., 1975, Mapa paleogeograficzna kredy dolnej - Alb. 1: 200 000, Atlas Paleogeograficzny.
- Cieśliński S., Raczyńska A., 1975, Atlas litologiczno - paleogeograficzny obszarów platformowych Polski. Część II. Mezozoik (mapy albu i aptu).
- Praca zbiorowa, 1975, Zasady polskiej klasyfikacji, terminologii i nomenklatury stratygraficznej. Instrukcje i metody badań geologicznych.
- Praca zbiorowa, 1976, Badania stratygraficzne, tektoniczne i paleogeograficzne. Informator Instytutu Geologicznego.
- Cieśliński S., 1976, Rozwój bruzdy duńsko-polskiej na obszarze świętokrzyskim w albie, cenomanie i dolnym turonie. Biuletyn IG. 295.
- Czermiński J., Cieśliński S., 1977, Katalog skamieniałości. Część 3a - mezozoik. Budowa Geologiczna Polski. Trzeciorzęd.

- Praca zbiorowa, 1977, Międzynarodowy Leksykon Stratygraficzny. Hasła polskich regionalnych terminów – kreda.
- Cieśliński S., Dąbrowska Z., 1978, Budowa podłoża trzeciorzędu rejonu Bełchatowa. Kwart. Geol. T.22 z. 4.
- Błaszkiwicz A., Cieśliński S., 1979, Prace nad systematyzowaniem stratygrafii górnej kredy Polski. Kwart. Geol. Tom 23.
- Praca zbiorowa, 1979, Mapa Geologiczna Polski i Krajów Ościennych.
- Cieśliński S., Dąbrowska Z., 1980, Budowa podłoża trzeciorzędu oraz stratygrafia permu i mezozoiku w rowie bełchatowskim. Przewodnik LII Zjazdu PTG Bełchatów
- Cieśliński S., 1983, Alb, cenoman i dolny turon okolic Ilży. Materiały VII Krajowej Konferencji Paleontologów w Ilży.
- Cieśliński S., 1984, Pierwszy Polak na Spitsbergenie. Przegląd Geol. nr 11.
- Cieśliński S., 1984, Inoceramy. Budowa Geologiczna Polski. Tom III. Część 2c. Mezozoik - kreda. Atlas skamieniałości przewodnich i charakterystycznych.
- Cieśliński S., 1984, Czwartorzędowe ruchy pionowe wybrzeży Hornsundu i geneza przystokowych wałów kamienistych. Przegląd Geol. nr10.
- Jęczmyk M., Cieśliński S., 1986, Heavy minerals spectra from alluvia and ablation cones of the Hornsund area, south Spitsbergen. *Studia Geologica Polonica*. Vol. LXXXIX. Part. XIV.
- Geological results of the Polish Spitsbergen Expeditions.
- Cieśliński S., Wątkowski T., 1985, Mapa geologiczna rej. Bir el Ater /1:25 000/.
- Cieśliński S., Wątkowski T., 1986, Mapa geologiczna Djebel Onk Sud /1:10 000/.
- Cieśliński S., Wątkowski T., 1987, Mapa geologiczna Djebel Onk Nord /1:10 000/.
- Cieśliński S., Wątkowski T., 1988, Mapa geologiczna Bled el Hadba /1:10 000/.
- Cieśliński S., Wątkowski T., 1988, Mapa geologiczna Oued Betita /1:10 000/.
- Cieśliński S., Hufani N., 1987, Fosforyty algierskie. (Referat drukowany w materiałach konferencji fosforytowej w Gafsie, Tunezja, w języku francuskim).

- Cieśliński S., 1987, Inoceramy albu i cenomanu Polski i ich znaczenie stratygraficzne. Biuletyn IG, 354.
- Cieśliński S., 1989, Fauna kredowa. Geology of Poland vol. III. Atlas of guide and characteristic fossils. Part. 2 c. Mezozoik.
- Wątkowski T., Cieśliński S., 1990, Ocena wykonanych prac geologiczno poszukiwawczych złóż fosforytów w Algierii w rejonie Bir el Ater w latach 1985 - 1987. Technika Poszukiwań Geologicznych. Geosynoptyka i Geotermia nr.
- Cieśliński S., 1990, Polacy nie mordowali. Ład - Katolicki tygodnik społeczny. VI nr. 47 /321/.
- Cieśliński S., Wątkowski T., 1991 - Poszukiwania złóż fosforytów w rejonie Bir el Ater. /północno-wschodnia Sahara Algierska./. Przegląd Geol. nr 9.
- Cieśliński S., Rzechowski J., 1993, Mapa geologiczna podłoża czwartorzędowego Roztocza między Tomaszowem Lubelskim, a Hrebennem. Materiały Konferencji Tektonicznej Roztocza - jej aspekty geomorfologiczno-krajobrazowe.
- Cieśliński S., 1993, Szczegółowa Mapa Geologiczna Polski 1:50 000 arkusz Zakrzówek./822/.
- Cieśliński S., 1993, Ludowe słownictwo geologiczne Lubelszczyzny. Przegląd Geol. nr 10.
- Praca zbiorowa, 1993, Instrukcja w sprawie opracowania i wydania Mapy Geologicznej Polski 1:200 000.
- Rzechowski J., Cieśliński S., 1994, Szczegółowa Mapa Geologiczna Polski 1: 50 000, ark. Hrebenne. (mapa odkryta).
- Rzechowski J., Cieśliński S., 1995, Szczegółowa Mapa Geologiczna Polski 1: 50 000 Lubyca Królewska /Mapa odkryta/.
- Cieśliński S., 1995, Aktualne problemy kredy Lubelskiej. Posiedzenia Naukowe IG Nr 52.
- Rzechowski J., Cieśliński S., 1996, Szczegółowa Mapa Geologiczna Polski 1: 50 000 Hrubieszów. /Mapa odkryta/.
- Rzechowski J., Cieśliński S., 1998, Szczegółowa Mapa Geologiczna Polski 1: 50 000 Tyszowce /Mapa odkryta/.
- Cieśliński S., 1998, Osady kredowe Roztocza Lubelskiego. Przewodnik LXIX Zjazdu PTG - Krasnobród.

- Buraczyński J., Cieśliński S., Siemiątkowski J., 1998,- Piaskowce żelaziste koło Annowa w strefie północnej krawędzi Rostocza Gorajskiego - ostaniec eoceński. *Przegląd Geol.* nr. 9/1
- Rzechowski J., Cieśliński S., 1998, Mapa Geologiczna Polski 1:200 000 Arkusz Chelm i Horodło /Mapa odkryta/.
- Rzechowski J., Cieśliński S., Kubica B., 1998, Mapa Geologiczna Polski Arkusz Tomaszów Lubelski i Dołhobyczów. /Mapa odkryta/.
- Cieśliński S., 1998, Szczegółowa Mapa Geologiczna Polski 1: 50 000 Wysokie.
- Cieśliński S., 1998, Osady kredy górnej w Batorzu. *Przewodnik LXIX Zjazdu PTG w Krasnobrodzie.*
- Cieśliński S., 1999, Utwory kredowe Lubelszczyzny w świetle nowych faktów. (Zmiana poglądów na tektonikę regionu). *Prace ?*
- Walaszczyk I., Cieśliński S., Sylwestrzak H., 1999, Selected geosites of Cretaceous deposits in Central and Eastern Poland. *Polish Geological Institute Special Papers ?.*
- Cieśliński S., 2001, Batorz w czasie najazdów mongolsko-tatarskich. Gmina Batorz w przeszłości i dzisiaj. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Batorzu.
- Cieśliński S., 2002, Seria wydawnicza *Budowa Geologiczna Polski (40 lat historii)*, *Przegląd Geologiczny.* vol. 50 nr 7.
- Cieśliński S., 2003, Związki Batorza z najazdami tatarskimi i osadnictwem mongolsko - tatarskim na ziemiach Polski i Litwy. *Odczyt w Domu Kultury w Batorzu i druk.* 2003. *Korzenie Janowskie* nr 1.
- Cieśliński S., 2004, Pra-pradzieje Ziemi Janowskiej. *Korzenie Janowskie* Nr 3.
- Cieśliński S., 2005, Przez kraj ludzi, zwierząt i Bogów, w 40 lat później. *Polscy geolodzy na pięciu kontynentach.* *PIG.* (str.116).
- Cieśliński S., 2005, Na obrzeżach Wielkiego Ergu Wschodniego. *Polscy geolodzy na pięciu kontynentach.* *PIG.* (str.184).
- Cieśliński S., 2005, Arktyka - Na Spitsbergenie. *Polscy geolodzy na pięciu kontynentach,* *PIG.* (str.?).
- Cieśliński S., 2005, Bliżej prawdy. Ponownie o genezie nazwy miejscowości Batorz. *Odpowiedź na krytykę.* *Korzenie Janowskie* Nr 5.
- Cieśliński S., 2005, Huta Krzeszowska i Momoty w Powstaniu Stycznio-

- wym. Korzenie Janowskie. Nr 5.
- Cieśliński S., 2005, Ziemia Janowska w okresie Powstania Styczniowego 1863–1864 (Działalność zbrojna). Korzenie Janowskie. Nr 7.
- Cieśliński S., 2007, Rok 1863 – Ostatnia kampania „Lelewela”. Korzenie Janowskie Nr 9.
- Cieśliński S., 2008, Zapomniana historia – bitwa pod Polichną 1863. Korzenie Janowskie Nr 10.
- Cieśliński S., 2009, Fikcyjny Rząd Narodowy. Korzenie Janowskie Nr 12.
- Cieśliński S., 2009, Co wiemy o najstarszej geologicznej przeszłości Batorza ?, część 1. Korzenie Janowskie Nr 13.
- Cieśliński S., 2010, Co wiemy o najstarszej geologicznej przeszłości Batorza ? część 2. Korzenie Janowskie Nr 14.
- Cieśliński S., 2010, Pułkownik Kajetan Cieszkowski – „Ćwiek” i jego związki z Lubelszczyzną w Powstaniu Styczniowym. Korzenie Janowskie Nr 15.
- Cieśliński S., 2013, Sahara moich wspomnień. Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników Państwowego Instytutu Geologicznego. Wspomnienia Nr 2.

### SPIS PRAC ARCHIWALNYCH

- Cieśliński S., 1952, Mapa geologiczna rejonu Przedborza /1:25 000/ Archiwum PIG
- Cieśliński S., 1953, Mapa geologiczna arkusz Wolanów /1:25 000/ Archiwum PIG.
- Cieśliński S., 1954, Mapa geologiczna północnego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich /1: 25 000/ strefa A - poszukiwań fosforytów. Archiwum PIG.
- Cieśliński S., 1954, Mapa geologiczna /1:25 000/ Rejon Anopol – Gościńskich, Archiwum PIG.
- Cieśliński S., 1954, Mapa geologiczna zachodniego obrzeżenia niecki Łódzko - Miechowskiej /1:100 000/ strefa B Poszukiwań fosforytów, Archiwum PIG.
- Cieśliński S., 1961, Schemat stratygrafii Mongolii. Materiały dla Ekspedycji mongolskiej - tablica stratygraficzna. Archiwum IG.

- Cieśliński S., Rutkowski E., Grzechnik J., Kuchciński J., 1961, Geologia i surowce rejonu Wielkich Jezior. Zachodnia Mongolia. Archiwum IG.
- Cieśliński S., 1961, Geologia Kambodży (dla CUGu).
- Cieśliński S., Kaczkowska Z., Muran B., Smoleński S., Sokołowska M., 1964, Rejestr prac i materiałów rękopiśmiennych z zakresu geologii Polski w Archiwach do 1957 r. ( wyd. utajnione).
- Cieśliński S., 1964, Gabloty kredowe dla Muzeum IG (praca zbiorowa).
- Cieśliński S., Karczewski L., Kopik J., 1966, XII Sesja Wszzechzwiązkowego Towarzystwa Paleontologicznego ZSRR w Leningradzie.
- Cieśliński S., Dąbrowska Z., Sokołowski J., 1968, Mapa geologiczna wysadu Solnego Bełchatowa /1:10 000/. Dla kopalni Bełchatów.
- Cieśliński S., Dąbrowska Z., 1968, Mapa geologiczna południowej części Niecki Łódzkiej /1:100 000/. Archiwum IG.
- Cieśliński S., Wyrwicka K., 1970, Mapa geologiczna kredy lubelskiej /1:300 000/. Archiwum IG.
- Cieśliński S., Malinowska L., Kraszewski i inni, 1972, Mapa Geologiczna Polski bez osadów kenozoicznych /1:200 000/. Archiwum IG.
- Cieśliński S., 1978, Mapa geologiczna Kwartsisletta /1:10 000/. Spitsbergen. Archiwum PAN.
- Opracowanie zbiorowe, 1981, Geologia i surowce rejonu Dzan-Szire we wschodniej Mongolii. Materiały Międzynarodowej Ekspedycji Geologicznej. Ułan Bator.
- Cieśliński S., Wątkowski T., 1988, Fosforyty Djebel Onk i Bled el Hadba. Dokumentacja. EREM - FERFOS Archiwum.
- Cieśliński S., Malinowski J., 1991, Wytyczne dotyczące wód i gospodarki wodnej w rejonie Batorza. Głos Batorza.
- Cieśliński S., 1997, Życiorysy w Księdze Jubileuszowej Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy. Muzeum Narodowe w Krakowie (str. 146).
- Cieśliński S., 1998, Życiorysy w "Who is Who".
- Cieśliński S., 1999, Plansze do gablot - kreda. Praca dla Muzeum PIG. Archiwum PIG.
- Cieśliński S., 2010, "W lodach dalekiej północy". (Ekspedycja polarna) Spitsbergen – Hornsund, 1978–1970.
- Cieśliński S., 2000, "Międzynarodowa Ekspedycja Geologiczna Mongolia".

- Mongolia 1980 – 1981. Na największych pustyniach Świata. Część II.
- Cieśliński S., 2000, "Sahara 1985 – 1988". Wspomnienia z prac geologiczno – poszukiwawczych prowadzonych na obszarze wschodniej Sahary Algierskiej. Na największych pustyniach Świata. Część II.
- Cieśliński S., 2002, Batorz w mrokach geologicznej przeszłości. Przygotowany na odczyt i wystawę w Domu Kultury w Batorzu.
- Cieśliński S., 2000, Pamiętniki. "Żyłem w ciekawych czasach". Rodzina i rodzinne wspomnienia.
- Cieśliński S., 2000, Alfabetyczny katalog literatury Powstania Styczniowego (Zbiory Własne).
- Cieśliński S., 2000, Tematyczny katalog literatury Powstania Styczniowego (Zbiory Własne).
- Cieśliński S., 2004, Wyjazdy zagraniczne (krótkie wyjazdy służbowe i urlopy).
- Cieśliński S., 2005, Materiały do Powstania Styczniowego Zbiór odczytów i innych materiałów, przygotowanych na uroczystości rocznicowe związane z wybuchem Powstania 1863 i bitwy pod Batorzem.
- Cieśliński S., 2005, Polskie badania polarne i polskie wyprawy paleontologiczne na pustynię Gobi. Archiwum Państwowego Instytutu Geologicznego.
- Cieśliński S., 2005, Moje związki z Polską YMCA. Na zamówienie YMCA.
- Uberna J., Cieśliński S., Na bezkresnych stepach Mongolii. Międzynarodowa Ekspedycja Geologiczna. Wokół Geologii.



**Stefan Cieśliński, Instytut Geologiczny, 1970**

Urodzony 28 stycznia 1928 r. w Plocku, geolog, długoletni pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego (1949-1999).

Wojnę spędził na wsi u dziadków, w Leszczynach pod Garwolinem. Tam uczęszczał podczas okupacji na tajne komplety, na których uzyskał małą maturę.

Włączył się w działalność konspiracyjną AK. Ukrywał się w Warszawie, gdzie przeszedł konspiracyjne przeszkolenie wojskowe. Uczestniczył w akcjach kurierskich i w małym sabotażu. Brał udział w „Akcji Burza”, w ramach działań obwodu „Gołąb”, oraz w potyczkach w lasach garwolińskich, między miejscowościami Wołą Rębrowską a Pilawą. Ujawnił się we wrześniu 1945 r. wraz ze swoim zgrupowaniem.

W związku z powojennymi represjami AKowców ponownie włączył się w działalność konspiracyjną, tym razem w ramach WiN (Wolność i Niezawisłość). W kwietniu 1947 r. skorzystał z ogłoszonej ponownej amnestii.

Maturę otrzymał w 1948 r. w Warszawie. W 1948 r. rozpoczął studia geologiczne na Uniwersytecie Warszawskim.

W 1949 r. rozpoczął, równoległe ze studiami, pracę w Państwowym Instytucie Geologicznym. W 1952 r. ukończył studia z tytułem magistra filozofii z zakresu geologii i paleontologii. Otrzymał nakaz pracy do Instytutu, z którym już był związany. Dalsze swoje losy opisał w książce „Geologia moja pasją”.

ISBN 978-83-62989-59-1